

ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIV.

ROK XIV.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 4 Maja 1889 r.



PESSYMIZM.

„Na świecie jest tak źle, że już gorzéj być nie może; owszem, nietylko jest źle, ale najgorzéj. Nawet świat ten jest jaknajgorszy. Życie człowieka i wszystkie jego zabiegi, to funt kłaków i niuch tabaki; wszystko nic warto, i zamiast żyć na tym łez padole, stokroć byłoby lepiéj nie żyć, i nie być“. Jest-to śpiéwka pessymisty, a pessymistów mnoży się coraz więcéj i coraz głośniéj zawodzą żale na nicość życia ludzkiego. Jedni z nich, nie bardzo zdając sobie sprawę z tych jeremiad, powtarzają na każdym kroku, że jest źle; drudzy przeciwnie, ze świadomością złorzeczą życiu i starają się dowodami uzasadnić taki negatywny na nie pogląd. Są-to dwie formy pessymizmu: popularna i niby-naukowa. Pessymizm w pierwszéj formie spotyka się wszędzie, bo wszędzie, we wszystkich stanach i położeniach znajdują się ludzie niezadowoleni dla tysiąca i jednéj przyczyny. W drugiéj formie, jako pewien systemat filozoficzny pessymizm jest nie tak dawny. Za autora jego podają niejakiego Schopenhauera, filozofa niemieckiego, który z początku nieuznany, jak zwykle, za proroka wśród swoich, doczekał się po śmierci wielkiego rozgłosu i wielu uczniów, czczących go tak, jak Indusowie czczą swojego Buddhę (1).

Ojciec nowożytnego, europejskiego buddhyzmu jest postacią niezmiernie ciekawą; był-to wielki samolub i odludek, zarozumiały bez granic, pomiatający wszystkimi, ale szczególniéj filozofami. Jako autor, pisał dużo i ciętém piórem; pisał jędrnie i z wielkim ta-

(1) Tutejszo-krajowych zwolenników Schopenhauera przepraszamy za ten brak respektu dla filozofa, którego Georg von Giżycki mianuje największym filozofem niemieckim XIX wieku. „*Kant und Schopenhauer*“. 1888).

lentem, osobliwie wtenczas, gdy przeciwników swoich miażdżył, lub karykaturował ludzi wogóle. Ktoby był ciekaw poznać Schopenhauera, możnaby mu zalecić jego życiorysy pisane przez wielbicieli i uczniów, albo dzieło Jakóba Sully: *Pessimism, a history and a criticism* (1877). Zresztą, wiadomości o tym filozofie i jego filozofii już teraz nie brak; stanowią one całą bibliotekę.

Wspomiane dzieło Sullego zawiera i historyą i krytykę pessymizmu. Dowiadujemy się od autora, że pessymizm jest stary jak świat; i nic dziwnego, bo jak mówi nie nasz poeta: „i niegdyś krew się lała i niegdyś człowiek płakał“. Więc wyraz téj prastaréj niedoli ludzkiéj musiał się znaleść i w księgach indyjskich i u poetów greckich i w biblii. Komuż nieznane są narzekania Hioba, albo Ekleziastesa „próżność nad próżnościami i wszystko próżność“? A z nowszych, kto sobie nie przypomina Byrona, Heinego i Leopardiego? Ten ostatni w wierszu do samego siebie, tak żale swoje wyraził: „Teraz już odpoczniesz na wieki, o znękane me serce! Zniknął ostatni majak, który wiecznym się zdawał. Zniknął, czuję to głęboko: nietylko nadzieja słodkich złudzeń, nawet i życzenie zamarło. Więc śpij na wieki; biłoś dość długo. Nic tu nie warto gorączkowego twojego tętna, żadnego westchnienia nie warta ziemia. Tylko boleść i nudy przynosi nam życie, a świat, to gnój. A więc się zdaj i zwątpij ostatni raz. Nam ludziom dał los tylko jeden dar, to śmierć“.

Jeżeli życie nic nie warto, jak głoszą zwyczajni śmiertelnicy a za nimi niezwyczajni poeci i filozofowie, to pytanie dlaczego ono nic nie warto? Dlatego, odpowiadają, że suma boleści i cierpień znacznie przeważa sumę radości i przyjemości. Kto tego dowiódł i czy wogóle takie twierdzenie może być dowiedzione? Nikt: a to, co pessymiści przytaczają jako dowody, stanowi właściwie wyraz indywidualnych uczuć bez obiektywnéj wartości, jaką powinny mieć dowody. Jakoż literatura pessymistyczna obfituje w jaskrawe złorzeczenia światu, ludziom i ich urządzeniom. Ależ złorzeczenia i rozpaczliwe bluźnierstwa nie stanowią żadnych dowodów, mających wartość dla kogo innego, oprócz samych złorzeczących. Są one zwykle wyrazem niezaspokojonych pragnień, zawiedzionych nadziei, obrażonéj miłości własnéj, nieziszczonych ideałów, słowem uczuć ludzkich. O uczuciach zaś dysputować niepodobna; nie mogą one być ani prawdziwe, ani fałszywe: są, bo są. Natura ich całkiem indywidualna, dla otaczających prawie niedostępna, a témsamém wymykająca się z pod kontroli jakiegokolwiek rachunku, sprawdzenia, doświadczenia. Ilu ludzi, tyle uczuć. Każdy z nich odczuwa boleść i radość, przyjemność i przykrość, ale ani wszelkich

odcieni, ani natężenia jednakowego. Rzecz-to powszechnie znana, że co jednego bawi, to drugiego nudzi, że nawet ból fizyczny i rozkosz fizyczną niejednakowo odczuwamy; ton i barwa naszych uczuć rozłożonych na niewymiernéj skali są tak wielobarwnie cieniowane, iż co do nich żadnego przedmiotowego kryteryum być nie może.

Wobec takiéj natury uczuć ludzkich trudno się dziwić, że po wszystkie czasy nie brakło, i mamy nadzieję, że do końca wieków nie zabraknie pessymistów, widzących wszystko przez zakopcone okulary; nie są oni temu winni, tacy się bowiem porodzili, taki przynieśli na świat systemat mięśniowy i nerwowy, taki temperament. Tego, że świat jest najniezdarniejszą machiną, że stosunki ludzkie są najpodlejsze, że życie samo jest ciężarem, nudą, słowem, że żyć nie warto, tego im żadnym argumentem z głowy nie wybijesz, bo uczucie nie słucha argumentów, nie rozumuje: ono uczuje, przeklina, lub ubóstwia, wpada w zachwyt, lub rozpacz, ono dla siebie jest, że tak powiem, najprawdziwszą prawdą.

Tak samo znowu, jeżeli się kto urodził z innym systemem mięśniowym i nerwowym, z innym temperamentem, będzie patrzył na wszystko przez różowe okulary. Świat uzna za najlepszy z możebnych światów, a w stosunkach ludzkich będzie widział dziwną harmonią, podobną do téj, jaką Pitagoras miał słyszéć w sferach niebieskich. Ten będzie optymistą, a jeżeli ma talent, napisze odę na cześć nieskończonego postępu i spodziewanego sojuszu wilka z baranem. I pessymista i optymista uczuciem świat sądzą, więc nic dziwnego, że wnioski ich są wręcz przeciwne i leżą na dwóch biegunach spolaryzowanego uczucia.

Czy nie będzie to wszakże jednostronnością, jeżeli dwa te przeciwne na świat poglądy zechcemy tłómaczyć wyłącznie indywidualną naturą odczuwających ludzi? Czyż system nerwowy taki lub inny, czy żołądek lepiéj lub gorzéj trawiący, czy krążenie krwi i oddychanie, czynności serca lub wątroby takie lub inne, miałyby jedynie objaśniać nam różnicę zachodzącą wśród ludzi co do pojmowania życia? Na pojęcia nasze składają się dwa czynniki: nasze *ja* i świat otaczający; więc zapewne i w pessymistycznéj ocenie życia znajduje się nietylko nasze ja czujące, lecz i świat działający na nie rozmaitemi zjawiskami i wywołujący rozmaite odpowiedzi, czyli reakcye. I tak jest rzeczywiście. Człowiek nie żyje po za światem, lecz w świecie, a to zarówno fizycznym jak i społecznym. Jeden i drugi z tych światów oddziaływają na niego i dają się mu uczuwać w przyjemnych, lub przykrych wrażeniach, jakie od nich

odbiéra. Że świat fizyczny, uważany sam w sobie, nie jest ani zły, ani dobry, to chyba dla każdego rzecz widoczna; dopiero w stosunku do człowieka mógłby być nazywany dobrym, lub złym, a właściwie dogodnym, lub niedogodnym, przyjemnym, lub przykrym, stosownie do tego, czy zjawiska otaczające podmiot czujący wywołują w nim przyjemne lub przykre wrażenia. Jeżeli zatém człowiek skarży się i przeklina świat dlatego, że mu piorun zabił przyjaciela, woda zalała i wyjałowiła pola, że go starość i nieodłączne od niéj dolegliwości trapią, że tylko śmierć wybawia go z całego udręczenia; jeżeli dlatego świat nazywa złym, to oczywiście skargi jego rozumiemy, ale dziwimy się, że protestuje przeciw temu, co jest nieuniknione i konieczne, czemu zaradzić nie możemy. Poprawić budowy świata nie zdołamy; zaledwie w maleńkiéj cząstce jesteśmy zdolni zmniejszyć cierpienia spływające stąd na człowieka. Pomimo tego, pomimo téj naszéj niemocy, uczucie nie przestanie narzekać i burzyć się przeciwko długiemu szeregowi cierpień, w mniejszym lub większym stopniu, ale fatalnie dotykających cały ród ludzki. Cierpienia te, stosownie do większéj, lub mniejszéj wrażliwości czującego podmiotu, złożą się na okrzyk rozpaczy i przekleństwo rzeczywiście zimnéj i głuchéj naturze. Uczucie nie zna i nie rozumié, czém jest konieczność.

Ale na pessymistyczne pojmowanie wartości życia wpływają nietylko ujemne, jak się człowiekowi zdaje, zjawiska świata fizycznego; w większym może jeszcze stopniu wpływają na nie zjawiska świata społecznego: nędza materyalna, ciemnota umysłowa, ucisk i wyzysk jednych klas przez drugie, obłuda i głupota. Otóż, jeżeli świata fizycznego poprawić nie możemy, zdaje się, że przynajmniéj świat ludzki, społeczny, jego urządzenia moglibyśmy przebudować, lub poprawić. Tworzymy sobie tedy świat idealny, doskonały, do którego przymierzamy świat rzeczywisty i widzimy kolosalną różnicę między tém, co jest, a tém, co według nas być powinno. Ta dysharmonia, odczuwana ciągle, przeléwa się do duszy i znów wywołuje okrzyk rozpaczy i zwątpienia, zwłaszcza gdy człowiekowi nie są obce tylokrotne usiłowania najzacniejszych i najmędrszych ludzi, ażeby podźwignąć i pociagnąć swoich bliźnich na wyżyny idealne, a zawsze prawie bezskutecznie. Widok powracających do życia upiorów, już niby pogrzebanych dawno, musi przejmować subtelniejsze i podnioślejsze natury rozczarowaniem i zwątpieniem, ażali kiedykolwiek na ziemi urzeczywistni się królestwo światła i sprawiedliwości.

Jeżeli się nie mylimy, taką drogą powstaje pessymistyczny pogląd na świat wogóle i na wartość życia w szczególności; konklu-

zya zawsze ta sama: życie nic nie warto i żyć nie warto, albowiem suma cierpień indywidualnych i zbiorowych, przez wszystkie wieki odczuwanych, przeważała sumę przyjemności.

Otóż, twierdzenie to, wypowiadane tak absolutnie i kategorycznie, podyktowane zostało zmrożoném uczuciem; prawdziwości jego dowieść niepodobna. Albowiem chcąc tego dowieść, trzebaby utworzyć księgę, w któréjby po jednéj stronie wpisywano przyjemności, a po drugiéj przykrości, oznaczone umówionemi liczbami, po których zbilansowaniu możnaby powiedziéć, gdzie się *plus* znajduje. Takiéj księgi kasowéj, o ile wiadomo, żaden pessymista nie prowadził, a gdyby któremu przyszła kiedy podobna myśl do głowy, bilans byłby bardzo zdefektowany i miałby wartość tylko dla niego. Okazałyby się w nim duże luki, najprzód dlatego, że przyjemnych i przykrych wrażeń wczesnéj młodości wcale nie, lub tylko jak przeze mgłę, pamiętamy; powtóre dlatego, że skala, którąbyśmy je mierzyli, jest nadzwyczaj ruchoma i zmienna, co sekunda niemal inna, zarówno w tym samym podmiocie czującym, jak i w innych ludziach. Skalą tą, jak wiadomo, jest nasze uczucie, ulegające ciągłemu wahaniu. Na tego samego człowieka, stosownie do wieku, płci, stanu zdrowia, rozwinięcia umysłowego, doświadczenia, słabszéj lub mocniejszéj konstytucyi, te same wrażenia nie jednakowo oddziaływają. Cośmy uważali w pewnéj dobie naszego życia, w pewnym nastroju psychicznym za *maximum* przykrości, to w innéj dobie życia, w innych okolicznościach zdaje nam się fraszką, lub przynajmniéj wcale nie takiém wielkiém złém, za jakie przedtém uchodziło. Tak samo rzecz się ma i z wrażeniami przyjemnemi: w téj grze naszych uczuć bierze udział fantazya, która je potęguje i przygotowywa człowiekowi niebo, lub piekło.

Skoro tedy ani pessymizm, ani optymizm nie mogą się wylegitymować obiektywnemi dowodami, probowano zastąpić jednostronność tych poglądów trzecim, pośrednim, który nazwano melioryzmem. Nie kusząc się o absolutną teoryą wartości życia, melioryzm utrzymuje, że zważywszy *pro* i *contra*, można twierdzić, iż świat ludzki, to jest urządzenia społeczne, uobyczajenie, wykształcenie rozumu, uszlachetnienie uczucia bądźcobądź w ciągu wieków doskonalą się, stają się lepszemi, a chociaż z niemi *pari passu* wzmaga się niedola i potęguje odczuwanie onéj, zawsze *plus* zostaje po stronie dodatniéj.

Pogląd taki na życie dałby się uzasadnić i poprzéć dowodami już nietylko z uczucia czerpanemi, lecz wyciągnionemi z historyi politycznéj i z dziejów umiejętności, na które prawdopodobnie zgo-

działaby się większość ludzi, znających koleje, jakie przechodziła dotychczas ludzkość. Lecz chociażby dowiedziono, że na świecie nie jest ani najlepiéj, ani najgorzéj, tylko średnio, to i tak nie zabrakłoby ani optymistów, ani pessymistów, gdyż te stopniowe ulepszenia w życiu jednostkowém i społecznėm nie są i nie mogą być udziałem wszystkich, ani na wszystkich jednakowo oddziaływają. Daléj, ulepszenia nie następują, ani odrazu we wszystkich kierunkach życia, ani z szybkością błyskawicy; lecz dokonywają się żółwim krokiem, tąk dalece, że dopiéro po upływie stuleci można sobie zdać sprawę o ile, jak głęboko i szeroko sięgnęły. Na razie brak nam perspektywy do ocenienia wartości owych ulepszeń, nie możemy przewidziéć wszystkich skutków, jakie nowa myśl, wynalazek nowy, instytucya nowa sprowadzą na ludzi, i o ile życie ich uczynią szczęśliwszém. Potępianie zatém życia i zaprzeczanie wszelkiego postępu zdają nam się być równie jednostronne, jak i optymistyczne rozwodzenie się nad harmonią interesów ludzkich, nad postępem nieskończonym, mającym sprowadzić kiedyś niebo na ziemię. Nawet bez daru proroczego możnaby zapewnić, że póki ludzie na naszym globie żyć będą, póty dzień i noc, choroba i zdrowie, nędza i zbytek będą po sobie kolejno następowały, lub obok siebie w różnych miejscach istniały, dając powód do trenów, lub dytyrambów. Tym, którzy trzeźwiéj patrzą na świat i życie, pozostanie praca około poprawy rzeczy ludzkich choćby o jednę linią: przekleństwa trzeba zostawić poetom.

Pessymizm w swojéj formie niby naukowéj,jako systemat metafizyczny, ostatni, jak przypuszczają, w XIX wieku, mało kogo obchodzi, oprócz wielbicieli Schopenhauera, a nawet i ci nieliczni wielbiciele uważają go za poroniony; zajmować się nim w tém miejscu ani chcemy, ani możemy: w dziejach metafizyki znalazł już ocenienie. Ale pessymizm w formie popularnéj, jako pewien kierunek umysłów bieżącéj chwili, zasługuje na bliższą uwagę, albowiem ogarnia mnóstwo głów, staje się zjawiskiem bardzo powszechném.

Najprzód, godziłoby się rozważyć, dlaczego pessymizm w naszych czasach znajduje tylu chętnych słuchaczów i popularyzatorów? Wspomniano powyżéj, że wyobrażenia nasze o świecie i pojęcia o wartości życia składają się z dwóch elementów: naszego j a czującego i wrażeń, jakich mu dostarcza świat otaczający. Samo j a czujące i odczuwające w mniejszym lub większym stopniu wrażenia świata otaczającego nie byłoby zdolne wyrobić sobie tak rozpaczliwego poglądu na życie, gdyby w samym tym świecie, tj. w stosunkach społecznych nie było dysharmonii. Tak téż i Schopen-

hauer, jak się zdaje, pod wpływem Buddhy rozmyślał, pisząc: „Gdyby każdemu stawiano przed oczy straszne cierpienia i męczarnie, na jakie życie jego ciągle jest narażone, zdjęłyby go dreszcze: gdybyśmy najzapamiętalszego optymistę oprowadzili po szpitalach i izbach operacyjnych, po więzieniach i lochach torturowych, po pobojowiskach i placach egzekucyjnych; gdybyśmy mu następnie otworzyli wszystkie legowiska nędzy, kryjącéj się w norach przed okiem chłodnéj ciekawości; a nareszcie gdybyśmy mu kazali zajrzéć do głodowéj wieży Ugolina; to i on z pewnością przekonałby się, co to za gatunek, ten najlepszy ze światów możebnych. Zkądże bowiem Dante wziął materyały do swojego piekła, jeżeli nie z tego naszego rzeczywistego świata? Przeciwnie znów, gdy postanowił odmalować niebo i jego rozkosze, spotkał trudność nielada, ponieważ właśnie ten świat nasz żadnych materyałów do takiego obrazu nie zawiéra“. Tak jest, możnaby przywtórzyć téj melancholijnéj uwadze, świat nasz rzeczywiście nie zawiéra materyałów na obrazy nieba, ale chyba tak samo i na obraz piekła. Świat nasz jest potrosze i niebem i piekłem, stosownie do tego, jak komu i kiedy (bo nie ciągle) daje smakować jednego i drugiego.

Ale pytanie, czy to dopiéro teraz, w XIX wieku, zjawiły się na świecie: choroba, głód, więzienie, tortura, nędza wszelkiego rodzaju i stopnia, bitwy mordercze, amputowanie rąk i nóg? O ile historya i prehistorya prawdę mówią, wszystko-to już było dawno i bardzo dawno, z wyjątkiem może operacyi odbywanych przy pomocy chloroformu, który, rzeczywiście cierpienia uczynił mniej dotkliwemi. Jeżeli zaś z téj niewyczerpanéj puszki Pandory po wszystkie wieki sypały się na ród ludzki nieszczęścia, to pytanie, czy dopiéro w naszych czasach stały się one tak nieznośnemi, iżby miały upoważniać do pessymistycznego wniosku: życie nic nie warto? Niestety, można utrzymywać z całą pewnością, że każdy wiek, każde pokolenie, a nawet każdy dzień ma swoje utrapienia. Czyż boleści nasze są większe, aniżeli były cierpienia nagich, głodnych i bezbronnych odległych przodków człowieka? Któżby się ośmielił tak utrzymywać? Byliżeśmy w ich skórze, ażeby można porównać ich cierpienia z naszemi i orzec, kto więcéj wycierpiał?

Tak jest, powiadają pessymiści, można orzec, iż cierpienia spółczesnych ludzi są większe, niż były owych prastarych przodków, a to dlatego, że z postępem kultury, oświecenia, rozumu, uobyczajenia i wydelikatnienia samego uczucia, dzisiejsi więcéj i dotkliwiéj odczuwają wszystko złe trapiące człowieka niż owi nadzy przodkowie, bo i system nerwowy stał się wraźliwszym i rozum bar-

dziéj wyćwiczonym i poczucie sprawiedliwości głębsze; a więc mocniéj nas dotyka zarówno ból fizyczny jak i niesprawiedliwość w stosunkach społecznych. Wiek nasz jest nerwowy, histeryczny i dlatego cierpi mocniéj, dotkliwiéj, niż ubiegłe.

Być to bardzo może, iż mocniéj odczuwamy cierpienia, że nerwy teraźniejszych ludzi są wrażliwsze, niż dawniejszych, chociaż i to wcale nie jest dowiedzione; ale możnaby dodać, że równocześnie z tą nadczułością nerwów wzrastały pewne udogodnienia i ulepszenia, zmniejszające natężenie cierpień, że nareszcie nie zachwycając się naszym postępem jako piątą esencyą, można przecież na pewno twierdzić, iż pod wielu względami życie teraźniejszych ludzi jest znośniejsze, niż było niegdyś, a témsamém można przypuszczać, że chociaż powoli, jednak suma cierpień maleje: możnaby więc z samobójstwem jeszcze trochę poczekać.

Przypuszczając, iż jest prawdą, co utrzymują pessymiści, że suma cierpień w życiu człowieka przewyższa sumę przyjemności, co z tego za wniosek i jaka na to rada? Wniosek taki, iż jak powiada Byron, lepiéj jest nie być: *Tis something better—not to be.* Więc pozbawić się życia? Łatwiéj to deklamować, niż wykonać. Samobójstwa wprawdzie rosną w liczbę, ale daleko jeszcze do tego, ażeby na téj drodze ród ludzki szukał wyzwolenia od nękających go bólów. Śmierć wyzwala istotnie od wszelkich cierpień, jednak pożądamy jéj tylko w chwili natężenia udręczeń, a nawet wówczas ludzie gotowiby byli, jak starzec w bajce, prosić jéj, by im pomogła dźwigać wprawdzie nie wiązkę drzewa, ale więź cierpień. Jest w człowieku potężniejsze od innych pragnienie życia, które chroni go (z małymi wyjątkami) od samobójstwa i żaden pessymizm rymowany, czy nierymowany, nie zdoła wmówić w niego, iż żyć nie warto. Rzecz jednak osobliwa, że pessymiści, pobiérający dostatnią rentę od niezapracowanych kapitałów, rzadko probują tego środka, wyzwalającego od wszelkich cierpień, na sobie. O resztę, o wielkie wojsko ludu roboczego, który ani renty nie pobiéra, ani ma czas rozmyślać nad swojemi cierpieniami, obawiać się nie trzeba; on będzie się mnożył i rósł, nie pytając się o wartość życia.

Wszakże, nie wszyscy pessymiści w samobójstwie upatrują drogę do zakończenia cierpień; mniéj liryczni od Byrona, a bardziéj pozujący na mędrców, doradzają wprost zaniechanie generacyi potomstwa, ażeby przerwać łańcuch pokoleń nowych, a tém samém i dalszych cierpień: ideałem dla nich zdaje się być pokutnik indyjski, zobojętniały na upał i chłód, na rozkosz i ból, za życia umarły, pogrążający się stopniowo w nirwanie, w nicości. Prawdziwy mędrzec niczego nie pragnie, gdyż poznał, że przyjemność

i przykrość równie nic nie warte; a to poznanie wyzwoliło go od żądz wszelkich, bo one właśnie stanowią największe udręczenie nasze. A więc zobojętnienie na wszystko, oto wstęp do błogosławionego stanu nirwany. Przestańcie się mnożyć, a przestaniecie i cierpiéć. Środek najniezawodniejszy: ostatni pesymista zaśpiéwa: *Dies irae*, *dies illa*.

Lekarstw takich, jak samobójstwo, lub powstrzymanie generacyi, mających wyzwolić ludzkość od cierpienia, nikt zapewne na seryo nie bierze; zapisują je od czasu do czasu metafizycy, poeci, asceci, ale zwyczajni ludzie wyléwają je zwykle za okno. Gniewać się na pessymistów nie mamy ani prawa, ani zasady: taka ich już natura; jednak rozważyć, o ile i jak podobny na świat i na życie pogląd oddziaływa na umysły, jest rzeczą interesującą. A zatém jeszcze słów kilka i uwag parę poświęćmy temu pytaniu.

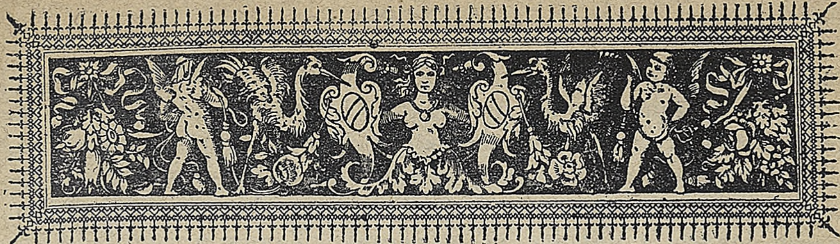
Przedewszystkiém zauważmy, iż nie chodzi tu o wytaczanie procesu temu, czy innemu na świat poglądowi, o zwalanie na jego barki wszystkich niegodziwości spotykanych na świecie. Ten urząd prokuratorski zostawiamy moralistom, którzy zbójów i złodziei kładą na kark teoryi ewolucyjnéj, lub jakiéj innéj. Jesteśmy bowiem przekonani, że teorye, hipotezy, poglądy rodzą się z faktów istniejących, a potém dopiéro mogą oddziaływać na ludzi w jednym lub drugim kierunku. Tak więc i pessymizm dzisiejszy powstał niezawodnie z faktów wcale niewesołych, nagromadzonych i gromadzących się coraz obficiéj w teraźniejszém życiu ekonomiczném i państwowém. Faktów takich jest legion; do wyliczanych zwykle przez pessymistów możnaby dodać drugie tyle: skargi ich zatém nie są bez podstawy, chociaż bywają przesadne i jednostronne. Wskazywanie na ogrom niedoli ludzkiéj, wołanie o litość dla cierpiących, o miłość dla odepchniętych, o sprawiedliwość dla pokrzywdzonych, o reformy zgniłych instytucyi stanowią dobry i słuszny tytuł pessymizmu do głosu, do krytyki nieustającéj. O tyle też byt jego uprawniony po wszystkie czasy. Ci, którzy lepiéj rozumieją sprawy ludzkie i głębiéj ujemne ich strony odczuwają, mają obowiązek otwiérać oczy zarówno ustającéj ze znużenia i trudu rzeszy jak i pulchniutkim optymistom, że świat ludzki, nie jest bynajmniéj najlepszym ze światów. Taka robota jest służbą pożyteczną i nawet zbytnią czasami w niéj gorliwość usprawiedliwić można. Wszakże pessymizm nie poprzestaje na téj adwokaturze; on chciałby raz skończyć z cierpieniem, a to znów daje się osiągnąć przez unicestwienie woli i chęci do życia; w tém leży jego strona ujemna.

Jest na świecie źle, owszem jaknajgorzéj; życie nic nie warto, a Dantejskie piekło wierny fotogram ziemskiego piekła: załóżmy

tedy ręce i czekajmy powszechnego potopu, lub powszechnéj konflagracyi świata. Taki pessymizm zdaje nam się być ojcem kwietyzmu, najniebezpieczniejszego stanu dla człowieka i dla narodu. Zamiast brać się do pługa i nie oglądać i nie ziewać, kwietyści umieją tylko załamywać ręce i powtarzać bez odpoczynku: my tam już nic nie poradzimy, wszystko przepadło, co ma być, to i tak będzie — a „koń srokacz, żona Magda, co ma Bóg dać, to i tak da". O, przecudna filozofia, jakby specyalnie dla nas obmyślana!

K.





IGNAŚ.

OBRAZEK Z PRUS ZACHODNICH.

III.

Ubiegło jednakże jeszcze bardzo wiele czasu, zanim nad Ignasiem zaciągnęły się ostatnie oka sieci, oplatającéj byt jego. Pan naczelnik uparł się przy swojém, na wszelkie przedstawienia władz pruskich miał jedyną odpowiedź, że Ignaś, jakkolwiek formalnie ruski poddany, należy tam, gdzie ma opiekę i utrzymanie i że dziecka na pewną zgubę do swego powiatu nie przyjmie. Rzecz oparła się wreszcie o sam Petersburg, na korespondencyach z téj i tamtéj strony spłynęła zima i wiosna, zanim termin i miejsce wydania Ignasia wskutek kategorycznego nakazu wprost z Petersburga, przez pana naczelnika zostały naznaczone. Upiérać się nie było co, Jędrzejowa z niemą jakąś rezygnacyą przyjęła wiadomość o mającém nastąpić wydaleniu.

Lato było w swym punkcie kulminacyjnym, pola pokryły się długiemi rzędami żeńców wśród zbóż, pokrywających bujnym plonem lekką w tych stronach glebę, widać już było świécące ścierniskiem obszerne spłaziny, kiedy w progu chaty Jędrzejowéj ukazała się ponownie wyświéżona i błyszcząca postać żandarma Fritza Fritziga. Było jeszcze bardzo rano. Ignaś samowiedzy całéj okropności swego położenia nie miał i miéć nie mógł. Ale ujrzawszy żandarma, schwycił konwulsyjnie Jędrzejową za suknię i kryjąc w jéj fałdach swoję twarzyczkę, krzyczał:

— Nie dajcie, babulu, brać mnie temu człowiekowi!.

Jędrzejowa podniosła wnuka na rękę, z niemą jakąś rozpaczą przycisnęła go do siebie, jakby w ten uścisk chciała przelać resztki

uczucia swéj skołatanéj duszy, i zaszlochała długo tłumionym płaczem, ale do żandarma nic nie rzekła. Doświadczenie nauczyło ją, że system biurokratyczny w Prusiech jest jak fatum, kogo on pochwyci w swe kleszcze, temu nie pomogą ni łzy ni obiaty. Połykając więc łzy i tłumiąc westchnienia, poczęła wreszcie zbiérać rzeczy Ignasia i układać je w pęczek. Żandarm naglił do pośpiechu.

Słońce było już kawał na niebie, kiedy Jędrzejowa z węzełkiem, przewiązanym przez plecy, i trzymając Ignasia za rękę, w towarzystwie żandarma wyszła z swéj chaty. Ignaś zanosił się od płaczu, w Jędrzejowéj jakby źródło łez wyschło. Pierś jéj tylko wzdymała się jakiémś gwałtowném uczuciem, w oczach jéj tlał jakiś ogień ponury. Gdy szli przez wieś, wybiegały z chat baby i dzieci, by się z Ignasiem pożegnać, smutny los jego w sercach wszystkich budził serdeczne współczucie. Osobliwie długo i czule żegnała się z nim chrzestna jego Błażejowa, która, jak sama mówiła, na spółkę z Jędrzejową wypiastowała go na swych rękach. Gdy przechodzili drogą, żeńcy stawali i opiérając się na kosach, z niemém społczuciem poglądali na ten obraz niedoli, niejedna pięść zaciśnięta w kułak wzniosła się za plecami żandarma. Sam pan ekonom, który zresztą w sentymentalizm bawić się nie lubił, przystanął na koniu i ściskając nieodłączny nahaj w pięści, powtarzał:

— Oj ciarachy bestye! nie ma w was ludzkiego politowania. Gdyby mi kto was dał pod moje ręce, dałbym ja wam, dałbym, tak znęcać nad biédną wdową i nieletniém dzieckiem.

Współczucie żeńców i pana ekonoma nie uratowało Ignasia, los jego stał się nieodwołalnym. Wkrótce praca szła swoim trybem, żeńcy pochylali się w takt, jakby za pociągnięciem sznurka, chrzęst koszonego zboża dawał się słyszéć, całe linie falującego żyta słały się do ziemi, szereg żeńców przesuwał się jakby podług rytmu jakiejś niesłyszanéj muzyki z jednego końca pola na drugi. Ignaś z Jędrzejową i żandarmem zniknął za górką, a niedługo począł im schodzić i z myśli. Życie ze swojemi kłopotami i nadziejami zaczęło napowrót wstępować w swe prawa, każdy zwracał myśl ku temu, co go najbliżéj obchodziło.

Granica była niezbyt daleko; z jakie półtory milki od Śliwiniec wznosiła się komora, na któréj miało nastąpić oddanie Ignasia w ręce władz ruskich. Ale droga była piaszczysta, słońce lipcowe poczęło dopiekać, Ignaś począł się skarżyć, że daléj iść nie może. Nie było rady, Jędrzejowa, choć już obarczona węzełkiem z rzeczami, musiała go wziąć na rękę. Pot jéj się lał strumieniem z czoła, musiała raz po raz odpoczywać. Żandarm naglił do pośpiechu,

Jędrzejowa na jego nalegania odpowiadała na pół złośném na pół pogardliwém milczeniem. Dziwna rzecz! Ona, która dawniéj zawrotu głowy dostawała ze strachu na widok zielonego munduru i błyszczącego hełmu, dzisiaj czuła wobec groźnego przedstawiciela prawa jakieś niebywałe lekceważenie. Ociągała się z umysłu, żeby go drażnić a nawet czasami czuła wyraźną ochotę, mimo pałasza i karabina, który dźwigał przewieszony przez ramię, skoczyć mu do oczu.

Miało się już ku południowi, kiedy Jędrzejowa z Ignasiem zbliżyła się do kompleksu budynków, stanowiących posadę komory paliczyńskiéj. Pan naczelnik o mającém w dniu tym nastąpić wydaniu Ignasia powiadomił dyrektora komory i dał wójtowi gminy jak najściślejsze polecenie, aby sam się udał na komorę, odebrał wydaleńca z rąk władz pruskich i zajął się upewnieniem jego dalszego losu; o czém wszystkiém zdać miał naczelnikowi szczegółowy raport w przeciągu dni czternastu. Bryczka pana wójta stała już w podwórzu, wyprzęgnięte konie chrupały sobie swobodnie założoną im w tyle wasąga koniczynę.

Gdy rozeszła się wiadomość o zbliżaniu się pruskiego żandarma z kobiétą i dzieckiem, cały personel komory i cała załoga wysypały się naprzeciwko. Widok, jaki im się przedstawił, był rozrzewniający. Staruszka z uznojoną i zapłakaną dzieciną o jasnych włoskach i modrych jak bławatki oczkach na ręku, a obok nich żandarm z przewieszonym przez ramię karabinem. Widocznie urzędnicy i żołnierze, którzy wylegli na ich przyjęcie, należeli do rasy zacofanéj w kulturze, nie rozumieli dostatecznie całéj ciężkości przewinienia tych, którzy śmieli istniéć, nie zapytawszy się o pozwolenie potężnego kanclerza najpotężniejszego i najcywilizowańszego w Europie państwa. Litość i oburzenie malowały się w ich twarzy. Pan żandarm Fritz Fritzig nie łatwy też miał pochód przez szpaler, utworzony przez nich. Co zawierały wykrzykniki, jakiemi go witano, wprawdzie nie rozumiał; ale z wyrazu oczu i twarzy obecnych, z modulacyi ich głosu mógł się domyślić, że nie mieściły w żadnym razie pochlebnych dla niego komplimentów.

Piastun misyi internacyonalnéj, który był raczéj narzędziem niż wyobrazicielem systemu, rehabilitującego pod koniec XIX wieku obławy, jakie niegdyś na podobnych sobie ludzi urządzało żołdackie plemię Spartan, usunął się z przed oczu personelowi paliczyńskiéj komory, gdy wszyscy weszli do wnętrza domu, w którym się mieściło główne biuro. Rozpoczęły się formalności oddania Ignasia w ręce władz rosyjskich, żandarm wręczył odnoszące się do tego aktu papiery, spisano obszerny protokół. Pan wójt pra-

gnął co najrychléj wracać do domu, w czasie żniw zbyt mu drogą była każda chwila. Ignaś miał z nim pojechać do Kozienic i tymczasowo w jego własnym domu znaléść pomieszczenie. Jędrzejowa za dobroć, okazaną Ignasiowi, stokrotnie ucałowała mu ręce i kolana.

Wyszli wszyscy przed dom, bryczka zajechała. Czas było żegnać się z Ignasiem. W Jędrzejowéj serce zadrgało, konwulsyjnie przycisnęła wnuka do siebie i zaryczała płaczem ogromnym. Ignaś schwycił ją obiema rączkami za szyję i zanosząc się od płaczu, krzyczał rozpaczliwie:

— Nie dajcie mnie brać, babulu, tym ludziom, nie dajcie mnie brać, babulu!

Wszyscy byli do głębi poruszeni tą sceną.

Wśród ogólnego rozrzewnienia dziwnie odbijała postać pruskiego żandarma Fritza Fritziga. Twarz jego ze starannie wygoloną brodą i krótko przystrzyżonemi faworytami tchnęła olimpijskim spokojem i zadowoleniem. Jak można było tyle robić ceregieli, kiedy wszystkie formalności załatwiono, tego zrozumiéć nie mógł. I to jeszcze z kim? Z polską babą i polskim dzieciakiem! Do czego ta hołota byłaby zresztą na świecie, gdyby na niéj nie można od czasu do czasu okazać przełożonym swéj energii i swéj gorliwości w służbie? Oj, będzie się kamrat Wolfgang złościł! Jeszcze trzech a będzie miał jednego więcéj niż on, których wyszpérał i odstawił do granicy. A kto wié? Może młody pan asesor, który po pensyonowanym dawnym landracie zajął jego miejsce i który sam niezmordowany w tropieniu polskich przychodniów, gorliwość w innych uznać i ocenić potrafi, zda raport do władzy wyższéj. Może przy najbliższéj uroczystości orderowéj jakie *Allgemeines Ehrenzeichen* spadnie na pierś jego? Oj, poznałby kamrat Wolfgang, co to jest natrząsać się z innych; na śmierć by go to zamartwiło.

I Fritz Fritzig mimowolnie się uśmiécha. I w duchu widzi, jak go pan landrat przyzywa do siebie, jak w starannie wyczyszczonym, paradnym mundurze, z kitą u hełmu jawi się przed panem landratem, jak pan landrat mówi do niego:

— Za wierną i gorliwą służbę raczył Król Jegomość na moje przedstawienie z okazyi tegorocznéj uroczystości orderowéj udzielić ci ogólną odznakę honorową.

I przypina mu własnoręcznie sprzączkę podługowatą, a kamrat Wolfgang patrzy na to i mieni się z zazdrości i wargę gryzie. I żandarm Fritz Fritzig bezwiednie prostuje się, wypręża pierś, jego wygolona twarz z krótko strzyżonemi faworytami wyraża szczęście i zadowolenie.

Tymczasem Jędrzejowa nie puszczała Ignasia. Nie pomogły perswazye ni pana dyrektora ni wójta ni innych, Jędrzejowa tém gwałtowniéj tylko przyciskała do siebie dziecinę, tém namiętniéj okrywała pocałunkami twarz jéj, oczy i główkę. Czas było skończyć tę rozdziérającą scenę. Kilku niższych urzędników komory przystąpiło, rozerwano Ignasiowi i Jędrzejowéj ręce, stary wachmistrz straży pogranicznéj wziął dziecinę na rękę i poniósł do bryczki, na któréj już z batem w ręce, gotowy do odjazdu siedział pan wójt. Stary wachmistrz, głęboko wzruszony, podał Ignasia na wóz wójtowi. Ten ręką z lejcami objął wpół Ignasia, posadził na kolanie i drugiém kolanem przycisnął mu nogi. Malec, ujęty jakby w kleszcze, ruszyć się nie mógł. Jędrzejowa nie myślała stawiać oporu. Z odjęciem dziecka jakoby jéj siła oporna została złamana. Ręce opuściła, osłupiałym, błędnym wzrokiem wpatrywała się w to, co się naokół niéj działo, z oczu jéj wyczytać można było, że jest nieprzytomna.

Wtém bryczka ruszyła. Ignaś wykręcił się gwałtem na swojém siedzeniu i wyciągając rączki do Jędrzejowéj, zawołał rozpaczliwym głosem:

— Nie dajcie mnie brać tym ludziom, babulu, nie dajcie mnie brać tym ludziom!

Na ten krzyk przejmujący Jędrzejowa jakby oprzytomniała: wyprostowała się, oczy jéj zagorzały dziwnym jakimś blaskiem i nagle, roztrącając obecnych, poskoczyła za bryczką. Wójt podciął konie i wnet bryczka z Ignasiem zniknęła w kłębach kurzu. Jędrzejowa gnała za bryczką, wszyscy byli jakby w osłupieniu, nikomu na myśl nie przyszło, ją zatrzymywać. Jeden tylko żandarm Fritz Fritzig zachował przytomność umysłu. Krzyk Ignasia strącił go z nieba orderów w zimną krainę rzeczywistości. Jak drugi Moltke objął sytuacyą jednym rzutem oka i puścił się w pogoń za Jędrzejową. Dognał ją kilka kroków za magazynem towarowym i chwycił za ramię. Jędrzejowa się zatrzymała, obróciła i błędném okiem spojrzała na żandarma. Potém się ujęła w oba boki, roześmiała się onym przerażającym śmiechem, jakim się śmieją ludzie we śnie lub waryaci, i przysiadując i podskakując i w ręce „kośkając“, zaśpiéwała jakimś krzykliwym głosem:

Hopsa, hopsa, hopsa,
Miała babka mopsa,
Wsadziła go w beczkę,
Dawała mu sieczkę,
A on nie chciał sieczki,

Tylko gorzałeczki.
Hu! ha!
Hopsa, hopsa, hopsa!
Hu! ha!

I „hu! ha! hopsa, hopsa! hu! ha!“ rozlegało się jednym ciągiem po polach i gajach, otaczających osadę. Jędrzejowa tańcowała do upadłego. Straszna była jéj postać. Chustka zsunęła się jéj z głowy do tyłu, siwe włosy na wiatr się rozwiały, rozszerzone źrenice i rozdęte nozdrza, wyrażały szał jakiś dziki. Żandarm Fritz Fritzig zgłupiał. Nie to go tyle wprawiało w osłupienie, że Jędrzejowéj pomięszało się w głowie, ile to, że taki bydlaczek, który ledwo czytać umié i przeciwko błogosławieństwom niemieckiéj kultury broni się rękami i nogami, może miéć tyle czucia, iżby zwaryować z żalu po dziecku.

U kołowrota, oparty na karabinie, stał na straży Fedko Nikitycz. Włos jego czarny, cera śniada, oko ciemne i sterczących na brodzie kilka włosów nadawały mu w porównaniu z resztą żołnierzy jakiś nieswojski wygląd. Mówiono, że Fedko był synem zamożnego tatara i litewskiéj dziewczyny, wiary prawosławnéj, wieku lat może nieco nad dwadzieścia. Fedko ojca swego nigdy nie znał, matkę tylko jakby przez sen sobie przypominał. Jak tylko pamięcią zasięgnąć zdołał, był siérotą i kielich sierocéj doli wychylił do dna. Nie pozostało to bez wpływu na jego usposobienie. Fedko był zamknięty w sobie, rozjątrzony na ludzi, pomiędzy którymi nie miał i nie szukał przyjaciół. Nie znał nigdy pieszczot rodzicielskich, nikt go nigdy do siebie nie przygarnął, owszem, ci wszyscy, pomiędzy których los go zagnał, zazwyczaj tylko znęcali się nad nim. Fedko wewnętrznie buntował się przeciwko ustalonemu porządkowi rzeczy; jego dzika, nieokiełznana natura nie łatwo się dawała ująć w karby jakowychś przepisów. U swoich przełożonych nie cieszył się szczególnemi względami, zbyt często wyłamywał się z pod rygoru koniecznéj dyscypliny.

W gruncie jego duszy drzémały instynkta dobre, którym tylko życie nie pozwoliło rozwinąć się w zupełności. Nie było serca miłosierniejszego i litośniejszego; ostatek swego żołnierskiego chleba dzielił z ubogim, gdzie widział nieszczęście, tam bez wahania poświęcał swój grosz ostatni. Czuł przywiązanie tylko do jednéj istoty. Tą istotą był najmłodszy syn Maksyma, starego inwalida, który odebrawszy postrzał na Kaukazie, w nagrodę służby tu na komorze paliczyńskiéj otrzymał zatrudnienie. Było to chłopię upośledzone od natury. Na cienkich nóżkach osadzony był kadłub z niepospolicie wielkim brzuszkiem, a nad ramionami wznosiła się głowa, również niepo-

spolicie wielka z széroką twarzą o grubych, nieprzyjemnych rysach i wydętych wargach. Przytém był on nieco słabego umysłu i ciężkiéj wymowy, więc rodzice go się wstydzili, poniewiérali nim wszyscy. Jeden Fedko okazał mu życzliwość. Zaraz na drugi dzień po swojém przybyciu na komorę paliczyńską pobujał go na ręku i pogłaskał po nieforemnéj głowie; odtąd dzieciak przywiązał się do niego całą duszą. Gdy Fedko wolny był od służby, Pawełek, kołysząc się na swych cienkich nóżkach, przybiegał do niego i podnosił ręce, jąkając coś swoim niezrozumiałym językiem. Fedko brał go na kolana, śpiéwał mu tęsknym, jednostajnym głosem piosenki, opowiadał gadki. Dzieciak obejmował go za szyję, przytulał się do niego i zasypiał nieraz na jego ręku; towarzysze Fedki, patrząc na nich, nie rozumieli tego wzajemnego stosunku dwojga dusz zbliżonych niedolą i znacząco mrugali na siebie, jakby pytając, kto z nich większy głuptaś, Fedko czy Pawełek.

Fedko tedy, oparty na karabinie, stał na straży u kołowrota, gdy na komorę paliczyńską przybywała Jędrzejowa z Ignasiem i żandarmem. Bolesna historya Ignasia była znaną na komorze paliczyńskiéj ze wszystkiemi szczegółami, nie była więc obcą i Fedce. Gdy ujrzał spłakane i uznojone dziécię o bladéj twarzyczce i modrych jak bławatki oczkach i wątłéj budowie ciała na ręku staréj kobiéty, eskortowane przez żandarma w hełmie i z przewieszonym przez ramię karabinem, coś jakby zgrzyt odezwało się w jego wnętrzu, ręce mocniéj ścisnęły karabin. Najszlachetniejsza struna jego prostego, nieokrzesanego serca, współczucie dla biédnych i uciśnionych, zadrgała głośnym dźwiękiem. Sieroca dola z całym nieskończonym szeregiem gorzkich upokorzeń stanęła mu żywo przed oczyma.

Przez czas trwania formalności przy przejmowaniu Ignasia przez władze Fedko nieco ochłonął w swéj dzikiéj namiętności. Ale gdy wszyscy wyszli znowu przed dom, gdy posłyszał krzyk Ignasia i szlochania wdowy, gdy ujrzał, jak dziecinę gwałtem odrywać musiano od tego jedynego na świecie serca, które ją kochało szczerze, w Fedce wrzéć i kipiéć poczęło, w duszy jego odezwało się coś jakby głuchy ryk bestyi, zrywającéj się z łańcucha, oczy jego gorzały złowieszczym blaskiem, ręce konwulsyjnie ściskały karabin. A gdy żandarm szarpnął za ramię Jędrzejową, bestya zerwała się z łańcucha: oczy Fedki stały się podobne do oczu jaguara w chwili, kiedy się rzuca na zdobycz, ręce chwyciły karabin wpół lufy tak silnie, że się zdawało, że żelazo w kawałki się rozpryśnie, w kilku skokach był przy żandarmie. Raz wymierzony w pana Fritza Fritziga byłby mu niechybnie strzaskał głowę, gdyby Fedka nie była zaślepiła namiętność. Odmach był za silny, Fedko zachwiał się

i upadł, kolba zsunęła się po hełmie i plecach, gnąc tylko szynę, przebiegającą wzdłuż hełmu. Lecz zanim żandarm zdołał się opamiętać, zanim wogóle się pomiarkował, co się stało, Fedko, podniósłszy się ze swego upadku, ze zwinnością pantery rzucił się na swego przeciwnika i schwyciwszy go za szyję, począł dławić. Z ust jego wydobywała się piana, z piersi jego wyrywały się raz po raz jakieś nie artykułowane, chrapliwe krzyki. Kołniérz sztywny munduru chronił Fritza Fritziga od rozszalałego Fedki. Tymczasem przyszedł do siebie z osłupienia, w jakie go wprawiło niespodziewane zajście, dowodzący na kordonie oficer. Krzyknął na żołnierzy, ośmiu ludzi rzuciło się żandarmowi na pomoc.

Fedko bronił się zapamiętale, zaledwie z wytężeniem wszystkich sił zdołano go powalić o ziemię, musiano go związać. Wykroczenie przeciwko dyscyplinie było grube, wymagało przykładnéj kary.....

Jędrzejową musiano związać i furmanką odstawić do domu. Do rozumu już nie przyszła, ale ludziom nie czyniła żadnéj szkody. Dniami tylko całemi włóczyła się po lasach i polach, szukając Ignasia za krzakami, za drzewami, słowem, gdzie była jakakolwiek kryjówka. Ale biada stróżowi bezpieczeństwa publicznego, który jéj się nawinął na oczy. Czy był w zielonym czy w jakimkolwiek innym mundurze, Jędrzejowa zbierała w fartuch kamienie i obsypywała go gradem pocisków. Próbowano ją poskromić karami, zamykano do aresztu, żandarmi w walkach z nią staczanych nieraz ją poturbowali. Nic to nie pomagało, Jędrzejowa kary odsiadywała, a po wyjściu z aresztu znów broiła swoje. Widok hełmu i munduru w szaleństwo ją wprawiał. Walka z waryatką była trudna. W interesie porządku i bezpieczeństwa publicznego, zdecydowano się nareszcie zamknąć ją do domu obłąkanych. Wywieziono ją do Świecia. Tu, pozbawiona wolności błąkania się po polach i lasach, popadła w szaleństwo. Paraliż mózgowy, częsty towarzysz tego rodzaju chorób, położył niezadługo kres jéj cierpieniom.

IV.

Ignaś bawił w Kozienicach. Pan wójt przywiózł go śpiącego do domu; umęczone płaczem i zmizerowane dziecko usnęło mu na kolanach. Pan wójt dobre miał serce i sam się spłakał przy onéj rozdzierającéj scenie pożegnania pomiędzy Ignasiem a Jędrzejową na komorze paliczyńskiéj. Gdyby to więc od niego samego zależa-

ło, byłby Ignasia przyjął za własne dziecko i nie byłby pozwolił zakrzywić palca na niego. Ale pan wójt miał żonę, obarczoną sporą gromadką własnych dzieci, a nadto przyzwyczajoną w domu sprawować samowładne rządy. Wiadomo zaś, iż kobiety w ogólności a w szczególności kobiety z gminu tylko do własnych dzieci się przywiązują całą duszą, względem obcych zaś dzieci mało okazują uczucia. Więc pani wójtowa się skrzywiła, gdy jéj małżonek jako nowego członka rodziny przedstawił Ignasia, ale nic nie rzekła. Gdy wieczór nadszedł, posłała mu „sieniak“ w kuchni i dała starą derę do nakrycia. Pierwszy raz w życiu dziecina biedna zasypiała i budziła się bez pieszczot babki. Tak szło przez cały tydzień. Na końcu tygodnia pani wójtowa poczęła mruczéć coś pod nosem na przybłędów, poczęła wreszcie fukać na Ignasia i poszturchiwać go. Dzieciaczysko biédne się rozpłakało i poczęło się modlić, żeby go odesłano do babki, gdzie mu było tak dobrze. To zamiast uśmierzyć, wywołało tylko nowe wybuchy gniewu pani wójtowéj. Zapowiedziała mu, że odtąd będzie sypiał z wolarkiem w oborze, bo słanie łóżka co wieczór zbyt jéj wiele robi subiekcyi. Pan wójt probował robić uwagi, nadmienił, że to sierota, a nad sierotami Bóg litować się każe pod utratą swego błogosławieństwa. Gdy jednakże pani wójtowa, tupnąwszy nogą, kazała mu być cicho, dodając, że on tego nie rozumié, że pewnie jeszcze własnych dzieci ma mało, żeby sobie na kark brać jakichś tam znajdów,—zamilkł, nacisnął czapkę i wyszedł z domu. Ale markotny był cały dzień, nie jadł i nie pił, a gdy się widział nieobserwowanym, pogłaskał Ignasia po jego drobnéj, wybladłéj twarzyczce.

Ignaś przez dwa tygodnie w nocy sypiał z wolarkiem w oborze, przez dzień włóczył się z nim po polu. Biédne dzieciaczysko dziczało, w jego niebieskich oczach wyczytać można było jakiś wyraz przestrachu na widok obcego człowieka. Pani wójtowa coraz mniéj łaskawe zaczynała mu pokazywać oblicze, nieraz, zapérzywszy się, wygrażała pięściami nad jego jasną główką. Dzieci, idąc śladem matki, poczęły się nad nim znęcać. Jedyną przyjazną duszą, jaką w domu posiadał, był pan wójt. Ale ten, zafukany nie mniéj od samego Ignasia, nie mógł mu dać skutecznéj opieki. „Oj, pamiętaj kobiéto, żeby cię Pan Bóg nie pokarał na twoich dzieciach za krzywdę, jaką robisz sierocie“, poczynał nieraz, ale tupnięcie nogą i energiczny gest ze strony pani wójtowéj znów go przywodziły do milczenia. Na końcu czwartego tygodnia pani wójtowa oświadczyła, że dłużéj przybłędy nie zcierpi w domu. Pan wójt chodził jak zwarzony, ale sam przyszedł do przekonania, że dalszy pobyt Igna-

sia w jego domu jest w tych warunkach niemożliwy i począł się dla niego oglądać za inném pomieszczeniem.

Był rybak w Kozienicach, znany pod nazwiskiem starego Józefa, który przy protokóle, spisanym z najstarszymi mieszkańcami wsi na rekwizycyą władz pruskich, zeznał, jako ojca nieboszczyka Kuby znał dobrze i był nawet jego kmotrem, bo Kubę podawał mu do chrztu. Chata jego stała na końcu wsi niedaleko rzeki. Stary Józef był zarazem rybakiem i przewoźnikiem i prowadził życie odludne. Wnętrza jego chaty nie widziało oko żadnego z mieszkańców Kozienic, za to czasami późną jeszcze nocą widać było światło w jego oknie i około chaty snuły się jakieś zagadkowe postacie. Kmoterskie stosunki są dla naszego ludu rodzajem idealnego pokrewieństwa, które na jego piastunów nakłada niejakie obowiązki. Dowiedziawszy się zatém, że wnuk jego kmotra, Ignaś, ma wychodzić z wójtowskiego domu, stary Józef sam przyszedł prosić, aby mu go dano na wychowanie. Z chęcią zgodził się na to wójt i jeszcze tego samego dnia Ignaś przeniósł się na swoję nową kwaterę.

Ignaś odżył w domu starego Józefa. Nie widział gniéwnéj twarzy pani wójtowéj, która go strachem przejmowała, nie słyszał nad sobą jéj fukania, nie był narażony na jéj szturchańce. Stary rybak, zresztą zamknięty w sobie i milczący jak grób, przywiązał się wkrótce całém sercem do biédnego chłopczyny i starał się, ile mógł, uprzyjemnić mu pobyt w swoim domu. Brał go ze sobą do roboty, Ignaś zbiérał sobie muszle i różnokolorowe kamyki, bawił się w piasku. Na noc stary Józef układał go do snu na miękkiém sianie w skrzyni, zbitéj umyślnie na to ze starych desek. Ignaś ze swojéj strony przywiązał się także do milczącego starca i począł zwolna zapominać o cierpieniach przybytych w domu pani wójtowéj. Niestety nowe jego szczęście nie było trwałe. Stary rybak stał u władz w podejrzeniu konszachtów z kontrabandzistami. Odbyta w domu jego rewizya wykryła u niego skład cały przedmiotów zagranicznego pochodzenia, z których posiadania nie mógł się wylegitymować. Zabrano go więc do powiatu, do aresztu. Ignaś znowu pozostał na łasce ludzi.

W Kozienicach nikt się nie znalazł, ktoby sierotę chciał w dom swój przyjąć za darmo. Rada gminna się zebrała i postanowiła ze względu na niepomyślny stan gminnych finansów oddać chłopca za opłatą dwóch rubli miesięcznie na opiekę staréj Agacie. Agata była to żebraczka z urodzenia, profesyi i powołania. Ignasia za tę nędzną opłatę przyjęła tylko dla tego, aby za życia mieć w nim pomocnika a po śmierci spadkobiercę sławetnego kunsztu.

Ubrała go zatém w brudne łachmany i włócząc dziecko ze sobą po kiermaszach i odpustach, poczęła go z zapałem ćwiczyć w zasadach dziadowskiéj etyki, retoryki i poetyki. Zresztą krzywdy mu nie czyniła, bo Ignaś stał się dla niéj źródłem niemałéj intraty. Wielu znało tragiczną historyą jego życia i sypali grosze z litości dla siéroty. Innych, którzy jéj nie znali, uderzała blada, drobna twarzyczka dziecka o złotych włoskach i modrych jak bławatki oczkach. A gdy się z wyrazem zaciekawienia i politowania zatrzymywali przed nim, Agata recytowała piskliwym głosem: „Zmiłujcie się wielemożne państwo nad biédnym sierotą, któremu Niemcy wzięli ojca i matkę, on sam chudzina ledwie z życiem uciekł.“ A Ignaś drobną rączką trzymał blaszany kubeczek i sypały się weń grosze i kopiejki. Więc Agata umiała ocenić wartość kapitału, jaki posiadała w Ignasiu i obchodziła się z nim po ludzku. Chyba że była pijana, co jéj się regularnie tylko dwa razy na tydzień zdarzało, tj. w niedzielę i w piątek jako dzień targowy. Wtenczas na humor jéj nie można było się spuszczać i Ignaś, doświadczeniem nauczony, zazwyczaj uciekał z domu i błąkał się po polu, dopóki albo Agata wytrzeźwiawszy, sama go nie zawołała, albo głód i zimno nie zmusiły go do powrotu.

W wolnych, pozasłużbowych godzinach o Ignasia się nie troszczyła. Więc robił, co chciał, i biegał, gdzie chciał; czasami dni całe nie pokazywał się w chałupie. Owoce tego rozumnego systemu wychowania były widoczne. Wprawdzie zewnętrznie Ignaś nieco zdziczał i gdyby go była mogła widziéć Jędrzejowa, z biédą byłaby go poznała. Albowiem nóżki jego były zazwyczaj bose, łokcie i kolana gołe, włoski nieuczesane spuszczały mu się nieporządnie na czoło, brudny był i obdarty i tylko modre jego oczki zachowały dawny wyraz słodyczy. Ale za to rozwinął się cieleśnie dość dobrze. Bo choć blada, delikatna cera jego twarzyczki nie znikła, urósł widocznie i postać jego przybrała nieco pełniejsze formy. A jeszcze lepiéj rozwinął się pod względem umysłowym. Umiał bowiem na pamięć niemal całą pieśń o bogaczu i Łazarzu, umiał sporo fragmentów wielu innych pieśni, a na polu retoryki dziadowskiéj nietylko sobie przyswoił co najważniejsze jéj zwroty, ale sam poczynał próbować swéj siły twórczéj. Spryt poczynał rozwijać niepospolity, dowody jego dawał do zadziwienia, gdy opłotkami z flaszką od Agaty chyłkiem przekradał się do karczmy po wódkę.

Dzieci ze wsi miały z nim swoję uciechę. Skoro go spostrzegły z okrzykiem: „dziadek! dziadek!“ jak jaskółki za jastrząbkiem puszczały się za nim w pogoń, rzucały błotem i kamieniami. Ignaś wypłacał im się równą monetą i gdy nadybał które z nich na oso-

bności, o którém przypuszczał, że jest słabszém od niego, wytarmosił je za wszystkich. Raz przy takiéj sposobności zrobił nawet dziurę w głowie kamieniem synowi miejscowego kowala. Rozżalony ojciec pobiegł do chaty Agaty i nadybawszy Ignasia przed sienią, tak go zbił paskiem, że chłopiec aż „się zataił“ od krzyku. Kowal rzucił Ignasia na pół martwego pod płotem i poszedł kieliszkiem prostuchy zakropić przebyte wzruszenie. Ignaś, przyszedłszy do siebie, zwlókł się na swoje legowisko, gdzie jęcząc przeleżał dni kilka. Agata pielęgnowała go z troskliwością matki; nie odstępowała od jego łoża, nawet na targ piątkowy nie poszła do miasta. Rachowała w myśli grosze, któreby ją minęły, gdyby chłopiec miał „skarknąć“, niedobór był zbyt wielki, aby go miała bez wszystkiego przeboléć. Ignaś się wreszcie wylizał ze swych cięgów, ale począł odtąd cierpiéć na epileptyczne napady. Agata aż się popłakała ze wzruszenia przy piérwszym napadzie. Miała odtąd nowy powód apelować do miłosierdzia przechodzących i z kieszeni ich wyciągać grosze. Pani wójtowa tryumfowała:

— A widzisz!—mawiała do swego małżonka—nie mówiłam, że z takiego dziadowskiego obleciświata nigdy nic porządnego być nie może?

— Oj, bo taj ta wy, baby, wszystko lepiéj wiécie od nas—odpowiadał pan wójt i wspomnienie sceny na paliczyńskiéj komorze stawało mu jakby głuchy wyrzut sumienia przed oczami i nie mógł od siebie odegnać myśli, że gdyby nie jego uległość dla żony, gdyby nie jego niedołęstwo, nie byłoby przyszło do tego.

Ignaś stał się z czasem w Kozienicach przedmiotem ogólnéj niechęci. Mianowicie gdy zgorzała napełniona zbożem stodoła gospodarza Macieja i głos powszechny jego mianował sprawcą zbrodni, położenie jego znacznie się pogorszyło. W pierwszych czasach, zanim ludność Kozienic ochłonęła w swym gniewie, na ulicy pokazać się nie śmiał, bo już nietylko dzieciaki znęcały się nad nim, ale baby wybiegały z chałup i ciskały za nim miotłami i wiechciami. Ignaś nabiérał coraz więcéj zwyczajów płoszonego zwierza. Gdy zajrzał postać ludzką, chował się za krzaki i płoty, w jego modrych oczkach malował się przestrach jakiś dziki. I dziczał on w rzeczy saméj coraz więcéj. Liche łachmany ledwie przykrywały jego nagość, boso i bez czapki włóczył się dniami całemi, żyjąc kradzioną marchwią i rzepą. Szkódnik z niego był znany na całą okolicę.

Było to w jesieni. Rok był w owoc nadzwyczaj obfity, gałęzie literalnie się łamały pod ciężarem swych płodów. W ogrodzie gospodarza Macieja wielka jabłoń tuż przy płocie złociła zię cała mnogością owoców. Ignaś obchodził zdaleka, przed Maciejem

miał od czasu zgorzenia jego stodoły strach szalony. Ale działo się z nim, co ongi w raju z matką Ewą: im dłużéj się wpatrywał w mieniący się złotem i koralem owoc, tém więcéj jabłka zdawały się do niego uśmiechać. I jego oczki uśmiéchały się do jabłek, ślinka, jak mówią, do ust mu zbiegała. Nie mógł się nareszcie oprzéć pokusie. Z ostrożnością kota, skradającego się pod wróble, na brzuchu podczołgał się ku sadowi. Już był na płocie, już jednę nogę przez płot przekładał, kiedy go spostrzegł Maciéj. Maciéj był to chłop w sile wieku, obdarzony wszystkiemi zaletami, ale zarazem i wszystkiemi wadami polskiego chłopa. Zamożny i pracowity, do sentymentalizmu nie miał najmniejszéj skłonności. Twardy i nieużyty, nad nędzą się nie rozczulał. Owszem, biédak był w jego oczach czémś tak pogardliwém, że go ledwie miał za człowieka i niemal mu odmawiał racyi bytu na ziemi. Na grosz był łakomy, jak zły duch na dobrą duszę. Ale jeszcze więcéj niż na grosz łakomy był na kawałek ziemi i z sąsiadami, którym się na pół skiby w grunt worywał, miał z tego powodu nieskończone procesa. Wogóle do procesowania się miał żyłkę niepohamowaną. Z powodu zaś tych wszystkich swoich przymiotów był postrachem wsi całéj i przedmiotem ogólnéj nienawiści.

Zobaczywszy mniemanego sprawcę pożaru, Ignasia, na swoim płocie, Maciéj strasznym zapałał gniewem. Wypadł z chałupy, pogroził mu pięścią, krzyknął:

— Poczekaj, ty dziadowski bękarcie, ja cię tu nauczę! — i poskoczył do budy, gdzie na łańcuchu leżał Kruczek.

Kruczek aż zaskomlał z radości, zmiarkowawszy, że ma być spuszczony z łańcucha, i począł skakać panu swojemu na piersi. Łańcuch był zardzewiały, więc trwało niejaką chwilę, nim Maciéj zdołał go wyszypłać. Ignaś zyskał zatém na czasie „skulnął się“ z płota i począł uciekać jedyną linią odwodową, jaka mu pozostała, pomiędzy zagrodą Macieja a rzeką. Już był kawał ubiegł, gdy trzymając Kruczka za obrożę, wypadł Maciéj:

— Huź go ha! — krzyknął chłop i puścił psa.

Pies jak strzała puścił się za Ignasiem i przeciął mu wkrótce jego linię odwrotu. Ignaś zawrócił ku rzece, pies za nim. Ignaś gnany strachem, pędził bez pamięci na oczywistą zgubę. Za sobą słyszał już ziajanie psa, czuł niemal jego gorący oddech na swoich gołych łydkach. Brzeg był w tém miejscu stromy, woda, wezbrana jesiennemi deszczami, głębsza niż zwykle. Ignaś, oszołomiony strachem, bez namysłu rzucił się w rzekę. Woda zaburczała, wirem zatoczyła w tém miejscu swe kręgi; Ignaś zniknął, Kruczek zajadle naszczekując, latał tam i sam po brzegu.

— Ratujcie!—ozwał się naraz rozpaczliwy głos dziecięcy.

I o kilka kroków od miejsca, gdzie zniknął Ignaś, główka jasna o niebieskich oczkach wynurzyła się z wody. Woda znowu zaburczała, znowu wirem zatoczyła swe kręgi, widziadło znikło. I raz tylko jeszcze wynurzył się czubek jasnéj główki dziecięcéj z wody, raz posłyszéć się dał lekki pluskot jakby walczącego z wodą Ignasia, poczém nastąpiła uroczysta cisza. Rzeka, jakby nic nigdy się nie stało, spokojnie, obojętnie potoczyła daléj swe fale. Kruczek polatał jeszcze czas niejakiś po brzegu, węsząc i naszczekując, poczém powrócił do swego pana, mérdając ogonem i patrząc mu w oczy, jakby za dobre spełnienie zadania oczekiwał od niego nagrody. Maciéj, nic nie mówiąc, chwycił psa za kudły i trzęsąc nim niemiłosiernie, zaniósł do budy, uwiązał znów na łańcuchu i odchodząc, kopnął silnie nogą.

Oburzenie na postępek Macieja było w Kozienicach powszechne, ale nad Ignasiem nikt łzy nie uronił. Owszem, wyrokom Bożym poddano się z pewném uczuciem ulżenia, pozbyto się tym sposobem „dziadaka", na którego musiano płacić i z którym nie wiedziano, co począć. Jeden tylko pan wójt szczerze się zafrasował, z myśli nie mógł się pozbyć sceny na paliczyńskiéj komorze, która jako wiecznie gotowy wyrzut sumienia znów mu żywo stanęła przed oczyma. W domu nie miał miru, na pytania żony mruczał tylko jak niedźwiedź nieusposobiony do tańcowania, kiedy posłyszy bębenek. Ruchla szynkarka, jakkolwiek żydówka, ledwie się nie przeżegnała, widząc pana wójta wstępującego do karczmy. Pan wójt usiadł za stołem w kącie izby i kazał sobie dać półkwaterek miętówki. Ruchla podała mu na mosiężnéj, szabasowéj tacy. Pan wójt wypił duszkiem, oparł się na ręku i pogrążył w myślach. Do obecnych nie raczył przemówić ni słowa. Po niejakim czasie znów zażądał półkwaterek i po nim znów półkwaterek. Już mrok padał, gdy wychodził z karczmy. Pani wójtowa, cała w ogniach, czekała już na niego; przyjęła go stosowną do okoliczności perorą:

— A czy mnie Bóg pokarał —mówiła—mężem niedojdą, który się nie wstydzi z pijaném chłopstwem pospolitować się po karczmach? Pijane obdartusy, honorne mi towarzystwo dla pana wójta z Kozienic!

— Abo mi to nie wolno abo co?—odrzekł pan wójt, podparłszy się w oba boki i patrząc wyzywająco na swoję połowicę.

Pani wójtowa się zastanowiła. I ton i pozytura męża były jéj czémś zupełnie nowém. Ale że była kobiéta mądra, uznała za najwłaściwsze „wstecz się skoncentrować". Ale ten manewr miał ten sam skutek, jaki podobne manewra miewają w wojnie: pan

wójt nabrał odwagi i wytrząsając pani wójtowéj pod nosem, wołał w największém rozjątrzeniu:

— Ja ci powiadam, że ja tu pan! ja tu pan! a tobie babo mores do moich spraw! garnków sobie babo pilnować, a nie wścibiać nos, gdzie ci nie potrzeba! ja tu pan! rozumiész? a mnie twoich nauk nie potrzeba!

Szczęściem wójtowa nic nie odpowiedziała i tym sposobem na „ja tu pan!“ skończyła się ta wojna domowa. Było to z jéj strony bardzo mądre, gdyż pan wójt był dnia tego rzeczywiście w bardzo wojowniczém usposobieniu i ręczyć nie można, czyby w razie zakwestyonowania jego praw senioralnych w domu swoim przez panią wójtową, nie był się chwycił więcéj przekonywających argumentów. Pan wójt o śmierci Ignasia zdał szczegółowy raport do powiatu, w kilka dni późniéj sędzia śledczy w towarzystwie naczelnika straży ziemskiéj i kilku strażników zjechał na miejsce, celem szczegółowego zbadania sprawy, Maciéj został przyaresztowany i odstawiony do powiatu.

Tego samego dnia, kiedy sędzia śledczy wywodził sprawę w Kozienicach, w Mortęży, wiosce o mil trzy w dół rzeki, dwaj rybacy, Szymon i Andrzéj brat jego, wyszli łowić ryby. Dzień był dla nich niepomyślny. Już niemal szarzéć zaczynało, a dopiéro ledwie kilka marnych płocic mieli w beczce, zdesperowani chcieli już z próżnemi rękoma wracać do domu, gdy się zdecydowali po raz ostatni sieć zarzucić. Coś ciężkiego uplątało się w sieci. Jadą więc do brzegu i wyciągają na ląd ciało chłopczyka lat może sześciu o jasnéj główce i modrych oczkach, odęte i w szlamie uwalane, ubrane w liche łachmany. Rączki jego były kurczowo zaciśnięte, w twarzy jego i szeroko otwartych oczkach leżał wyraz przestrachu. Z przerażeniem odskakują od niego... Pierwszy zbiéra swe myśli Andrzéj i skrobiąc się w głowę, tak mówi do brata:

— Oj, będziewa mieli z meldunkami i protokółami harmidru co nie miara. Wiész co bracie? Ułóżwa go nazad, gdzieśwa go znaleźli, pozbędziewa się kłopotu. Znalézą go inni, dadzą sobie prędzéj radę.

Szymon zadrgnął cały, aż się przeżegnał:

— W imię Ojca i Syna! Czy ci sam zły — tu się znowu przeżegnał, imienia czarta nie wymówił, bo już było po zachodzie słońca — poddał myśl grzeszną? Abo to poganin, abo pies? Dziecko, widzisz, niewinne, chrześciańska dusza. Więc każdemu, co się należy: ciało do ziemi, a duszyczka do nieba!

— Bo i może prawda — odrzekł Andrzéj zawstydzony, drapiąc się w głowę.

Podjęli statki rybackie, podjęli Ignasia i ponieśli do wsi. W stodole sołtysa na klepisku znalazł tymczasowe pomieszczenie. Nazajutrz sołtys wysłał umyślnego do powiatu z doniesieniem o znalezieniu w rzece trupa dziecka. Wątpliwości być nie mogło, że znalezione ciało było ciałem Ignasia, więc umyślny przyniósł odwrotne pozwolenie do pogrzebu. W Mortęży był ksiądz i kościół. Po załatwieniu zatém formalności w tym razie przepisanych, zbito z prostych desek trumienkę, wykopano grób, Andrzéj rybak pokropił trumnę święconą wodą, wziął na taczkę i zawiózł na cmentarz. We dwójkę z kopaczem cichuchno spuścili do mogiły, nikt nad nim nie zapłakał.

Tak łono matki ziemi zamknęło się na wieki nad biédnym przez los prześladowanym siérotą. Byt państwa niemieckiego przynajmniéj na ten rok był zapewniony.

1888 r. w październiku.

X. X.





DUCH ANGIELSKI.

(PRÓBA CHARAKTERYSTYKI PSYCHOLOGICZNÉJ).

I.

Na początku chciałbym, czytelniku, podzielić się z tobą myślą, którą wtedy tylko dobrze pojąć można, gdy się przedmiot jéj głęboko odczuwa. Mówię tu o pewnéj, niełatwo uchwytnéj różnicy duchowéj, jaka zachodzi między charakterami ludzi jako téż ich tworów, a która zwykle bywa tém trudniejsza do określenia, że obok głębokich różnic wiele w nich wspólności nieraz w oczy się rzuca.

Czyż nie mógłbym postawić przed tobą dwóch ludzi, o których najprawdziwiéj by rzec można, że posiadają np. obaj dobre serce, szlachetne poglądy, wytrwałość w czynie, bystrość umysłu, daléj, że obaj przeważnie np. filologicznie są uzdolnieni i wreszcie, że zapatrują się obaj na życie ze strony idealnéj, oczami poety, a że jednak pomimo tylu wspólnych własności—dusze ich—jakby z obcych sobie światów pochodziły. Mogą się zgodzić na polu ogólnych zasad i przekonań, ale w prywatném pożyciu wnet każdy z nich napotka w swym towarzyszu jakieś niewytłómaczone, tajemne a tak chłodno-obce objawy charakteru, że nazawsze pozostaną one głuchą zaporą do prawdziwej przyjaźni, gdzie sercem się w serce patrzy. Powiedziałbym nawet, że owe objawy częściéj zadziwiają, lub zniechęcają swą zagadkowością, aniżeli odpychają od siebie.

Uczucie zrozumiéć można jedynie uczuciem, a przytém o tyle tylko, o ile samiśmy go doznawali. Rozum zaś powierzchownie ślizgać się będzie po wszystkiém tém, co z krainy uczucia pochodzi, napróżno starając się w jądro samo ugodzić, gdyż to, co w nas samych nie mieszkało, wiecznie pozostanie niedościgłém.

Wpływ otoczenia w połączeniu z indywidualnością naszéj natury, spuścizna historycznego rozwoju, w krwi naszéj płynąca, wszystko to nakłada na oczy nasze szkiełka właściwego koloru, przez

które patrzymy na świat, najzdrowszą nie raz logikę, okraszając odrębną barwą psychologiczną.

O ludziach różniących się między sobą we względzie powyżéj opisanym rzec by można, że znajdują się na oddzielnych stanowiskach duchowych: obaj mogą patrzéć na świat prawdziwie, lecz jednakie kształty oglądają z różnych stron i w różném oświetleniu.

Często spotkać się można ze zdaniem, że człowiek XIX wieku nie jest w możności odczuć rzeczywistego ducha narodów starożytnych, nawet tych, których charakter bogaty i wyrazisty przebija się w tak licznych płodach literatury późniejszym pokoleniom przekazanych, tj. Greków i Rzymian. Myśl w niém zawarta o tyle jest prawdziwa, o ile właśnie odnosi się do tych uczuciowych stron życia, które nie są ogólnie ludzkie lecz czysto indywidualne—greckie lub rzymskie, a o istnieniu takich nie powtarzających się nigdy objawów wątpić nie możemy, skoro tylko wierzymy w istnienie indywidualności. Wynika to z prostéj przyczyny, że ludzie zdolni są pojmować się wzajemnie tylko na punkcie wspólnych między sobą uczuć. Jeśli nie dla naszego rozumu, to dla naszéj sympatyi i gustu wiecznie obcemi pozostaną klasyczny dowcip, klasyczna miłość i klasyczna moralność, od których jak otchłanią nieprzebytą przedzielają nas czasy chrześciańskiéj egzaltacyi, średniowiecznéj rycerskości i kultu kobiety.

Sądzę, że nie powinno to dziwić nikogo, jeżeli w badaniu zjawisk społecznych kładzie się nacisk na tak zwaną stronę uczuciową pojmowania, jakże bowiem wielką gra ona rolę w całém życiu psychicznėm człowieka, jeżeli w szerszém znaczeniu ją rozumiéć! Cała moc i jędrność naszego pojmowania zjawisk polega na téj wrażliwości i sile wyobraźni, która ogólnym danym, ścisłością logiczną z sobą powiązanym, nadaje plastyczną żywość, tak że najprostsze pojęcia oprócz zasadniczéj swéj części mieszczą w sobie jeszcze jakby tajemną cząstkę ducha samego myślącego. Dlatego też nie obawiając się przesady, można śmiało utrzymywać, że nawet w takiéj nauce jak matematyka myśliciele przyzywają na pomoc wyobraźnię i uczuciem się posługują dla objęcia najwięcéj oderwanéj abstrakcyi.

Szczególniéj zaś przy pojmowaniu zjawisk społecznych wchodzi w grę pewna strona uczuciowa, która często, choć bardzo wyrazista, ulatnia się jednak przez z gruba tkaną sieć ludzkich określeń, gdyż ubogi zapas wyrazów i środków stylowych nie może podołać wszechstronności i mnogości wrażeń wewnętrznych; można by powiedziéć, że tam zaczyna się panowanie uczucia, gdzie się władza słowników kończy.

Wyżéj wspomniana nieuchwytność uczuciowéj strony w ludzkich utworach prowadzi zaś do ogólnego pojęcia o duchu narodowym. Indywidualność całego społeczeństwa opiéra się na zjawisku indywidualności pojedyńczych ludzi. Weźmy pierwszego lepszego z naszych znajomych; całość jego własności duchowych czyli jego charakter jest zjawiskiem jedynéin, które nigdy przed tém nie istniało i po śmierci danego osobnika nigdy się już nie powtórzy. Wolno dopatrywać się tysiącznych podobieństw między dwoma osobami, ale toż samo podobieństwo i tak nie będące identycznością, częściéj zachodzi między uzewnętrznionymi objawami, które u rozmaitych ludzi konwencyonalizm świata ujednostajnia, aniżeli między samą głębią i treścią rzeczywistą charakterów. Jeden drobny wypadek może naraz wyrazistą wykazać różnicę między dwoma typami przez długi czas napozór jednakiemi.

Im więcéj geniuszu w indywidualności, tém więcéj staje się ona wyrazistą, harmonijną i jednolitą, tém zdolniejszą kreślić po za sobą ślady nieśmiertelne. Występuje ona silnie we wszystkich płodach sztuki.. Dziwna słodycz i błogość w kolorycie Murilla, wybujałość ziemskich postaci kobiecych Rubensa, świetność barw i czystość rysunku w utworach wypieszczonych Werff'a są jakby natchnieniem na płótno przeniesioną cząstką indywidualności mistrzów, tak wyraźną, a tak trudną do określenia. Smętność z jaką Szopen piosnki swoje zawodzi, każdy pozna, nikt jéj nie opisze.

Jak z człowiekiem tak i z narodem, tylko że wszystko tam na większą skalę—jeden stopień wyżéj po nieskończonych wschodach ewolucyi.

Emil Montégut w rozprawie pod tytułem „*L'esprit anglais*", odznaczającéj się bystrością i głębokością badań psychologicznych, spostrzegawczością subtelną, ujętą w styl zwięzły i obrazowy; zadaje sobie przedewszystkiém pytanie, czy w istocie istnieje realne zjawisko nazywane duchem narodowym—czy nie jest to raczéj jednym z licznych przesądów, które przenoszą do świata rzeczywistego abstrakcye i uogólnienia w umyśle powstałe. Tak np. bijące w oczy różnice między charakterami narodów, mogą być wynikiem czysto przypadkowéj przewagi liczbowéj ludzi pewnego autoramentu, nie zaś *à priori* istniejącego ducha narodowego, którym już wzrastające pokolenie owładnięte zostaje, by następnie siłą dziedziczności i pod wpływem otaczającéj atmosfery przekazywać coraz daléj swojskie zapatrywania, uczucia i skłonności.

Możnaby w postawieniu téj kwestyi upatrywać subtelność czysto dyalektyczną i pozbawioną wagi przedmiotowéj, lecz właśnie to cośmy niedawno wypowiedzieli o indywidualności oddzielnych

ludzi, może nam posłużyć za dowód, że nie chodzi tu tylko o beztreściwy spór nominalistyczny.

Indywidualność posiada tę cechę, że istnieje samodzielnie i nigdy się nie powtarza; otóż gdyby kto chciał pojmować ducha narodowego tylko jako przeciętną przypadkową charakterów pewnéj liczby osobników wspólnie zamieszkujących, nie mógł by go uważać za coś indywidualnego, tj. jedynego w swoim rodzaju, działającego pod wpływem samodzielnéj siły duchowéj.

Jeżeli więc w danym kraju spostrzegamy pewne właściwości ogólne, których wyrazistość odczuwamy na każdym kroku i które na wszystkiém odbiły swoje piętno jedyne i do niczego przyrównać się nie dające, to możemy powiedziéć, że spotykamy się z duchem narodowym. Bynajmniéj nie ma to znaczyć, aby ów duch istniał jako całość oddzielnie od samego narodu—przeciwnie rozdrobniony jest on w mózgach wszystkich członków społeczeństwa, ale łączność organiczna i duchowa, jaka między nimi zachodzi wskutek wspólności wpływów zewnętrznych i wzajemnych, sprawia, że we wszystkich mózgach działa jednakowéj natury siła, która wszędzie w tymże samym kierunku szalę skłonności i zapatrywań przechyla. I ta siła drgająca w fibrach każdéj jednostki jest duchem narodowym.

Całość charakteru człowieka z dwóch głównych powstaje źródeł i zawiązek pewnych własności dziedzicznych, rodząc się, na świat z sobą przynosimy; otoczenie zdolne jest przygłuszać silniejsze z nich, a zaledwie tlejące rozniecać lub na odwrót, a wszystkim poddać treść duchową odpowiednio nacechowaną, która jedną główną barwę, jedno główne tło podkłada pod rozkwitający rysunek indywidualności. Świat i otoczenie grają tu ową rolę czynnika drugiego. W narodzie, znajdującym się jeszcze w kolebce rozwoju, duch narodowy powstaje przeważnie ze wspólnego działania zewnętrznych wpływów, naturalnie że niemałą gra tu rolę i wspólność rasy, która już miała swoję przeszłość historyczną; późniéj jednak do wpływów zewnętrznych, które nieustannie działają, dołącza się jeszcze siła, powstała właśnie z nieustannego ich od wieków działania—siła wspólności indywidualnych, które, w miarę postępu historyi i mocą tradycyi stopniowo potęgując się, coraz żyzniejszy znajdują grunt do dalszego rozwoju. I harmonia między nieustającemi wpływami z zewnątrz, a indywidualnością wyrabiającą się na ich podstawie wewnątrz, tworzy ową rodzinną i typową siłę—duch narodowy.

On jest tém słońcem, które dla oczu ludzi, składających naród, świat cały jednakiém oblewa światłem, stawia wszystkich na wspól-

ne stanowisko zapatrywań i od dzieciństwa przyzwyczaja jedną stronę życia widziéć wyraźniéj niż drugą.

Gdy po tygodniowym pobycie w Londynie wjeżdżałem w starożytne ulice Oksfordu, czułem już wyraźnie, że otacza mnie społeczeństwo, które jakby z innych źródeł wrażenia swoje czerpie, i że potrzeba mi będzie wiele skłonności w sobie zagłuszyć i wiele nowych rozbudzić, aby dostroić się do otoczenia.

Jednego pogodnego poranku, kiedy słońce rozléwało mlecznéj białości światło na potężne postaci zmurszałych gotyckich budowli o basztach zębatych, spowitych ciemną zielenią pnących bluszczów, wyszedłem na miasto w celu zobaczenia głównéj budowli téj instytucyi, dla któréj właśnie z tak daleka przyjechałem, tj. uniwersytetu oksfordzkiego.

— Którędy należy się udać do gmachu uniwersyteckiego? — zapytałem woźnego, stojącego u drzwi wchodowych okazałego budynku, niby średniowiecznego zamczyska.

— O jaki gmach pan się zapytuje?

— O główny. Tam gdzie mają miejsce wykłady.

— Wykłady? odbywają się one we wszystkich kolegiach. O jakie kolegium panu chodzi?

— Właściwie o żadne, przyjechałem wczoraj do Oksfordu i chciałbym przedewszystkiém zobaczyć sam uniwersytet.

— Uniwersytet? Takiego gmachu nie ma.

— Jakto, przecież nie możecie powiedziéć, że w Oksfordzie nie ma uniwersytetu?

— Naturalnie, że jest — wykrzyknął Anglik z miną człowieka pytanego o przedmiot powszechnie znany; — ale kto chce tu wstąpić do uniwersytetu, wybiéra zawsze jedno z kolegiów (1).

Pożegnałem jeszcze z lekka zdziwionego *steward'a* i odszedłem z przekonaniem, że kwestya jasną być musi jak dzień, a że nie rozumiem jéj zupełnie, wynika to poprostu z braku najelementarniejszych pojęć o życiu i wychowaniu oksfordzkiém.

---

(1) To, co Anglicy nazywają „The University of Oxford", w rzeczywistości jest tylko stowarzyszeniem naukowém, które bezpośrednio bardzo małą rolę gra w wychowaniu angielskiém. Wykłady czysto uniwersyteckie, bywają bardzo mało uczęszczane, a niektóre z nich, wskutek braku słuchaczy, istnieją tylko na papierze. Przy egzaminach studenci są zupełnie niezależni od profesorów uniwersytetu. Cała działalność wychowawcza odbywa się w kolegiach, których jest 21 i z których każde jest również oddzielném i niezależném stowarzyszeniem prywatném. Łączność między kolegiami a uniwersytetem opiéra się na prawach pisanych i zwyczajowych niezmiernie zawiłéj natury— głównie zaś na tém, że członkowie kolegiów są zarazem członkami uniwersytetu.

Wieleż razy potém w rozmowie z różnemi osobami zdarzyły mi się podobne nieporozumienia, których główną przyczyną było jakieś zasadnicze pojęcie lub uczucie, bezpośrednio jasne i pierwiastkowe dla mego interlokutora, a dla mnie obce zupełnie. Posługiwał się on tém pojęciem jako czémś powszechnie wiadomém, a zwykle angielska subiektywna natura jego nie zdolna była postawić się w położenie człowieka, nie mającego czasem nawet powierzchownego wyobrażenia o tém, co żywotną jest częścią treści umysłowéj każdego obywatela angielskiego.

Wieleż razy podczas rocznego pobytu w W. Brytanii rzucał mi się w oczy ów obcy i dziwaczny duch angielski swoją szorstką zagadkowością! Wieleż razy, gdym szukał podstawy dla objawów, które mnie uderzały, musiałem pozostawić ciekawość niezaspokojoną, daremnie siląc się ostrzem obserwacyi i analogii w jądro rzeczy uderzyć.

Jak dokładny obraz systemu wychowawczego może być kluczem do rozwiązania wielu kwestyi socyologicznych, tak typ angielskich uniwersytetów i szkół staje się wtedy dopiéro zrozumiałym, gdy się ma choć przygotowawcze pojęcie o charakterze, nawyknieniach, upodobaniach i skłonnościach samych Anglików.

Określenia typów i subtelnych różnic dają się znakomicie uwydatnić za pomocą przedstawiania kontrastów, tak jak jedna barwa uwydatnia się wyraziście na tle drugiéj, wprost jéj przeciwnéj. Ponieważ sądzić można, że wśród narodów europejskich nie ma dwóch typów bardziéj krańcowo różnych, aniżeli angielski i francuski, dla uwydatnienia jednego i drugiego, dobrze jest porównać konsekwentnie ich różnice, zaczynając od najogólniejszych i rdzennych a kończąc na zmiennych i szczegółowych.

II.

Pod względem szerszego poglądu historycznego na najwydatniejsze krańce charakterów narodowych, znajdujemy niezmiernie oryginalną klasyfikacyą u Matthew Arnolda, która właśnie zachęca do wyboru powyższego systemu porównawczego.

W organicznie zespolonéj wielkości cywilizacyi europejskiéj, powiada on, działają od początku aż do dnia dzisiejszego dwa główne i różne prądy, które mogą służyć za podstawę podziału wszystkich narodów na dwie grupy, zależnie od tego, w którym narodzie jeden z tych dwóch prądów przeważa. Te dwie siły są spuścizną duchową dwóch narodów, które w starożytności zajaśniały wielkim blaskiem nowéj oświaty, lecz ożywiane różnego charakteru geniu-

szem. Jeden z nich jest duch hebrajski, w którym tkwi pojęcie obowiązku, dobra, użyteczności i twórczości realnéj; drugim jest duch grecki, żyjący przeważnie pięknem i sztuką, idealnemi pojęciami i filozofią, fanatyzmem w miłości do wszystkiego a tolerancyą w sądzie i niezależnością w myśli. I dziś cała rozmaitość europejskich indywidualności, głównie w dwóch tych geniuszach znajduje źródło dla zawikłanéj swéj treści duchowéj. Ale ze wszystkich narodów teraźniejszych dwa mają prawo nazwać się tych kierunków przedstawicielami. Najwięcéj hebrajskiego przechowało się u Anglików, najwięcéj greckiego sposobu pojmowania posiadają Francuzi.

Można nie zgodzić się z Arnoldem pod względem absolutnego pojmowania jego teoryi, ale trudno nie przyznać poglądowi jego wielkiéj dozy prawdy psychologicznéj.

Jeżeli w wykazywaniu różnic między duchem angielskim a francuskim zaczynamy od zasadniczych i pierwiastkowych, to zdanie Arnolda jako najogólniejszy początek jest bardzo dobrym wstępem do dalszych psychologicznych rozwikłań.

Ale mając do czynienia z dwoma przedstawicielami wysokiéj cywilizacyi XIX wieku nie zaś z Grekami i Hebrajczykami, trzeba z ogólnie ludzkich torów zejść na grunt miejscowy, wyłącznie narodowy, i starać się o odsłonięcie saméj indywidualności.

Szybki rzut oka na przebieg historycznych wypadków jest pierwszym realnym przykładem, z którego można wnosić o naturze zewnętrznych wpływów i warunków w jakich rozwijał się naród angielski. Ponieważ duch narodowy jest wytworem ewolucyi, zatém przyjrzenie się jéj pochodowi ułatwić może niezmiernie plastyczne zrozumienie i odczucie właściwych odcieni charakterów; pojęcie pierwotnych przyczyn jest kluczem do przeniknięcia natury następstw.

Zdaje mi się, że spostrzegam w duchu angielskim następujące główne pierwiastki: realizm (1) w metodzie myślenia, subiektywizm w poglądach na świat, prostotę natury w sposobie odczuwania, dążenie w życiu społeczném do urzeczywistnienia obywatelskiéj swobody, opartéj na wzajemnych ustępstwach, w życiu reli-

(1) Gdy umysł bezpośrednio poddaje się wrażeniu, jakie ze świata wynosi, gdy to, co dla zmysłów jest realnością, stanowi główną jego treść, gdy mniéj obchodzi go prawda bezwględna, więcéj zaś prawda praktyczna, dla danego miejsca i czasu odpowiednia — wtedy posiada on „realizm" myśli. Wyrażenie to zostało użyte w przeciwieństwie do „idealizmu myśli", kiedy żyje się indywidualnie stworzonemi ideami więcéj niż faktami. W tém znaczeniu pojęta skłonność umysłu mogłaby też być nazwaną — sensualizmem myśli, ponieważ polega na przewadze wrażeń zmysłowych nad krytyka bezwględną.

gijném — brak ascetyzmu i fanatyzmu, oraz manią sekciarstwa, w politycznem—konserwatyzm.

Z powyższego szeregu podstawowemi objawami są: realizm myśli i prostota natury, one głównym kontrastem odbijają od ducha francuskiego i wogóle kontynentalnego.

Realizm myśli ukształtował się przeważnie i w związku bezpośrednim z przyczynami historycznemi, prostota natury zaś istnienie swe zawdzięcza więcéj przyczynom geograficznym, i klimatycznym, a zachowuje się przez odrębny tryb życia i wychowania.

Czytelnikowi należy się tu wyjaśnienie, że zbyt stanowczo wypowiadane prawidła i zawiłości psychologiczne, niezwykłe porównania i jednowyrazowe określenia nie powinny być dosłownie pojmowane przez czytelnika.

W szerokich uogólnieniach i krańcowych przeciwstawieniach tkwi jedna myśl bardziéj szczegółowa i umiarkowana, któréj słabość stylu nie zdolna jest w inny sposób wyprowadzić na jaw, jak tylko szorstkością i siłą wyrażenia, mogącą jednak łatwo wpaść w przesadę. Ale nawet przesada często może być dobrym środkiem wprowadzenia w grę domyślności czytelnika.

Takie ogólnikowe określenie jak „realizm myśli“ tém więcéj nabiéra wyrazistości indywidualnego kolorytu, im wszechstronniéj zostaje przeprowadzone przez szereg przykładów życiowych.

Na początku najlepiéj rzucić po za sobą wzrokiem na rozwój historyczny. Posłuchajmy co powiada Guizot w swém dziele: „*L'histoire de la civilisation en Europe*“. Badając szczególniéj w kierunku równoległym i porównaczym wzrost narodu angielskiego i kontynentalnych, sprowadza on swe zapatrywania do teoryi ogólnéj, którą pomieszcza w rozdziale XIV, zatytułowanym: „*Différence de la civilisation en Angleterre et sur le continent*“. Daje się ona mniéj więcéj streścić w poniższym ustępie.

„W Anglii rozwój różnych zasad odbywał się równomiernie i jednocześnie. Stan cywilny i duchowy, arystokracya, demokracya, monarchizm, instytucye centralne i miejscowe, rozwój moralny i polityczny rosły i postępowały razem w bliskiém od siebie oddaleniu. Pod panowaniem Tudor'ów widzimy, jak pośród świetnego rozkwitu czystego monarchizmu zasada demokratyczna i władza narodu wywalczają sobie wpływ pierwszorzędny. W XVII w. wybucha powstanie, jest ono przewrotem politycznym i religijnym. Przez cały przebieg historyi angielskiéj żaden z dawnych pierwiastków nie zanika w zupełności, a żaden z nowych nie osiąga wyłącznego tryumfu. Przy jednoczesném działaniu idei różno-

rodnych, starcia między pretensyami jednych, a interesami drugich łagodzą się na polu ustępstw wzajemnych.

„Na kontynencie każda zasada miała niejako swoję kolej. Jedno stulecie naprzykład odznacza się jeżeli nie wyłącznym to potężnie przeważającym wpływem arystokracyi feudalnéj, drugie panowaniem monarchizmu, inne znów zasady demokratycznéj. Jeśli porównamy czasy średniowieczne angielskiéj historyi z wiekami XI, XII, XIII we Francyi, to znajdziemy, że tu ustrój społeczny ogarnęła wszechwładnie idea feudalizmu, gdy tymczasem pierwiastek demokratyczny i monarchiczny żadnéj roli nie grają.

„W Anglii odpowiednie zjawiska są zupełnie odmiennego charakteru. Prawda, że tam pierwszeństwo trzyma arystokracya feudalna, lecz demokracya i monarchizm zachowują całą prawie jeszcze dawną siłę i wagę.

„W Anglii każdy system i każda zasadamiały także swój czas większego powodzenia, ale nigdy tak wyłącznego i zupełnego jak na kontynencie. Zwycięzca był zawsze zmuszony tolerować obecność swych rywali i każdemu z nich oddać część przynależną. Jednoczesny ten rozwój różnych pierwiastków społecznych wiele przyczynił się do tego, że Anglia szybciéj niż inne państwa doszła do urzeczywistnienia ostatecznego celu każdego społeczeństwa, tj. do utworzenia rządu zarówno prawidłowego, jak i swobodnego.

„W państwach kontynentalnych natomiast, ponieważ każda zasada posiadała swój czas wyłącznéj przewagi, rozwój zdolen był dojść do większéj pełności i stanąć na najwyższym szczeblu wielkości i blasku, wszystkie doświadczenia polityczne dały wyniki szersze i więcéj wykończone, Następstwem tego było, że idee polityczne (mówię tu o ideach ogólnych, nie zaś o zdrowym rozsądku, zastosowanym do praktycznego prowadzenia spraw narodowych), że te idee i doktryny polityczne podniosły się wyżéj i ożywione zostały głębszą siłą racyonalną. Każdy system dając się niejako poznać oddzielnie i występując przez czas dłuszy na szerokiéj scenie życia, mógł być badany w całéj swéj jednolitości i na zasadzie wielkiego szeregu wypadków przyczynić się do utworzenia teoryi wszechstronnie wypróbowanych". Tak dowodzi Guizot.

W téj zdolności Anglików utrzymywania różnorodnych idei politycznych w należytéj równowadze, w braku wyłącznego zaufania z jakiém inne narody kontynentalne powierzały cały swój byt pod opiekuńcze skrzydła jednéj absolutnéj zasady, można upatrywać najdosadniejszy dowód wyżéj wspomnianego „realizmu myśli".

W zawiłych funkcyach ludzkiego ducha jednym z najciekawszych objawów jest ów tajemny związek, jaki zachodzi między sa-

mowiedzą całości swych przekonań teoretycznych, a bezpośredniém działaniem woli, czyli całością postępków. Między dwoma temi czynnikami istnieje jeszcze jakaś siła pośrednia, która natychmiastowy wpływ pierwszego na drugi modyfikuje, pomijając już tak często wchodzące w grę, jako pobudki czynów,—skłonności i namiętności. Ta trzecia siła jest pewną potrzebą duchową, która samą istotę człowieka, jego j a, przykuwa albo do swych wyzwolonych teoryi, albo téż do realności otaczającego świata. Z dwóch pod tym względem typów przeciwnych, dla jednego f a k t a są żywiołem ducha, dla drugiego — i d e e. Z tego wynika, że kto żyje własną, krytycznie wyrobioną zasadą, u tego będzie się ona bezpośrednio przebijać w jego postępkach, jako główna ich dźwignia. W człowieku, którego duch zawisł od faktów, idea nie odgrywa już roli dynamicznéj, lecz jest zwyczajnym materyałem, jedném pojęciem, jednym tylko dobytkiem umysłowym więcéj. Można bez narażenia się na zarzut przesady utrzymywać, że podobna różnica istnieje między typowemi postaciami francuskiego i angielskiego ducha.

Jeśli Francuz przez pewien czas postępuje tak, a nie inaczéj, to prawdopodobnie dla tego, że uznaje tę lub inną zasadę, że jest w zgodzie z całym systemem swego logicznego myślenia i że téj zgody szuka. Niech jutro spotka człowieka, który zdoła go przekonać, że system jego zbudowany jest fałszywie, niech mu odkryje pewną stronę kwestyi, któréj on przedtém nie widział, to wraz ze zmianą logicznych rezultatów, wynikną odpowiednie zmiany w postępkach, gdyż inaczéj zatraciła by się owa zgoda z rzeczywistą głębokością przekonań samoistnie wyrobionych, a owa zgoda jest dla Francuza rozkoszą duchową.

Anglik posiada praktyczniejsze dążenie do zgody z duchem otaczających go sił realnych, od których zależny jest jako jednostka społeczna. Dąży przedewszystkiém do harmonii z rodziną, ustanowioną religią, partyą polityczną, w którą go rzuciły stosunki natury prywatnéj, ze wszystkiém tém, co jako wypróbowane i gotowe zastał, gdy na świat przyszedł, a prawdę absolutną odkłada na bok i za szkło stawia, jako piękne cacko, któremu warto się przyglądać w chwilach wolnych od codziennéj roboty i którém pobawić się czasem jest przyjemnie. Bo ta prawda absolutna nie ma dla niego jak dla Francuza aureoli świętości. Oto kilka przykładów.

Czém żyją i do czego się przywiązują partye polityczne w Anglii? Nie do argumentów idei i zasady wygłaszanéj przez przywódzcę, lecz do jego osobistości, jego klasy i faktycznego wpływu. Dla Anglika często wybór stronnictwa może być tém samém, co

dla kapitalisty wybór interesu. Gdy firma jest pewna, nie chodzi o system handlowy, jakiego się trzyma. Dla koteryi politycznéj w Anglii idee są środkami i hasłem chwilowém, cel prawdziwy to osiągnięcie wpływu i władzy przez samych członków stronnictwa. Dowcipne czyni wyznanie Paul Vasili, autor popularnéj książki „*La societé de Londres*“, dowodząc, iż nigdy nie był w stanie pomimo najlepszych chęci rozróżnić rzeczywistego ducha stronnictw angielskich, nawet najwięcéj sobie przeciwnych, gdyż często np. w pewnéj kwestyi członek partyi konserwatywnéj okazywał się bardziéj liberalnym od członka stronnictwa liberalnego.

W ścisłym związku z tém znajduje się i charakter oręża, jakim stronnictwa wojują z sobą na polu turniejów parlamentarnych i potyczek prasowych.

W drukowanych napaściach i odwetach wiele wymysłów, a mało argumentacyi, oderwane zdania nie łączą się logicznie. W tysiącach mów parlamentarnych daremnieby kto szukał także ścisłości dowodzenia, za to wiele przebija się angielskiego dowcipu (*humour*), nie szumiącego jak wino szampańskie, lecz ciężkiego jak porter i gwałtownego jak uderzenie pięści, wiele flegmatycznego szyderstwa i zimnéj zawziętości; to nie zdania przeciwne, lecz osobisty wróg przeciwko wrogowi oko w oko staje. Realnie staczana walka o byt nie pociąga za sobą skutków idealnych, po obrzuceniu się wzajemnemi obelgami przeciwnicy nie myślą się pojedynkować, lecz w bezgraniczném poddaństwie dla konieczności etykiety towarzyskiéj podają sobie potém z grzecznym uśmiechem rękę na neutralnym gruncie salonu.

Choć nie są to warunki, w których możnaby oczekiwać świetnego rozbłysku nowéj i wyższéj idei, trudno nie przyznać im znaczenia rzeczywistéj rękojmi trwałości istniejących już praw i instytucyi.

Jakże jaskrawo dopiéro występuje realizm myśli w charakterze wykształconéj młodzieży w chwili samodzielnego rozkwitu jéj przekonań.

W umyśle Francuza od dzieciństwa już tli się duch krytycyzmu; powoli téż z więzów zasad apriorystycznych, narzuconych wychowaniem, wyzwala się duch prawdy; myśl płonie żądzą, aby poznać i ocenić to co bezpośrednio serce ukochało; jakiś czas strachem pobożnym przejęta nie śmié tknąć tych świętych relikwii, lecz nieubłagana moc logiki gromadzi na horyzoncie coraz ciemniejszy szlak zarzutów i wątpliwości, i z groźnych tych chmur powstaje burza, która ogniem swym albo oczyszcza umysł z niewolniczych posłuchów i pozostawia ducha jaśniejącego wywalczoną

pewnością swych przekonań, albo też śmiertelnym żarem niszczy żywotne siły, strącając ducha w ciemną otchłań pessymizmu.

Z typu studentów, jaki się w Oksfordzie poznaje, można wnosić, że pomiędzy nimi przykłady takiéj wewnętrznéj walki duchowéj, jakkolwiek istniéć mogą, są jednak bez wątpienia bardzo nieliczne. Wszyscy prawie żyją sportem i polityką, a młodzieniec liczący się do innego obozu, aniżeli rodzice, należy do rzadkich wyjątków. Młody umysł Anglika nie czuje wcale potrzeby poddawania krytyce tych gotowych zasad, jakie otrzymał, jego celem jest życie, a jeżeli jego najbliżsi i tysiące innych żyją szczęśliwie podobnemi zasadami, dlaczegożby jemu one wystarczyć nie miały?

Z dwóch więc typów, na dwóch przeciwnych biegunach się znajdujących, u Francuza stworzenie zasad będzie jakoby jednym z celów, u Anglika są one tylko jednym ze środków życia.

III.

Objawem, ściśle z realizmem myśli związanym i będącym niejako jéj wynikiem, jest niezmiernie typowy odcień angielskiego pojmowania, subiektywizm.

Człowiek, którego jednym z wymarzonych ideałów jest prawda absolutna, spostrzega natychmiast na początku swéj drogi krytycznéj, iż wiele niedokładności i wadliwości w rozumowaniach wynika z wpływów otoczenia, do którego się umysł jednostronnie przywiązuje. Ponieważ ogólne pojęcia ludzi o świecie różnią się przeważnie w stosunku do pojęć tych społeczeństw, w których się wychowywali, a że z drugiéj strony prawda jest jedna, należy więc dla osiągnięcia jéj przedewszystkiém wyrobić w sobie taką niezależność, ażeby ślepy przypadek, który stawia człowieka w pewném otoczeniu, jak najmniejszą odgrywał rolę w wydaniu przezeń sądu o rzeczach.

Obok tego, gdy tylko chodzi o osiągnięcie czystéj prawdy drogą rozumowania, potrzeba także otrząsnąć się z wpływu właściwości naszéj natury.

Świat objawia się w ten sposób naszéj istocie, że pewnego rodzaju zjawiska wywołują w nas odpowiedniego rodzaju wrażenia; otóż zadaniem rozumu jest, ażeby jasną sobie zdawać sprawę z tego, że natura tych wrażeń zależna jest nietylko od samych zjawisk, lecz i od naszego własnego ustroju, i że z tego powodu nie należy utożsamiać realnego, po za obrębem nas istniejącego charakteru zjawisk z charakterem wrażeń, jakie one wywołują. I ta siła krytyczna, która potrafi odróżniać naturę zjawisk realnych, jako przy-

czyny, od charakteru wrażeń osobistych, jako skutku, może być nazwana obiektywizmem (1) w przeciwieństwie do subiektywizmu, który w pewnym stopniu jest tejże siły brakiem.

Tak więc u Anglików mniejsza niż u Francuzów skłonność do wewnętrznéj analizy duchowéj i to, co właśnie zostało przez nas nazwane realizmem myśli, zasłania im niejednokrotnie realność rzeczywistą czyli prawdę absolutną, a umysł przykuwa silniéj do wiadomości dających się chwilowo zastosować dla danego miejsca i czasu. Choć Francuzowi często trudno pojąć jest Anglika jako naturę o innéj treści uczuciowéj, to przynajmniéj posiada on tę wyższość nad Anglikiem, któryby Francuza obserwował, że łatwiéj zdaje sobie sprawę z własnego stanowiska i pojmuje, że w dwóch ludziach o naturach odrębnych wspólne objawy z różnych pobudek pochodzić mogą i że na odwrót jednego rodzaju pobudki różne mogą wywoływać objawy.

Mówiąc zwyczajnie, Anglik częściéj sądzić będzie innych podług siebie, Francuz ze stanowiska bezwzględnego.

Weźmy za przykład książki angielskie, traktujące o stosunkach miejscowych. Prawdziwie są one tylko dla Anglików pisane i cudzoziemiec daremnie szukałby tam obiektywnych obserwacyi i tych głównych wyjaśnień, jakich samby przedewszystkiém udzielił współziomkowi swemu, gdyby owe stosunki całkowicie pojmował. Wszędzie wiele faktów i drobnych szczegółów a charakterystyka i typy opisywane przez wzajemne porównania pozostają w zaczarowaném kole pojęć, właśnie tylko dla Anglika zrozumiałych. Można się poniekąd o tém przekonać, studyując dzieła, traktujące o wychowaniu angielskiém. Nie raz jedno zdanie francuskiego lub niemieckiego autora jaśniejsze rzuca światło na zawikłany ów system, aniżeli całe rozdziały podręczników angielskich. Widzimy ztąd, że główna niedogodność, jaką pociąga za sobą realizm myśli angielskiéj, jest subiektywizm w sposobie czystego rozumowania.

Lecz i francuski idealizm myśli nie jest pozbawiony stron ujemnych, które za to Anglicy wybornie omijać potrafią.

Subiektywizm jest w ogólném znaczeniu zależnością od własnéj swéj natury. Otóż jeśli w teoryach staje się Anglik niewolnikiem swych wrażeń, to w praktyce życia Francuz zbytnio poddaje

---

(1) Czyli zdolnością obiektywnego zapatrywania się na rzeczy i poznawania ich natury, niezależnie od naszych osobistych właściwości duchowych. Odwrotnie więc— przy poznawaniu prawdy bezwzględnéj — zależność od subiektywnych własności ducha, przyrodzonych lub nabytych pod wpływem otoczenia, a więc skłonność do subiektywnego zapatrywania się na rzeczy—nazwaliśmy subiektywizmem.

się władzy osobistych poglądów. Jeśli jeden jest subiektywnym w prawdzie absolutnéj, to drugi jest w nim użyteczności realnéj.

Trudno nie zauważyć, że gdy Francuz uwierzy w pewną ideę, natychmiast dąży on do absolutnego jéj zastosowania. Ponieważ praktyczne życie jest u niego odbiciem teoretycznych danych, nic dziwnego więc, że krańcowe przekonania muszą rodzić krańcowe postępki. Dążenie do szczytów w stosowaniu zasad ogólnych jest jednym z wybitnych objawów francuskiego charakteru w porównaniu z angielskim, żyjącym duchem realności. Wszelka krańcowość polega na złudzeniu, że przewadze, którą pewna idea posiada w naszym umyśle względem innych idei — odpowiada analogiczna przewaga w świecie rzeczywistym.

Jeżeli więc Francuz przez zbytnią namiętność krytyki bezwzględnéj przenosi do świata rzeczywistego idee tą drogą powstałe i istniejące tylko w umyśle, to Anglik wskutek braku krytycznego sceptycyzmu sądzi świat często tylko z powierzchownéj szaty, szczególniéj gdy w głębszém badaniu nie widzi bezpośredniéj praktycznéj potrzeby.

Lecz z drugiéj strony wracając do typu francuskiego, czy blask saméj idei, siła z jaką się ona rozpowszechnia, nie zyskuje na tym zapale, zbaczającym nieraz z wąskiego toru praktyczności powszedniéj? Prawda, że Anglicy potrafią z większą zdolnością i wytrwałością nieprzepartą zaszczepiać swój żywioł narodowy na wszystkich krańcach świata, że dziewicze lasy zamieniają po latach kilkunastu w stolice europejskiego pokroju, a tam gdzie niedawno błądziły drapieżne zwierzęta i snuły się hordy nagich krajowców, staje jakby na ich skinienie czarodziejskie gmach włoskiéj opery lub muzeum narodowe.

Gdy jednak chodzi o odrodzenie ludzkości wstrząsającym prądem nowéj idei, nie należy się spodziéwać, ażeby z angielskiego ogniska spadła boska iskra postępu duchowego.

Całą teoretyczną podstawę rewolucyi francuskiéj, najbardziéj powstańcze i niezależne hasła znajdujemy skreślone już przez angielskich pisarzy XVII wieku z gwałtowną wyrazistością. Lecz pozostały one martwą i głuchą literą dla samych Anglików, a więc i dla całego świata, gdyż zamiast istniéć w mózgach krwi i nerwach narodu, który je stworzył, świeciły one tylko na półkach bibliotecznych rzędami złocistéj oprawy.

Propagandy Woltera i Russa nie rozbrzmiewały długo bez sprowadzenia skutków potężnych. Z chwilą, gdy trafiły do przekonania społeczeństwa i zachwiały jego wiarę w dawne ideały, Francya

znalazła w sobie dość siły, aby nowe *credo* uświęcić nowém życiem, chociażby potokami krwi przyszło jéj okupić.

Konserwatyzm rasy brytańskiéj w polityce na tém polega, że u Anglika przejście z teoryi reformatorskiéj do czynu jest niezmiernie trudne. Na szerokich łanach Hyde-Park'u odbywają się dzień w dzień mityngi robotników bez zajęcia i wszelkiego rodzaju biédaków, występujących publicznie ze swemi przekonaniami politycznemi. Otóż raz w towarzystwie jednego z profesorów Oksfordzkiego uniwersytetu przysłuchiwałem się tam mowie *unemployed'a* (pozbawionego zajęcia) odzianego w łachmany i strzępy nie określonéj barwy. Stał on na niewielkiém składaném rusztowaniu i wrzeszczał na całe gardło przed tłumem, złożonym z przechodniów wszystkich klas i warstw społecznych. Wogóle mówił o konieczności reformy obecnego stanu rzeczy, opartego na zasadzie tysiąca krzyczących niesprawiedliwości, a żądania jego sprowadzały się mniéj więcéj do następującego programu:

Przedewszystkiém zgładzić królowę—najnikczemniejszą z kobiét, powiesić premiera i wielu innych ministrów, jako nędznych wyzyskiwaczy własnego narodu, wydrzéć możnym nieprawnie posiadane bogactwa i rozdzielić pomiędzy wszystkich te miliony, które obecnie w rękach niewielu pozostają.

Kiedy zrobiłem uwagę memu towarzyszowi, że już nie po raz pierwszy zdarza mi się słyszéć podobnie rewolucyjne przemowy., odpowiedział mi: „Ten sam robotnik, który teraz wydaje się czerwonym komunistą, więcéj jeszcze ma w sobie konserwatyzmu, niż niejeden obywatel francuski, i pomimo śmiałości przekonań bez wątpienia nie ważył by się podnieść ręki na żadną z uświęconych podstaw angielskiéj społeczności".

Tak więc w Anglii konserwatyzm istniéć może dla tego, że naturalne przywiązanie do dawnych zasad nie zostaje podkopywane przez nieubłaganą namiętność krytycyzmu i że o ile silna jest inicyatywa prywatna w administracyi, o tyle słabą jest ona w reformowaniu.

IV.

Jeżeli w dziedzinie myśli angielskiéj wybitną gra rolę realizm to w sposobie odczuwania przebija się jako narodowa cecha pewnego rodzaju „prostota" szczególniéj w porównaniu z typem francuskiéj wrażliwości.

Uczucie szczęścia, miłości, zachwytu przy całéj swéj sile nieraz bywa jakby na wpół bezwiedne. Rozkosz jak senne marzenie

obezwładnia duszę naiwną i odejmując zdolność namysłu, unosi ją nieprzepartym potokiem młodych popędów. Dziewczę, kochając, może nie wiedziéć, że kocha. Nim jeszcze znalazło wyraz dla określenia tajemnéj gorączki, już całe gotowe się poświęcić, nie znając wcale wartości swego czynu. Można téż być i bezwiednym poetą, bezwiednym artystą, tworzyć i kochać piękno, biernie poddając się rozkazowi wyższego głosu natury, i oprócz własnego zachwytu nie widziéć ani twórczości swéj ani téż licznych jéj przywilejów. Można wogóle nie być skłonnym do zastanawiania się nad subtelnością swéj treści uczuciowéj i do późnéj starości z całą swobodą dziecięcia czerpać życie pełnym oddechem.

Wtedy człowiek poddaje się cicho wielkiéj harmonii świata, jak kropla w morzu, jak źdźbło trawy pośród bujnych stepów rosnące—ginie on w nieskończoności przyrody, więcéj dumny z ogromu, którego się cząstką czuje, niż z własnych przymiotów.

Uczucia wtedy nie znają pana nad sobą, duch wierzy w nie jak i w życie, w które patrzy jasną źrenicą.

Tak kroczą śmiało niewinne młodociane istoty, wiedzione naprzód ufnością w bogactwo własnéj poezyi, dopóki na drodze swéj nie napotkają nowych ludzi o przenikliwém spojrzeniu, niespokojném sercu i mowie, jak ostrze noża śmiałéj.

Ci im powiedzą: „Oto są skarby, jakie posiadacie, wy zaś nie wiécie o nich, nie umiécie wyzyskać ich i zużyć—na świat trzeba patrzéć okiem znawcy, lubować się i kierować umiejętnie źródłem uciech własnych".

I naiwne dusze budzą się ze snu złotego—odtąd będą wyższe, rozum przypuszczą do uczty serca, a choć nieraz nerwowy ból samowiedzy wmiesza się do ich rozkoszy—dosięgną one za to tych subtelnych szczytów, z których nie chce się już wracać do krainy półsennéj szczęśliwości. Milsze są wówczas burze pełne siły i treści, niż świetlana, lecz mglista pogoda.

Człowiek, chwytający w przelocie własne uczucie, śledzący krok za krokiem dziwaczny ich pochód, odkrywa w końcu tajemne źródła tych wrażeń i zawiłe prawidła ich gry, którą uczy się kierować samodzielnie.

Wtenczas dojść może do artyzmu w misternéj sztuce odczuwania, poddając się tysiącznym złudzeniom z jednoczesną świadomością psychologa—że to tylko są złudzenia.

Wyradza się ztąd pewna finezya w całém obejściu, którą częściéj spotykamy u Francuzów, niż u Anglików, gdyż u pierwszych delikatność uczuć, jako więcéj świadoma, szerszą posiada zdolność ujawniania się i przenikania odcieni charakteru spotykanych osób,

Jeżeli u Anglika w odczuwaniu główną rolę grają zmysły same przez się, to u Francuza rozkosze zmysłowe są jeszcze przysmakiem dla myśli i łączą się z zarozumiałém zadowoleniem znawcy ze swego talentu.

Prostotę natury rasa brytańska utrzymuje jeszcze odpowiednim trybem życia, gdzie zwraca się szczególniejszą uwagę na rozwój fizyczny.

W ciałach karmionych przeważnie mięsem i silnemi korzennemi potrawami, rozrywki sportowe i ćwiczenia gimnastyczne wyrabiają żelazne muszkuły i krew obfitą, która żywą krasą występuje na białéj cerze synów północy i porusza zmysły szorstkim popędem.

Tu nerwy nie mogą nabrać pieszczotliwéj czułości i nie zdolne są rozkołysać myśli rozkoszną harmonią dźwięków subtelnych. Natura pierwotna pragnie przedewszystkiém zużyć nadmiar sił i zbytek krwi upuścić. Wówczas gwałtowność ruchów, forsowne wyścigi piesze i wodne, brutalne walki na pięści stają się nieodzowną potrzebą.

We wszystkich szkołach i uniwersytetach W. Brytanii połowę czasu traci się na sport, który w najpoważniejszych nawet dziennikach wzbudza bardzo żywe zainteresowanie, a w młodzieży zajadłe współzawodnictwo. W niższéj klasie boksowaniu oddają się z namiętnością— jest to sport jak inny, który z zamiłowaniem uprawiają *workmen'i* (robotnicy) o atletycznéj budowie ciała. Twarz krwią zbroczona, nos spłaszczony straszliwém uderzeniem pięści, lub wypłynięte oko są najmilszym widokiem dla proletaryatu roboczego.

Francuz nie pojmuje zapału, z jakim młody Anglik oddałby część majątku, ażeby módz o kilka minut prędzéj przebyć pieszo kilometr, lub o kilka sekund szybciéj przewiosłować tę samę przestrzeń wodną. Nie pojmuje téż odwagi, z jaką znosi on piekielne nudy podczas niedzielnego święta.

Tu powiedziałbym, przebija się téż wyraziście prostota natury.

W sferze średniego, a nawet zamożniejszego mieszczaństwa, gdzie najwięcéj zachowało się rodzimego ducha, można najlepiéj obserwować typowe obchodzenie niedzieli.

Po tygodniowéj pracy następuje nie całodzienny odpoczynek, lecz całodzienna bezczynność. Do kościoła chodzi się dwa razy— przed południem i wieczorem. Większa część osób w bezmyślnéj apatyi śpiéwa psalmy monotonnym głosem, inni słodko drzémią, lub téż śpią snem sprawiedliwego (co bardzo często obserwowałem). Po ranném nabożeństwie, gdy jedni czują się już zmęczeni śpiewą-

niem, a drudzy dostatecznie wyspani, następuje powszechny powrót do domu, ożywiony błogą myślą o smacznym obiedzie lub drugiém śniadaniu (*lunch*).

Po odmówieniu krótkiéj modlitwy zasiada się do stołu w poważném milczeniu, jakiego wymaga ogólne przejęcie uroczystością dnia i ważnością chwili. Dwa miejsca na przeciwnych krańcach zajmują zwykle dwie osoby najstarsze wiekiem, lub stanowiskiem. Na nie wkłada się zaszczytny, lecz nie mniéj uciążliwy obowiązek krajania całych ćwiartek baraniny, lub wspaniałego rozbefu i rozdzielania potraw między biesiadnikami.

— A rozmowa?—zapytają czytelnicy.

Któż niestety po kilku przebytych obiadach nie zna jéj całéj na pamięć! Z niewzruszoną konsekwencyą nie wychodzi ona po za ciasny obręb półmisków, butelek i zastawy stołu.

Ile razy ogólne prawidła dobrego wychowania stawiały mnie w konieczności dostrajania się do tych banalnych frazesów, przerywających bezduszną ciszę, zawsze mimowolnie przychodziły mi na myśl owe nużące zapytania i odpowiedzi bez związku i treści ze sławetnéj metody Ollendorffa, jakie uczący się nowego języka skazany jest powtarzać aż do śmiertelnego znudzenia.

Pozwolą czytelnicy, że przytoczę tu kilka próbek tak jak jeszcze dotychczas brzmią mi w uszach.

— „Czy pozwoli pan baraniny“?

— „Dziękuję, ale chętniéj będę jadł wołowinę“.

— „Pani nie ma musztardy?“

— „W istocie nie mam, ale mam sos.“

— „Może panu dać tego żółtego pudingu?“

— „Wolę jeszcze białego“ itd.

Przytém dodać trzeba, że wszystko to wypowiadane jest w takim tonie namaszczenia, jak gdyby zamiast zwykłego „czy nie chce pan pieprzu?“ słyszało się uroczyste zapytanie spowiednika: „czy masz jeszcze jaki grzech do wyznania?“

Było by przesadą, a zarazem niewdzięcznością za nadzwyczajną grzeczność, jaką w Anglii wszędzie spotykałem, gdybym powyższy obrazek chciał podawać za ogólną regułę.

Liczne wspomnienia chwil przyjemnie i z korzyścią spędzonych w gronie wielu inteligentnych Anglików i Angielek mogą tu służyć za dowód. Jednakże jeśli się dużo bywa w domach angielskich, często obserwować można sytuacye do opisanéj podobne, a nic dziwnego, gdy się nawet na najwierniejszą jéj kopię natrafia.

W początkach mego pobytu w Oksfordzie wyszedłem w niedzielę na poobiednią przechadzkę.

Ciepłe, morską wilgocią przesiąkłe powietrze roznosiło łagodny zapach jesiennéj pogody. Główne ulice miasta, wczoraj jeszcze ruchliwym tłumem zaległe, dziś świąteczną tchnęły ciszą. Gdzie nie gdzie tylko można było spotkać dziwaczny strój oksfordzkiego studenta, lub profesora, odzianych w lekkie czarne płaszcze różnéj długości, rozwiewające szerokiemi poły. Do tego na głowie czarne płaskie birety i oznaczające stopień naukowy dwie czarne taśmy, spadające na ramiona, składały się na szczególną całość surową i mistyczną.

Klasyczny spokój dokoła, z ukrytych wieżyc dobywające się jasne dźwięki dzwonów, które tak żywą tęsknotą do serca przemawiać umieją, samotność i oddalenie od ojczyzny—wszystko to jeszcze więcéj nastrajało do zachwycania się pięknością i oryginalnością widoku, jaki się przedemną roztaczał.

Szerokie ulice snuły się w dal nierówną kapryśną wstęgą; dokoła piętrzyły się w fantastyczném rozstawieniu klasztorne i rycerskie postaci prastarych budynków, ciemną wiekową pleśnią pokrytych. Na bladym lazurze nieba rysowały się one tysiącznemi kształty potężnych kopuł, wieżyc strzelistych i murów zębatych. Kamień w delikatną koronkę rzeźbiony wił się misterną grą splotów gotyckich.

Wszystkie stulecia roztasowały tu w poetycznym nieładzie najrozmaitsze style swoje. Zacząwszy od wczesnego normandzkiego i angielskiego renesansu, a skończywszy na czystym gotyku, rozmaite przejściowe i mieszane typy (1) nagromadzone były w muzealnym doborze.

Imponujące wrażenie ogromu i niezmiernego bogactwa tych zabytków łączyło się z uczuciem błogiego spokoju i sielankowego powabu wśród świeżości zieleni, która bujnie dokoła rosnąc, tworzyła strojną harmonią z wyniosłą powagą szarych i zeszczerbionych murów.

Mimowolnie nasuwało się złudzenie, że się ma przed sobą artystycznie wykonaną dekoracyą, dopasowaną do rycerskiéj epopei, z legendowych opowiadań wysnutéj.

Wśród tych niezwykłych dla mnie widoków szedłem daléj. Dosięgnąwszy już końca najpiękniejszéj i głównéj ulicy *High-Street*, skierowałem swe kroki w stronę miejskiego parku i łąk uniwersy-

(1) Jak np. niezmiernie oryginalny styl, nazwany „*Early decorated*" czyli wczesny ornamentacyjny, przeważający w Anglii w wieku XIII; za typowy jego zabytek może służyć piękny gmach kościoła Najświętszéj Maryi Panny w Oksfordzie (*St. Mary the-Virgin*).

teckich, na których odbywają się gry w krykieta, futbal, lub laun-tennis (*lawn-tennis*). Po za główną dzielnicą zabudowań uniwersyteckich i kolegiów rozpoczyna się nowa część miasta, gdzie domy mieszkalne stanowią wille, budowane z kokieteryą szwajcarskich domków i odbijające wesołym kolorem żywéj cegły na zieloności bluszczów, drzew i krzewów, któremi każda z nich jest otoczona.

Trudno sobie wystawić bardziéj uroczy widok nad szereg tych schludnych dworków, ciągnących się po dwóch stronach szerokich alei, w cieniu gęstych szpalerów z bzu, lip i kasztanów. Kto złamany życiem chciałby zapomniéć o przebytych burzach i utraconém szczęściu, pragnął oddać się cichéj pracy, otoczyć się książkami i zdala od gorączki cywilizowanego świata używać jednak jéj płodów duchowych, ten nie mógłby lepszego dla siebie wyszukać miejsca, jak jedno z tych ustronnych „*cottage*“, wyglądających wesoło z po za rozłożystych gałęzi.

Gdy tak po drodze rozmyślałem, znalazłem się przed bramą parku. Przedemną na niezmierzonéj przestrzeni roztaczał się dywan jasnéj, krótkostrzyżonéj trawy, gdzie nie gdzie tylko poprzerzynany wązkiemi ścieżkami. W dali było widać ciemną smugę drzew i zarośli.

W niedzielę park uniwersytecki jest ulubioném miejscem pobytu oksfordzian. Wiedziałem o tém i dlatego śpieszyłem tam, żeby przyjrzéć się ludzkim twarzom. Przeszedłszy główną arenę popisów sportowych, dostałem się na łąkę nieco górzystą, gdzie swobodnie rosnąca trawa wznosiła się puszysta i wysoka. Zamiast nielicznych spacerowiczów, spotykanych dotychczas, spostrzegłem tysiączne tłumy, niby pół Oksfordu przed sobą.

Prawie wszyscy leżeli, lub na wpół siedzieli nieruchomo. Gdyby nie pstrocizna ubiorów i różnorodność postaci, można by sądzić, że to wojsko całe, które na komendę przyległo do ziemi. Ze wszystkich warstw ludzie zebrali się tu do wspólnego salonu natury. Obok młodego studenta, jasno i świeżo ubranego, leżał rozwalony robotnik o szerokiéj ogorzałéj twarzy, daléj młoda miss o delikatnéj cerze i lazurowych oczach spoglądała czule na siedzącego przy niéj młodzieńca, z którym może już od dwóch lub trzech lat jest zaręczona; nieco opodal grocernik krępy i czerwony od nadmiernego picia *stout*'u patrzał bezmyślnie blademi oczyma w pustą przestrzeń z rozkoszą słodkiego *far niente*. Daléj znów, w inném miejscu można było studyować potrójnie typową postać starca, dżentelmena i profesora uniwersytetu. Czerstwa, prawie młoda cera, profil wyrazisty, jak z marmuru rzeźbiony, bujne srebrne włosy, które lekki wietrzyk rozwiewał, sympatyczną tworzyły całość z powagą czar-

nego ubioru i śnieżną czystością bielizny. On także przyszedł odpoczywać po tygodniowéj pracy i drzémiąc z oczami na wpół przymkniętemi, leżał odwrócony twarzą do ciepłych promieni słońca.

Minąłem to dziwne zebranie ludzi, na które jakby bożek odrętwienia zaklęcie swoje rzucił i udałem się w dalszą wędrówkę po okolicy. Gdy w kilka godzin późniéj przyszedłem na to samo miejsce, znalazłem zaczarowany obraz zupełnie nie zmieniony. Miss nie przestała w niemym zachwycie czulić się do narzeczonego, młody student i barczysty robotnik wciąż leżeli w téj saméj pozycyi, grocernik tak jak przedtém bezmyślnie badał horyzont, a profesor uniwersytetu prowadził daléj słodką swoję drzémkę.

Tak więc się bawią Anglicy, pomyślałem sobie. Cudzoziemiec przyjeżdżający z kraju, gdzie w wolnych chwilach wesoło czas przepędzać umieją, pod wpływem otaczającéj go niedzielnéj apatyi z początku uczuwa nudę, a w końcu zdejmuje go niecierpliwość i oburzenie.

Co do mnie, gdym ujrzał tylu ludzi, pomiędzy którymi nie brakło ani młodych ani inteligentnych—zadawalniających się gnuśném zabijaniem czasu i pół dnia przepędzających na trawie w milczeniu nieruchomém, doznałem wrażenia, jak gdyby coś zwierzęcego przebijało się w takiém sposobie odpoczywania.

Pomimo całéj śmiałości porównania w danym wypadku, nie mogłem oprzéć się chęci zestawienia w myśli Oksfordzian ze stadem dzikich kóz, lub bawołów stepowych, które, najadłszy się do syta, używają w gromadzie na łonie natury spokojnego wywczasu.

To, co w danym razie niewłaściwie byłoby nazwać zwierzęcością, jest wgruncie rzeczy jednym z objawów owéj dziewiczości i prostoty natury. Jest to jakby zadawalnianie się faktem własnego życia bez nieustannéj chęci zapełniania go nową, lub sztuczną treścią. Czerwony grocernik patrzał w niebo dwie, trzy godziny, a jeśli i nic przytém nie myślał, to przynajmniéj uczucia jego dałyby się przetłómaczyć następująco: „Kontent jestem, że żyję.“

Francuz dopiero wtedy powiada, że żyje, gdy stosownie do bogactwa swéj natury dostarcza jéj wrażeń w odpowiedniéj ilości i jakości. Szukając wciąż zaspokojenia popędów wyrafinowanych pewnym rodzajem artystycznego znawstwa, obumiera on w atmosferze jednostajnéj.

Ręczyć można, że w całéj Francyi nie znaleziono by domu, w którym by tak przepędzano niedzielę, jak w rodzinie jednego z moich znajomych—anglikańskiego księdza.

Był to człowiek zamożny i wykształcony, syna posyłał do Oksfordzkiego uniwersytetu i miał dwie niebrzydkie córki. Otóż będąc

raz przez niego zaproszony do jego willi w Lancashire, poznałem mniéj więcéj całodzienny tryb życia tych ludzi.

Ograniczę się tu na krótkiéj wzmiance, że w niedzielę oprócz nabożeństwa, jedzenia i psalmów, które wieczorem panny śpiewały ospałym głosem i bez najmniéjszego czucia, zgoła niczém, ale to bezwzględnie niczém zajmować się nie było wolno.

Gdym raz namawiał młodego B. do partyi w szachy a jedną z panien do gry na cztery ręce—bezbożne te propozycye zostały odrzucone z oburzeniem. Pamiętam jeszcze, że gdy miałem odjeżdżać w poniedziałek rano a w niedzielę naprzód sam rzeczy spakowałem, dziwiono się jak mogłem podobnéj czynności nie odłożyć na dzień powszedni.

Już przez to samo, że takie zapatrywania są śmieszne i naiwne—nie mogłyby się utrzymać we Francyi. *C'est le ridicule qui tue*—oto frazes, nie przystający do umysłu angielskiego.

Streszczając to, cośmy dotychczas powiedzieli, dochodzimy do ogólnego wniosku, że pewnego rodzaju pierwotność rasy, podtrzymywana przez wszechstronne kształcenie ciała, tworzy ów odrębny rys charakteru angielskiego—p r o s t o t ę n a t u r y.

Gwałtowność popędów, którym w zaspakajaniu więcéj chodzi o ilość, niż o jakość, brak analizy wewnętrznéj, przy całém praktycznėm doświadczeniu i wykształceniu gruntownėm—pewna naiwność przejawiająca się w obejściu i rozmowie—oto są główne jéj objawy.

W porównaniu z Francyą znajdziemy w Anglii więcéj żarłoków, niż smakoszów, więcéj wyuzdanych rozpustników, niż wytrawnych donżuanów, więcéj bezwiednych poetów, niż prawdziwych, lecz cynicznych znawców poezyi, wreszcie więcéj gnuśnych próżniaków, niż ludzi umiejących się bawić.

(*D. n.*) *Józef Rosenzweig.*





ŻYWIOŁY ZACHOWAWCZE I KOMISYA EDUKACYJNA.

(*Przyczynek do dziejów oświaty w Polsce wieku XVIII*).

IV.

Następstwem niepopularności reformy mała liczba uczniów w szkołach publicznych w porównaniu z dawniejszemi. W wykazanéj w 45 szkołach koronnych liczbie uczniów panuje zmienność z powodu chorób, werbunku wojskowego i zajęć gospodarskich; dla ubóstwa młodzieży do klas wyższych dochodzi procent niewielki. Komisya dla rozbrojenia opinii i powiększenia liczby uczniów czyni ustępstwa : ogranicza wykład historyi naturalnéj, pozwala uczyć łaciny kuchennéj, zmusza profesorów świeckich do praktyk religijnych, zamyka szkołę akademicką toruńską, a otwiera zakonne. Pomimo tych ustępstw, publicystyka konserwatywna sejmu wielkiego daje jéj *votum* nieufności, szlachta zaś na sejmikach r. 1790 żąda przywrócenia jezuitów i oddania wychowania w ręce zakonów. Zabiegi jezuitów i sprawa ich na sejmie. Król odmawia poparcia, prasa występuje przeciwko nim wrogo, a Łuskina w interesie zakonu walczy nanowo i doczekuje się uniwersału konfederacyi litewskiéj, zapowiadającego wskrzeszenie jezuitów. Komisya, niepogodzona ze starém społeczeństwem, z upadkiem Rzeczypospolitéj z widowni ustępuje.

Następstwem niepopularności reformy była mała liczba uczniów w szkołach publicznych. Wpływały na niektóre ujemnie i inne okoliczności: do wschowskiéj np., znajdującéj się śród ludności niemieckiéj, zrażał wykład polski; przyczyną szczupłéj liczby uczniów w piotrkowskiéj od r. 1787 był pożar miasta; pinczowskiéj i sandomierskiéj szkodziła drożyzna, łuckiéj brak metrów, oraz sąsiedztwo z Ostrogiem, Ołyką, Międzyrzecem i Dąbrowicą;—wogóle jednak uprzedzenie do reformy stanowiło powód naczelny.

Ufundowana w r. 1773 przez opata kanoników lateraneńskich szkoła trzemeszeńska miała w początkach swego istnienia do 300 uczniów, w r. 1785 niespełna 30, w latach następnych niewiele więcéj. „Najusilniejsze patryotyczne starania—pisał wizytator w roku

1785—i koszt znaczny, łożony od JWJX. opata... są zawiedzione przez uprzedzenie obywateli o naukach teraźniejszych"...

We Wschowie na 18000 mieszkańców nie było uczniów 80. Liczba tak mała rekrutowała się przeważnie z kadetów konsystującego tam regimentu, „których JP. Brodowski, pułkownik, wysoce oświecony w naukach rycerskich i cywilnych, z przywiązania do edukacyi narodowéj i gorliwości do szkół zwykł posyłać".

W Rydzynie rzadko było uczniów więcéj nad 60, licząc w to i 12 konwiktorów, na których Komisya łożyła rocznie 8000 zł.

W szkole rawskiéj w r. 1789/90 spadła liczba uczniów do 60. Radził wizytator zredukować klas sześć do trzech, w piątéj bowiem nie było ucznia żadnego, w szóstéj dwóch tylko.

Na obsadzoną najlepszemi siłami szkołę wydziałową lubelską maksymalna liczba 150 uczniów małą była krzycząco.

W Krzemieńcu, Łucku, Ostrogu, Żytomierzu i Owruczu pomiędzy r. 1767 a 1775 mieli jezuici uczniów średnio 1611 rocznie (1); w dziewięcioleciu zaś od 1781/2 do 1789/90 przypadało ich po 1246. W samym Krzemieńcu w r. 1782/3 było 181, gdy przed reformą znajdowało się po 600.

Z powodu szczupłéj liczby uczniów musiała Komisya szkołę toruńską zwinąć. Nigdy w niéj liczba młodzieży nie dochodziła 60; w r. 1785/6 klasa trzecia pustą była zupełnie. Bogdanowicz radził w r. 1786 oddać ją popularniejszym w społeczeństwie, niż akademicy, pijarom, sądząc, że się przez to liczba uczących powiększy. Komisya otworzyła szkołę pijarską w Radziejowie, a akademicką w Toruniu rezolucyą z 25 stycznia r. 1787 zamknęła.

Szwankowały pod względem liczebnym przedewszystkiém szkoły akademickie; kosztem ich zapełniały się niektóre zakonne. Jak z uszczerbkiem pinczowskich kieleckie, tak łuckich, krzemienieckich i żytomierskich wzrosły szkoły włodzimierskie i lubarskie. We Włodzimierzu i Lubarze pomiędzy r. 1767 a 1775 bywało u bazylianów średnio po 457 rocznie (2), gdy za reformy pomiędzy 1781/2 a 1789/90 uczęszczało po 649.

Stan liczebny szkół koronnych w następujący w przeciągu lat dziewięciu przedstawia się sposób (3):

---

(1) X. Hugona Kołłątaja korespondencya listowna z Tadeuszem Czackim. II, 250.
(2) Tamże. II, 250.—(3) Szczegółowy wykaz liczby uczniów szkół koronnych od r. 1781/2 do 1789/90 podajemy na osobnéj tablicy. Nie dołączyliśmy dla uproszczenia rachunku do ogólnéj liczby z r. 1881/2 wykazanych przez Hołowczyca 140 uczniów szkoły beresteckiéj, zamienionéj późniéj na parafialną, ani Kolendowicza 11 konwiktorów teatyńskich. Cyfry, ujęte w nawias, nie są wykazane w raportach wizytatorskich: otrzymaliśmy je jako przeciętne sum pewnych. Np. liczba 403 w latach 1781/2, 1783/4, 1789/90 dla Łomży

W roku:	W 16 szkołach akademickich:	W 15-u pijarskich:	W 8-u bazyliańskich:	W 6-u innych zakonów:	Wogóle w 29 zakonnych:	Razem w 45-u szkołach koronnych:
1781/2	4314	3017	2784	1285	7086	11400
1782/3	3672	2690	2622	1214	6526	10198
1783/4	3884	2911	2297	1084	6292	10176
1784/5	4095	2765	2199	1133	6097	10192
1785/6	3834	2697	2107	1062	5866	9700
1786/7	3969	2857	1878	1090	5825	9794
1787/8	3675	3104	1897	1215	6216	9891
1788/9	3920	3238	2226	1174	6638	10558
1789/90	3587	2965	2216	1077	6258	6845
Liczba średnia z lat 9-u	3883	2916	2247	1148	6311	10195.

Na 5,500,000 mieszkańców przypadało kształcącéj się młodzieży średnio 10195, czyli jeden uczeń na 549 ludności, blisko dwóch na 1000. Średnia roczna liczba uczniów w 29 szkołach zakonnych przewyższała akademicką o 2428. Pierwsza stanowiła 62%, druga 38% liczby ogólnéj.

Cyfry powyższe, wyrażające w przybliżeniu ogół uczniów, wniesionych na początku roku szkolnego do list, nie były stałe. Każda niemal szkoła, z początku dość liczna, w ciągu roku uczniów traciła: z powodu poboru do wojska, chorób, zajęć gospodarskich itp. Ubytek bywał dość znaczny, zwłaszcza w połowie lipca. Zdarzały się wypadki, że wizytator znajdował szkołę zupełnie pustą.

W Łucku ze 165, figurujących na liście, w lipcu r. 1789 pozostało 143 „przez rozruchy i udanie się niektórych do wojska". W Ostrogu w tymże czasie ze 155 zapisanych zastał wizytator 102 „przez trwożliwość, by ich do żołnierzy, mianowicie z dorośléjszych, nie brano potajemnie". W Owruczu w połowie lipca r. 1784 rozje-

---

wypada z podzielenia 402+400+377+363+398+480, czyli sumy 2420 przez 6. Cyfry podwójne przedstawiają zmienność liczby uczniów, zależnie od pory roku i innych okoliczności. Do rachunku ogólnego wprowadziliśmy tylko liczby większe. Wypada dodać, że wizytatorowie w notowaniu liczby uczniów nie byli ściśli, ograniczali się przeważnie na cyfrach okrągłych. Stąd dokładność naszego wykazu jest względną.

chali się wszyscy przed zapalczywością palestry; w 1789 poszło do wojska 28, przez co liczba 192 spadła do 164. We Włodzimierzu w r. 1789 z 337 pozostało 259 „przez zaciągnienie się do wojska jednych, a przez odjechanie drugich z powodu trwogi, częścią krwawego na Wołyniu buntu, częścią gwałtownego werbunku“. W szkołach humańskich, w których było zwykle uczniów 300 z górą, w lutym r. 1784 zastał wizytator tylko 234 „dla zabranych stancyi od wojska tu zimującego“. W Lubarze w r. 1784 „z bojaźni rozgłoszonego powietrza przed środopościem wszyscy się rozjechali studenci i niezaraz po wielkiejnocy powrócili“; w połowie lipca 1786 z powodu febry zgniłéj i zajęcia przez Rosyan stancyi na lazaret pozostało uczniów tylko 60. W Winnicy chwiejność liczby uczniów pochodziła z różnicy obrządków religijnych, unici bowiem obchodzili święta według starego kalendarza wbrew przepisom Komisyi. „Że grecki obrządek zachowujący—pisał w r. 1783 Kolendowicz—niebardzo przychylni łacinnikom, przeto rząd tutejszy nie nalega z ukaraniem tak ściśle na wyjeżdżających podczas świąt, aby większéj niechęci nie było okazyi ku Polakom“. W Kamieńcu w lipcu r. 1786 zastał wizytator uczniów tylko 80, w 1788—100, bo „wielu bardzo rozjechało się“; w tym samym miesiącu 1789 znalazł ich 312, przypadł bowiem zjazd obywatelstwa na sejmik. W Kaniowie zastał wizytator w lipcu r. 1784 uczniów 30 zamiast 223, w 1789 tylko 28 z liczby 139. W Barze w lipcu r. 1786 było uczniów 300, a rozjechało się 124, „których nie można było utrzymać już dla chorób, już dla drożyzny zbytecznéj, już na koniec dla następujących robót w polu“. W styczniu r. 1787 zastał wizytator 150 „jedni albowiem chorują po domach, innych zaś miłość rodziców niechce narażać na niebezpieczeństwo“; w kwietniu było 374. Najczęściéj przerywano naukę dla zajęć gospodarskich na Mazowszu i Podlasiu. W Łomży z 402 zapisanych zastał wizytator w lecie r. 1783—150: „jak tylko zaczynają się żniwa, natychmiast uczniowie do prac wiejskich rozchodzą się mimo wszelkie profesorów i przełożonych zakazy“. W Szczucinie i Drohiczynie „możniejsi tylko, niepotrzebujący w domu dzieci swoich do posług“ stosowali się do przepisów Komisyi. Chwalił w r. 1788 wizytator uczniów drohickich, że „przymuszeni na kilka dni oddalać się do domów, przysposobiwszy sobie żywności, powracają bez długiéj zwłoki“. Trafiało się w niektórych miejscach, że uczniowie opuszczali szkołę z powodu niechęci do profesorów lub wstrętu do nauki. Mieli możność rozporządzania swemi osobami, liczyli bowiem w klasach wyższych od 20 do 30 lat życia.

Według opinii Garyckiego najwięcéj było uczniów „kondycyi wiejskiéj, miejskiéj i ubogiéj szlachty, którym okoliczności nie po-

zwalają w domu trzymać dyrektorów". W niektórych szkołach stosunek młodzieży plebejskiéj do szlacheckiéj był dość pokaźny. W r. 1782 było w Rydzynie 44 plebejuszów na 87 uczniów, w Poznaniu 94 na 172, w Kaliszu 96 na 276, w Piotrkowie 64 na 206, w Rawie 53 na 187, w szkołach akademickich w Warszawie 282 na 524; w Drohiczynie w r. 1786 na 250 zaledwie 15.. W r. 1788 prorektor sandomierski doniósł wizytatorowi Krusińskiemu, że „żyd jeden, w Sandomierzu mieszkający, oświadczył się, iżby sobie życzył, aby syn jego chodził do szkół i gdy to bez trudności być nie mogło, prosił przynajmniéj o dyrektora, któryby go w naukach, osobliwie fizycznych, doskonalił". Krusiński fakt ten w raporcie swoim do szkoły głównéj podniósł skwapliwie. „Gdyby zwierzchność—pisał—chęci pomienionego żyda pochwaliła, a przytém obmyśliła sposoby edukowania podług swoich przepisów żydowstwa, możeby w czasie stała się użyteczniejszą ta część ludu". Sprawa odesłaną została do Komisyi, któréj decyzyę zakomunikował zgromadzeniu sandomierskiemu w r. 1789 Muszyński. „Komisya, oznajmił, nie sądzi być przyzwoitém dozwalać żydowi brania instrukcyi w szkołach sandomierskich wraz z dziećmi obywatelskiemi, mimo inne i z tego względu, aby go nie narażać na wzgardę i prześladowanie młodzieży; nie zabrania jednak żadnemu z dyrektorów uczyć go prywatnie, któryby się chciał tego podjąć."

Zapełniająca szkoły młodzież uboższa, trapiona kłopotami materyalnemi, poprzestawała zwykle na nauce klas niższych. Wstępowało do szkoły po 100 i 200 uczniów, a do klasy ostatniéj dochodziło w niektórych 6, 12, najwięcéj 20. Z drugiéj lub trzeciéj klasy wstępowali do zakonu, szukali chleba w palestrze, jako dyrektorowie zajmowali się edukacyą prywatną, pełnili wreszcie funkcyę pisarzów, ekonomów, dozorców itp., nie kwapili się tylko do rzemiosła i handlu. Mnichami zostawało najwięcéj uczniów szkół zakonnych, nie bez namów nauczycieli. W r. 1783 benedyktyni pułtuscy sześciu przyjęli do nowicyatu, „różnemi sposobami ich zachęciwszy". Do palestry ciągnęli tłumami. „Najwięcéj uczniów,—pisał w r. 1787 Garycki—do wolności wzdychających, udaje się do palestry ze szkodą swoją i pokrzywdzeniem edukacyi narodowéj". Z powodu wczesnego opuszczania szkół, nawet w tych grupach społecznych które najobficiéj pochłaniały wychowańców reformy, objawy uzacnienia umysłowego nie mogły być znaczne. „Oto—pisał w r. 1789 rektor wydziału ukraińskiego, ks. Wrzeszcz—już lat 15, jak są polepszone i pomnożone w kraju nauki, a to żadnéj jeszcze znacznéj w tych stronach nie uczyniło ani po palestrach, ani po parochiach dyfferencyi, bo ledwie gdzie na sto trzech liczyć można, którzyby

się zgodnie, przez skończoną edukacyą usposobieni, poświęcili na tę duchowną lub świecką usługę, czy panowanie“.

Wobec dokładnych informacyi wizytatorów trudno było członkom Komisyi stan szkolnictwa i rezultaty reformy widzieć w świetle złudzenia. Faktem było ułomne funkcyonowanie szkoły z powodu braku ludzi i pomocy naukowych; dotkliwie dawała się uczuć reformie walka księży i szlachty. Przewaga edukacyi zakonnéj nad świecką trwała bez przerwy, a liczba uczniów szkół narodowych w porównaniu z dawniejszemi okazała się szczupłą. Klęską było dla reformy usuwanie się od szkół publicznych, w szczególności od akademickich, żywiołów znaczniejszych; przerywanie lekcyi przez młodzież uboższą dla zajęć gospodarskich, wreszcie dezercya uczniów z klas wyższych. Tylu i tak poważnych przeszkód nie zmogła by rychło instytucya, mająca na usługi organa władzy państwowéj; tém trudniéj było złamać je Komisyi, rozporządzającéj ku poparciu swych postanowień jedynie powagą moralną. Zabraniała przez usta wizytatorów surowo używania starych podręczników; niechcącym przyjmować książek elementarnych groziła rezolucyą z 25 marca 1784 pozbawieniem pensyi, oddaleniem z urzędu, zakonnikom zamknięciem szkół,—pomimo tego z alwarów, donatów i gramatyk pijarskich uczono w Trzemesznie w r. 1787, a w wielu szkołach elementarnych bez przerwy. Dyrektor, wypędzony w r. 1784 z Kościana za szkółkę alwarową, naucza w cztery lata późniéj w Lesznie 20 synów szlacheckich i wobec wizytatora „oświadcza się bynajmniéj nie obawiać zwierzchności“. Dyrektor gnieźnieński wizytatorów do szkoły nie wpuszcza, reformaci żuromińscy pomimo zakazu i gróźb ściągali do siebie tłumy młodzieży. Nie skutkowały również zakazy opuszczania przez uczniów szkół przed terminem, oznaczonym przez prawo; chybiały rozporządzenia, mające na celu ograniczenie edukacyi prywatnéj. Na szlachtę działała Komisya perswazyami, usiłowała wykazać jéj wyższość szkół zreformowanych nad dawne; najmocniejsze jednak argumentacye rozbijały się o łacinę, historyę naturalną i wrzekomą nieprawowierność akademików. Nie mogąc uprzedzeń złamać, nie będąc zresztą w stanie dla braku sił uzdolnionych przeprowadzić swego programu w całości, poczęła Komisya cofać się i czynić na rzecz opinii ustępstwa. Najprzód dla braku podręcznika wstrzymała zoologię, a w r. 1787 zaleciła nauczycielom „wielką roztropność w podawaniu niektórych wypisów historyi naturalnéj z książek elementarnych, aby, nie będąc w stanie takowych materyi objaśnić i dobrze wyłożyć, raczéj one opuszczali, niż się wdawali w nieprzyzwoite tłómaczenia, eksponujące naukę“. Nie chciała długo robić ustępstw na korzyść łaciny, lecz w końcu

uległa. „Gdy nieczysta nawet łacina — komunikowali wizytatorowie zgromadzeniom nauczycielskim w r. 1788 — do prawnych interesów i prawnego stanu jest potrzebna, dozwala Prześwietna Komisya w niższych nawet klasach mówienia łacińskim językiem, wyższe tém ściśléj do tego obowiązując“. Dla rozbrojenia opinii nakazała w r. 1789 akademikom świeckim bywać na mszach studenckich i odbywać spowiedzi miesięczne razem z uczniami. Pomimo braku zaufania do zakonów, zwinęła szkołę akademicką toruńską, a otwarła pijarską w Radziejowie; kamieniecką zamierzała oddać dominikanom, rezolucyą zaś z 9 września r. 1790 pozwoliła benedyktynom sieciechowskim prowadzić podwydziałową w Stężycy. „Wkrótce podobno — wyrzekał w liście do Śniadeckiego jeden z najgorętszych zwolenników reformy, ks. Bonifacy Garycki— zobaczymy wszystkie szkoły oddane zakonnikom podług projektu patryotów“ (1).

W trakcie owych ustępstw Komisyi, naród szlachecki w instrukcyach poselskich na sejm r. 1788 zażądał obrócenia dóbr pojezuickich na armię, a oddania wychowania młodzieży zakonom. Zalecał głównie benedyktynów i cystersów, chociaż chciał ich widzieć po nadzorem Komisyi (2). Jednocześnie publicystyka, podniecona wyjątkowością sytuacyi, sprawą szkolnictwa zajęła się żywiéj. Ujawniała ona w téj kwestyi opinie tak różne, jak odmienne były ideały, w imię których wszczął się zatarg pomiędzy społeczeństwem a kierownikami reformy. W odpowiedzi na pytanie, poruszające rdzeń rzeczy: kto ma nauczać? głosy konserwatywne oświadczały się za duchowieństwem, postępowe za profesorami świeckimi. „We wszystkich krajach — pisał autor Poparcia uwag nad życiem Jana Zamoyskiego (1788, str. 127)—staranie kształcenia młodzieży poruczone jest ministrom religii tj. ludziom, niemającym ani woli, ani zdatności do rozwikłania rozumu ludzkiego; osobom, których jest zamiarem światło jego przytłumić, aby nieoświeconych łatwiéj pod swą ujarzmić władzę. Nic ważniejszego dla duchownych, jak ślepe uczniom dla swych mniemań wlać uszanowanie, sposobić ich dla innego świata, dla bogów, albo raczéj dla siebie samych... Księże wychowanie dąży szczególnie do tego, aby upodlić ród ludzki, odjąć mu wszelką sprężystość; mózgi młodociane, przyjmujące każde wrażenie, pomieszać, aby się rozum z czasem nie rozwikłał i nie zrzucił z siebie jarzma przesądów, które go dla społeczeństwa mniéj użytecznym

---

(1) Baliński. Pamiętniki o J. Śniad. II, 110.—(2) Kalinka. Sejm czteroletni. I, 117. Pawiński. Dzieje ziemi kujawskiéj. V, 356.

czynią. Młodzieniec, wychodzący z pod rąk tych poważnych pedagogów, nie wié, czém jest; nie zna, co to ojczyzna, ni co w różnych stanach dla niéj czynić może. Głowa jego nabita tylko układami duchownemi i niepojętemi tajemnicami... Cała nauka jego obyczajna na tém się zasadza, aby mocno wierzył, czego nie pojmuje i mniema, iż najświętszych dopełnił obowiązków, gdy machinalne wykonywa ćwiczenia, do których go od dzieciństwa wprawiano"... Autor pisemka Ź l e i d o b r z e (1788, str. 39) — odgłos szlachty, podejrzywającéj nauczanie świeckie o propagandę libertynizmu — radził szkoły akademickie zamknąć i wychowanie młodzieży wyłącznie powierzyć zakonom. „Za zakony, dowodził, zaręczam, że chętnie bez żądania nagrody przyjmą ten obowiązek, bom z nimi mówił, bo sami nastręczają się". Wychowańcom szkół akademickich zarzucał, że „mniéj mają nauki nietylko w liczbie szkolnych umiejętności, ale i w artykułach wiary, która jest najkardynalniejszym w kraju katolickim fundamentem"...; profesorom, że „tego w młodzież nie wpajają, w czém sami nie są mocnymi i doskonale utwierdzonymi", bo *nemo dat*, *qui non habet*.

Ścieranie się tak odmiennych w kwestyi wychowania opinii znalazło oddźwięk i w sejmie. Na sesyi z 15 czerwca r. 1790 Butrymowicz radził Komisyę zwinąć, a edukacyę powierzyć zakonnikom, mającym obowiązek nauczania bezpłatnie (1). Odpowiedzią na wniosek posła pińskiego, wywołany raczéj przez względy finansowe, niż pedagogiczne, był przedstawiony sejmowi 5 sierpnia r. 1790, wypracowany przez deputacyę do poprawy formy rządu projekt nowéj konstytucyi, w którym szczególne uwzględnienie znalazła reorganizacya Komisyi.

„Pragnąc troskliwość naszę o trwałe rządu wolnego utrzymanie i o szczęśliwość całego narodu—opiéwa wstęp do projektu — wpoić w umysły wszystkich obywatelów; za najskuteczniejszy do tego sposób uznajemy być jednostajne młodzi obywatelskiéj wychowanie i ćwiczenie, zgodne zupełnie z konstytucyą wolnego rządu. Na ten koniec ustanawiamy Komisyą edukacyjną, któréj celem najistotniejszym być powinno, żeby młodzież obywatelską przez jednostajną edukacyą i instrukcyą sposobiła na obywatelów, kochających swobody narodu, troskliwych o ich całość, zdolnych do pełnienia wszelkich obowiązków, aby tegoż samego ducha wolności i miłości ojczyzny najodleglejszym podawała pokoleniom". Oddaje pod nadzór Komisyi wszystkie majątki edukacyjne, założone kosztem Rzeczypospolitéj biblioteki, wszelkiego gatunku szkoły publiczne

(1) Korzon l. c. IV, część 2, str. 183.

świeckie i zakonne, katolickie i innych wyznań, bez względu na to, z jakiego będą utrzymywane funduszu, niemniéj nauczycieli i uczniów. Dla utrzymania jednostajności instrukcyi, całości funduszu edukacyjnego i subordynacyi ciała nauczycielskiego przelewają się na Komisyę wszelkie prawa i przywileje, jakie kiedykolwiek nadane były przez królów lub papieżów szkołom głównym w Koronie i Litwie. Posiadać będzie wyłączne prawo przepisywania instrukcyi nawet w seminaryach dyecezyalnych i nowicyatach zakonnych, z wyjątkiem tylko nauk teologicznych; w szkołach dysydenckich i dyzunickich, bez mieszania się przecież do artykułów wiary i obrządków, „aby różność opinii tolerowana nie psuła w niczém jednostajności ducha obywatelskiego i przywiązania do konstytucyi rządowéj“. „Bez wiadomości i zezwolenia Komisyi nie będzie odtąd wolno żadnéj szkoły publicznéj pod jakimkolwiekbądź nazwiskiem erygować i utrzymywać. Gdyby kto ważył się najmniejszą szkółkę lub pensyą bez wiadomości Komisyi utrzymywać,—Komisya zamknąć ją może i zupełnie zakazać, a nieposłusznych podług władzy sobie nadanéj ukarać“. Dla egzekucyi rozporządzeń po województwach, ziemiach, powiatach i miastach wzywać może pomocy komisyi porządkowych i organów ministeryum policyi; posiadać téż będzie jurysdykcyę zarówno w sprawach karności szkolnéj, jak i powierzonych jéj opiece funduszów.

Wbrew przeto instrukcyom poselskim z r. 1788, nawoływaniom publicystyki konserwatywnéj i wnioskowi finansowemu Butrymowicza deputacya atrybucye Komisyi pragnęła rozszerzyć, dla zmuszenia zaś obywateli do kształcenia synów w szkołach publicznych w projekcie: „Stopnie i warunki urzędów w Rzeczypospolitéj“ tych tylko dopuszczała do funkcyi państwowych, poselstwa na sejm, godności biskupiéj i t. p., którzy przedstawią świadectwa rektorów szkół głównych, jako posiadają stopnie doktorskie lub przeszli zupełny kurs nauk. Nauczycielstwo stawiała deputacya narówni z innemi posługami publicznemi i poniewieranym przez ogół konserwatywny „lokajom“ otwiérała drogę do wszelkich w państwie zaszczytów. „Ponieważ w stanie nauczycielskim najdują się osoby duchowne i świeckie, które do pewnego tylko czasu pracują lub urzędami nauczycielskiemi zatrudniać się zwykły, a po ich odbyciu wracają się do spoczynku lub inne sposoby życia przedsiębiorą; przeto, chcąc zachęcić wszystkich nauczycielów i przełożonych nad nauczycielami do jak najdłuższego swych obowiązków pełnienia, stopnie, zasługi i promocye w stanie nauczycielskim z stopniami innych obywatelskich zasług tak porównywamy: Nauczyciele, w szkołach wydziałowych lub podwydziałowych pracujący, równi

są w zasługach urzędnikom powiatowym i po odbytych przez lat 10 pracach profesorskich są *capaces* do tych samych stopniów, co i urzędnicy powiatowi. Przełożeni nad nauczycielami w województwach równi są w zasługach urzędnikom wojewódzkim i po skończonym czasie urzędowania swego są *capaces* do tych stopniów, co i urzędnicy wojewódzcy. Nauczyciele *in universitatibus* i w równym z nimi stopniu pracujący równi są w zasługach pracującym na urzędach i funkcyach prowincyonalnych i którzyby pilnie przez lat 6 w tychże szkołach głównych prace swoje odbyli, są *capaces* tych samych stopniów, które się należą obywatelom po odbytych urzędach lub funkcyach prowincyonalnych. Rektorowie szkół głównych równi są w zasługach pracującym na urzędach Rzeczypospolitéj i po skończonym czasie urzędowania swego są *capaces* tych stopni, które się należą sekretarzom, referendarzom i pisarzom obojga narodów".

Projekt deputacyi, w któréj zasiadali członkowie Komisyi edukacyjnéj: Ignacy Potocki i Joachim Chreptowicz, układany był pod wrażeniem niepowodzeń, jakich doświadczała reforma: miał na celu złamanie knowań żywiołów zachowawczych, zapewnienie zwycięstwa kierunkowi nauczania świeckiego. Że był rękawicą, rzuconą malkontentom, wywołać przeto musiał wzburzenie. Jakoż wybuchło rychło na sejmikach, zwołanych dla obioru nowego kompletu posłów; ujawniło się w instrukcyach obywatelskich, w sejmie i publicystyce. Splątały się z niém współczesne zabiegi ex-jezuitów około wskrzeszenia zakonu, co zainteresowanie obudziło nawet w rządach państw obcych.

Starsi ex-jezuici, jako wysłużeni, pobiérali z kasy Komisyi edukacyjnéj pensye emerytalne i zamieszkiwali przy szkołach; młodzi pracowali w zawodzie profesorskim, niektórzy uprawiali nauczanie pokątne. Wskrzeszali tu i ówdzie uroczystości jezuickie, w Warszawie w kościele św. Benona obchodzili corocznie z wystawą fest fundatora swego zakonu, agitowali wreszcie na niekorzyść reformy szkolnéj, nie zdradzali jednak publicznie widoków na ponowne ujęcie wychowania młodzieży w swe ręce przez wskrzeszenie zakonu. Jeden Łuskina, niezmordowanie walcząc w gazecie swojéj z cieniami Pombala, wiary w przywrócenie zakonu nie tail i on to był inicyatorem zbiorowego wystąpienie jezuitów w r. 1790. Ponieważ reprezentanci narodu z zasady wywracali instytucye, powstałe podczas sejmu-delegacyjnego: można było żywić nadzieję, że się skłonni okażą do wskrzeszenia zakonu, wywróconego temi samemi rękami, które splamiły się podpisaniem rozbioru, utworzeniem Rady nieustającéj i przyjęciem gwarancyi.

W takich widokach, właśnie podczas wzburzenia, jakie wywołały w szlachcie rozesłane po kraju projekta deputacyi do poprawy formy rządu, dołączył Łuskina do Gazety warszawskiéj z 10 listopada kartkę *in 4-o*, zatytułowaną: Ofiara ex-jezuitów z własnych swych osób dla Rzeczypospolitéy uczyniona roku 1790 z godłem: *Religioni et bonis artibus!* treści następującéj:

„Ponieważ naród nasz polski (Bogu i dzisiejszym skonfederowanym stanom dzięki), do tak świetnego stanu przychodzący, między walnemi i ważnemi dla dobra pospolitego rzeczami i to téż w publicznych drukowanych pismach umieścił: „czyli kraj i województwa nie życzą sobie, żeby Rzeczpospolita wstawiła się do Rzymu o powrócenie zakonu jezuickiego do edukacyi tak potrzebnéj w tym właśnie coraz psującym się wieku naszym?" — przeto żyjące jeszcze w znacznéj liczbie osoby niegdy jezuickie, do dawnego swego powołania i do dawnych ojczyźnie swojéj usług statecznie od tylu lat tęskniące, z szczerą swą ochotą odzywają się; a zdawna już (na rozkaz rzymskiego breve i naszego sejmu delegacyjnego) oddawszy wszystkie swe dobra, wszystkie summy, wszystkie swe kościoły i własne nawet domy, niosą teraz to na ofiarę dla miłéj swéj ojczyzny, co im jedynie tylko pozostało tj. własne swe osoby. Gdy w r. 1773 podczas sejmu delegacyjnego nadeszło papieskie breve, kasujące zakon jezuicki, zaraz jezuici, w naszych krajach zostający, chcąc utrzymać się tak przy swojém powołaniu, jako i przy swych dawnych więcéj niż od 200 lat około zaszczepiania w młodzieży obyczajów i nauk pilnie łożonych pracach, dobrowolnie sami przez usta rektora podówczas jezuickiego kolegium warszawskiego (który żyje jeszcze dotychczas w Warszawie) oddawali wszystkie swe dobra, wszystkie summy i cały zgoła swój majątek, aby tylko pomienione breve nie było w Polsce do skutku przyprowadzone; przestając na samych tylko jakichkolwiek dla siebie pensyach, a wreszcie i o pensye nie nalegając, a spuszczając się na boską opatrzność i na łaskawą względność obywatelów, zwłaszcza tych, których młodemu potomstwu usługi swe w szkołach ciż jezuici poświęcać zwykli; na téj albowiem boskiéj opatrzności i na obywatelów względności i dawni pierwsi ich ojcowie (lubo zagraniczni i nieznajomi) nie zawiedli się, gdy, bez żadnego majątku przybywszy do Polski, we wszystko od rozmaitych obywatelów hojnie opatrzeni byli. Lecz w téj swojéj prośbie i ofierze podczas sejmu delegacyjnego nie byli jezuici wysłuchani i za przyjęciem papieskiego breve (lat temu 17) rozproszeni zostali. Przez te 17 lat wielu ex-jezuitów umarło, wielu inny sobie stan obrało; jest

atoli znaczna jeszcze ich cząstka, która w dawnéj swojéj wyżéj namienionéj chęci trwa dotychczas i byleby ojciec św. za wstawieniem się najjaśniejszéj skofederowanéj teraz Rzeczypospolitéj naszéj przywrócić raczył do Polski zakon jezuicki, gotowa jest prace swe rozpocząć w kościołach i szkołach, nie żądając żadnego im oddania dawnych ich dóbr, ani kapitałów, ani jakiegokolwiek majątku, nie nalegając nawet o wyznaczenie pensyi, ale (jak się wyżéj rzekło) spuszczając się na boską opatrzność i na względność tych obywatelów, którzy patrząc na ich kościelne i szkolne prace, osądzą łacno, czy wspomożenia są godne. Na tańszy kontrakt (którzy ani ze skarbu publicznego, ani od obywatelów o nic koniecznie nie domagają się) trudno podobno znaleść kościelnych pracowników i szkolnych nauczycielów; jeśli zaś do tego są zdatni, dali już tego dowód przez dwa i więcéj całe wieki. Upadł ten zakon w Polsce (mimo żądań większéj daleko części polskiego narodu) podczas największego samejże Rzeczypospolitéj upadku i krajów jéj zaboru; gdy teraz taż Rzeczpospolita tak chwalebnie za zbawiennemi stanów skonfederowanych radami powstaje, może i ten upadły u siebie zakon dla dobra powszechnego podźwignąć".

Odezwa Łuskiny dołączona została do gazety na tydzień przed sejmikami, zwołanemi dla obioru nowego kompletu posłów, wydrukowaną jednak i rozpowszechnianą była wcześniéj. Oferta exjezuitów wydała się szlachcie zarówno pod względem finansowym, jak pedagogicznym nieocenioną: bezpłatne nauczanie przez zakonników otwarłoby możność obrócenia funduszów edukacyjnych na wystawienie armii, wyzwoliłoby jednocześnie szkołę z pod wpływu libertynizmu akademików krakowskich. Zaatakowała przeto w instrukcyach poselskich projekta deputacyi do poprawy formy rządu i dotychczasową działalność Komisyi, żądała oddania wychowania młodzieży zakonnikom wogóle, w szczególności jezuitom, o których przywrócenie zalecała przedsięwziąść starania w Rzymie. Domagała się przedewszystkiém ograniczenia dotychczasowych atrybucyi Komisyi przez powierzenie zarządu dóbr i summ pojezuickich instytucyom skarbowym i pozbawienie jéj jurysdykcyi nad dzierżawcami i dłużnikami funduszu edukacyjnego. Rozdrażnienie względem projektów deputacyi najmocniéj wyraziło województwo wołyńskie. „Że projekta rządowe do téj podnoszą powagi zgromadzenia edukacyi krajowéj, że aż do sądzenia cywilnych zasług w ojczyźnie wdawać się pozwalają, do urzędów ziemiańskich podnoszą i nie już nad dziećmi, lecz nad ojcami dają władzę, inne dla niéj upatrują przywileje i zgromadzenie to do istności osobnego w ojczyźnie stanu podnoszą, — przeto JOO. JWW. posłowie tym

wszystkim przywilejom całą mocą przeciwić się będą, zostawując szczególnie dozór edukacyi bez żadnego wpływu do rządu krajowego"... Instrukcye wielu województw i ziem, ganiąc działalność pedagogiczną Komisyi, żądały wskrzeszenia jezuitów i prawa nauczania dla zgromadzeń zakonnych.

Ziemia dobrzyńska na sejmiku 16 listopada w Lipnie zobowiązywała swych posłów do wyjednania bernardynom pozwolenia na prowadzenie szkół w Skępem, w sprawie zaś jezuitów umieściła w instrukcyi punkt następujący: „Gdy przez utratę xx. jezuitów wiele kraj nasz szkodować zdaje się, którzy, wpajając w młodzież ducha religii, rozumnych i zdatnych do usług ojczyzny przez danie przyzwoitéj edukacyi dawniéj wystawiali mężów; przeto JW. posłowie stanów Rzeczypospolitéj prosić będą, aby te, udawszy się do ojca św., zakon ten jezuitów być przywróconym wyjednały, którzyby, kontentując się acz małym funduszem przez stany Rzeczypospolitéj obmyśléć mianym, szkoły dla edukacyi młodzieży rozpoczęli" (1).

Szlachta województw: brzesko-kujawskiego i inowrocławskiego na sejmiku radziejowskim 16 listopada takie uchwaliła żądanie: „Komisya edukacyjna aby szczególnie dozorem nad edukacyą tj. nad ustanowieniem nauczycielów i ich dozorców, egzaminami młodzieży zatrudniała się i moc do wglądania w zdatności uczących, w grunt ich religii rzymskiéj katolickiéj i obyczajów ku zbudowaniu młodzieży, nie zaś zgorszeniu ich mieć powinnych, tych wykroczenia sądząc i karząc, a dobrze sprawujących się promowując nauczycielów, powierzoną miała; a że doświadczyliśmy, iż dotąd przez tęż Komisyę edukacyjną nieużyteczni nauczyciele, mianowicie świeckie osoby byli obmyślani,—obowiązujemy JJWW. posłów, aby się starali, iżby Rzeczpospolita wstawiła się do Rzymu o powrócenie zakonu jezuickiego do edukacyi tak potrzebnéj w tym właśnie coraz psującym się wieku naszym" (2).

Instrukcya województwa lubelskiego z 19 listopada zalecała: „O przywrócenie Ichmość xięży jezuitów do edukacyi młodzi aby Rzeczpospolita u stolicy apostolskiéj dopraszała się, JOO.WW. posłowie Rzeczypospolitéj potrzebę końcem ufundowania świętéj religii jak najgoręcéj przełożą; nim zaś nastąpi przywrócenie zakonu jezuickiego, tak dla wpojenia religii katolickiéj w młodzież krajową, jak i dla expensy... przyzwoicie byłoby, aby dwóch pierwszych klas zakonnicy nauczycielami byli".

---

(1) Lauda sejmików ziemi dobrzyńskiéj (*Acta historica* t. X). Kraków, 1887, str. 400.—(2) Pawiński l. c. V, 376.

Szlachta ziemi warszawskiéj rozkazywała swym posłom: „Kiedy wiele zakonów w krajach Rzeczypospolitéj, jedne z obowiązków swojéj instytucyi do edukacyi młodzieży szlacheckiéj obowiązani, istotnie swemu dosyć nie czynią obowiązkowi; drugie do otworzenia szkół pomimo swego *institutum* ochotę okazują, — przeto starannością będzie JWW. ziemi naszéj posłów prawem obostrzyć uskutecznienie téj instytucyi, a oraz innym zakonom otworzenia szkół publicznych na dawny sposób edukacyi, zniósłszy konwikta wszelkie, dozwolić i pod dozór Komisyi edukacyjnéj poddać, która aby samym tylko dozorem edukacyi młodzieży jak najdoskonaléj zatrudniała się"...

Województwo wołyńskie domagało się: „By expens oszczędna być mogła i obywatele krajowi, w zakonach będący, Rzeczypospolitéj użytecznymi byli i aby niedostatek nauczycielów, coraz więcéj wydający się, nie pozbawił kraju edukacyi młodzieży: aby prawidła religii w młodzież naszą doskonaléj wrażone być mogły, starać się będą JOO. JWW. posłowie, aby zakony *respective* według sposobności każdego do uczenia szkół w miejscach swoich zgromadzeń pod dozorem i dyrekcyą Komisyi edukacyjnéj użyte zostały". Przeciwne było dozorowi Komisyi nad seminaryami i nowicyatami zakonnemi, które znajdować się powinny pod kontrolą biskupów.

Instrukcya województwa bracławskiego żądała, aby konwentom i klasztorom nie wzbraniano uczenia, pod dozorem jednak Komisyi (1).

Niemal ogół instrukcyi poselskich oświadczył się przeciwko Komisyi, a za nauczaniem przez księży. „Prawie we wszystkich instrukcyach —pisał Stanisław August do Bukatego 24 listopada — są punkta, mniéj lub więcéj uszkadzające Komisyą edukacyjną. Są tego dwie przyczyny: jedna, że w projekcie reformy rządu wsunięto wyraz, że zaleta rektorów młodym obywatelom (dana) będzie służyła do promocyi. Z téj myśli, w sobie dobréj, dziwne formowała sobie konsekwencye ta wieloliczność, która tą razą dyktowała instrukcye, ponieważ kandydaci do poselstwa na wszystko pozwalali, byle sobie upewnić kréski... Druga przyczyna pocisków na Komisyę edukacyjną jest ta, że ksiądz Łuskina przed kilką dniami przytoczył do gazet osobny kartelusz, w którym oświadcza, że ex-jezuici polscy (byle ich zakon był wznowiony) będą uczyć w szkołach bez żadnéj pensyi, spuszczając się na opatrzność i dobrodziejów. Ksiądz Łuskina dobrze wiedział, że ani zakon jezuicki nie będzie

(1) Instrukcye województw: lubelskiego, wołyńskiego, bracławskiego i ziemi warszawskiéj podajemy z rękopisów archiwum hr. Potockiego w Rosi.

wskrzeszony i że w całéj Polsce nie znalazłby i dziesięciu ex-jezuitów, którzyby się podjęli darmo uczyć; ale ten kartelusz pomógł wszystkim zakonom, jeszcze będącym, a bojącym się, aby tu nie nabrano gustu do skasowania ich, jak we Francyi, że podchlebili tejże sejmikowéj wielolicznośći, mówiąc: że dobrze będzie zabrać na skarb półtora miliona intraty edukacyjnéj, a dzieci darmo uczyć przez bernardynów i franciszkanów. Ta rzecz niewypowiedzianie mnie martwi, bo niezmierną chyba pracą i osobliwém szczęściem potrafię odwrócić ten zamach, grożący narodowi naszemu pogrążeniem nanowo w barbarzyńską ciemnotę" (1). Nuncyusz, przesyłając kardynałowi sekretarzowi stanu kopie instrukcyi niektórych województw wraz z odezwą Łuskiny, wyrażał z początku wątpliwość, czy da się przeszkodzić uchwaleniu przez sejm prośby do papieża o przywrócenie jezuitów. Po upływie miesiąca nabrał otuchy: w połowie grudnia donosił do Rzymu, że myśl przywrócenia jezuitów napotka opór w stronnictwie patryotycznem, że ma nadzieję przy pomocy posła hiszpańskiego wpłynąć na wytworzenie silnéj opozycyi. Nie rozpaczano i w Rzymie: kardynał sekretarz stanu zawiadamiał nuncyusza 5 lutego r. 1791, że autorowie projektu wskrzeszenia zakonu rozstać się muszą ze swemi zamiarami, nietylko dla nieprzełamanych przeszkód ze strony mocarstw zagranicznych, lecz i ze względów lokalnych: politycznych, narodowych i ekonomicznych (2). Innego byli mniemania ex-jezuici, chociaż ani na Stanisława Augusta, ani na u steru będące stronnictwo patryotyczne liczyć nie mogli.

Rychło po sejmikach r. 1790 nadeszły do kraju wieści o odbytéj 28 listopada pod Frankfurtem tajemnéj konferencyi jezuitów zagranicznych, o rozesłaniu w sprawie wskrzeszenia zakonu agentów do różnych miast europejskich, pomiędzy innemi i do Połocka (3). W sejmie i czasopismach odezwano się o tych zabiegach niechętnie, z powodu czego Łuskina wystąpił znowu do walki. *Gazeta narodowa i obca*, zdając sprawę z sesyi sejmowéj 18 stycznia r. 1791, przytoczyła słowa jednego z posłów: „z Francyi wypędzono jezuitów za to, że rezonowali w materyi, prawem pisaném i prawem natury zabronionéj, wpajając tę maksymę, iż wolno jest każdemu króla tyrana zabić". Łuskina opinię owego posła zbijał w piśmie swojém szeroko, dołączył nawet bezpłatnie kartkę, zatytułowaną: *Mowa czyli odpowiedź Henryka Wielkiego króla francuskiego, przywraca-*

(1) Kalinka. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. Poznań, 1868. II. 164.— (2) Historya zniesienia jezuitów. II, 89, 92. —(3) Gazeta narodowa i obca z r. 1791; Nr. 6.

jącego do Francyi zakon jezuicki, dana parlamentowi paryskiemu, sprzeciwiającemu się temuż przywróceniu jezuickiemu" (1). *Z* okazyi podanéj przez Gazetę narodą i obcą wiadomości o konferencyach jezuitów niemieckich, Łuskina z właściwą sobie jowialnością kruszył kopię z jéj redaktorami, nie tając, na przekór przeciwnikom, wiary w rychłe przywrócenie zakonu. „W gazetach zagranicznych — pisał na początku lutego — był jeden artykuł z Frankfurtu, że się jezuici w krajach niemieckich o swe przywrócenie krzątają; a drugi był oddzielny artykuł z Paryża, że zamysł Anglików w narobionych guzikach milionowych dla Francuzów cale nie udał się. Tutejsze pewne drukowane pismo, d. 19 stycznia wyszłe, Paryż z Frankfurtem złączywszy, oba owe artykuły w jeden zlało na pokazanie (jak łacno się można domyśléć), że tak się krzątanie jezuickie nie uda, jak nie udał się zamysł Anglików względem guzików dla Francuzów zrobionych. Niemieccy ex-jezuici powinni ten żart grzecznie przyjąć, przynajmniéj dla tego, że zamiast ex-jezuitów nazwano ich (jak wieszczym duchem) już jezuitami. Ale czy grzecznie to przyjmie geografia, która tym mniéj ostrożnie zlanym w jedno artykułem obrażoną została?" (2).

Nareszcie na sesyi sejmowéj 16 czerwca wystąpił w sprawie jezuitów z mową obszerną kasztelan łęczycki, Tadeusz Lipski. Syn jego, Rafał, umarł w r. 1782 w nowicyacie połockim; siostra, starościna bialska Żabina, znana protektorka jezuitów, za duszę Czerniewicza zakupywała po różnych kościołach egzekwie i wielkie ojcom biało-ruskim świadczyła łaski (3). Sam kasztelan, człek wykształcony, niegdy współpracownik *Monitora*, jezuitów poważał i dał się nakłonić do wystąpienia w ich sprawie na sejmie. Skażenie obyczajów, upadek cnót chrześciańskich i obywatelskich przypisywał Lipski w swym głosie kasacie jezuitów. Czuje brak ich świat cały, coraz bardziéj pogrążający się w zepsuciu. Nigdyby Francya nie doszła do katastrofy rewolucyi, gdyby istnieli jezuici. Żałuje ich Polska, skoro województwa, ziemie i powiaty zaleciły swym posłom, aby Rzeczpospolita upraszała papieża o przywrócenie zakonu; starać się trzeba o nie, témbardziéj, że licznie jeszcze żyjący ex-jezuici ofiarują narodowi usługi swoje, nie domagając się zwrotu majątków, nie nalegając nawet o pensye. Błagał w końcu króla o wstawienie się wraz ze stanami do Rzymu. „Za przywróceniem zakonu tego, kończył, będziesz miał naród coraz więcéj

(1) Gazeta warszawska z 26 stycznia r. 1791. — (2) Taż z 2 lutego r. 1791. — (3) Taż z 24 sierpnia r. 1785.

obyczajniejszy i cnotliwszy, a tém samém królowi swemu przychylniejszy. Bo widzimy na dzisiejszych Francuzach, którzy zawsze mieli swego króla w najwyższém uszanowaniu; jak tylko w religii i cnotach chrześciańskich ostygli, mają go teraz za swego niewolnika". Król, wezwawszy do tronu ministeryum, z okazyi głosu Lipskiego na téjże sesyi oświadczył: „Nikt więcéj nademnie ani szacunku dla tego zakonu jezuickiego, ani z utraty onego żalu nie uczuł i gdyby głos mój na sejmie delegacyjnym r. 1773 był słuchany, możeby nigdy do tego nie było przyszło; ale wtenczas słuchany nie byłem. Dziś zaś o to czynić starania próżnąby było rzeczą i tylkoby zmartwienia ojcu św. stało się przyczyną, który bez zezwolenia i wielkiego narażenia się dworowi hiszpańskiemu tegoby uczynić nie mógł; a że dwór hiszpański na to nie zezwoli, zapewne i wielu tu będącym wiadome dowody, gdyż przed rokiem i dwoma laty, kiedy tylko tu wzmianki, nie w sejmie, ale potocznie czynione były względem jezuitów, aby o ich przywrócenie starano się, zaraz ojcu św. w Rzymie od dworu hiszpańskiego czynione były reprezentacye, ażeby takowych żądań nie uskuteczniał, o czém ojciec św. przez swojego nuncyusza czynił do mnie uwiadomienia... Myślmy raczéj o tém, ażeby te zakony, które są w państwach Rzeczypospolitéj, uczynić sposobnymi i użytecznymi do sposobienia młodzieży i w naukach i w obyczajności, o co téż same zakony zanoszą prośby". Pomimo wyrażonéj przez króla wątpliwości w możliwość przywrócenia zakonu, podany przez kasztelana projekt do konstytucyi, mającéj postanowić wysłanie do Rzymu poselstwa, był odczytany i wzięty został do deliberacyi.

Nuncyusz tego samego dnia jeszcze dziękował Stanisławowi Augustowi, że przemową swoją oszczędził papieżowi kłopotu, o jakiby go przyprawiła projektowana prośba; że, oświadczając się uroczyście za uległością dla wyroków głowy kościoła, nałożył wędzidło tym, którzy się noszą z zamiarami, przeciwnemi uczuciom religijnym, wyrażonym przez niego. Kardynał sekretarz stanu w trzech depeszach: z 9, 16 i 30 lipca nalegał na nuncyusza, aby „nie przychodziło mu z ciężkością powtórzyć raz jeszcze i to z wyraźnego rozkazu ojca św." podziękowania królowi, „gdyż samo podanie prośby byłoby nas wepchnęło w morze goryczy" (1).

Tymczasem Łuskina w gazecie z 18 czerwca zdawał obszerną z owéj sesyi sejmowéj relacyę, przyczém zaznaczył, że się to stało „w dzień św. Franciszka *regis* zakonu jezuickiego"; do numeru

(1) Historya zniesienia jezuitów. II, 97.

z 22 tegoż miesiąca dołączył tekst mowy (1) bezpłatnie. Gdy wychodzący w Warszawie *Journal hebdomadaire de la diète* z okazyi głosu Lipskiego zaznaczył, że jezuici mącili spokój największych mocarstw, że w szkołach uczyli łaciny tylko i samych „dystynkcyi",—Łuskina zarzuty odpierał, nie szczędząc docinków. „Jeżeli jezuici, pisał, uczyli o dystynkcyach, trzeba ich przywrócić dla tego samego, aby nauczyli autora tegoż zuchwałego w obcym języku pisma, jak ma czynić dystynkcyę między rzeczami i osobami. Oto panujący dziś nasz monarcha Stanisław August kazał bić złote medale dla osób jezuickich (które jeszcze żyją, a jeden z nich siedzi w senacie między biskupami) za pilne i doskonałe wychowanie młodzieży w naukach! oto tenże mądry monarcha na sesyi sejmowéj niedawno powtórzył szacunek swój ku temu zakonowi, oraz żal z jego zniesienia! Oto cały prawie naród polski w swych posłom danych instrukcyach, czując wielką dla siebie stratę przez skasowanie tegoż zakonu jezuickiego, uprasza o jego przywrócenie! A tymczasem jakiś z obcych krajów do Polski przybylec (który może jezuitów i ich nauk w Polsce ani widział) odważa się z zuchwałą śmiałością przytłumić głos monarchy i całego polskiego narodu, oraz z swojém przeciwném zdaniem śmié nad wszystkich wylatywać" (2). Gdy w jednym z numerów późniejszych *Journal hebdomadaire de la diète* projektowany kościół Opatrzności boskiéj nazwał świątynią, w któréj ludzie wszelkich wyznań składać będą dzięki najwyższemu Jestestwu,—Łuskina znowu przypomniał ową „dystynkcyę". „Pisząc on w języku francuskim dyaryusz sejmu polskiego, przymieszał coś należącego do dyaryusza raczéj sejmu francuskiego. Trzeba więc przywrócić jezuitów, ażeby tego autora nauczyli dystynkcyi, jak ma dystyngwować sejm polski od sejmu francuskiego, oraz jak nielekko ma ważyć włożoną potwarz nietylko już na zakon jezuicki, ale nawet na sejmujące stany polskie" (3)...

Ujmowali jednocześnie ex-jezuici opinią zapomocą nabożeństw dorocznych i kazań. 31 lipca obchodziła kongregacya niemiecka w kościele pojezuickim ś. Benona fest ś. Ignacego Lojoli z wielką wystawą. Wobec licznie zebranéj publiczności głosili ex-jezuici kazania rano i na nieszporach na tekst ewangelii: „Żniwo zaiste wielkie, ale robotników mało. Proście
ż więc Pana żniwa, aby wy-

---

(1) Głos Jaśnie Wielmożnego Imci Pana Tadeusza z Lipego Lipskiego kasztelana łęczyckiego, kawalera orderu orła białego, na sesyi sejmowéj d. 16 miesiąca czerwca 1791 miany o wstawienie się sejmującéj Rzeczypospolitéj do ojca ś. aby zakon jezuicki był do Polski przywrócony. 4⁰ kart dwie. — (2) Gazeta warszawska z 25 czerwca r. 1791. (3) Taż z 29 czerwca r. 1791.

słał robotniki na żniwo swoje". Rzucali gromy na zepsucie obyczajów i niereligijność, robili aluzye w materyi przywrócenia zakonu. Łuskina, zdając sprawę z festu ś. Ignacego, na temat tekstu ewangelii dołączył własny argument. „Jeżeli i dziś w kościele bożym żniwo, jest wielkie, a robotników mało: oto dawni synowie Ignacego, lubo od téj roboty od 18 już lat odprawieni i rozproszeni, sami dobrowolnie (nawet bez żadnéj zmowy i zapłaty) ofiarują się i wpraszają się. Trzeba tylko prosić Pana tego żniwa, ażeby im pracować pozwolił" (1)..

Nie tracił Łuskina fantazyi nawet wobec protestu dworów zagranicznych przeciwko projektom szlachty polskiéj względem przywrócenia zakonu. W lipcu r. 1791 kardynał sekretarz stanu, oraz posłowie: hiszpański, portugalski i sardyński w notach do ministra królewskiego i Rzeczypospolitéj w Rzymie, margrabiego Antici, oświadczyli w imieniu dworów swoich wdzięczność Stanisławowi Augustowi za odpowiedź jego na sesyi sejmowéj 16 czerwca w sprawie wniosku Lipskiego. Łuskina wziął z tego asumpt do obszernego artykułu, w którym dworom dawał admonicyę, a do Stanisława Augusta i Rzeczypospolitéj się wdzięczył. „Jeżeli, pisał, wyrazy mądrego i sprawiedliwego monarchy, pokazujące jak wielki szacunek, tak wielką potrzebę zakonu jezuickiego, nie obraziły dworów, iż bez żadnéj ekscepcyi i bez zażalenia czynią temuż monarsze polskiemu podziękowanie: znakiem jest, że inaczéj już teraz sądzą o tym, tak srogo prześladowanym u siebie niegdy zakonie; jakoż czas już, żeby się postrzegły, widząc, co się po rozproszeniu tego zakonu na świecie dzieje, mianowicie w nieszczęśliwém królestwie francuskiém. Słuszna i sprawiedliwa monarchy polskiego była uwaga, ażeby ojcu św. przykrości nie zadawać; to téż wszystkie prawie województwa, ziemie i powiaty, wpadając w myśl swego króla, nie zalecały swym posłom przymuszać groźbą jakąkolwiek papieża, ale go tylko najuprzejmiéj prosić; prośba zaś nikogo obrażać nie powinna, gdyż inaczéj żadnego monarchy ni o co prosić nie godziłoby się. Dziwna téż rzecz, że w ten właśnie czas, gdy stany sejmujące polskie z tak wielką dla siebie przed całą Europą sławą przyprowadziły swą ojczyznę do niepodległości najbliższym nawet i najsilniejszym mocarstwom; w ten mówię czas odległe i mniéj straszne dwory chcą do rządu polskiego mieszać się, a to jeszcze w téj nawet tak partykularnéj materyi, kto ma po miastach i miasteczkach polskich w szkołach dzieci uczyć? jakiéj subiekcyi Polska wtenczas nawet nie dozwalała, gdy w największéj sąsiedzkiéj

(1) Gazeta warsz. z 6 sierpnia r. 1791.

podległości jęczała. Pomyśliłby pewnie naród polski, że jeżeli stany sejmujące na grzeczne tylko dalekich dworów bilety odrzucają żądania swych województw, ziem i powiatów, więc gdy ościenne potężne mocarstwa odezwą się o co skuteczniéj i mocniéj, niż przez ceremonialne bilety, odrzeką się może i całéj nowéj konstytucyi. Stany więc sejmujące za żądaniem swych województw, ziem i powiatów, nie zaś za wolą owych obcych i dalekich dworów, raczéj zapewne pójdą, zwłaszcza, iż to rzecz jest pewna i autentycznemi dowodami jawna, iż nikt bardziéj, jak dzisiejszy ojciec św. nie żąda powrotu zakonu jezuickiego i uprzątnienia przeszkód od dworów. Nabył już sobie nieśmiertelną sławę Stanisław August w przełamaniu od wieków zasadzanych przeszkód domowych; nie omieszka pewnie otrzymać sobie tę przed całym światem chwałę, iż najpierwszy z swém królestwem przybędzie na pomoc ojcu św., upraszając o przywrócenie zakonu jezuickiego, we wszystkich państwach powszechnie żądanego“ (1).

Nadzieje ex-rektora podzielali jego koledzy. Kursowała po kraju zmarłego we wrześniu r. 1791 ostatniego („tą razą“ według Łuskiny) prowincyała mazowieckiego, ks. Kazimierza Sobolewskiego przepowiednia, że „jak za Zygmunta Augusta ostatniego sukcesyjnego króla byli jezuici do Polski wprowadzeni, tak za Stanisława Augusta ostatniego elekcyjnego będą wskrzeszeni“ (2).

Charakterystycznie w całéj téj sprawie manifestował Łuskina swój zapał patryotyczny, a ignorowanie Fryderyka i Katarzyny, dla których tyle po roku 1773 wygłosił uwielbień. Podczas wojny roku 1792 nagle do panującego na sejmie wielkim stronnictwa umizgać się przestał. Z goryczą wyrzekał na niewdzięczność kraju względem zakonu i w powodzenie oręża polskiego bez współudziału moralnego jezuitów nie wierzył (3). Tryumfy konfederacyi targowickiej pchnęły go do otwartej walki przeciwko stronnictwu patryotycznemu. Na drugi dzień po akcesie króla *Gazetę narodową i obcą*, że ogłosiła wymierzoną przeciwko Szczęsnemu Potockiemu satyrę, wyłajał. Jednocześnie strofował dozorcę drukarni za nieprzychylne o jezuitach odezwy, polemizował z tegoż powodu z wydawcą *Gazette de Varsovie* Méheé de la Touche, ciągle przypominając, że województwa, ziemie i powiaty żądały w r. 1790 przywrócenia zakonu, a Stanisław August na sesyi 16 czerwca wyraził dla niego swój wysoki szacunek (4). Nie poprzestając na szermierce w łamach gazety, dołączał do niéj luźne prozą i wierszem kar-

(1) Gazeta warsz. z 17 sierpnia r. 1791. — (2) Taż z 14 września r. 1791. — (3) Taż z 23 czerwca r. 1792. — (4) Taż z 25 lipca, i 15 sierpnia r. 1792.

teczki, pełne obelg i jadu (1). Doczekał się wreszcie uniwersału konfederacyi generalnéj w. ks. lit. z 27 sierpnia r. 1792, potępiającego reformę Komisyi edukacyjnéj i zapowiadającego przywrócenie jezuitów. „Ojczyzna—głosił ów uniwersał, podpisany przez marszałka Józefa Zabiełłę i sekretarza Kontryma—więcéj pożytku odniesie z cnotliwych obywateli, jak obiecywać może po matematykach, astronomach i tam daléj... Młodzież formuje się więcéj z przykładów życia nauczycielów, jak z ich nauki, niezgodnéj z obyczajami... Najemna za opłatę powinność nauczyciela jest cale inna od obowiązku powołania i ślubów... Zalecił naród przez instrukcye prawie wszystkim posłom swoim domagać się o przywrócenie do tych obowiązków zakonu xx. jezuitów; lecz jako wszystkie żądania narodu zostały znieważone w sejmie zeszłym, tak i ta wyraźna wola nietylko że była niewysłuchaną, lecz jeszcze lekkomyślnych pisarczyków piórem naród sam tego żądający został obelżony. Oświadczamy, jako szanując wolę narodu, jest i będzie naszém najusilniejszém żądaniem używać wszelkich sposobów do przywrócenia tegoż zakonu xx. jezuitów i powierzenia mu edukacyi młodzi naszéj pod zwierzchnością i dozorem krajowym“ (2).

Zalecenia instrukcyi sejmikowych z listopada r. 1790 w związku z zabiegami ex-jezuitów pod przewodnictwem Łuskiny były formalném tylko ujawnieniem tego niezadowolnienia z reformy szkolnéj, które od utworzenia Komisyi edukacyjnéj panowało śród zakonów i szlachty. Niezadowolnienie owo sięgało głęboko, skoro konfederacya targowicka uważała za rzecz pożyteczną wyzyskać je

---

(1) W bibliotece ordynacyi Krasińskich pomiędzy numerami sierpniowemi *Gazety warszawskiéj* z r. 1792 znaleźliśmy karteczkę in 8⁰ zadrukowaną następującemi wierszami: *A un misérable folliculaire qui pour ègayer tant soit peu ses insipides rapsodies, ne croit pouvoir mieux faire, que de réchauffer toutes les sottises aussi absurdes, que calomnieuses, inventèes autrefois pour perdre les Jèsuites.*

Tu peux, vil imposteur, de ton aigre fausset,
Exhaler contre nous, ta fureur en delire:
Si l'Or, pour être pur, doit subir le creuset,
Eh! pourquoi redouter, ta criarde Satyre?
„Eh! quel est donc, dit-il, en ce cas, mon délit,
„Je n'ai que répété, ce que d'autres ont dit?
Oui, mais apprends, mon pauvre Nicodême,
Et retiens bien pour ton honneur,
Que qui tient l'échelle au voleur,
Peut être aussi voleur lui-même.
Par un Ex-Jésuite.

(2) Gazeta warszawska z 8 września r. 1792. Zbiur (*sic*) wszystkich druków konf. targ. y wileńskiey. I. 333.

w celach swojéj polityki przez potępienie reformy i zapowiedź przywrócenia jezuitów. I w końcowych przeto latach działalności, pomimo ustępstw na rzecz zachowawczych wymagań opinii, Komisya należytego uznania i poparcia w społeczeństwie nie miała. Tak samo jak pomiędzy r. 1781/2 a 1789/90 liczba uczniów w latach ostatnich nie powiększała się, a w 1792/3 w wielu szkołach spadła z powodu wojny. W 1790/1 Pinczów miał uczniów 28, Wschowa 60; w 1791/2 szkoły akademickie w Warszawie 407, otwarte 3 maja 1791 stężyckie—64. W r. 1792/3 Kielce 208, Kraków 409, Krzemieniec 361, Lublin 200, Łuck 140, Ołyka 100, Pinczów 38, Pułtusk 517, Sandomierz 200, Stężyca 50, Węgrów 60, Włodzimierz 270. Wzrósł znacznie Lublin, lecz inne szkoły, jak krakowska, pułtuska, węgrowska i krzemieniecka (1) znaczną liczbę uczniów straciły.

Pomimo niepopularności w całym przeciągu istnienia Komisyi, reforma szkolna zrobiła swoje. Wychowana pod jéj hasłami młodzież zaszczytne w najcięższych okolicznościach złożyła dowody charakteru i wiary w wysokie ideały etyczne. Zeszła jednakże Komisya edukacyjna z widowni niepogodzona ze starém społeczeństwem, dla którego przyszłości podjęła swą pracę.

---

(1) Cyfry Czackiego dla Krzemieńca (X. H. Kołłątaj a koresp. list. II, 258) zaufania nie budzą. Na dwie klasy z r. 1793: piątą i szóstą podaje uczniów 375, kiedy Treffler w maju tegoż roku znalazł w całéj szkole 361. Prawdopodobną jest ogólna cyfra 942 (*l. c.* II, 250) dla Łucka, Krzemieńca i Żytomierza, lecz niezrozumiałą znowu dla Owrucza, Ostroga i Włodzimierza. Daje Czacki tym trzem szkołom bazyliańskim na r. 1793 uczniów 991, kiedy średnia liczba z dziewięciolecia od 1781/2 do 1789/90 wynosi tylko 621.

Władysław Smoleński.



Dodatek do strony 242

Wykaz liczby uczniów w szkołach koronnych od r. $178^{1}/_{2}$ do $178^{9}/_{90}$.

Wydział	Szkoła	ROK								
		$178^{1}/_{2}$	$178^{2}/_{3}$	$178^{3}/_{4}$	$178^{4}/_{5}$	$178^{5}/_{6}$	$178^{6}/_{7}$	$178^{7}/_{8}$	$178^{8}/_{9}$	$178^{9}/_{90}$
Wielkopol.	Kalisz, akad.. . .	257-276	255	253-265	265-300	212	206	220	212	150
	Poznań, „ . . .	142-172	122-149	170-200	150	113-170	156-200	200	150-175	154
	Toruń, „ . . .	48	56-59	50	50	50	43	zamknięta		
	Trzemeszno, kan. lateraneńscy . . .	149-230	126	51-71	19-28	22-29	40-47	70-94	40	63
	Wschowa, cystersi .	(62)	(62)	58-67	60-63	56	72	76	54	50
Mazow.	Łęczyca, akad. . .	211-262	303	363	367	313	300	263	190	190
	Płock, „ . .	251	256	250	300	192	250	250	235	200
	Pułtusk, bened. . .	354	416-460	466	451-500	403-418	410-430	530	556-570	500
	Rawa, krzyżacy . .	187-194	105	60	86	43-72	70	80	80	60
	Warszawa, akad. .	524	466	436	404	368	345-450	308-344	330-350	351
	Węgrów, komuniści	(238)	(238)	220	250	261-270	291	220-228	210	197
Małopol.	Kielce, „ .	(207)	212-223	200	206	200-217	176-180	170-207	220	(207)
	Kraków, akad. . .	(446)	(446)	454-500	500	467	450	500	475	436
	Lublin, „ . .	50	80	64	138	150	139	150	130-139	150
	Pinczów, „ . .	(34)	(34)	20-40	48	18-40	24	24	30-36	28
	Sandomierz, „ . .	371	138	200-227	200	171	155	139	125	210
Wołyński	Bar, bazyl. . . .	400	553	384-450	420-423	300-424	150-374	375	350	240-260
	Kamieniec, akad. .	300	200	200	200-210	80-190	200-250	100	312	210-250
	Krzemieniec, „ . .	400	119-181	122-150	300	330-350	336-345	320-360	414-463	406-440
	Łuck, „ . .	40	52	58-75	114-124	155	130-140	115-138	143-165	153
	Ołyka, „ . .	100	93	60-84	102-104	106	100-108	100	54-99	50-84
	Ostróg bazyl. . .	260	245	120-139	150-178	113	117-150	140-150	102-155	120-150
	Szarogród, „ . .	600	532	232-532	260-324	291	200-228	250	250-300	250-350
	Włodzimierz, bazyl.	380	220	236-284	200-309	320	230-248	296-300	259-337	285
Ukraiński	Humań, „ .	400	380	234	300	322	300-310	200	342-400	366-429
	Kaniów, „ .	(164)	(164)	30-223	156	150	134-142	140	28-139	153-200
	Lubar, „ .	450	376	311-320	320-350	294-303	278	332	288-353	394-400
	Owrucz, „ .	130	(152)	115	159	152-184	144-148	150	164-192	130-142
	Winnica, akad. . .	440	540	506-540	400	400	430	385-427	425	376-420
	Żytomierz, „ . .	600	420	350-440	500	423-500	445-479	442-460	446-519	371
Pijarski	Chełm	160	80	98	99	66-80	90	126	120	(105)
	Drohiczyn. . . .	(327)	262	(327)	285	250-279	320	350	276-469	(327)
	Góra	80	(71)	60	70	60-64	84-87	82	54-57	(71)
	Łomża	(403)	150-402	(403)	400	341-377	363	398	400-480	(403)
	Łowicz.	110	85-123	130-136	130	148	182	204	180	(151)
	Łuków	250	220	250	200	162-200	200	200	180	(212)
	Międzyrzec . . .	250	230	200	260	260-300	320	280	300	(267)
	Piotrków	206	153	245	270	195-222	150	175	160	(197)
	Radom	174	(176)	144	150	120-141	201	212	214	(176)
	Radziejów. . . .	86	nie istniał					82	127	(98)
	Rydzyna	87	78	56	60	32-71	60	65	20-42	(65)
	Szczucin	(230)	241	241	228	188	205	257	250	(230)
	Warszawa	436	472	537	400	400-432	458	450	450	(454)
	„ konwikt.	64	54	60	43	48-50	61	(55)	(55)	(55)
	Wieluń	(154)	128	(154)	170	145	160	168	154	(154)
	Razem. .	11400	10198	10176	10192	9700	9794	9891	10558	9845.



BYRONA „DON JUAN" i SŁOWACKIEGO „BENIOWSKI".

STUDYUM PORÓWNAWCZE.

II.

Ze wszystkich naszych poetów, największą daninę złożył bajronizmowi Słowacki, ten fantastyczny marzyciel i samotnik, który przeszedł przez życie trawiony tęsknotą i karmił się więcéj strawą poezyi, aniżeli chlebem rzeczywistości. W rzędzie wielkich poetów, Słowacki przedstawia jedyną, niespotykaną gdzie indziéj zagadkę psychologiczną, bo jest zarazem geniuszem i naśladowcą. W dziejach jego twórczości odbiły się kolejno wpływy czterech geniuszów poetycznych, różnych epoką i charakterem, a mianowicie Byrona, Shakspear'a, Dantego i Calderona. Miał jednak Słowacki chwile zupełnéj niezależności, gdy snuł ze swego wnętrza potok uczuć lirycznych, gdy stwarzał sobie właściwy ton i formę dramatu.

Znamieniem wielkiéj twórczości prawie zawsze jest operowanie samodzielne materyałem uczuć, pojęć, wyobrażeń i obserwacyi, schwytanych bezpośrednio z natury, z życia obyczajowego, ze sfery moralnéj, w któréj się poeta obraca. Dzieło sztuki, jak słusznie twierdzi Zola, jest kawałkiem rzeczywistości, widzianéj przez pryzmat temperamentu. Każdy prawdziwy poeta ma dar właściwego sobie kombinowania materyału, poczerpniętego ze świata przyrody lub z dziedziny umysłowéj i przerobienia go na plastyczną glinę, która oddaje dobrze kszałt jego pomysłów i poglądów.

W rozwoju poezyi Byrona krytyka, zasobna w biograficzne wskazówki, wykazała związek téj gliny z płodnym gruntem rzeczywistości, objaśniła tę tajemną robotę wyobraźni, która niby pszczoła, zbiéra zewsząd miód poetyczny do swego plastra. Byron znalazł kopalnię obfitą poezyi we własném wnętrzu, był sam sobie mo-

delem, drogą analizy wyosabniał cząstki własnéj jaźni i przenosił je na zewnątrz w dzieło sztuki. Prowadząc nieustanną kontrolę osobistych wrażeń, zasilał niemi fantazyą i śmiało można powiedziéć, nie zużytkował, bo nie mógł dla sztuki, tylko chwili zgonu na posterunku żołnierza walczącego za swobodę Grecyi; chwilę tę usiłował wcielić artystycznie Lamartin, w „Ostatniéj pieśni“ „Childe-Harolda“, ale popsuł ten świetny materyał, rozcieńczywszy go wodą sentymentalizmu. Gdy dla oddania epizodów „Don-Juana“, Byron nie znalazł szczegółów w osobistych wrażeniach lub notatach, wtedy brał materyał z opisów podróżniczych, historycznych, pamiętników, nawet relacyi dziennikarskich.

W każdym razie z życia i z druku Byron czerpał materyał surowy, faktyczny i z nieporównanym talentem kształtował go artystycznie, często małemi środkami. Tymczasem Słowacki posługiwał się materyałem nietylko surowym, ale już przerobionym, gotową produkcyą poetyczną. Jedna strona talentu jego była naśladowniczą a raczéj e k l e k t y c z n ą, a wiadomo, że eklektyzm polega na układzie i spojeniu pomysłów już istniejących, w nową całość.

Przyczynę tego wskazać można w charakterze Słowackiego, który nie miał zmysłu do rzeczywistości, nie umiał zbratać się z praktycznemi zadaniami życia, był trochę odludkiem, pogrążał się w samotnych dumaniach, żył myślą w świecie „stworzonym przez poetów“, jak to sam powiada w ślicznéj przemowie do Balladyny. Ten świat nie był dla niego czczą ułudą, miał swój byt realny i grał taką rolę, jaką dla innych poetów, a zwłaszcza dla Byrona, grał rzeczywisty świat faktów oraz idei. Od młodości niezmiernie wrażliwy i bujny umysł Juliusza zapładniał się tęczowemi marami poezyi, które i potém spajały się z odbiciami rzeczywistych marzeń. Na umyśle ośmioletniego chłopca wycisnęła swe piętno, pełna bohaterskiego zgiełku Iliada a wrażenie jéj wcześnie pobudzało ambicyą dziecka, które „miało przed sobą krainę duchów do zdobycia“. Skłonny do fantastycznych rojeń umysł napełniał się zawsze księżycowym obrazem postaci, rojem widm, które snuły się w fantastycznéj czeredzie. Dla niego równą rzeczywistością były piramidy egipskie jak i „gmachy stawiane w krainie wyobraźni“. Makbet i Lear mają więcéj uroku, aniżeli pomniki pychy faraonów, okupione krwią i potem tysięcy niewolników. Posiadał wyobraźnię ruchliwą i czynną, a z małemi wyjątkami pędził życie samotne, kontemplacyjne, które nie dostarczyło nawału wrażeń. Nic więc dziwnego, że czasami zasilał się wytworami artyzmu, że obcy kruszec przetapiał w swym poetycznym tyglu, w sposób zupełnie ory-

ginalny, lejąc do poetycznego aliażu płynne złoto bogatéj i nieporównanie bujnéj fantazyi.

Dla tego najsłuszniéj miał prawo powiedziéć prof. Tarnowski w swém cenném studyum, napisaném z powodu książki Małeckiego, że odbicie się Shakspear'a i Calderona w Słowackim było w porządku intelektualnym zjawiskiem tak naturalném, jak w porządku świata odblask tęczy na chmurach, lub wierne odbicie brzegów na wodzie (Przegląd polski 1867 r. paźdz., str. 29).

W zwykłéj praktyce literackiéj cudzemi pomysłami posługuje się rzesza naśladowców albo powszednich pracowników, którzy przeżuwają obce idee, pożyczają raz stworzone kształty, rozwadniają w stylistycznym oleju barwy cudzéj poetycznéj palety. Naśladownictwo takie zwykle jest wyzyskiwaniem znanych środków maniery pisarskiéj, sposobików i sztuczek, albo przerabianiem cudzych idei na literackie groszaki. Takim naśladowcą nie był Słowacki, który miał właściwy sobie dar asymilacyi, przetwarzał cudze pomysły i postaci, tak, że stawały się one jego wyłączną własnością. Nie był on zresztą podobny do podrabiaczy lub plagiatorów, którzy starają się zatrzéć ślady pożyczki i milczkiem łup z obcego dobytku wzięty, za owoc pracy swéj pokazują. Słowacki robił to jawnie, namacalnie, czując się w prawie do korzystania z ogólnego dorobku myśli ludzkiéj. Kwestyi tego eklektyzmu poety niedosyć się jeszcze przyjrzała krytyka nasza. Nastręcza się jednak przy téj sposobności ciekawa zagadka do rozwiązania: dla czego jeden tylko Słowacki w szeregu naśladowców stanął tak wysoko, że imię jego błyszczy na horyzoncie wielkiéj poezyi, gdy tymczasem płody zwykłych przerabiaczy butwieją w skrytkach bibliotecznych; skąd mogła się wziąć w jednéj organizacyi poetycznéj taka siła oryginalna i tak łatwe przyjmowanie obcych naleciałości?

Weźmy np. jego fantastyczne postaci „Balladyny" i porównajmy z pierwowzorami w „Śnie nocy letniéj" i „Burzy" Shakspear'a. Tu i tam eteryczna fantazya, lekkość niewysłowiona w przedstawieniu świata duchowego. W dyablikach Słowackiego są rysy pożyczone z Puka i Ariela — Shakspear'a. Goplana, przypomina Tytanię, a jednak polskie Elfy nie bledną przy angielskich, które poeta siłą fantazyi sprowadził ze starych dębów i sosen germańskich, do ateńskiego gaju i kazał im pląsać wśród kwiecia przy blasku księżyca. Dyabliki Słowackiego może nie mają téj lotności co Puk i Ariel, nie są przejęte taką poetyczną fosforescencyą, ale za to, są nasze, rodzime, jakby nigdy nie krążyły w promieniach szekspirowskiéj fantazyi, ale pląsały nad Gopłem po mchach i moczarach, wśród kołyszących się liści ajeru, albo nad brzegami ci-

chych, szumiących w lesie ruczajów. Goplana pod względem poetycznym jest daleko powabniejszą od kapryśnéj i płochéj Tytanii. Śliczna to, wiotka, ale czysto polska nimfa ze swą tęsknotą i rzewnością, fantastycznemi lotami na sznurze żórawi, uosobienie wiosennego wdzięku i poezyi naszéj przyrody.

Jeszcze bardziéj typowo, ale mniéj świetnie pod względem artystycznym, wyraził się eklektyzm ten w tragedyi „Beatrix Cenci", gdzie Słowacki rozwinął oryginalnie swoje zamiłowanie do poezyi zgrozy i okropności. Można tam znaleźć pomieszane motywy szekspirowskie, szylerowskie, dantejskie, eschylowe, które razem składają się na gorączkową wizyą, potworną i chorobliwą w stylu rozczochranéj romantyki, ale mimo to przykuwającą czytelnika potęgą niezwykłego uroku.

Niepodobna tu bliżéj rozwijać poglądów na całość tego eklektyzmu w twórczości Słowackiego, postaram się tylko określić duchowy stosunek do Byrona, którego wpływ dwukrotnie zabarwiał utwory naszego poety. Słowacki nie miał tak potężnéj organizacyi jak Byron, który kipiał nadmiarem energii. Czynnéj energii nasz poeta nie posiadał, był niepraktycznym marzycielem, ale miał swojego rodzaju wielką energią umysłową. Jego myśl i fantazya pracowały nieustannie, kłębiły się w gwałtownym przypływie i nadawały nawet potocznym rozmowom piętno oryginalne i niekiedy jaskrawe.

Miał jednak Słowacki tę samę co Byron skłonność do protestu, do opozycyi, tylko nie tak gwałtowną, będącą wynikiem więcéj wewnętrznego instynktu wrodzonego ducha przeciwieństwa, daleką od krańcowych zapędów radykalizmu. Obaj poeci mieli różne powody do waśni z rzeczywistością, która zadawała kłamstwo ich najszlachetniejszym ideałom. U Byrona ten protest płynął z pobudek ogólno ludzkich — u Słowackiego był z początku trochę naleciałością, niewytłómaczonym instynktem, potém zabarwił się widocznie purpurą idei narodowych i demokratycznych. Nasz poeta nigdy nie miał powodów brać się za bary z duchem narodu, bo musiał go kochać, związany z braćmi religią cierpienia i miłości synowskiéj.

Miał on jednak w młodych latach dużo pychy, skłonność do gorzkiéj melancholii, był bardzo ambitny, zamknięty w sobie, wyniośle ironiczny i na tém tle, jak sam powiada, urobił sobie charakter podobny do ciemnego charakteru bohaterów powieści Byrona, z którymi się zapoznał w 12 r. życia. Rzecz dziwna, że ulegając bardzo silnie wpływom autora „Manfreda", Słowacki nigdy nie uczcił jego pamięci słowami gorętszego zachwytu.

W listach do matki wspomina o utworach angielskiego wieszcza obojętnie. Bawiąc w Genewie, dopytuje się o wspomnienia z pobytu Byrona w tém mieście i notuje skwapliwie, że łatwo było lordowi-poecie uchodzić za dzielnego pływaka, albowiem podczas jakiéjś próby czy wyścigu wodnego, lokaj na łódce jechał za nim i pokrzepiał siły, lejąc w usta strumień koniaku. W innêm miejscu niezbyt trafnie, nazywa panią Sand, Byronem w spódnicy, polecając do czytania matce jéj pierwsze powieści.

We wstępie do rozpoczętego we francuskim języku romansu „Król Ladawy", którego przekład ogłosił w r. zeszłym w „Kłosach" p. Amborski, szydzi z fantastycznych podróży bohaterów Byrona, odbywających przechadzki trzystomilowe w 24 godzin, a potém żartobliwie odzywa się o samym Byronie, że rzuciłby się w wodę, aby ocalić życie damie tonącéj w Tamizie, a byłby ostatnim, aby jéj podać rękę przy wsiadaniu do powozu. W „podróży do ziemi świętéj", opisując wrażenie, jakie wywarł nań widok Missolunghi, wspomina lekko o śmierci Byrona, a zapalona zwykle jego wyobraźnia zostaje obojętną w obec faktu, który na dwanaście lat przed podróżą poety (odbytą w latach 1836 i 1837) wstrząsnął umysłami Europy i wywołał przewrót opinii na korzyść Byrona w jego własnéj ojczyźnie. W ustępie tym Słowacki powiada, że jedna z gór, „która za miastem mroczna jak piramida stoi sześcioboczna", tak równe ściany pokazuje słońcu, tak równe boki ma cieniem pokryte, jakby była pomnikiem ręką ludzką wzbitym z cegieł pod niebo".

Nieuwieńczona śniegowemi srebry
Musi być u stóp śniegiem kości biała,
Gdybyś Byronie był nie umarł z febry
Ale od bomby, kuli lub kadzidła:—
Dałbym téj górze posępnéj nazwisko
Grobu twojego—a Parnas tak blisko! (Pieśń III).

Widzi więc poeta w téj śmierci ofiarę choroby, a nie zgon żołnierza-bohatera na placówce. W innêm miejscu żartobliwie powiada o niezdrowym wpływie angielskiego poety.

Czy nie widzicie, żem chory: szatanizm,
Bajronizm, siedm dręczy mnie boleści.,, (Pieśń VIII).

Ta sama piosnka na różne tony powtarza się w „Beniowskim", gdzie w pieśni I poeta skarży się na „melancholią, tę chorobę epidemiczną, która grasuje zaraźliwie, nawet pomiędzy szlachtą", chorobę, która kazała poecie odbywać śliczne wędrówki i zrobiła go bajronistą, za co gotów na tę biédną nimfę zakląć po szlachecku: trzystoma dyabłami (Pieśń I). W innêm miejscu opisując niezrę-

czność bohatera poematu w spotkaniu z kochanką, żartuje, że Beniowski „witał ją tylko długiém westchnieniem jak anioła“.

Potém się zmieszał i o zdrowie spytał,
Coby dziś było wielkiém uchybieniem,
Nieświatowością! znakiem, że nie czytał
Pani Sand! że się bajronicznym cieniem
Nie okrył. (Pieśń I).

Pisał Słowacki w r. 1836, zaraz po przebyciu pierwszéj doby swego bajronizmu, a raczéj naśladowania posępno patetycznéj maniery Byrona, pod wpływem reakcyi widocznéj przeciwko poprzedniemu nastrojowi ducha. Urok Byrona wonczas był powszechny i przeradzał się w modę, z któréj żartował nasz poeta ironicznie, zapominając o tém, „że harcuje po gościńcu ironiczno-fantastycznym świeżo w lesie romantyka wyrąbanym przez „Don-Juana“. W innėm miejscu „Beniowskiego“, w swém słynném Credo powiada Słowacki:

„Wierzę sercem poganina
W rym Szekspirowski, Danta i Homera“ (Pieśń V).

Nie ma więc Byrona w téj trójcy, którą osadził Słowacki w najwyższém niebie poezyi. Chociaż Byron „Don-Juanem“ wkupił się wtedy do poetów wiekuistéj prawdy człowieczéj, nie był widocznie w oczach Słowackiego jednym z największych.

Dla czego? Trudno na to odpowiedziéć na podstawie danych faktycznych, niewątpliwych. Zdaje mi się, że poeta, który miał zawsze żyłkę opozycyi, nie chciał pójść za prądem powszechnego uwielbienia. Jakkolwiek Byron przemawiał w młodości do posępnéj i chmurnéj strony jego charakteru, to pewna jednak, że Shakspeare, Dante i Homer działali na jego wyobraźnię potęgą przedmiotowéj plastyki i doniosłością poetycznego wcielenia. Byron przeważnie liryk, entuzyasta i deklamator, mistrz lotnéj ironii, rozwinął w „Don-Juanie“, jak to już wspomniałem, znaczny stopień epickiego kunsztu, ale pod względem ztężenia i wypukłości kształtów poezyi stoi niżéj owéj trójcy geniuszów, a więc rozumié się i od Mickiewicza, który był jednym z największych mistrzów plastyki w słowie. Słowackiemu niewątpliwie imponowała ta plastyka i skończoność, któréj nie posiadał nigdy, pomimo bujności i bogactwa fantazyi. Jeden z literatów spółczesnych, p. Niewiarowski, któremu zawdzięczam parę szczegółów nowych o charakterze naszego poety, mówił mi, że Słowacki, przyznawał się w ostatnich latach jawnie do uczucia niesłychanéj zazdrości po przeczytaniu „Pana Tadeusza“. Był zachwyconym, ale przeszedł całe piekło, dziwił się, że nie osiwiał w jednéj chwili, bo czuł, że

nigdy dojść nie może do takiéj równowagi i prostoty poetycznéj. Tę ostatnią zwłaszcza cenił w ludziach i poezyi. Znał naturę swéj fantazyi, która nie mogła się obyć bez nadzwyczajnéj sceneryi poetycznéj, przywoływała chętnie na pomoc tęcze, blaski, girlandy, promienne roje duchów i widziadeł. Nie znalazłem w listach ani we wspomnieniach osobistych Słowackiego wzmianek, któreby wskazywały, że wywiéra na niego wpływ poezya liryczna, albo filozoficzna, Göthego np. nie lubił, a w dzienniku z ostatnich lat życia, wydanym p. Biegeleisena, odzywa się o nim z lekceważeniem z powodu Mefistofelesa, który nie był „żadnym demonem, ale złośliwym i uczonym Niemcem“. Natomiast Shakspeare wywarł na Słowackiego wpływ najpotężniejszy i co dziwna rzecz, głównie z powodu swego poglądu na niezłomną prawidłowość życia, która zgubę gotuje kłócącym się z nią jednostkom. Pod tym względem Słowacki różni się stanowczo w poglądach estetycznych z Krasińskim, który nie lubiał „starego Wila“ za to, że przedstawiał świat realny i dotykalny przed oczy. Ten świat Shakspeare'a, według Krasińskiego, nie jest prawdą, „bo nie jest całością świata“, tam zaś świat prawdziwy, gdzie uważany jest za cząsteczkę znikomą, „która wróci do Boga“. Krasiński podniosłéj poezyi nie rozumiał bez dążenia do jakiéjś idealnéj syntezy, nie pojął głębszéj mądrości Shakspeare'a, który stojąc na podstawie rzeczywistości, brał ją taką, jak jest, sięgał na dno duszy ludzkiéj, nie starając się przebić myślą przegrody, rozdzielającéj nas od świata niewidzialnego. Dla tego więcéj mu się podoba Byron, u którego żywioł idealny widział autor „Irydyona“ w burzącym pierwiastku jego poezyi. Byron był wcieleniem ducha antytezy, tego koniecznego momentu w dyalektycznym układzie filozofii Hegla, którego wpływowi uległ Krasiński — pomimo swego przywiązania do katolicyzmu. W poezyi Byrona widział Krasiński bunt szatana „przeciwko temu, na co Shakspeare patrzał z pogodą greckiego boga“. „Być zaś szatanem, buntować się przeciwko śmierci i nicości materyi—mówi Krasiński w liście do Słowackiego z d. 19 grudnia 1840 r.— jest to czuć, że się jest synem Boga i tém był Byron“. Shakspeare podług niego, pozostanie pisarzem narodu angielskiego, „który się nad myśl ostateczną wygód cielesnych nie podniósł i nie podniesie“. Byron „stał się duchem“, a przez to przewyższył tę myśl rasową i dla tego też Anglia, która chowa pod poduszkę Shakspeare'a, jak Aleksander W. „Iliadę“, wygnała i spotwarzyła Byrona“. „Ale my — mówi daléj Krasiński — stoimy dziś daleko od Byrona i od Shakspeare'a jeszcze daléj“. Tym sądom poety nie przyzna dziś racyi nawet najgorętszy wielbiciel Byrona, który jak wiadomo nie protestował,

przeciwko śmierci i nicości materyi, nie sięgał w metafizyczne głębie, buntował się przeciwko potęgom dziejowym i religijnym, ale nie przeciw prawom natury. To prawda, że dziś pod względem estetycznym stoimy daleko od Byrona, zwłaszcza od jego metody tworzenia i oraz poglądów zawartych w posępnych poematach i tragiedyach—ale Szekspir pomimo swych antagonistów, pomimo formy przestarzałéj, nie stracił uroku, chociaż moc jego wpływu już osłabła w literaturze, a niektóre sprawy podniesione przez Byrona w „Don-Juanie“ stoją jeszcze na porządku dziennym życia umysłowego.

Mickiewicz z innych powodów podnosił Byrona. Podług niego, Byron, połączył naszę literaturę z rozwojem literatury europejskiéj i doszedł w sobie do pojęcia prawdy, czego nie przyznawał autor „Pana Tadeusza“ innym współczesnym poetom.

Słowacki daleko lepiéj od Krasińskiego zrozumiał Szekspira, który najżywotniéj zapładniał jego fantazyą. W swym wierszu do „Aleksandra Hołyńskiego“, z którym odbywał podróż do Jerozolimy, wypowiada poeta w formie symbolu swój pogląd na idealną stronę gieniuszu twórcy „Hamleta“.

„Jeśli gmachy piramid miały otwór ciasny,
Zkąd gwiazdy niebios człowiek wyśledzał tajemny,
W Szekspira gmachach równie zostawiona droga
Patrzącemu się oku na błękit i Boga“.

Ma się rozumiéć, że Bóg w tém określeniu znaczy to samo, co pojęcie wyższego porządku świata, które istotnie w arcydziełach Szekspira, przegląda gęstą i zbitą powłoką poezyi realnéj. Szekspir nie był apostołem deizmu, ani żadnéj idei religijnéj, ale przedmiotowym malarzem ludzkiéj natury i jak każdy dobry psycholog deterministą z instynktu raczéj niż ze świadomości. Słowacki, jak słusznie twierdzi Brandes, nie był tęgim psychologiem i obserwatorem, a jednakże zrozumiał bezlitośną często okrutną logikę Szekspira i wcielał ją czasem w swe poematy. Strofował za to Juliusza Krasiński w jednym z listów, szczególniéj z powodu biednéj „Lilli Wenedy“, na którą klęczącą ofuknął się niby ojciec duchowy i nie słuchał jéj cichego o litość wołania. Zdawaćby się mogło, że zapatrzony w wielkość Szekspira, był poprostu Słowacki niewdzięcznym dla Byrona, że traktował go zbyt lekko, niesprawiedliwie, bo nawet w „Beniowskim“ uznaje swe pokrewieństwo z „Ariostem“, chociaż w szczegółach formy i stylu naśladuje widocznie Don-Juana.

Na podstawie pisanych świadectw możnaby naszemu poecie stawiać takie zarzuty, ale prawdopodobnie wrodzony duch opozy-

cyi wstrzymywał go od pisania tego, co wszyscy w owym czasie jednozgodnie powtarzali.

Wiem jednak z wyżéj wspomnianego źródła, że z dziełami Byrona, Chateaubrianda a szczególniéj Plutarcha, Słowacki najchętniéj do końca życia obcował, że nigdy nie przestawał czcić Byrona, choć zmierził sobie własne młodzieńcze utwory, pod wpływem angielskiego poety poczęte i wykonane.

Cały ten Byronowski okres, którego płodem są poematy Słowackiego: Hugo, Mnich, Arab, Żmija, Jan Bielecki i Lambro, dramat Mindowe, a w pewnéj części i Marya Stuart, został trafnie osądzony przez krytykę, tak że dziś nie potrzebujemy rewidować wyroków, wydanych przez profesorów Małeckiego i Tarnowskiego o ile się tyczą one naszego poety.

Nawiasem dodam, że Byron nie miał szczęścia szczególniéj do prof. Małeckiego, który w swéj cennéj monografii o Słowackim pojął twórcę Don-Juana zbyt jednostronnie, poczytując za grzech to właśnie, co było świetną cechą umysłu poety. „Na co się przyda utyskiwać nad naturą człowieka, powiada prof. Małecki, krytykując Byrona, my tego nie odmienimy. Wyrzekać na nią to znaczy to samo, jakby kto wyrzekał, że w styczniu zimno, a w lipcu gorąco. Tak bywa czasem, ale wyrzekanie, wyrzekaniu nierówne. Gdyby wszyscy na oślep zgadzali się z tém co jest, ludzkość zmieniłaby się na dwie gromady: utuczonych samolubów i zrezygnowanych niedołęgów. Zdaje mi się, że niezadowolnieni zrobili daleko więcéj dla cywilizacyi od zadowolnionych, a skarga na ludzką nędze i marność jest tak stara, jak pierwsze krytyczne błyski myśli człowieczéj, jak myty „Teogonii“ Hezyoda, albo posępne wykrzyki „Eklezyasty“. Trafnie jednak prof. Małecki zrozumiał i wykazał przyczyny rozdźwięku, jaki zachodził w początkach twórczości Słowackiego pomiędzy przepojonym goryczą bajronistą młodym poetą a usposobieniami kraju i poglądami, które miały największy kredyt w krytyce współczesnéj. Słowacki, jak wielu naśladowców, chwycił pewne rysy byronowskich postaci, które dogodzały jego posępnéj wyobraźni, i tworzył ponure widma, charaktery bezprzyczynowe w swéj demoniczności, jak Mindowe, Arab lub Botwell, przerabiał na różne sposoby bohatersko-patetyczny bajroński komunał, który dzisiaj wydaje się fałszywym i pretensyonalnym. Te dzikie, nieugięte, pyszne postaci, trawione katuszą sumienia, ten nastrój jaskrawy i ponury, to lubowanie się w obrazach nadzwyczajnych cierpień i boleści bez jutra, miało u Byrona swe źródło w naturze jego charakteru i stosunku poety do społeczeństwa. Tymczasem u Słowackiego nastrój taki odpowiadał jego stanowi przejściowemu a niemal nic wspólne-

go z naczelnemi uczuciami i dążeniami narodu. Ideał Byrona był ujemny, destrukcyjny, był wcieleniem uczucia przewrotowego, które stara się usunąć zawady z drogi i postępu, tymczasem ideał naszéj poezyi przeciwstawiał się wprawdzie spełnionym faktom, ale był i jest dodziśdnia dodatnim, restytucyjnym, dąży do „fenomenów wskrzesznych“, że użyję wyrażenia Słowackiego, który je w „Beniowskim“ rzucił żartobliwie chociaż tak poważną w sobie mieści prawdę. Ideał Byrona był kosmopolitycznym, tymczasem ideał naszéj poezyi i literatury jest na wskróś rodzimym, jest wcieleniem myśli plemiennéj. Posępna dzikość młodzieńczych utworów Słowackiego, jego zamiłowanie do tematów ponurych nie odpowiadały usposobieniom społeczeństwa...

Najszlachetniejsze serca i umysły zajęte były wyłącznie sprawami własnego kraju, które zmuszały często do odwracania oczu od zagadnień ogólno-ludzkich. Krytyka wymagała czasem zbyt jednostronnie, aby poeci traktowali tylko przedmioty swojskie, aby dali pokój wszelkim awanturom „arabskim“, włoskim i oryentalnym. Dla tego też pierwsze pieśni Słowackiego głucho przebrzmiały, chociaż rzucił je nie dyletant, ale świetny wirtuoz formy, grający biegle na wszystkich strunach mowy rodziméj. Niektóre dzienniki obce powitały z odznaczeniem nowego bajronistę, ale w kraju spotkały go sądy surowe, a krytyka bieżąca podległa, jak to często bywa, pojęciom jednostronnym albo czasowym, wytworzyła pewnego rodzaju uprzedzenie, które trudno było potém poecie rozproszyć dziełami, mogącemi „ludzi w niebo obrócić oczyma“. Nic dziwnego, że wśród młodzieńczych poematów podobał się Bielecki, albowiem zawarta w nim idea pokuty poświęcenia i miłości małżeńskiéj odpowiadała panującym przeważnie pojęciom religijnym. Czynnik ten do poematu wniósł Słowacki od siebie, ale w tych młodzieńczych poematach wogóle po swojemu przebajronizował Byrona. Szczegółowa krytyka może wykazać te znamiona i ustępy poematów, w których niezależnie od wpływów bajrońskich wystąpiła na jaw indywidualność samego poety.

Myśl polityczno-narodowa, któréj poświęcił Słowacki pierwsze drgnienia swéj mowy w okolicznościowych wierszach „Kulig“, „Pieśń legionu litewskiego“, „Hymn do Bogarodzicy“, ukazała się dopiero w ostatnim poemacie pierwszego okresu, w chybionéj zresztą powieści „Lambro“, wcielona w treść obcą wadliwie i mglisto. Dopiero w „Kordyanie“ bajronizm już występuje w formie szczątkowéj, a poeta staje w progu bardziéj samodzielnéj epoki tworzenia, wybiega na współzawodnicze harce z największą potęgą pieśni polskiéj i rozpoczyna misyą rodzimego ducha.

Pod względem artystycznym ulega w pierwszym okresie swéj twórczości Słowacki silniéj wzorom byrońskim w powieści aniżeli w dramacie, w którym przechyla się pod względem układu i formy bardziéj ku Szekspirowi. Nawet późniéj po przejściu tego okresu, w takiém arcydziele jak „Ojciec zadżumionych“ albo w pokrewnéj z nim „Rozmowie z matką Mokryną Mieczysławską“, Słowacki zupełnie oryginalny w myślach, stylu i sposobie obrazowania ma pewną wspólność z pewną grupą utworów Byrona, jak „Żale Tassa“, „Więzień z Chillonu“ i „Parisina“, które są przeciągłym jękiem cierpienia lub krzykiem jednostek wyjątkowo nieszczęśliwych.

Bardzo rychło spostrzegł się poeta, że jego najstarsza posępna dziatwa w literaturze polskiéj należy do rasy mieszańców literackich, które zbyt mało mają krwi rodziméj. Późniéj na początku okresu mistycznego, który wypełnił ostatnie siedem lat jego życia, Słowacki pisze w liście do matki z d. 12 sierpnia r. 1842: „Nadto wysoko cenię teraz ducha polskiego, wstyd mi wielce melancholii bajrońskich, strach aby one nie zaraziły innych“. Z pewnością chętnie by je zgładził z widowni literackiéj, jak się to stało po części z tyloma płodami okresu środkowego pomiędzy bajronizmem a mistycyzmem, zatraconemi z wielką szkodą dla literatury ojczystéj.

Daleko szczęśliwszy był rezultat wpływu drugiéj, ironiczno-wesołéj maniery Byrona, do którego po czterech latach wrócił poeta, aby opisać w formie żartobliwéj swe wrażenia z wycieczki, będącéj najweselszym epizodem prywatnego życia poety, skrawkiem pogodnego nieba na smętno-chmurnym horyzoncie. Pozostały w ułomkach poemat „Podróż z Neapolu do Ziemi Świętéj“, jak twierdzi prof. Małecki, jest dziełem, którego części powstawały prawie współrzędnie z kolejami wędrówki poety. Łączy się on stylem i mnóstwem szczegółów „z Beniowskim“, który jest najbardziéj rumianym owocem na drzewie poezyi Słowackiego. Niezwykle płodném było to drzewo, dające nowy plon tak szybko, że zazdrościli Słowackiemu, jałowi poeci, jak np. Witwicki, potrzebujący długiego czasu, aby wyniańczyć jaką wątłą i mizerną dziecinę swéj muzy.

Słowacki w téj dobie pozbył się nieco dawnéj tęsknoty, która jak rdza gryzła jego duszę. Jeszcze podczas pobytu we Florencyi 1837 r. ożywił się nieco, garnął się więcéj do ludzi, był wdzięcznym Bogu za to, że mu dał życie poetyczne, pełne wrażeń, że prowadził go po błękitném morzu, nad brzegiem wód spokojnych i na góry chmurami okryte i na szczyty piramid. Pomimo swych pojęć wybitnie demokratycznych, stał na uboczu, prowadził przeważnie życie marzyciela i pracował w cichości, nigdy nie nagiął się do wyra-

żnego programu ani dał się osiodłać zasadzie karności stronniczéj, jak to widzimy z jego stosunku późniejszego do Towiańszczyzny.

Czas od r. 1839 do 1842 był podług Małeckiego kulminacyjną epoką twórczości poety, na co się można zgodzić, z pewném jednak zastrzeżeniem. Rzeczywiście wtedy fantazya Słowackiego wydała utwory najbarwniejsze i najbardziéj skończone, wtedy wykończone zostały tragedye: Balladyna, Lilla Weneda, poemata: „Anhelli“, „W Szwajcaryi“, „Ojciec zadżumionych“, oraz szereg dramatów niewydanych, z których ocalały po śmierci w całości tragedye: „Beatrix Cenci“, dramat „Niepoprawni“, częściowo „Horsztyński“ oraz ułamki z dramatów: „Beniowski“, „Złota czaszka“, „Wallenrod“, „Krakus“ i „Jan Kazimierz“. W téj epoce bujny i zwichrzony geniusz Słowackiego, doszedł stosunkowo do największéj równowagi, a nawet w „Złotéj czaszce“ zbliżył się do realizmu poetycznego, ujawnił niespotykaną w żadnym innym utworze typowość w tworzeniu figur pełnych prawdy. Darem dziwnéj intuicyi, poeta odtworzył wewnętrzne obyczajowe życie dawnéj Polski i epoki pogromu szwedzkiego i domieszał tylko małą odrobinkę liryzmu o tęczowych barwach. Postaci dramatu nie są to już piękne fantastyczne widma, ale ludzie mający wygląd realny, zlepieni z życiowéj gliny, z wielu szczegółów, spojonych w jedność charakterową, zgodnie z naturą metody realistycznéj. Ma się rozumiéć, że i w téj robocie twórczéj grała większą rolę fantazya, aniżeli obserwacya, ale podziwiać należy poetę, że umiał tak dojrzale stworzyć równoważnik realnéj prawdy. Zatracenie większości tego dzieła, jest wyrwaniem trzonowego zęba naszéj literaturze dramatycznéj, a pozostały fragment świadczy, jakim dramatycznym poetą mógłby zostać Słowacki, gdyby jego geniusz rozwijał się wśród naturalniejszych warunków...

Warto się przyjrzéć chociaż pobieżnie obliczu poety z owego czasu. Słowacki był jak Byron, człowiek prywatny, żył o skromnych środkach, zasilany funduszami przez matkę, która całe życie wypełniła myślą o szczęściu syna. Spokojny i kontemplacyjny żywot jego, nie miał ani cienia podobieństwa do pełnego szału i gorączkowéj działalności pobytu we Włoszech angielskiego lorda. Wśród otoczenia ziomków miał powagę, którą mu „dawała jego czystość wewnętrzna“ (List do matki z 1839). Z jego postaci, czynów i twarzy bił zawsze jakiś nieziemski urok. Jeszcze przed dobą mistycyzmu pisał do matki, że najpiękniejszy stan duszy jest anielski“, a w ostatnich latach doszedł do takiego idealizmu w pojęciach, że wstydził się jeść w obecności drugich, bo mu się to wydało zbyt marną materyalną czynnością. W pierwszych latach pobytu w Paryżu trawiły go tęsknoty, gorycze. Ma-

rzył o jakim samotnym domku, gdzieby z matką mógł zamieszkać w ustroni leśnéj. Wyrywał się myślą na wieś, chętnie błądziłby po kniejach, polach i wertepach. Potém, w roku 1840 następuje chwila zdrowia i spokoju. Praca umysłowa napełnia go nowém ciepłem i ogniem, poeta dziękuje Bogu, że mu pozwolił umiłować to, co jest nieśmiertelne. Nie może wytłómaczyć dla czego mu lepiéj na tym świecie, ale łatwo pojąć przyczynę tego, w upojeniach rozkoszy twórczych, w spotęgowaném poczuciu własnéj siły oraz wzroście uznania, jakiém go darzyli ziomkowie. Serce jego od lat kilku nie doznało silniejszych wstrząśnień, pogrążył się poeta prawie całkowicie w kontemplacyi i pracy autorskiéj, dopiero w 1841 wstrząsnęła nim gwałtownie miłość nieszczęśliwa do nieznanéj przyjaciołki z Frankfurtu. Dostał się w moc jakiejś tyranki, która targała jego nerwy, szalał, gryzł się, szamotał się, czuł, że mu ból szarpie wnętrzności, ale miłość ta podziałała niby szczotka z igieł, drażniąca znieczuloną skórę. Skończyło się to, jak zwykle u Słowackiego, niby smutny sen, ale czasowo poeta odżył, zaczął płakać, pojedyńkować się, szaleć, śmiać się, słowem był zakochany. (Patrz list do Niedźwiedzkiego drukowany w „Prawdzie" z 1884 r. w N. 12). Stan materyalny także się poprawił. Mając skromne fundusiki, Słowacki prowadził swój budżet z wielkim ładem i nie skąpił grosza dla biédnych. Cieszył się jak dziecko w liście do matki z 2 kwietnia 1840 roku, że z oszczędności kapitaliku po ojcu mógł usłać własne gniazdo na ulicy Castellane pod N. 11. Kupił trochę gracików, urządził ładne dwie klateczki na 6 piętrze, z widokiem na ogród. Rozrzewniające jest to skromne zadowolenie poety, który nie ma pretensyi do losu, przyznaje się w listach do matki, że poematy własne go nie karmią,—chociaż widzi w wielkiéj stolicy tylu ludzi pióra, ciągnących ze swéj pracy zyski magnackie.

Słowacki był artystą w każdym calu, naturą wytworną, delikatną. Lubił, żeby koło niego było skromnie, ale estetycznie. Drażliwym był na warunki otoczenia tak, że go irytowały krzywe linie sufitu. Podobnie jak Byron, dbał o powierzchowność, chociaż nie pozował nigdy na dandysa. Ubiérał się starannie, chodził w długim aksamitnym surducie, od którego odbijał duży kołnierz koszuli śnieżnéj białości. Był to niski człowieczek o wątłéj postaci, z prawém ramieniem zgarbioném, od czasu spadnięcia z wielbląda podczas podróży. Twarz blada, wyrazista, okolona ciemnemi kędziorami włosów, ruchliwa, odbijała nieustanną pracę myśli. Oczy czarne, niesłychanéj wielkości, głębokie i piękne, wywierały wpływ magnetyczny. Miał w sobie poeta jakiegoś dyablika ironii, który nagle wystrzelał gradem ciętych słów, a wtedy w tych wielkich oczach nagle zapalała się iskra, jakby błyskawica.

W działalności twórczéj Słowacki był pracowitym, ale gorączkowym. Pokutował w nim niespokojny duch romantyki, który w naszéj poezyi wytworzył tyle dzieł ułamkowych. Dzieje się często z utworami Słowackiego to samo, co z pomysłami Michała Anioła; z szerokich planów, zostają części albo ułamki.

Nasi poeci przedstawiają w téj mierze kontrast z francuskimi, niemieckimi i z angielskimi, którzy nie zostawiają za sobą tworów niepełnych. Göthe pisał swego Fausta całe życie, mozolnie, dodając epizod do epizodu, dopóki nie dokonał całéj budowy poematu. Tymczasem Mickiewicz nie skończył swych „Dziadów", zostawił po sobie w rękopisie dwa ułamki dramatów: „Konfederaci", „Jasiński", pisanych po francusku. Słowacki napisał tylko część I „Kordyana", w któréj zawiesił i urwał akcyą na włosku w chwili niesłychanie dramatycznéj, i zdaje się nie myślał o całkowitém wyczerpaniu przedmiotu. Gorączka twórczości pędziła go ciągle naprzód, a zmiana poglądów wpływała nierzadko na lekceważenie prac poprzednich, i z tego powodu wiele pięknych dzieł poety zmarniało i poszło w poniewierkę. „Lilla Weneda" miała być początkiem całego cyklu, złożonego z sześciu tragiedyi, więc przypuszczać należy, że Słowacki miał gotowy rozkład tego szerokiego planu, powziętego może na wzór Szekspirowskich „Henryków". Tymczasem zostały fragmenty z drugiego w tym cyklu dramatu „Krakus", resztę tematów Słowacki porzucił, a z przetworzonego potém, w dobie mistycznéj, łańcucha tych pomysłów powstał prawdopodobnie „Król Duch", niedoprowadzony do końca, podobnie jak „Beniowski"; chociaż w tym wypadku śmierć zatamowała krynicę natchnienia, tak samo jak w „Don-Juanie". W tym jedynym utworze Byron, zwolennik form skończonych i kształtnych, pozwolił na to, aby ciągły przypływ fantazyi ramy mu rozsadzał.

Takim niepełnym płodem Słowackiego jest także „Podróż z Neapolu do Ziemi Świętéj", należąca do spuścizny pośmiertnéj. Założeniem przypomina ten poemat wędrówki Childe-Harolda, sposobem wykonania daleko bardziéj pokrewny jest „Don-Juanowi" i należy do ariostycznego rodzaju. Zamiast bajronowskiéj oktawy, Słowacki wziął podobną strofkę sześciowierszową wybrał formę łatwiejszą, może dla tego, że czuł dość werwy poetycznéj, aby sprostać szkopułom zawilszéj techniki.

Doprowadzał wątek do chwili pobytu w Koryncie i znów urwał, nie mając widocznie zamiaru zaokrąglić całości poematu, albowiem do „Beniowskiego przeniósł potém nietylko pojedyńcze myśli, szczegóły i obrazy, ale nawet całe przerobione ustępy. Celem jego pielgrzymki był grób Chrystusowy w Jerozolimie, przy którym

całą noc spędził, rozmyślając w skupieniu ducha. Spowiadał się u księdza Jezuity w klasztorze na górach Libanu, a jednak w poemacie nie widać tego nastroju religijnego. Słowacki nie pogrąża się w myśli bożéj, ale buja na skałach marzenia, wypowiada szeptem tęsknotę, bawi się w lekkie, ironiczne igraszki. Poezya migocze tu nierówno, jak ognisko z gałęzi palących się na wietrze... Czasami ledwie mignie jakiś blady płomyczek, chwilę tylko dym się kłębi, potém płomień błyśnie żywiéj, wydobyty wiatru podmuchem, ale nigdy nie buchnie skwarem wielki ogień poezyi. Poeta zdobędzie się czasem na obraz szeroki, doskonały w tonie i rozkładzie pojedyńczych planów. Odmaluje grecki klasztor tak pełno i pięknie, że żywcem go nam stawia przed oczy, tu i owdzie rzuci śliczny, grający tęczą żywych barw obrazek morza lub nadbrzeżnego widoku. Ale często opisowość jego kuleje, jak np. w obrazie statku, płynącego po morzu. Czasem znów ugrzęźnie w jakimś pomyśle skrzywionym, wyciągnie z wody najniepotrzebniéj rękę Cerwantesa odciętą w cieśninie Lepanto, porówna ją niezręcznie do cienia wielkiego nosa na suficie i medytuje nad tą biedną ręką w sposób poprostu dziwaczny. Na innéin miejscu opisuje zwykłe niewygody i przykrości, wędrówki albo sceny niedające materyału do poetycznego obrazowania, kreśli przelotne sylwetki, chociaż wogóle ludziom przygląda się daleko mniéj niż falom, słońcu, górom i wybrzeżom. W minach Koryntu, ślicznie roi o szczęśliwości życia pasterskiego na greckich górach, wskrzesza wspomnienia młodzieńczéj miłości, westchnie w cudownéj strofie za krajem odezwie się do matki rzewnie a przejmująco, albo poskarży się na nieszczęście.

Na tle poematu, zresztą dość pogodném, rzadziéj przewija się motyw wesoły, ironia przeleci nad obrazem jak ptaszek zabłąkany koło Missolunghi nad pokładem okrętu. Czasami dyablik szyderczy psoci poecie, gdy zacznie np. na początku pieśni VII, o rzeczach poważniejszych, o poezyi, Bogu, miłości platonicznéj, częściéj palące iskry rzuca ironia gorzka, albo satyra jadowita, gdy poeta chłosta życie mnichów greckich w klasztorze Megaspileon, albo uniesie się namiętnością polityczną. Silnie odzywa się nuta demokratyczna, słychać oderwane dźwięki hymnu swobody. Widoki Grecyi, tak samo jak u Byrona, budzą żywe uczucia republikańskie, wspomnienia walk o niepodległość grecką, ale rzecz dziwna, poeta wobec nich nie kipi zapałem, mówi o tém spokojnie czasem lekko jakby regestrował w pamięci fakty dziejowe, trochę je tylko barwiąc obrazowaniem. Znaczny wpływ Byrona ukazuje się w lekkich błyskach sceptycznych, w jadowitych szyderstwach z legitymizmu reakcyi świętego przymierza, w epitetach mocno nieparlamentarnych, ja-

kie dostaje Platon i Arystofanes, chociaż pierwszy z nich powinienby zasłużyć na cześć poety idealisty.

W szczegółowych zwrotach i kaprysach stylu a nawet w wyliczaniu całéj litanii wrażeń lub uczuć, przyczepionych od jednego wyrazu, Słowacki kilka razy żywcem przypomina manierę „Don-Juana“. Jedném słowem, artystyczna strona poematu przedstawia się bardzo nierówno, jest zlepkiem rzeczy pięknych i średnich, ale ma dużo szczegółów rzucających światło na stan wewnętrzny i przekonania poety w danéj epoce.

Słowacki, pisząc „podróż“, czuł widocznie, że fantazya niedość mu się rozkołysała, więc za życia całość schował pod korcem, a rzucił w świat dwa fragmenty: „Grób Agamemnona“ i „Wschód słońca nad Salaminą“. W pierwszym z nich marzenie poety, pod wpływem piekącego uczucia niedoli narodu, zamienia się w ryk, któż nie zna tego piorunującego ustępu, co w ostatnich strofach staje się orgią szalonego gniewu. Słusznie, stokroć słusznie, powiedziano Słowackiemu, że miotał się tu bez pamięci, na wspólną matkę naszą, któréj syn winien ręce całować choćby nawet grzeszną była. Ale nawet w tém miotaniu i klątwach piorunowych znać i rozpacz człowieka, którego torturuje ból zbiorowy. Zgrzeszył tu Słowacki popędliwością, bo nawet namiętny Byron nie porywał się nigdy tak szalenie na ziemię rodzimą, chociaż miał daleko większe do tego powody. Zapędził się nasz poeta w roli grzmiącego Jowisza, mniemał jak nie jeden romantyk, że stworzy cuda duchowe potężnym łoskotem frazesów. Ale potępienie „rubasznego czerepu“, który więził duszę anielską narodu, klątwa i egzorcyzm odganiający marę kastowości szlacheckiéj, wszystko to razem połączone z piorunującą siłą słowa, utrzymuje i utrzymywać będzie szaloną wziętość tego poematu.

Drugi fragment, „Wschód słońca nad Salaminą“, opracowany w formie oktawy, poeta napisał prawdopodobnie już po zaniechaniu dalszéj pracy nad „Podróżą“, nie chcąc, aby mu się zmarnował drobny ale piękny pomysł. Na tle pełnego blasków obrazu morskiéj zatoki, poeta wskrzesza tu wspomnienie dawnych bojów Greków z Persami i gniéwa się na słońce, że zamiast wstać z mogiły Temistoklesa, jak z mogiły Boga, zeszło tam, gdzie Kserkses na swym wysokim tronie patrzył na dzieło zniszczenia. Poeta, przejęty duchem republikańskim, urąga morzu „które chodziło w łańcuchu“, i wskrzesza w myśli postać Kserksesa, patrzącego na pogrom swéj floty i zgon bohaterów walczących za Helladę. Pomimo zwykłéj u Słowackiego nielogiczności paru porównań, wiersz ten odznacza się skojarzeniem myśli politycznéj z prześlicznēm obrazowaniem, szerokiém i pełném kolorystycznego blasku.

„Grób Agamemnona“ był wynikiem wojowniczéj energii, cechującéj także niektóre ustępy „Beniowskiego“, który w karyerze twórczéj Słowackiego miał znaczenie dzielnego strategicznego manewru. Autor „Balladyny“, „Lilli Wenedy“ i „Ojca Zadżumionych“, „Kordyana“ i „Grobu Agamemnona“, nie mógł do 1840 r. przełamać obojętności i uprzedzeń ziomków. Sam się skarżył, że pieśni jego ginęły w ludzkim tłumie bez echa, jak rapsody śpiewane przez greckiego barda falom Egejskiego morza. Oprócz tego dokuczała mu, jak tylu innym wielkim pisarzom, cierpka i uprzedzona krytyka. W paryskiéj „Młodéj Polsce“ i poznańskim „Tygodniku literackim“, pojawiały się artykuły o poezyach Słowackiego, pełne żółciowéj pedanteryi, pisane w tonie kwaśnym, imponującym, która do dziś dnia jest ulubioną pozą literacką pewnego gatunku Zoilów, co stąpając na szczudłach powagi, wykazać chcą wielkość kosztem maltretowanego autora. Namnożyły się także, z różnych powodów, pomiędzy emigracyą wrogie dla poety niechęci, zawiści rozdmuchiwane przez figury małe i płaskie, które obok wielkości roją się zawsze, jak robactwo przy pniach dębów.

W takiém położeniu pyszną radę dał Słowackiemu Krasiński, z prawdziwą wielkością charakteru, broniący sławy gienialnego druha, bez cienia współzawodniczéj dumy. W prześlicznym liście pisanym z Rzymu 1840, Krasiński na swój sposób, w obsłonkach idealnych, wypowiada bardzo praktyczną radę, którą można streścić w tych słowach: „Nie daj się, pokaż im zęby!“ Oceniając lotność i powab poezyi Słowackiego, trafnie żąda, aby oparł ją na gruncie realniejszym, twardszym, aby rzucił granit pod swoje tęcze, domieszał żółci do swych lazurów, „bo więcéj jest wątrób, niż serc na świecie“. Obojętnych czytelników i uprzedzonych recenzentów radzi potraktować „grubą ręką“. „Do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać, a zostawiwszy trupy na placu, znów porość w pierze i zawisnąć na niebie“. Doprawdy dziwić się należy, dla czego Krasiński, taki obojętny na własną chwałę, taki zamknięty w idealnych marzeniach, rozbudzał w Słowackim chętkę do kłótni i szermierki. To pewna jednak, że doskonale zrozumiał, co należało zrobić bratu w pieśni dla podniesienia uroku nazwiska. Cięta szermierka jest prawie zawsze nieomylnym środkiem rozgłosu, jest w pewnych razach konieczném wyrąbaniem sobie ścieżki wśród zachwaszczonych grzęd piśmienniczych. Szczególniéj prowodyrowie nowych kierunków, narazie silnie zwalczanych, muszą torować sobie drogę rozdając na prawo i na lewo cięcia i razy. Byron jednym zamachem robił sobie gościniec dla przyszéj karyery, w słynnéj satyrze „Angielscy bardowie i szkoccy recenzenci“, Mickiewicz od razu niby gradem kar-

taczy oczyścił pole dla romantyzmu w sławnéj rozprawie „O krytykach i recenzentach warszawskich“, która była prawdziwém Waterloo naszego pseudo-klasycyzmu. Jestto broń dzielna, ale obosieczna, bo błysnąć może nietylko w ręku geniusza i ludzi przekonań, ale służy czasem warchołom i karyerowiczom, u których stalówka zamienia się na szpadę kondotiera.

Słowacki odcinał się swym krytykom w pojedyńczych artykułach, ale dopiéro pohulał sobie w „Beniowskim“, wyrzucił z siebie wszystkie niesłuszne i słuszne pretensye, upomniał się głośno o należne mu prawo pół-boga—na polskim parnasie. Miał do zwalczenia nietylko niechętną krytykę, ale publiczność, którą trzeba było wziąć wstępnym bojem, olśnić fantazyą, rozgrzać poetycznym uczuciem, upoić czarem marzeń, zadziwić szmermelami dowcipu i brawurą satyryczną. Nic dziwnego, że poeta obrał formę i styl bajronowskiego „Don-Juana“, bo doskonale odpowiadały celowi, dogadzały kapryśnéj naturze jego fantazyi. W „Podróży na Wschód“ krępowały go widocznie fakty realne, bo musiał się trzymać kolei wrażeń i wypadków, w „Beniowskim“, sam przedmiot nadaje się do lekkiéj, ruchliwéj improwizacyi, do snucia fantastycznéj gadki.

Wybrał sobie bohatera, który w czasie rycerstwa stałby się figurą legendową pół-cudowną — jednego ze śmiałych wojowników konfederacyi barskiéj, stanowiącéj tło dziejowe akcyi i wydarzeń poematu. Nie może tu być mowy o traktowaniu przedmiotu ze stanowiska ściśle historycznego. Słowacki nie myślał zostać wiernym malarzem, a raczéj podrabiaczem przeszłości dziejowéj, ale wskrzeszał tylko poetyczną, a nawet legendową jéj stronę. Wprawdzie niedawno w „Agamemnonie“, huczał poeta przeciwko tradycyi ale w „Beniowskim“ chce pokazać:

„prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze,
A nadewszystko polskie szczere dusze. (Pieśń I).

Nic w tém dziwnego, bo Słowacki nigdy podobno nie zalecał się zbytkiem konsekwencyi, a zapomniawszy o teoryach z góry powziętych, malował szlachetczyznę w dobie konfederacyi, jako główną wówczas formę bytu narodowego....

Chociaż na czele konfederacyi stali Krasińscy a biskup Kamieniecki był jéj głównym twórcą, jednakże zgromadziła ona pod swe sztandary przeważnie drobniejszy zarybek szlachecki, grono ludzi gorętszych, którzy nie ulegli zarazie moralnéj, grasującéj w wyższych warstwach. Miała więc konfederacya, jak na owe czasy, pewien odcień demokratyczny, była dziełem natur szlachetnych, krewkich, które zapomniały o tém, że sam animusz i gorący

duch religijny, chociaż jest w boju potęgą, nie przeważy jednak siły bagnetów i armat. Pod tym względem, posiadała konfederacya wspólne rysy z wieloma naszemi ruchami, była dzieckiem gorącego zapału, „który mierzył siłę na zamiary“ — ale miała znaczenie protestacyi, podniesionéj w imię zdeptanéj godności narodu. Motorem jéj było napięte silnie uczucie patryotyczne i religijne. Krzepiło ono siły jednostek, wskrzeszało ducha ofiary i poświęcenia, stwarzało cały zastęp rycerzy, wygnańców, proroków i awanturników.

Nic dziwnego, że poeci i powieściopisarze pomijali niepolityczną i niepraktyczną stronę konfederacyi, oraz jéj szlachecką niechęć wobec króla-ekonomiczuka, bo trzeźwa ocena dziejów nie jest robotą pieśniarzy. Dla nich konfederacya nie była porywem gorączkowym i bezsilnym, ale aktem zbiorowego zapału, pierwszym ogniwem łańcucha bohaterskich wysiłków narodu.

Tak ją téż pojął Mickiewicz w swym przepysznym początku dramatu „Konfederaci“, dającym próbkę co mógłby na tém polu zdziałać, gdyby prowadził daléj twórczą robotę. Tak pojął konfederacyą Słowacki w „Beniowskim“, a w „Księdzu Marku“ podniósł urok jéj działaczy do nadludzkiéj mistycznéj potęgi. Nie chodziło poecie o szeroki zarys głównych wydarzeń, o pełny obraz katastrofy dziejowéj, ale o stworzenie tła dla działań bohatera, który w rzeczywistości jest jedną z najciekawszych postaci z końca zeszłego wieku.

Maurycy August Beniowski, z pochodzenia węgier, urodzony w Werbowie, komitacie trenczyńskim, syn generała austryackiego, wychowany w Wiedniu, od najmłodszych lat prowadził żywot czynny i burzliwy. Przybywszy do Polski, wdał się w awantury z krewnymi, którzy zagarnęli spadek po jego stryju na Litwie, potém uciekał do Niemiec, podróżował po Holandyi, udał się stamtąd do Indyi wschodnich, znów wrócił do Polski, rzucił się w wir konfederacyjnéj ruchawki, walczył jak lew, ale w r. 1769 dostał się do niewoli i wskutek odkrytego zamiaru ucieczki, powędrował przymusowo na Kamczatkę. Energiczny i niepodległy, zrobił tam formalny zamach stanu, obalił władzę gubernatora, opanował okręt, stojący w porcie, dostał się do Chin na wyspę Formozę, potém do Francyi, gdzie olśnił umysły swą brawurą i przedsiębiorczością. Niespokojny i ambitny, zdolny i zapobiegliwy, był on prawdziwym typem kosmopolitycznego awanturnika, zmieniał ciągle sztandary, przechodził ze służby francuskiéj do angielskiéj i austryackiéj, o mało nie został królem na Madagaskarze, gdzie padł od francuskiéj kuli w r. 1786. Człowiek ogromnéj energii i inteligencyi, niespokojny, w późniejszych kolejach życia działał wyłącznie dla wła-

snéj ambicyi; stworzony na sprężystego władcę, ale w polityce wiarołomny. Zdradzał dawnych przyjaciół, rzucał się na przedsięwzięcia wyzyskowne i w końcu ściągnął na siebie katastrofę.

Literatura nasza posiada przekład jego pamiętników, które należą do najciekawszych książek, jakie czytałem (1). Krytyka powątpiéwa o ich autentyczności, a jeden z towarzyszów jego podróży i przygód, Rumin, późniéj ogłosił sprostowanie niektórych fałszywych relacyi. To pewna jednak, że książka kipi życiem i pełną jest łudzącego kolorytu prawdy. Występuje w niéj z ogromną siłą i plastyką, niepospolita, gienialna pod pewnym względem osobistość Beniowskiego, który sam się w opowiadaniu faktów doskonale maluje, opowiada z wielkim wdziękiem, prosto i bez afektacyi. Człowiek ten od chwili, gdy się dowiedział, że wyślą go na Kamczatkę i że półwysep ten leży nad morzem, nie wątpił że stamtąd ucieknie, powziął postanowienie, do którego dążył z niezłomną konsekwencyą i pomysłowością. W czynach jego i słowach tętni szalona energia. Przebiegły, przytomny, konsekwentny, wytrwały, nietracący zimnéj krwi w największém niebezpieczeństwie, przedsiębiorczy, zręczny, śmiały, wymowny, pełen determinacyi, wywiérał i wywrzéć musiał dokoła siebie wpływ magiczny. Charakteryzuje sam siebie z wielką szczerością, a w drobnych szczegółach i uwagach ujawnia tak ciekawe i dobrze uchwycone odcienia psychologiczne, że trudno przypuścić, aby one były płodem wymysłu. Cały epizod kamczacki jest niesłychanie dramatyczny, a figury wszystkich prawie działaczy występują tu bardzo wypukle, malowane z wielką przedmiotowością, siłą i spokojem. Cokolwiek warte to opowiadanie pod względem ścisłości historycznéj, to pewna że sam jego bohater jest figurą żywą, niepospolitą i że przygody jego dostarczają istotnie bogatego wątku dla poetycznych utworów. U Słowackiego „Beniowski“ jest tak podobny do swego historycznego pierwowzoru, jak sokół do żórawia. Oprócz nazwiska i kilku szczegółów zewnętrznych, absolutnie niczém go nie przypomina a powiédzmy prawdę, że jako człowiek w pamiętnikach jest bardziéj zajmujący. Przed napisaniem poematu, Słowacki miał zamiar przedstawić losy swego bohatera w utworze dramatycznym, z którego pozostały dwa niezmiernie oryginalne fragmenty. Zmieniając często metodę tworzenia, Słowacki zwrócił się tu widocznie do średniowiecznéj formy

(1) Historya podróży y osobliwszych zdarzeń slawnego Maurycego Augusta hrabi Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego.... z fracuzkiego tłómaczona. Edycya nowa. W Warszawie w drukarniach połączonych Gazety Warszawskiey i Tomasza Lebrun. 1806 r.

misteryum, wyprowadził w prześlicznéj scenie Chrystusa i Maryę, pomieszał najdowolniéj żywioł fantastyczny z komicznym. Beniowski występuje tu z młodzieńczą i naiwną siłą zapału, która mu się każe rzucać na oślep w wypadki. Ratuje podczas zdobycia Baru księżniczkę, córkę Radziwiła, potém niewiadomo dla czego, dyabeł ciągnie go po wertepach, pokazuje fantastyczne widma wśród miesięcznéj nocy nad brzegiem Świtezi. Następnie Beniowski dostaje się do Karpat, zdobywa dawny zamek swych przodków, robi tam pieniądze z dyabłem, który ucieka przed księdzem, nadciągającym na czele garstki dawnych konfederatów. Nie znając całości, trudno przeniknąć myśl naczelną kompozycyi, która jest zlewkiem dwu najzupełniéj różnych stylów. Niektóre sceny kréślił poeta wedle swéj realnéj maniery z okrasą komizmu, tak samo jak w „Złotéj Czaszcze", „Horsztyńskim" i fragmencie „Jana Kazimierza". W innych ustępach fantazyuje, buja po obłokach z dyabłami i walkiryami, snuje szereg alegorycznych widziadeł. Obok dziwacznych, ale świetnych zapędów fantazyi, spotykają się tu wybryki rubasznego humoru, przeskoki od idealizmu do trywialności, które są oryginalném znamieniem umysłu poety, zwłaszcza w ostatniéj dobie mistycznéj. Słowacki swoim zwyczajem porzucił ten dramat niedokończony, aby opowiedziéć losy bohatera w formie ariostycznéj.

W poemacie, o który głównie mi teraz chodzi, Beniowski jest młodzieńcem, rzucającym się na oślep w fale życia, ale nie ma nic wspólnego z dyabłami, widmami i walkiryami. Jestto dzielny chłopiec, któremu spuściznę ojcowską wydarli juryści, szlachcic mało otarty w świecie i niezdarny. Poeta kładzie ironiczny nacisk na ten brak ogłady, która nie zmniejsza sympatyi dla bohatera, co „na gitarze gra i rym śpiéwa włoski". Ten szczegół nie zgadza się co prawda z patentem na rubaszność, jaki panu Maurycemu dał Słowacki, ale widocznie, chcąc go odmalować w barwach szlacheckich, zrobił skłonnym do „swarów i pijaństw", bo takie cechy, to ważne u poety przedstawiciela „kontuszowości". Pan Beniowski jest wobec niewiast nieśmiały, stateczny. Młodzian gorącego animuszu, wcale nie jakiś farmazon i kosmopolita, ale dobry Polak przykładny katolik, miłujący ojczyznę. Krewki i śmiały, rzuca się do korda byle o co, umié poczynać sobie w ciężkich okazyach, nie traci fantazyi, gdy przymiéra z głodu i pragnienia, daje przykłady męstwa i przytomności umysłu. Prochu wprawdzie nie wynajdzie, statystą ani biskupem nie zostanie, ale wyborny na bohatera fantastyczno-rycerskiéj powieści.

Rzucił właśnie p. Maurycy rodzinę, dworek i biegł w świat, gdzie oczy poniosą, ale jakimś fantastycznym sposobem dostał się

do Anielinek, ustronnéj pasieki, znajdującéj się obok zamku możnego starosty, nad rzeką Ladawą. Chociaż był ubogim szlachcicem, pokochała go córa magnacka, piękna i poważna jak Diana, a tkliwa jak gołębica. W Anielinkach bogdanka pożegnała go płaczem, i wróciła do pałacu ojca, gdzie jak grom, uderzył ją niespodziewany widok. Przed chwilą, nienawistny zalotnik, pan regimentarz podolski, prosił o jéj rękę, ale nagle wpadła do zamku gromada konfederatów a na jéj czele legendowy ojciec Marek, który grał rolę Piotra z Amiens w barskiéj ruchawce. Padł ofiarą rycerzy Maryi p. regimentarz za to, że zdradą przeciw nim wojował, a panna Aniela patrzyła na przestrach ojcowski i na straszną śmierć niemiłego zalotnika, nad którym ks. Marek pacierze odmawiał, spełniając obowiązek kapłana, chociaż „wiedział, że tę duszę dyabli biorą". Tymczasem Beniowski, pożegnawszy bohdankę, ruszył w świat, znalazł się koło Baru i widział zdala jak wojska rosyjskie atakowały mieścinę, broniącą się rozpacznie. Już chciał lecieć w wir walki, jak bohater średniowieczny, ale.., nagle pojawiły się dwa gołębie, zaczęły krążyć nad głową rycerza, który wziął to za cudowny *omen* i puścił się w ślad za śnieżno-pióremi ptakami. Uratował następnie ukrytą we wnętrzu starego dębu — rusałkę stepową Swentynę, któréj zagrażała śmierć, od nieprzyjacielskiéj pikiety, ucztującéj pod drzewem. Przy tym dębie spotyka się z Beniowskim ks. Marek, który poznawszy w młodzieńcu gorącą chęć służenia krajowi, wysyła go z misyą do hana krymskiego, prosząc o pomoc w ciężkiéj potrzebie. Nasz rycerz tymczasem z powodu sprzeczki o Swentynę zwarł się orężnie z jéj bratem panem Sawą, kozakiem, który walczył w obronie konfederatów i szlachty, z grasującemi wówczas bandami hajdamaków. Byłby Sawa plunął Beniowskiemu w twarz ołowiem, ale czarodziejka Swentyna w sposób trudny do zrozumienia dla zwykłych śmiertelników, skoczyła nagle z gałęzi drzewa na konia i powiodła kozaka mimowoli do jego siedziby na stepie. Brat robił jéj wyrzuty, że się spotyka przy dębie z wędrownym szlachcicem, ale rusałka, miłująca nad wszystko swobodę, rzuciła mu kilka ostrych słówek w oczy i jak ptaszek pofrunęła na wolę. Tymczasem p. Beniowski z wielkiém rozżaleniem czytał list bogdanki, oddany przez ks. Marka, i otrzymawszy błogosławieństwo kapłana, ruszył z poruczoném poselstwem.

Na tém przerywa się wątek pierwszych pięciu pieśni, które ukazały się w druku, za życia poety. Ogłoszony w dziełach pośmiertnych dalszy ciąg poematu, świadczy, że miał on być całością wielkich rozmiarów, skoro część pierwsza kończy się na pieśni XIII. Z drugiéj części zostało parę ułamków pieśni XIV, a cały pośmier-

tny ciąg poematu jest szeregiem odłamów, które p. Małecki spoił kitem własnych domysłów, z poszanowaniem i misternością archeologa, porządkującego szczątki drogiéj spuścizny. Fragmenty te wyglądają jak czerepy rozbitéj wazy, wysadzanéj klejnotami, dla tego każdy prawie błyska tęczą dyamentowych ogni, albo barwami opalu. W pierwszych fragmentach znajdujemy opisy utarczek konfederatów, pod wodzą podczaszego Potockiego, oddane z największą może w poemacie plastyką. W pieśniach VIII, IX i X dochowanych w całości zamyka się pełen ciekawych i malowniczych szczegółów opis przygód w Krymie, obrona branki polskiéj, Gruszczyńskiéj, prześladowanéj przez Tatarów, ucieczka Beniowskiego, uwięzionego w grobowcu derwisza, ocalenie jego i branki za sprawą cudownego zjawienia się we śnie Matki Boskiéj; potém awantura, jaką nasz rycerz zrobił chanowi krymskiemu, powtórne uwięzienie a wreszcie tryumfalny powrót do kraju, na czele oddziału Tatarów, który władzca krymski wysłał na pomoc barszczanom. Beniowski, ciągnąc na odsiecz konfederatom, spotyka na drodze lirnika i wieszcza Wernyhorę, jednę z tych legendowych postaci, które rosły w owéj epoce gorączkowéj a zwichrzonéj, gdy nad umysłami ludzkimi, zawisły przeczucia strasznych katastrof i przewrotów. Na czele swéj roty przedziéra się Beniowski wśród szeregów wojsk oblężniczych. Hufiec jego przenosi męczarnie głodu, on sam nie traci hartu i dzielnie się trzyma, ale w następnéj pieśni spotykamy go w strasznéj nędzy. Obdarty, obdrapany, wychudzony, żegna w Anielinkach swą bogdankę na wieki i nie wiadomo dla czego każe porywać swym obszarpanym Tatarom, ks. Lubora i panią Dafnicką, którzy z gronem okolicznéj szlachty schronili się do zamku pana starosty nad Ladawą, uciekając przed nożami hajdamackich „rizunów“. Ostatnie fragmenty zawiérają opisy pijatyk w domu pana starosty, oraz parę innych epizodów, pełnych ruchu i życia, ale nie jasnych w swém oderwaniu od całości. Na końcu poematu wydawca zebrał jeszcze garstkę okruchów luźnych, ale pełnych szczerozłotych ziarn poezyi.

Ten szkielet treści świadczy, że autor nie bez powodu nazywał swą pieśń ariostyczną. O ile bowiem w ustępach ironicznych przyswoił sobie manierę „Don-Juana“, o tyle znowu w prowadzeniu samego wątku pomija realizm bajroński, staje się bardziéj lotnym i fantastycznym i przypomina wyraźnie Ariosta. W pewnych scenach pośmiertnego ciągu potrąca nawet o cudowności, ale ma się rozumiéć nie idzie tak daleko jak autor „Orlanda“, u którego samopas po lasach błądzą rycerze, szukając kochanek, zabijają potwory morskie, jadą w powietrze na hippogryfach, tak, że prawdo-

podobieństwo ustępuje wobec efektów fantastycznéj maszyneryi. W „Beniowskim“ nie ma tak szerokich i wytrzymanych w tonie epizodów jak w „Don-Juanie“. Widownia poematu zmienia się daleko częściéj, sceny za sceną występują jak w czeredzie niknących obrazów. Szeroki styl epicki rzadziéj się pojawia, i to głównie w ciągu pośmiertnym, w opisach utarczek wojennych i scenach krymskich, przedstawionych ruchliwie w ciepłym oryentalnym kolorycie. Pierwsze pięć pieśni powodują ton bardziéj jednolity. Opisy i sceny są tu jakby przysłonięte poetyczną gazą, miejsca liryczne roztapiają się w melancholii, która przechodzi chwilami w namiętne wybuchy, a na tém tle rysują się gzygzaki wytwornéj jadowitéj ironii. W opisach dalszego ciągu, Słowacki zwiéwa czasem tę gazę, staje się bardziéj plastycznym, a horyzont poematu to zachodzi chmurami, to świéci jaśniejszym lazurem.

W pieśniach VII i VIII ukazuje poeta swe zwykłe smutne oblicze, które dawniéj czasami tylko migało z po za wzorzystéj osłony. Ironia i humor ustępują tęsknocie tułacza, myślom o wielkiém nieszczęściu zbiorowem, potém dopiéro bez widocznéj przyczyny ożywia się i wraca do dawnéj lekkiéj werwy.

Ta nierówność jest łatwą do wytłómaczenia, albowiem dalszy ciąg pisany był w latach 1841, 1842 i 1843, gdy Słowackiego ciągnął już mesyanizm w inną stronę. Zarówno ton, jak treść „Beniowskiego“, nie mogły mieć spójni z duchem ascetycznym, który zawładnął poetą w ostatnim okresie życia. Mimo to, wbrew twierdzeniom dotychczasowéj krytyki, utrzymuję na podstawie rozejrzenia się w tekście, że towianizm położył swe wyraźne piętno, nie w kompozycyi, ani w głównych pomysłach dalszego ciągu, ale w szczegółach i pojedyńczych ustępach. Kto się dobrze wczytał w dawniéjsze utwory poety, łatwo to zrozumié, że mistycyzm jego był nieuniknionym, że zarodki tego kierunku, tkwiły w jednostronném li tylko duchowem pojmowaniu głębszych zadań życia ludzkiego. Kwestya ta należy do charakterystyki późniejszego okresu, a więc zostawiając ją na boku, zaznaczam tylko, że echa mistyczne, odzywają się w dalszym ciągu „Beniowskiego“ bardzo silnie. Na końcu pieśni VIII poeta fantazyuje pięknie, chociaż mglisto, na temat powabów artystycznych Rzymu, jego dawnéj wielkości i żałuje, że wielkie miasto jest siedliskiem nienawistnego mu klerykalizmu. Potém zwraca się do Bohdana (Zaleskiego) i wyrzuca mu jego pełne gołębiéj prostoty przywiązanie do katolicyzmu, dziwi się, że słowik ukraiński kryje się pod płaszcz „dominikańskim mieniący się jadem, a każda w nim nić —czartem albo gadem“. Potém opowiada senną i mglistą wizyą, jak z fontanny Piotrowéj wyszły dwa

anioły wodne i ukazały mu kopułę kościoła Zbawiciela spękaną, a zawieszoną w górze i lesie krzyżów, który kołysze się pomiędzy obłokami. W tym świecie cudownym ma zapanować wkrótce Perun litewski, który „zdobędzie błyskawicami to, co próchnem świeci“. Niejasność tego obrazu odrazu się rozświéca, gdy w Perunie zobaczymy uosobienie mistrza Andrzeja, który przyjechał z Litwy nad Sekwanę, aby po swojemu odnowić spękany gmach kościoła. Gdzieindziéj w pieśni IX Słowacki wspomina o metempsychozie, która potém stała się ważnym składnikiem jego wiary mistycznéj, głosi wiarę w moc ducha, „który wywraca zbrojne zamki, skały“ (początek pieśni XI), albo też marzy o „święto-duchowém“ odrodzeniu narodu (Pieśń XI, fragm. II), stawianém jako cel główny doktryny towiańskiéj. Nawet panna Aniela w sposób dosyć dziwny podziela (w Pieśni XII) mesyaniczną wiarę poety w przyszłą świetność narodu, który duchem uderzy w słowiańskie plemiona i będzie miał cudowną moc budzenia życia w trumnach, które oddadzą duchów, chociaż „zniedokwasiła się ich zgnilizna“. Pomimo takich śladów krańcowego mistycyzmu, które w wielu jeszcze miejscach, zwłaszcza w Pieśni VI i VII, są bardzo widoczne, czysto artystyczna strona dalszego ciągu nie odskakuje tak dalece od pierwszych pieśni i nie zatraca organicznego z niemi związku. Ariostyczna powieść snuje się w szeregu obrazów, w których wolny świat odbija się pół-fantastycznie i tonie czasem w obłokach. Naturę swéj fantazyi poeta doskonale rozjaśnia w jednym z listów do matki, spowiadając się z wrażeń podróży. Widok rzeczywisty nigdy nie wydaje mu się tak piękny, jak się spodziéwał. Daleko więcéj uroku ma obraz drugi, odbity w umyśle, a najpiękniejszy bywa trzeci, który powstaje z przypomnienia obu pierwszych. W tém się mieści klucz zagadki, objaśniający tajemnicę twórczéj roboty Słowackiego. Ponieważ głównym materyałem téj roboty, było senne przypomnienie, idealna przeróbka dawnych wrażeń, nic więc dziwnego, że w skojarzeniu pojęć i obrazów panuje czasem pewna dowolność, że w następstwie szczegółów i myśli tkwi odrobina senności, jaka towarzyszy nieświadomym aktom myślenia. Bardzo często np. jakiś obraz albo wyrażenie, wzięte ściśléj, jest nielogiczne, zawiłe, ale mimo to, służy doskonale od oddania pewnego nastroju. Zdarza się to szczególniéj w chwilach marzycielskich, jak np. w owém prześlicznéem wspomnieniu pierwszéj kochanki z lat młodzieńczych przy końcu IV pieśni,

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne;

Jedna z marmuru, a druga z promienia—
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie zrzucały włosów i odzienia;
Między kolumny na niebie się kreśląc.
Staliśmy jak dwa sny—oboje myśląc

To „słońce sumienia“, te „kolumny na niebie“ same przez się nic nie znaczą, niczemu nie odpowiadają, ale łączą się doskonale z głęboką melancholią ustępu, z rojem sennych wspomnień, które w myśli poety płyną, niby czereda mar, osrebrzona łagodnym blaskiem księżyca.

Dla tego też niepodobna brać wielu obrazów i porównań poety, w sposób ścisły i określony, a krytyka racyonalna musi uznać taką, a nie inną naturę fantazyi i nie powinna zbytnią ścisłością analizy rozbijać czaru obrazowania.

Jako malarz natury, Słowacki także jest oryginalnym. Głównym jego zmysłem jest oko; poczucie piękna opiéra się przeważnie na barwności. Zdarzają się wprawdzie w listach do matki obrazy przyrody szwajcarskiéj, w któréj poeta misternie kojarzy barwę, blask i dźwięki, ale powiększéj części jest kolorystą i nie żałuje farb na swéj palecie. Nie jestto jak u Mickiewicza koloryt realny, dobrze studyowany z natury, ale pół senny, fantastyczny, przepojony eterycznêm światłem jak w obrazach niknących. Słowacki po swojemu odczuwa naturę, z którą umiał duchem obcować. Właśnie z Genewy w d. 24 października pisze do matki, że 3-miesięczna samotność w górach, była dla niego nauką. „Uważałem harmonią natury, która wszystko łączy i zaléwa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerami i dźwiękami natury, widząc ją z bliska błękitną albo chmurną. Raz wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerznięty potokiem. Było to w niedzielę rano, dzwon kościoła wiejskiego napełniał powietrze. Cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym grzmi imię Boga“. Widzimy tu znowu poezyą opisową, dociągniętą harmonijnie do pewnego nastroju, ożywienie duchowe obrazu przyrody, która gdzieindziéj łączy się bardzo często z treścią psychiczną, z nastrojem poety albo osoby opisywanéj, czarami i szumami wichrów, bujających po szerokim stepie, a w najpiękniejszych ustępach ożywia się tchnieniem obecności Boga w przyrodzie:

Kto Cię nie widział nigdy wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywém,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnóże

Wydaje się krwią i promieniem krzywym—
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze;
Mogiły głosem wołają straszliwym.
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie—i ginie...

Miał słuszność poeta, nazywając siebie w „Podróży z Neapolu do Ziemi Świętéj“ panteistą, bo był nim potrosze, tak jak większość romantyków europejskich. Panteizm jego nie był teoretycznym, ale polegał na żywém uczuciu, na pogrążeniu się poety w morzu zjawisk, które pojmował czasem w oryginalném uduchowieniu. Czasami widzi cząstkę bóstwa nietylko w naturze ale w dziełach sztuki, jak np. w owych lożach Rafaela i w sufitach watykańskich, które są nieśmiertelne, są dziełem bożém, co „o Jehowie będąc—jest Jehową“ (Pieśń VIII). Obok estetycznego kultu miał poeta swoją religią przyrody, bratał się z jéj siłami, wierzył mistycznie, że własną moc groźną a potężną z oddali może mistycznie przesłać tchnieniem wichrów do rodzinnéj ziemi (Pieśń XII—ostatnia strofa). Jako poeta natury, Słowacki jest w swoim rodzaju mistrzem wielkiéj ręki, z pod jego pióra prześliczne wychodzą w poemacie opisy szerokie, obszary ubrane potokami lejącego się światła, przestrzenie usiane mogiłami, albo lasem burzanów porosłe, pomiędzy któremi wiją się srebrne strumienie.

Nie takim mistrzem jest poeta w kreśleniu postaci ludzkich, które są pół-obrazami pół-marami, a te mary, jak powiada:

Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnéj, twardéj wiary
W przyszłość—a czwarte obłok piorunowy,
A piąte mi koń w stepach przyniósł kary.

Wogóle figury są szkicowane, kontury ich trochę rozpływają się w tle utworu. Na dno duszy poeta nie zagląda, nie jest tak jak Byron opisowo wyrazistym i przedmiotowym, każe im mówić często własnym językiem i kolorować myśli własném obrazowaniem. Z postaci męskich najwybitniejszym jest ojciec Marek, ten gorący apostoł miłości kraju w szacie prostaczka. Słowacki nadał téj legendowéj postaci odcień rubaszności, zgodnie z prawdą dziejową. Według najnowszych badań dziejowych, prorok konfederacyi łączył jowialną trochę hulaszczą naturę dawnego polskiego mnicha, z głęboką wiarą w swoje mistyczno-narodowe posłannictwo, wierzył w przymierze z nadprzyrodzonemi siłami i tą mocą wydawał swoje oryginalne ordynanse (1). W jednym z nich pisze Marek:

(1) Patrz: monografią Wł. Smoleńskiego „Ksiądz Marek“, Ateneum z r. 1886 zeszyt kwietniowy.

„Wszelkim chorobom, defektom, ciężkościom, zarazom, piorunom, gradom, powietrzom, upadkom, przypadkom, szkodom i szkodliwościom, mgłościom i opresyom etc. etc. krwią Chrystusową surowy ordynans daję: won, precz—na ustęp każę i przymuszam". Potęga jego wiary krzepiła konfederatów, na czele których szedł w obleczeniu kapłańskiém i zagrzewał do boju. Wizyoner, mnich i rycerz, nic dziwnego że stał się przedmiotem legendy, jedną z najpopularniejszych postaci w literaturze romantycznéj i tradycyjno-szlacheckiéj. Niektóre jéj rysy ujął Słowacki bardzo szczęśliwie, nie robiąc Marka, tak jak Rzewuski rodzajem facecyonisty, który odprawia cuda dla popisu, ani tak jak Mickiewicz surowym pełnym potężnego ognia kaznodzieją. Rubaszność i prostota karmelity nie szkodzi jego duchowéj potędze. Słowacki nie miał sam w sobie prostoty ale ją w ludziach cenił ogromnie. W ostatnich latach życia co niedziela ugaszczał u siebie prostego robotnika, dawnego żołnierza, nietylko z miłosierdzia ale dla własnéj moralnéj korzyści. Twierdził poeta, że od ludzi prostych zawsze się czegoś nauczy, a nie cierpiał pretensyonalnych zarozumialców. Nic więc dziwnego, że prostakowi dał moc proroczą i wielkie natchnienie. Gdy starosta podczas najścia konfederatów robi Markowi wyrzuty za to, że w jego zamku wymierzyli sobie sprawiedliwość na panu Regimentarzu, ks. Marek gromi go potężnie, wołając, że góry może palcem ruszyć, a na wroga pójdą:

„Kto tu szczeka?
Kto urąga się z bożego ducha?
Kto tutaj słysząc, nie słyszy i słucha?"...

Co za doskonałe uchwycenie charakteru w kilku słowach!" Szkoda tylko, że poeta nie przeprowadził całéj postaci ks. Marka z podobną wyrazistością, że wplótł go w dosyć podrzędne epizody poematu, że po swojemu rzuciwszy jeden lub dwa rysy wyraziste, fantazyował i zacierał linie rysunku. Pyszny jest ojciec Marek, gdy strofując starostę, do konfederatów pisze list, w którym ksiądz kłóci się z żołnierzem, bo gdy jeden błogosławi, drugi klnie i sadzi dyabłami; ale niekonsekwentny, gdy potém w ślicznych frazesach fantazyuje o swém powołaniu, o tém, że jest garsteczką prochu, co jutro będzie w dolinie rodziła chwasty i lilie. W ostatnim okresie twórczości Słowackiego ks. Marek olbrzymieje, staje się cudo-twórcą, natchnionym prorokiem mistycyzmu, głównym bohaterem dramatu, w którym poeta nasz pod wpływem Kalderona, rozbujał fantazyą do ostateczności. Ks. Marek jest to we wszystkich utworach Słowackiego jedyna może dodatnia postać księdza. Poeta był chrześcianinem, zakończył życie spowiedzią i sakramentami, ale księży stanowczo nie lubił. Wypływało to z jego pojęć religijnych, które

potém treściwie scharakteryzuję. Zaznaczając ten rys, nie mam bynajmniéj zamiaru składać dani fałszywéj tendencyjności. Krytyka powinna się opiérać na gruncie pewnych przekonań filozoficznych i społecznych, ale staje się zwykłym panfletem jeżeli ciągnie za włosy treść utworów do swych stronniczych zachcianek. Duch sekciarski, jakiegokolwiek charakteru i pochodzenia, jest negacyą godności nauki wogóle a krytyki w szczególności. Całym szeregiem cytat łatwo wykazać, jak silnie była zakorzenioną w Słowackim niechęć do duchownych. Oni „obrzydzili poecie (jak to wyznaje w listach do matki) próg kościelny, pokazywali do Boga drogę maluczką, pełną fałszów, którą tylko robactwo maluczkie pełzać mogło“. W „Podróży z Neapolu do Ziemi Świętéj“ Słowacki z prawdziwą przyjemnością czyni sobie ulgę wezbraną żółcią i gorzko chłoszcze mnichów greckich w klasztorze „Megaspileon“ za wszystkie przywary leniwego i bezmyślnego życia. Nie cierpi także jezuitów, o których się odzywa z jadowitym przekąsem. W Pieśni III szarpiąc jednego ze swych krytyków, który go niemądrze obszamerował w „Młodéj Polsce“, mówi poeta:

Ale ja, widząc jak kąsa i szczeka,
Sądzę że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye
Tylko w dyabelskim dyalekcie,

Gdzieindziéj znowu (w Pieśni II) szydząc z przekładów Szekspira Kefalińskiego (tj. księdza Hołowińskiego), zaczepia wogóle stan duchowny i parodyuje ironicznie ustęp z monologu Ryszarda, komicznie oddany przez tłómacza:

O księżach dobrze mów! jestto przestroga
Już nie Szekspira! na tym fundamencie
Moralność cała stoi!...

Pomijam inne cytaty, których możnaby obficie namnożyć, zaznaczając tylko, że w antyklerykalnych namiętnych tyradach w środku pieśni I i przy końcu VIII, jezuici i księża otrzymują nazwy gadów, legionów robactwa, bywają porównywani „do hyen, wilków szarych“ „mają zęzy tygrysie“. Ta niechęć a nawet nienawiść do duchowieństwa tłómaczy, podług mnie, dla czego np. Słowacki przedstawił w ujemném świetle zagadkową postać ś-go Gwalberta w „Lilli Wenedzie“, niekonsekwentną i pełną sprzeczych rysów. Dość przypomniéć zresztą scenę watykańską w Kordyanie, kreśloną zresztą niesmacznie, dość ukazać na pyszną w „Złotéj czaszce“, postać ks. Prowincyała, w którym egoizm klasztorny walczy zabawnie z miłością dla ojczyzny, aby uprzytomniéć sobie pewną stałość poety w téj niechęci. Ksiądz Marek odbija szlachetnie od fi-

gur poprzednich, ponieważ jest nietylko księdzem ale człowiekiem bożego ducha — apostołem wielkiéj sprawy, obrońcą uciśnionych „whigiem-papistą“, tj. demokratą pomimo katolicyzmu. Widać to doskonale w jednym z końcowych odłamów poematu, gdzie prorok barski stanowi tak wymowne przeciwieństwo ze swym przeorem, który ciągnie winko i myśli tylko o materyalnych interesach zakonu. Ojcze przeorze — mówi ks. Marek, tłómacząc się z powodu swych wędrówek konfederackich:

„Ojcze przeorze—teraz ojczyzna kochana
Serce moje zabrała a z tego rubachy,
Któregoś ty znał ojcze, dziś apostoł boży,
A na śmierć przeznaczony, jak owca śnieżysta,
Na którą pasterz kredą czerwoną położy
Krzyż śmiertelny“...

Prawdę powiedziawszy, mógłby poeta oszczędzić ks. Markowi takich czynów, jak przebijanie nożem dłoni p. regimentarza, albo oddawanie listów miłosnych Beniowskiemu od p. Anieli, bo jedno i drugie nie licuje z jego kapłańskiém powołaniem.

Z innych figur męskich wyróżnia się w poemacie p. starosta, puszący się magnat, mędrek i orator, dziwak zakochany we wspomnieniach pogańskich, do którego Słowacki pewne rysy zapożyczył, jak się zdaje, z dziwaka Marchockiego, w „Królu Ladawy“. Pan regimentarz Dzieduszycki układny i szczwany zdrajca, wzięty jest niby z dzieła Rulhière'a „*L'Histoire de l'Anarchie en Pologne*“, która stanowi jeden z głównych materyałów dziejowych dla owéj epoki. Poeta jednak nie wiele zważał na prawdę dziejową, bo p. regimentarz nie był znów takim czarnym zdrajcą, tylko stronnikiem króla, nie zginął tak sromotnie z rąk konfederatów, ale zeszedł ze świata jako dygnitarz i statysta. Mimo to scena konania tego sępa z siwém okiem, który ze wściekłości zębami chwyta podany krucyfiks, napisana z ponurą siłą, robi wstrząsające wrażenie.

W scenach bojowych, które wypełniają dalszy ciąg Beniowskiego, Słowacki wprowadził kilka postaci historycznych podczaszego Potockiego, Puławskiego i Wernyhorę, oraz kilka figur malowniczych, ale wątek charakterystyki, rwie się w niepełnych odłamach poematu.

W postaciach kobiecych poeta, jak zwykle, zastąpił analizę uczuć rzeczywistych, pełném wdzięku fantazyowaniem. Dziewa ukraińska Swentyna buja po stepie z gołębiami nad głową. Lotna i chybka posłanniczka i roznosicielka wiadomości wojennych wśród ruchu wojsk nieprzyjacielskich, jest fikcyą poetyczną, bardzo powabną. Jako czarodziejka osrebrzona blaskami księżyca, występuje także p. Aniela, łzawą, kochająca, smętna, wierna kochankowi,

chociaż się zjawia przed nią w postaci nędzarza. Postać to prześliczna, czysta, łzawa, pełna spokojnego uroku, rzewna i naiwna w swych objawach uczucia, poetyczna w ogólnym pomyśle, ale wprowadzona zręcznie w stosunki, domowego życia, wypełnione szczegółami prawdziwemi. Aniela, jak słusznie twierdzi prof. Tarnowski, nie ustępuje wdziękiem kobietom Byrona a dla nas ma urok swojskości. Tak samo jak Julia w Don-Juanie, pisze ona do swego miłego list pełen łez i bólu, piękny, rzewny i poetyczny ale stylem zapożyczonym od autora.

Julia przemawia do Don-Juana prosto:

Miłość mężczyznie nie jest życiem całém—
  Dla kobiet miłość—jedyne istnienie.
On może dumnym być, ambitnym, śmiałym,
  Zdobywać sławę, potęgę i mienie,
Napełniać serce rozkoszą i szałem;
  Każda u niego trudność w jednéj cenie,
On wszystkie dobra ma—kobiéta jedno:
  Kochać i kochać i być zawsze biedną!

Ty pójdziesz daléj w rozkoszy i dumie,
  Kochając, będziesz kochany; mnie smutnéj
Nic nie zostało na ziemi—nic tu mię
  Nie czeka, chyba wstydu chleb pokutny...
I wstyd przeżyję—ale nie przytłumię
  Wspomnienia, chwili szczęścia—niepowrotnéj.
Więc bądź zdrów! przebacz mi! kochaj mię—a! nie!
  Skądże to słowo?... Lecz niech zostanie. (Pieśń I, strofa 194, 195).

Panna Aniela tak się spowiada ze swych uczuć:

Odjeżdżam teraz—ale się otoczę
  Myślami, kwiatów podolskich zapachem,
Woniami, które były tak urocze,
  Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem,
Ty mię porzucał—a ja ci warkocze
  Dałam całować, przeniknięta strachem
Abyś mi u nóg nie padł konający,
  Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.

Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
  Chmur i tak wstydzi mię, że nie wiem czemu,
Cała się zlałam łzami i rumieńcem—
  Ty wiesz ja zawsze kwiatowi białemu
Podobna, póki mi był oblubieńcem
  Chrystus. Uśmiechnij się słońcu złotemu
Bo mi się przed nim łza gorąca toczy;
  I tak rumieni mnie jak twoje oczy itd. (Środek pieśni IV)

W tém zestawieniu dwu próbek poetycznéj liriki, widzimy różnicę pomiędzy realizmem Bajrona a idealizmem Słowackiego, który lubi malować miłość na tle powabnéj przyrody, otaczać ją szme-

rem kaskad i girlandami chmur księżycowych. Byron niewątpliwie silniéj odczuwał prawdę i głębię namiętności miłosnéj i umiał ją wypowiadać z większą siłą aniżeli Słowacki, który najczęściéj marzył o miłości, fantazyował ją idealnie i lirycznie, zdobył się na arcydzieło abstrakcyjnego erosu („W Szwajcaryi“) i stworzył lotną i pieściwą frazeologią miłosną. Aż do zbytku ją przedrzeźniali poeci *minorum gentium*, napełniający przed dwudziestu laty szpalty pism mnóstwem ckliwych jęków, skarg i podrabianych zachwytów i rozpaczy. Naśladownictwo to wytworzyło pewien szablon retoryczny, który dodziś dnia spotkać można w płodach miłosnéj liryki naszéj. Wogóle, miłości u Słowackiego są bezcielesne, rozpływające się w marzycielskiéj tęsknocie. Gdy poeta zetknął we wnętrzu olbrzymiego dębu, rycerza ze stepową rusałką, pośpiesza ostrzedz czytelników, że z téj schadzki nic złego nie będzie:

. . . . Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj daléj—
   Miłoście moje jako próchna świécą,
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;
   Ledwo ustami płomienia zachwycą,
Wnet je strach księdza, albo los oddali,
   Rozerwie ręce, strwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą—listownie, (Pieśń III).

Zdawałoby się, że Słowacki, nie potrafi kochać krwią i nerwami, bo żadna z jego postaci kobiecych nie ma ciała ani kości, żadna nie płonie naturalnym ogniem żądzy. Miał poeta w sobie jakąś wstydliwość, która kazała mu odwracać oczy od ziemskich powabów Erosu, albo przetapiać je (jak np. „W Szwajcaryi“) na jakiś obłoczny idealizm. Jestto wogóle znamieniem romantyków, że nie traktują miłości z nielitościwym lub nagim realizmem, jak dzisiejsi powieściopisarze francuscy. Swawolnie igrający Ariosto lubi podawać swym bohaterom kubek pełen miłosnych rozkoszy i usuwa go nagle zanim zmoczyli wargi. Byron lekko przemyka się przez sceny drastyczne, a Słowacki lęka się nawet, aby go nie posądzono o zamiar swywoli. Poetyzuje miłość, ale jéj nie przebóstwia zbytecznie na wzór innych romantyków.

W pieśni 1-éj „Beniowskiego“, szydzi z miłości sentymentalnych, chmurnych, rozczochranych, drwi ze starych panien, z których każda:

Brzęczała wkoło pszczół zalotnych wieńcem,
   I ma kochanka w piekle potępieńcem.
Takim sposobem, wnet jest heroiną,
   I poeci ją rymami zaszczycą;
Już jéj nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
   Lecz musi nazwać posępnie: dziewicą!

A kochanek jéj, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
I śpiewa wichrom piekielny tryjolet,
Mając łzy w oczach—a w ręku pistolet.

To lekkie szyderstwo nie przeszkadza potém poecie mistycznie zapatrywać się na moc miłości, która stwarza tajemne duchowe ogniwa pomiędzy dwoma istotami bo:

Zawsze i wszędzie
Dusze kochanków jak harfy Eola
Albo pod niebem gdzieś jak dwa łabędzie
Latają razem, choć je smutna dola
Rozłącza tu na ziemi i rozgania. (Pieśń VIII).

W porównaniu z namiętném i materyalném pojmowaniem miłości przez Byrona w „Don-Juanie“—nasz poeta jest mglistym chociaż szlachetnym marzycielem i wygląda nieraz jakby odsuwał od ust czarę rozkoszy miłosnych, jakby nie umiał naprawdę zapłonąć ogniem żądzy. Taka bezcielesność bywa częstą u ludzi wychowanych przez kobiety, chociaż wiemy, że poeta miał swe chwile szału a podczas pobytu we Florencyi za jakąś „Fornariną“ się uganiał.

W zakończeniu pieśni IV-éj złożył Słowacki śliczną daninę swéj młodzieńczéj kochance Ludwice Śniadeckiéj, o któréj marzył przez całe życie, a nawet w ostatnich latach miewał jéj senne objawienia. Dziwna to zaprawdę miłość tlejąca tak długo w fantazyi marzyciela! P. Ludwika była sobie pretensyonalną panną, z przewróconą trochę główką, lubiła pozować na heroinę. Poeta, prawie dzieckiem będąc, uczuł dla niéj miłość namiętną, ale zdusił ją w sobie, nie chciał się upokorzyć wyznaniem, wiedząc, że panna z góry potraktowałaby niedojrzałe sentymenty młodzika. Panna Ludwika potém szalała za młodym wojskowym, którego kochać—nie była powinna. Wiedział o tym epizodzie Słowacki, szydził z niéj nawet jadowicie w „Podróży do Ziemi Świętéj“, ale pomimo to, pieścił się wspomnieniami młodzieńczego uczucia. Trzykrotnie w tym poemacie zwraca się poeta do Ludki, przeskakując kapryśnie od błogiego marzenia do ironicznéj a nawet niesmacznéj drwiny. W Pieśni IV „Podróży“ przez dziwne skojarzenie wspomnień, przywołują mu na myśl dawną kochankę, wrażenia miejsc, w których toczyła się walka o niepodległość grecką. Poeta opisuje jak w młodzieńczych latach chodził z książką nad strugę, w któréj rankiem Ludka się kąpała, jak czytał dzieje Ipsylantego, a potém... marzenie unosi go do mogił Cheronei i do uczuć wypowiedzianych późniéj z większą potęgą w „Grobie Agamemnona“. Zdaje się, że wyobraźnia poety pomknęła już w dziedzinę marzeń o wskrzeszeniu Hellady... ale na chwilę znowu zbacza

do listka rzuconego na wodę z zapytaniem: „czy mnie kocha" i potém dopiero powraca do poprzedniéj myśli. Jestto ciekawy przykład romantycznego *capriccio*, do którego poeta ucieka się często przy połączeniu i przeprowadzeniu szczegółowych motywów. W „Beniowskim" wyśpiewał na cześć kochanki młodzieńczéj arcydzieło tęsknoty niezmiernie subtelnie i melodyjnie. Twierdzą, że Słowacki wmawiał w siebie tę miłość, na którą nie zasługiwała ta rozpaczająca po oficerze sawantka, ale uczuć takich ludzi nie można oceniać zwykłą realną miarą. Złudzenie zrosło to się widocznie z jego duszą. Wspomnienia młodości utkwiły na całe życie, miały czar nieprzezwyciężony, nic więc dziwnego, że w chwili rozkołysania się wyobraźni—powracała postać Ludwiki uwieńczona koralami, która na jéj głowie kładła jarzębina.

Innéj także wielkiéj miłości swego życia, złożył poeta daninę w ostatnim fragmencie „Beniowskiego". Łzami zalany, tęsknotą trawiony, pada u stóp kochanéj matki, która była dla niego jedyną niemylnością życia. Stosunek Słowackiego do matki, oparty na głębokiéj dusz harmonii, na ciągłéj wymianie myśli i uczuć, jest jednym z najpiękniejszych, jakie można spotkać w życiu poetów. Sceptycy twierdzą, że poeta pozował w listach pisanych do matki, że artystycznie rzeźbił frazesy dla przyszłych czytelników. To nie prawda. Może zbyt wiele w nich pieszczenia się z własną tęsknotą, ale forma wytworna nie dowodzi braku szczerości, bo Słowacki, nawet w potoczném życiu, wyrażał się kunsztownie i oryginalnie. Żadna zresztą poza, żadna frazeologia, nie jest w stanie podrobić głębokiéj rzewności, która w tych listach płynie prosto z serca.

Spłacił téż poeta „Beniowskim", wedle rady Krasińskiego wielką daninę... wątrobie; pierwsze zwłaszcza pieśni przepełnione są mnóstwem dygresyi i świetnych satyrycznych wyskoków. Nie ma w nich prawie ogólnego szyderstwa z ludzkiéj natury jak u Byrona, ale za to, pełno złośliwych aluzyi literackich. Słowacki zajęty myślą plemienną nie szydził z nędzy świata, chociaż przyznawał że jest on cały „satyrą", że wszystko na nim z pozoru wydaje się „tęczą" a gdy dotkniesz bliżéj jest błotem (Początek pieśni III). Przelotnie poeta zapomni o gorzkiéj prawdzie doświadczenia (Pieśń I), o zawodach w miłości, na które lekarstwem jest posag (Pieśń II), albo téż pod wpływem mistyki odezwie się korzystnie o piękności kobiecéj „że nie jest to czartów ułuda, lecz może w duchu będąc robić cuda" (Pieśń XII). Oto cały plon refleksyi ogólno-ludzkiego charakteru.

Daleko obficiéj wzbiera myśl i werwa poety, gdy mówi o niemiłych sobie objawach piśmienniczych. Dostaje się przedewszyst-

kiém i słusznie krytyce, która prześladowała poetę z pewną pedanteryą i zawziętością... Poeta rzuca krytykom jak psom kilka kości i ma nadzieję, że za krzywdę wyrządzoną jego poetycznéj dziatwie będzie ich gryzł „w piekle kiedyś jak Ugolino“ (Pieśń III). Dostaje się szczególniéj „Młodéj Polsce“, w któréj miernoty krytyczne ciągle naszczekiwały na Słowackiego, służąc reakcyjnym i ultramontańskim koteryom. Poeta folgował tu osobistym żalom, ale miał dużo racyi, albowiem ucierpiał nietylko od recenzentów „Młodéj Polski“ ale i „Tygodnika literackiego“ w Poznaniu, którzy najopaczniéj przekrzywiali jego intencye, szydząc nawet taką „Balladynę“ z widoczném a namiętném uprzedzeniem. Istotnie, podług mnie, do nieużytecznych a nawet wprost szkodliwych produkcyi literackich należy krytyka prowadzona przez ludzi, „którzy żyją tém co ich ząb uchwyci na pięcie wieszcza“, którzy silą się na wykazanie własnéj wielkości kosztem poturbowanego twórcy. O ile użyteczną i płodną jest krytyka nawet surowa, ale oparta na metodzie naukowéj, szeregująca objawy literackie z widokiem na ogólne prawo rozwoju życia i twórczości—o tyle wstrętną jest zarówno tuzinkowa reklama jak i pretensyonalna kwaśna, zaczepna i arogancka krytyka, dobrze znana w rozwoju naszéj prasy peryodycznéj. Poeta tu i owdzie podrwiewa z krytyków zachowawczych w „Tygodniku petersburgskim“, z autorów nudnych, z pedantycznych Iksów, którzy osłaniali swą powagę puklerzem kryptonimów. Nie lubi zresztą wielu innych rzeczy w literaturze tj. głupich poezyi jezuitów, Heglów poznańskich, krakowskich purystów, paryskich kronikarzy, historyków, franko - romansistów, kozako - powieściarzy, i krytyków, którzy im poklaski zamiast poświstów dają (Pieśń III). Szydzi także z poetycznych szkół, w których płynie „katolicka woda“, którzy pobożnie wierszują bez talentu i robią z biblii obrazki (Pieśń VIII), na literaturę szarą, gospodarską, która skarży się na głupstwa wierszami, a „porobiła gdzieś w niebie otwory i takie do nich mosty ma z pokory“ (Pieśń X). Chociaż sam jest romantykiem szydzi jednak z balladomanii, z poezyi chmurnych, mglistych (Początek Pieśni IV) a bardzo dowcipnie nicuje Walenrodyzm, który wprowadził „pewien do zdrady metodyzm“ i stał się modną wymówką dla społecznych judaszów (Pieśń II). Z wielką siłą oburzenia chłoszcze obcych służalczych poetów, głoszących kaimowe lub barbarzyńskie hasła (Pieśń VII). Nie lubi mglistéj filozofii niemieckiéj, Hegla i poznańczyków za to, że w niego wierzyli (Pieśń II); podrwiwa sobie z Trentowskiego i jego „Cybernetyki“, którą porównywa dość niejasno do Ksantypy, co dla ochłody na Sokratesa leje ceber wody“, to znowu do dobréj ale „nieskrzydlatéj“ niemkini, wychowującéj swe

„dziatki półniemczyki“. Szydzi z filozofów, którzy po za systematami swoimi nie rozumieją możności odgadywania prawd zaświatowych, wielkich filozofów, których nazywa dziwacznie „kibitkami wysłanemi po głupców przez autokratów rozumu“ (Pieśń XII). Wogóle w tych wycieczkach kłuje poeta niemiłosiernie krytykę reakcyjną, przypina łatki obskurantom, łaje miernoty piśmiennicze, używa szeroko prawa odwetu za własne krzywdy. Dziś te aluzye pomimo dowcipu są przedawnione, czasami niejasne, ale w niektórych tkwi spora doza krytycznego zmysłu i niepodległości. Spełniły one swoję rolę wybornie, bo „Beniowski“ wywarł wrażenie bardzo silne i zmusił do milczenia gromadę mopsików, rzucających się na słonia, témbardziéj, że autor miał odwagę poprzéć czynem swe słowa, gdy go na plac wyzwano, i patrzał z zadowoleniem na sromotną kapitulacyą przeciwników.

Ale przegrał sprawę Słowacki, w swéj największéj wycieczce, gdy z szaloną dumą rzucił wyzwanie Mickiewiczowi. Krytyka w téj mierze wydała już wyrok niecofniony. Prof. Małecki, oraz dr. Piotr Chmielowski, w monografii o Mickiewiczu, podają dokładny opis faktów, które wywołały tę burzę. Podczas uczty, wyprawianéj na cześć Adama Mickiewicza, w domu księgarza Eustachego Januszkiewicza, dnia 24 grudnia 1840 r. Słowacki był powołany do złożenia hołdu wieszczowi. Mówił pięknie i porywająco, ale nietaktownie wysunął naprzód swoję ambicyą nie przemawiał z taką czołobitnością, jak tego pragnęli fanatyczni wielbiciele Adama Mickiewicza. Pomimo to, obaj poeci, połączyli się wtedy w bratniéj harmonii, w wysokim podniesieniu wieszczego ducha. Nierychło sprawę popsuły plotki, szykany, oraz insynuacye, wyszłe z grona dworaków i satelitów. Ukazały się artykuły jadowite, szarpiące Słowackiego, a wiadomo, że na punkcie osobistéj ambicyi, poeta był drażliwy. Mickiewicz zawsze zbyt lekceważył Słowackiego i nie myślał nawet o sprostowaniu fałszywych wieści, bo swary takie uważał za drobnostkę. Zbiérały się tedy powody rozgoryczenia, wrzała tłumiona niechęć, wybuchnęła potokiem gniewu, który przysłonił moralny zmysł poety. Słowacki w swéj namiętnéj tyradzie, przy końcu V-éj pieśni, przenosi spór na pole zasad.

Ha! ha! Mój wieszczu, gdzież wy to idziecie
Jaka wam świeci gdzie portowa wieża?
Lub w Słowiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione śiecie... (Pieśń V).

Pierwszy z tych zarzutów jest niesłuszny, drugi niejasny. Mickiewicz chociaż wykładał literaturę słowiańską, wznosząc się

w pierwszym roku zwłaszcza do wysokiéj bezstronności, nigdy nie zapomniał o idei rodziméj i nie topił jéj w morzu słowiańskiém. Co zaś do owego „słania piorunem myśli na koronę papieża“ — to trudno zgadnąć, czy Słowacki gniéwa się na Mickiewicza za opozycyą przeciwko stolicy piotrowéj, którą zresztą Mickiewicz późniéj dopiéro podniósł, czy też zżyma się na niego za to, że niby pochwalał znaną bullę Grzegorza XVI, co było fałszywą plotką kursującą w emigracyi. Nie ma też podstawy ogłoszenie wyższości sztandaru Słowackiego, który jest demokratą, „kocha lud więcéj niż umarłych kości“ — bo przecież Mickiewicz nie był wieszczem spróchniałéj tradycyi, stawiał ideały narodowe, chociaż nie pochylał się w onéj chwili ku radykalizmowi demokratycznemu jak Słowacki, jednakże był zwolennikiem swobody i ujmował się w „Dziadach“ za krzywdami ludu. Niemiłe robi wrażenie samochwalstwo Słowackiego, obniżanie wielkości Mickiewicza niesłuszne, boć to nieprawda, że miał już „próchno w duszy“, a głośna fanfara na cześć własnéj pieśni nie tłómaczy dobrze świadomych dążeń poety:

Nie pójdę z wami drogą waszą kłamną—
Pójdę gdzieindziéj! i lud pójdzie za mną!
Gdy zechce kochać—ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoję śpiéwał,
Kiedy kląć zechce—przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć—ja będę rozgrzéwał,
Powiodę tam gdzie Bóg—w bezmiar—wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał!
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Silny ten wybuch poetycznéj dumy, ale czy w słowach tych tkwi jaki program, czy widać w nich portową wieżę, o którą tak chodziło Słowackiemu? W całéj tyradzie, wypowiedzianéj potężnie, wre, szumi i pryska potok osobistéj ambicyi. W przeciwieństwie do rzekomych błędów Mickiewicza, Słowacki stawia tylko poczucie swojéj misyi, jako przewodnik i kapłan narodu — ale nie tłómaczy się „gdzie ten lud z nim ma pójść?“. Doświadczenie okazało, że poeta jako przewodnik i wyraziciel demokracyi abstrakcyjnéj, nie liczącéj się z rzeczywistością, pobłądził z nią razem w r. 1846. Chociaż istotnie poezya jego wywarła wpływ potężny, pod względem artystycznym i społecznym, chociaż miał prawo cenić swe wieszcze powołanie, jednakże przodowniczego sztandaru Mickiewiczowi z rąk nigdy nie wytrącił. Dla tego też pomimo siły słowa, przykre wrażenie robi ta poezya — samochwalcza i obrana z podniosłości moralnéj. Zmazał tę winę Słowacki w epoce towianizmu, który był dla jego moralnéj natury ogniem oczyszczenia,

Odrzucił precz nędzne zawiści: podał rękę dawnemu wrogowi i uznał jego duchowe przodownictwo. Widać to już w środku pieśni VIII „Beniowskiego“, gdzie nazywa wielkiego Homera wieszczem bratnim Mickiewicza i głosi gorącą pochwałę dla „Pana Tadeusza“. „Idź do Mickiewicza, to kapłan naszego narodu“ — tak mówił pod koniec życia Słowacki do każdego ziomka, który przyjeżdżał do Paryża. Mickiewicz jednak nie mógł się nigdy pogodzić z bezładną trochę i zwichrzoną naturą fantazyi i umysłu Juliusza, nie oddał mu należnego uznania i nie zapomniał dawnych uraz ze wspaniałomyślnością olbrzyma. Miał jednak słuszność, nazywając w prywatnych rozmowach Słowackiego kometą. Był to umysł krążący po orbicie niewymiernéj, po drogach zawiłych i fantastycznych. Wszyscy zresztą wieszcze byli po trochu kometami, nie wyjmując nawet Mickiewicza. Zabłąkali się wśród mistycznych mgławic, wytrąceni z naturalnéj kolei, wyrwani ze sfery realnéj rodzimego życia. Słowacki był jednak kometą świetlnym, wyrzucał z siebie meteory płomienne. Miał wysokie poczucie swéj siły i czarodziejstwa pieśni. Czasami, co prawda, wpada w samo-ironią mówi żartobliwie o swych poematach „mlecznych“ i ultraduchowych, zwłaszcza o Anhellim (Pieśń I), ale gdzieindziéj wspomniał o swéj potędze i lotności języka i prześlicznie obrazuje „tęczową kopułę myśli, która jest jego kościołem, wymalowana, jasna, księżycowa, nad srebrnym duszy wisząca aniołem“ (Pieśń II). Czuje, że jego wieszcze powołanie jest ciężkie, ale on ma siłę, aby znieść męki, bo sam szedł tą drogą:

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orla: niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
I słychać jęk szatanów w sosen szumie!
(Ostatni fragment).

Wierzył poeta istotnie, że duch jego z wiatrami może lecieć do kraju, a przed śmiercią powiedział do jednego z rodaków Al. Półkozica słowa: „Chociaż umrę jednak nie zerwie się związek ducha mego z narodem. Pamiętajcie, że jeśli z nas który popełni jaką podłość — duch mój będzie koło niego biegać, chodzić i skakać“. Nie lubił poniżenia i pokory, a dumny był nawet w chwilach żalu i boleści...

„z myślą, gdy najbardziéj hulam,
Pod myślą są łzy... łzy—nie żadna skrucha“. (Pieśń XII).

Słowacki dla tego był oryginalnym, że miał wrodzony wstręt do pospolitości, do utartych ścieżek, że zbaczał trochę w dziedziny obce innym romantykom polskim. Chodził poeta zawsze luzem.

Był typowym wyrazicielem indywidualizmu polskiego, który nigdy nie umiał dobrze trzymać się w gromadzie. Mocny był sam w sobie i nie ulegał bezwzględnie powagom. W „Podróży na Wschód“ i w „Beniowskim“ odbił się bardzo wyraźnie stopień jego umysłowéj niezawisłości. Tak samo jak Byron, nie miał wtedy zasad harmonijnie ustalonych. Stał na gruncie religijnym, ale jego sumienie było „pół chrześciańskie pół-mitologiczne“. W „Beniowskim“ wypowiedział właśnie pojęcie o Bogu, który jest wielkim, wspaniałym, groźnym, ale nigdy wrogiem ludzkiego szczęścia.

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza—
On, piórem z ognia jest dumnych szyszaków
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżna, stracona przed kościoła progiem:
Przed nim upadam na twarz—On jest Bogiem!

Pominąwszy jedno fałszywe porównanie, wspaniałym jest ten obraz króla-stworzenia, który pomimo swéj siły, nie żąda poddańczego strachu, ani ofiary z godności człowieczéj. Nikt z poetów polskich szlachetniéj boskiego majestatu nie wyraził.

Koleje własnego religijnego rozwoju sam określił poeta w mistycznym „wykładzie nauki“, pochodzącym z doby mesyanizmu (1). W dzieciństwie upojony zachwytem dla obrzędowéj strony wiary, w młodości nawiedzony chwilowo sceptycyzmem „poeta samodzielnie potém wypracowywał w sobie wiedzę i uczucie religijne, podnosił się w duchu do idealnéj prawdy, „był wrogiem wszelkich poglądów sekciarskich „i wszelkich, jak mówi, pryncypiów i skończonéj formy, wszelkich kratek podpisanych i zapięczetowanych niby doskonałością manifestów“. Nie wypiérał się związków z katolicyzmem, który był u niego „dumnym“, złączył się z rzeszą poetów nowożytnych w kulcie Boga-Rodzicy, pojętym w duchu czysto-narodowym. Poetycznym wykwitem tego kultu są w „Beniowskim“ przepiękne widzenia Ojca Marka, który opowiada, jako pastuszkom w gaju okazały się dwie Matki-Boskie: Poczajowska i Ostrobramska czy téż Częstochowska, biadające nad nieszczęściami ludu. Jestto jeden z najpoetyczniejszych ustępów poematu, w którym Słowacki w duchu wiary ludowéj wyprowadzał dwie postacie jednego bóstwa, jakby odczuwając ten aryjski politeizm,

---

(1) Patrz Słowacki: Genezis z ducha. List do J. N. Rembowskiego. Wykład nauki. Dziennik z r. 1847—49, wydany z pośmiertnych rękopismów przez dr. H Biegeleisena. Warszawa, nakładem Paprockiego. Strona 197 i 8.

który niewidzialnie przeniknął do kultu chrześciańskiego. Jestto bowiem rzeczą niewątpliwą, że lud dzisiaj modli się do obrazów cudownych, oddzielając nieświadomie kult jednéj Bogarodzicy albo Chrystusa od drugiéj Bogarodzicy lub Chrystusa, wierząc, że jeden obraz jest bardziéj cudowny od drugiego. Słowacki potrącił tu o pierwiastek cudowny. To spotkanie było wizyą niby senną ojca Marka, który pokutował, bił się pletnią i dostąpił rajskiego widzenia — a potém obudziwszy się „łyknął gorzaliny" i sen jego w duchów uleciał godziny. Ale równocześnie na skutek jego modłów, zjawia się także cudowne widmo Matki Boskiéj; otoczonéj gronem aniołów, tchnącéj dokoła fiołkowe wonie brance tatarskiéj pannie Gruszczyńskiéj, uwięzionéj w grobowcu derwisza, która cudownie odzyskuje moc w bezwładnych członkach i ratuje bohatera poematu, spętanego w drugiéj celi grobowca. Obie te sceny kreślił poeta z nieporównaną lotnością i wdziękiem, łącząc ducha religijnego z właściwą sobie fantazyą barwną i eteryczną. Cudowność ta pojawia się w marzeniu, w objawieniach sennych i nie jest tak jaskrawie nadnaturalną, jak np. w „Ojcu Marku", gdzie poeta łamie wszelkie szranki prawdopodobieństwa.

Duch religijności głębokiéj ale swobodnéj, oraz wstręt do określonych formuł, wytworzyły u Słowackiego silną niechęć dla klerykalizmu, dla idei ultramontańskich, akcentowaną ostro, często jadowicie w licznych ustępach „Beniowskiego", o których już wspomniałem. Otrzymywał za to Słowacki połajanki, jak niesforny żaczek, szczególniéj od prof. Tarnowskiego, ale był to wyraz jego najgłębszych przekonań, które miał prawo szczerze wypowiadać. Wspaniałe drzewo poezyi musi rosnąć swobodnie. Gdyby podcinano jego gałęzie i pędy nożycami różnych doktryn i teoryi, stałoby się podobne do nędznéj krzewiny na piaszczystéj wydmie. Z duchem antykościelnym, z nienawiścią dla jezuickiéj reakcyi, łączy się u Słowackiego gorące uczucie patryotyczne, oraz czerwony republikanizm.

Wiara w przyszłość ludu i jego dziejową rolę stanowiła jeden z głównych artykułów poetycznéj jego religii, ale występowała, (jak się to i dziasiaj zdarza jeszcze w literaturze), jako zasada niewcielona w kształty praktyczne. Radykalizm polityczny Słowackiego przypomina na pewnych punktach pojęcia Byrona, oraz jego nienawiść dla zasady monarchicznéj. Wypowiedział to poeta w słynném „Credo" z pieśni V „Beniowskiego", które z pewnemi zmianami przeniósł z „Podróży do Ziemi Świętéj". Idea republikańska jest tu wojowniczą i namiętną. W „Podróży" miga Słowacki krwawém mianem Robespiera, które znika w „Credo" z „Be-

niowskiego", zostawiając miejsce tylko Mochnackiemu, jako ideałowi polskiego trybuna.

Daleko silniéj wzbiéra w „Beniowskim" uczucie rodzime, patryotyczne, które w początkowych fragmentach pieśni VI pojawia się, jako gorąca tęschnota za przeszłością, piękne marzenie o dawnéj legendzie, dawnych dumach i wieszczbach płynących po stepie, z dźwiękami gęśli Wernyhory:

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu:
Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stanąć i śpiéwać—srogi, lecz bez gniewu;
Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach,
I kazać w niebo iść ściętemu drzewu,
I z tęczami się połączyć na niebie,
Ja, co nie mogłem wskrzesić nawet siebie!

Dla tego w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serce miłuję nad własne.
Daléj więc! mówcie mi znów serca stare,
Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące!

Czasami poeta zerwie się, poruszony marą rycerską, wielkim głosem zawoła o miecz Czarnieckich, czasem myśl jego na skrzydłach tęsknoty buja po obszarach stepowych, kąpie się w falach Ikwy, które widziały jego chłopięce igraszki. Miłość ziemi rodzinnéj staje się w „Beniowskim" płodną, poetyczną siłą, nie jest tylko frazesem deklamacyjnym, ożywia i zabarwia obrazy przyrody szerokie, pełne powietrza, przepojone żywém drgającém światłem. „Beniowski", chociaż różni się kolorytem i poetyczną manierą, od utworów szkoły ukraińskiéj, ma jednak z nią razem znaczenie świadectwa naszéj kultury nad Ikwą, Horyniem i Smotryczem, tak samo jak poezya romantyków wileńskich, świadczy o jéj sile nad Wilią i Niemnem. Świadectwa tego nikt z kart dziejowych wymazać nie zdoła. Myśl tę zasępia tylko jedna uwaga, że tam właśnie cywilizacya nasza popełniła ciężki grzech i ściągnęła na siebie karzącą dłoń Nemezy dziejowéj.

Siłą tego rodzimego ducha, Słowacki przyswoił ariostyczną tradycyę na własność poezyi naszéj. W „Beniowskim", zapożyczył nawet pewne szczegółowe kształty z bajronowskiéj formy. Słynne *Credo* z „Beniowskiego", przypomina formę *Credo* literackiego Byrona. Opis oblężenia Baru odpowiada opisowi oblężenia Izmaiła,

list Anieli przypomina list Julii, a charakterystyka towarzystwa zebranego podczas ruchawki w zamku nad Ladawą (w Pieśni XII) jest już prawie wyraźném naśladowaniem opisu gości lorda Henryka w „Don-Juanie", gdzie jednak jéj ton ironiczny bardziéj licował z założeniem Byrona, który starał się jak najszerzéj malować tło obyczajowe angielskie. I Słowacki chciał w tych scenach dać wizerunek wieku, przedstawił oryginalne dysputy szlachty, zaloty modnych dam, ogładę niektórych jednostek i ciemnotę szlachty, uczonéj na alwarze, wpakował nawet do téj kompanii Wybickiego, który pisał niby pamiętniki, chociaż wiadomo, że dzielny ten statysta był w Barze, brał udział w walkach i pracach konfederatów a nie siedział bezczynnie w zamku magnackim. Są tu rysy szczegółowe trafne, ale wogóle więcéj fantazyowania, aniżeli kolorytu realnego, a porwanie hrabiny Dafnickiéj przez tatarów Beniowskiego jest pomysłem niezręcznym, tak samo, jak podobna scena w „Niepoprawnych". W wykonaniu tych ustępów Słowacki nie naśladował szeroko epickiego stylu „Don-Juana", ale malował je barwnie po swojemu, a w Pieśni VI dał opis bitwy jędrny, żwawy, pełen ruchu, godzien stanąć obok najpiękniejszych epizodów Byrona.

Pomimo tych podobieństw, „Beniowski" jest poematem, którego duch rodzimy łączy się z przejawami indywidualizmu twórcy. Nie podzielam jednak zdania krytyków, uważających ten utwór za najpiękniejszy owoc geniuszu poety. Pod względem skończoności artystycznéj wyżéj od „Beniowskiego" stoją arcydzieła liryczne Słowackiego „Ojciec zadżumionych" i „W Szwajcaryi", pod względem oryginalności poetycznego nastroju przewyższa go „Lilla Weneda", a głębokością myśli przerastają go ułomne i chorowite zkądinąd płody z doby mistycyzmu. Pomimu zamętu i zwichnięcia ostatecznego równowagi umysłu, Słowacki wtenczas wypracowywał w sobie najszersze poglądy. W „Genezis z ducha" pomimo jéj krzyczących majaczeń starał się wyprowadzić z ducha dzieje świata i ludzkości. Śledząc rozwój i następstwo ogniw tworzenia, Słowacki wypowiedział tu mętne i mgliste poglądy na doskonalenie się i przemianę form bytu i jak słusznie twierdzi Chmielowski (1), niewyraźnie przeczuwał we mgle fantastycznéj prawdy mające związek z teoryą Darwina. Przeczucie to wysnuł sam z siebie, bo Darwina znać nie mógł, nie wiadomo zaś, czy studyował jego poprzedników Lamarck'a, Geoffroy de St. Hilaire, lub prace morfologiczne Göthego, ale wiadomo (z dziennika pisanego w ostatnich latach życia),

---

(1) Patrz Studya i szkice z literatury polskiéj, rozdział p. t. Juliusz Słowacki towiańczykiem. Tom II. str. 249.

że czytał Cuvier'a, z którego mógł poczerpnąć idee kolejnych aktów stworzenia, a nie łańcuchowego wytwarzania się form. Pomimo majaczeń i dziwactw, owa „modlitwa“, jak nazywał poeta swój mistyczny utwór, świadczy jednak wymownie, że ten zbyt lekko czasem przez akademicką krytykę traktowany fantasta, sam jeden tylko z wielkich poetów naszych, przerabiał po swojemu zagadnienia genezy i bytu świata.

W „Beniowskim“ przyznaje poeta, że ta pieśń nie jest nawet według jego serca, a w jednym z listów do matki (z d. 10 listopada 1841 r.) żali się, że ziomkowie oddali mu hołd dopiéro wtedy, gdy nie był na swoim gruncie. Ale właśnie dla tego, że oderwał się tu poeta od swéj melancholii i krańcowéj fantastyczności, że domieszał nietylko żółci ale i trochę krwi do swych lazurów, nabiéra „Beniowski“ takiego życia, takiéj werwy, takiéj chwilami szczerze polskiéj zamaszystości, dla tego właśnie silniéj przemówił do współczesnych, niżeli tęczowe poematy Słowackiego. Nie jest „Beniowski“, tak jak „Don-Juan“, utworem, który w artystycznéj łupinie zawiéra jądro życiowéj prawdy, ale fantazyą poetyczną, „altaną“ z duchów i rycerzy. Nie udało się Słowackiemu, stworzyć jak zamierzał, prostego romansu polskiego, ale dał kapryśną, lecz i wielce oryginalną przeróbkę tradycyi rodziméj, pieśń romantycznie utkaną, jak „długi, złoty, lity pas polaka. Jest ona także jednym z najpiękniejszych pomników języka, który nietylko nęci melodyjnością, gra bogatą tęczą blasków, ale nabiéra nieprawdopodobnéj napozór lotności i wdzięku. Zdobył się tu poeta na czarodziejstwo mowy polskiéj, które tak świetnie określa:

„Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko co pomyśli głowa:
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miękki.
A czasem piękny jak aniołów mowa —
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem,
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Jako dzieło sztuki „Beniowski“ jest typowym płodem kierunku wczorajszego, ale na zawsze chyba zachowa swe powaby, czarować będzie po wszystkie czasy, bujnością dowcipu, uczucia i fantazyi. Przyznać jednak trzeba, że „Don-Juan“, chociaż dawniéj napisany, ma dzisiaj więcéj żywotności, że tętni silniéj duchem wieku. W „Beniowskim“ odzywa się chwilami nuta demokratyczna, któréj brak w poemacie Byrona. Pomimo swego radykalizmu poeta angielski w formie i tonie był mimowolnie arystokratycznym. Wogóle zauważyć trzeba, że w poezyi romantycznéj forma literacka

zawsze ma w sobie pewną wytworność, pewien arystokratyczny odcień, że zdemokratyzowała się ostatecznie dopiéro w powieści współczesnéj. Oryginalność artystyczna Byrona polegała także na tém, że puścił cugle indywidualizmowi (w czém Słowacki szczęśliwie mu wtórował), że stworzył lekką i kapryśną swobodę formy, która zapanowała potém w osobnym rodzaju literackim. Dla tego można „Don-Juana“ nazwać epopeą-fejletonem, albowiem łączy cechy tych dwu przeciwległych gatunków literackich. „Beniowski“ mniéj ma pierwiastku fejletonowego, ale jako fantazya romantyczna uderza bogactwem treści, obfitością arabesek i motywów szczegółowych, a zwłaszcza królewskim przepychem wyobraźni. Z dzisiejszego stanowiska ma „Beniowski“ to jeszcze znaczenie, że w nim wyraziły się drgnienia protestu i niepodległości umysłowéj, jakie, co prawda, skąpo wydała romantyka nasza. Nad kwiecistą niwą fantazyi czuć tu lekki powiew literackiéj europejskiéj atmosfery. W dobie, która niebardzo sprzyjała u nas rozwojowi tych prądów poeta stwierdził tę wielką prawdę, że duch rodzimy, polski, nie zaprzeczając swéj naturze, może się skojarzyć z ogólno-ludzkiém tchnieniem swobody myśli. Ze wszystkich naszych poetów, Słowacki najwyraźniéj wypowiedział naczelne hasło naszego wieku, że „ludy płyną jako sznur żurawi — w postęp“.

Józef Kotarbiński.





KWESTYA MIESZKAŃ W WARSZAWIE.

The home is the unit of civilisation; from it spring all those influences, which give a character to society either for good or for evil, either of a beneficent or of a disturbing character.

Z mowy lorda Beaconsfielda.

Bez znajomości obowiązków względem siebie i drugich, bez wyobrażenia o pożytkach i sposobach zatrudnienia się przemysłem, bez zakosztowania słodyczy wygodniejszego życia, do czegoż człowiek może się podnieść? jak może stać się użytecznym społeczności?

W. Surowiecki. O upadku przemysłu i miast w Polsce str. 148.

WSTĘP.

Słowo wstępne.—Znaczenie mieszkania dla życia fizycznego i społecznego.—Podniesienie téj sprawy w wieku bieżącym na zachodzie.—Edwin Chadwick.—Ruch społeczny.—Publicystyka.—Kongresy.

Już mędrzec grecki powiedział: γνῶθι σεαυτον—poznaj siebie samego. I maksyma ta nie utraciła dotąd swego znaczenia, przeciwnie raczéj pozyskała więcéj aniżeli kiedykolwiek uznania. Że poznanie siebie samego jest koniecznym warunkiem rozumnego życia człowieka, tego nie potrzeba dowodzić, tak samo jak niema już dzisiaj potrzeby przekonywać o tém, że dla postępów umysłu należy kształcić umysł. Wołamy obecnie γνῶθι σεαυτον, nietylko do pojedyńczych ludzi ale i do całych grup i związków społecznych. Społeczeństwa powinny także poznać siebie, swoje siły, swoje dobre i złe strony, jeżeli chcą życiu swemu zapewnić trafny kierunek.

W imię téj zasady, nie chcę dotykać tak zwanych palących idei, mających rzekomo świat popchnąć naprzód, odsuwam się od denerwujących opowieści hypnotyzmu i tym podobnych pobudza-

jących przedmiotów, i pozwolę sobie zatrzymać uwagę nad tém, jak my mieszkamy?

Zdawałoby się, że niema nic prostszego nad podobne pytanie. A jednak nie bądźmy zbyt skwapliwi z odpowiedzią. Jest to kwestya bardziéj skomplikowana, aniżeli się na pozór wydawać może. Co więcéj, poważniejszych do niéj materyałów dostarczyły dopiéro prace sanitarnego podkomitetu obywatelskiego z r. 1879 (1) i dane zebrane przez spis jednodniowy z r. 1882 (2), dzięki którym możemy się zastanowić nad powyższą kwestyą głębiéj i dokładniéj.

Ale, czy sama kwestya warta jest zastanowienia? Przedewszystkiém niech mi wolno będzie z góry usunąć wszelką w téj mierze wątpliwość.

Z trzech zasadniczych potrzeb człowieka, jako to: pożywienia okrycia i schronienia, w warunkach życia cywilizacyjnego to ostatnie gra najpoważniejszą rolę. Wprawdzie bez jedzenia i picia człowiek nie mógłby całkiem istniéć, mieszkanie zaś napozór nie wydaje się równie konieczne, nie spostrzegamy tego stopnia nagłości w zaspokojeniu potrzeby, jaka zachodzi, gdy idzie o głód i pragnienie; jednakże i bez schroniska człowiek obejść się nie może, a następstwa braku odpowiedniego mieszkania są głębsze i dotkliwsze. Już w celu ochrony od zewnętrznych wpływów klimatu człowiek musi posiadać jakieś mieszkanie. Że zaś żyjemy w powietrzu, jak ryba w wodzie, bo ono odżywia naszą krew i organizm, bo płuca nasze pracują ciągle, na jawie i we śnie i dla swojéj pracy nieustannie powietrza potrzebują, mieszkanie przeto powinno posiadać powietrze, odpowiednie do potrzeb fizycznych człowieka, wolne od szkodliwych części składowych, słowem powietrze zdrowe i czyste. Złe mieszkania systematycznie, choć niedostrzeżenie dla nieświadomych, podkopują organizm, usposabiają do chorób i poprostu zabijają człowieka.

Ale, mieszkanie nietylko służy za schronisko dla ciała, posiada ono nie mniéj ważne znaczenie dla życia społecznego. Jako siedlisko rodziny, która tutaj ma żyć i rozwijać się, mieszkanie zrasta się z pojęciem cywilizacyi i postępu. Im gorsza siedziba, tém mniéj spodziewać się można zdrowia moralnego pośród jéj mieszkańców.

---

(1) W r. 1879 utworzony był komitet sanitarny obywatelski w Warszawie, z którego wysadzono podkomitet dla zbadania warunków sanitarnych naszego miasta. Podkomitet ogłosił w r. 1880 swoje dociekania w osobnéj książce p. t. „Opinie sanitarnego podkomitetu obywatelskiego dotyczące stanu Warszawy pod względem sanitarnym i środków do asenizacyi miasta prowadzić mających."

(2) Statystyka mieszkań mieści się w części drugiéj „Rezultatów spisu jednodniowego".

Ztąd nietylko hygieniści ale i ekonomiści podnoszą wysokie znaczenie mieszkania w życiu ludzkiém i schodzą się z sobą w ostatecznych wnioskach i konkluzyach.

Dużo jednak potrzeba było czasu, a powiédzmy wprost dużo wieków, zanim kwestya ta weszła na porządek dzienny.

I nic dziwnego. Dopóki warunki życia fizycznego, jako też społecznego nie zostały dokładnie zbadane i wyjaśnione, dopóty kwestya mieszkań wymykała się, że tak powiem, z pod ścisłéj obserwacyi i pozostawała w ukryciu. Ujemne warunki pod względem mieszkaniowym przez ciąg długich wieków przynosiły szkodę, zdrowie publiczne szwankowało, rodziły się choroby, chwiała się moralność, ale nie umiano zoryentować się co do rzeczywistych przyczyn złego, szukając ich zazwyczaj gdzie indziéj, nie tam, gdzieby należało (1).

Dopiero w wieku bieżącym, choroby zaraźliwe i epidemiczne, które dziesiątkowały ludność w wielkich miastach angielskich, i cholera w Paryżu z r. 1831, która szerzyła się z niesłychaną gwałtownością w zacieśnionych dzielnicach tego miasta, otworzyły ostatecznie oczy, i przy wysokiéj już wiedzy hygienicznéj zwróciły uwagę na prawdziwe źródło złego (2). Zaczęto badać mieszkania, ich stan, porównywać cyfry chorób i śmiertelności podług dzielnic miejskich i jakości lokali, i wykryto bezpośredni związek klęsk ze stanem mieszkań. Studya rozszerzono daléj, rozpoczęto zestawiać statystykę moralności i zbrodni z naturą mieszkań, i znowu wykryto łączność zjawisk, jako przyczyn i skutków, które oddziaływają jedne na drugie. Jednocześnie skonstatowano w większych miastach powszechną wadliwość mieszkań, w jakich warstwy biedniejszéj ludności przebywają, i nadmierną stosunkowo ich drogość. Wszystko to ra-

---

(1) W starożytnéj Grecyi kwestya mieszkań, zdaje się, że nigdy na jaw nie wychodziła, przynajmniéj nie ma na to w źródłach wskazówek. Przeciwnie w Rzymie skutkiem przepełnienia brak mieszkań dawał się już uczuć, czego dowodem gwałtowny wzrost cen na mieszkania. Już za Cezara cena lokali w Rzymie była cztery razy wyższą, aniżeli w reszcie Italii. Daléj Juvenal, narzekając na brak mieszkań, przytacza, że za ciemny lokalik trzeba było płacić w Rzymie tyle, ile kosztował cały dom z ogrodem w mieście prowincyonalném. Wiele rozporządzeń prawa rzymskiego zachęcało do budowy i reparacyi domów, co stanowi wyraźne znamię ciężkich stosunków. (Roscher „Nauka ekonomii handlu i przemysłu“ str. 45. Tłomaczenie Banzemera). W wiekach średnich system budowania miast zacieśnionych, otoczonych zazwyczaj murami, niewątpliwie wpływał ujemnie na stan mieszkań i zdrowotność publiczną. W tych warunkach, gdyby nawet innych przeszkód nie było, wielkie miasta w dzisiejszém rozumieniu nie mogłyby się rozwinąć. Cecha otwartéj, niezamkniętéj przestrzeni, jest charakterystyką nowoczesnego miasta.

(2) Rafalovich. *Die Wohnungsfrage in Frankreich*, str. 2. Sax. *Die Wohnungszustände*, str. 3.

zem przyniosło dowód, że istnieje wielkie złe, zaniedbane oddawna, które przecież wymaga czujności i opieki społecznéj.

W następstwie tego wzięto się gorąco do dzieła, a pierwszy przykład na polu czynu dała Anglia.

Nie od rzeczy będzie już w tém miejscu powiedziéć, że do należytego postawienia kwestyi w Anglii przyczynił się skromny, ale pełen energii i wytrwałości człowiek, adwokat angielski Edwin Chadwick, który badaniami swojemi ujawnił kwestyą i obnażył jéj ciemne i przerażające strony, w całéj ich prawdzie i grozie. Jedną z jego prac, a mianowicie sprawozdanie sanitarne z r. 1842 (1), lord Stanley nazwał biblią angielską w kwestyi mieszkań (2). Odtąd w Anglii powstają szeregi praw dla zaradzenia złemu, a jednocześnie rozwija się gorączkowa czynność społeczeństwa w kierunku tworzenia nowych mieszkań dla klas pracujących, poprawy dotychczasowych, i wogóle polepszenia bytu najliczniejszéj warstwy społecznéj.

Za przykładem Anglii poszła Francya, ale pomimo silnego poparcia niektórych publicystów, nie zrobiono tutaj ani w przybliżeniu tego, co w Anglii. W każdym jednak razie, działalność w tym kierunku na ziemi francuskiéj była dosyć znaczna i odbiła się nawet na drodze rozporządzeń prawodawczych. Z kolei, mianowicie z początkiem siódmego dziesiątka obecnego wieku, kwestya przeszła do Niemiec, gdzie odrazu gorące znalazła przyjęcie; chociaż na polu prawodawczém dotąd nic tu prawie jeszcze nie uczyniono, zdziałano przecież dosyć w kierunku usiłowań i przedsiębierstw prywatnych. Ruch ten w dalszym ciągu przenika powoli do wszystkich państw europejskich.

Dla przekonania, jak poważnie traktowana jest ta sprawa, wystarczy przytoczyć niektóre fakty. W Anglii zajmował się nią czynnie ks. Albert, zmarły mąż królowéj Wiktoryi, i przewodniczył stale w jedném z towarzystw budowlanych założonych w Londynie celem wznoszenia domów dla niezamożnych robotników (3). Obecny następca tronu angielskiego brał świeżo udział w charakterze człon-

---

(1) *General report on the condition of the labouring classes of Great Britain.* Było ono rezultatem pracy i udziału Chadwick'a w komisyi wyznaczonéj do badania stanu sanitarnego jeszcze w r. 1839.

(2) Sax. *Die Wohnungszustände der arbeitenden Classen und ihre Reform*, 1869. str. 32.

(3) Rafalovich. *Die Wohnungsfrage in Frankreich* str. 44, w zbiorze *Die Wohnungsnoth der ärmeren Klassen.* Leipzig 1886. Tom 2. Engel. *Die moderne Wohungsnoth.* Leipzig. 1873. str. 2.

ka w *royal commission*, która została zwołana w r. 1884 do ocenienia stanu mieszkań w Londynie (1).

Niemniéj gorąco zajmował się tą sprawą cesarz Napoleon III, czego dowodem pomysły jego własne lub z jego natchnienia powstałe, jakie na wystawie paryskiéj z r. 1867 ujawniono (2). W Danii, ks. następca tronu należy do liczby członków stowarzyszenia budowlanego dla robotników, założonego w r. 1865 (3).

W krótkim stosunkowo czasie powstał także ruch w publicystyce, tak, że dzisiaj kwestya mieszkań posiada swoję literaturę, któréj przodują prace angielskie. Na zjazdach w Paryżu podczas wystawy z r. 1867, w Wiedniu w r. 1873, w Brukselli w r. 1877 (4) pracowano nad tą sprawą, a świeżo we wrześniu 1886 r. ekonomiści niemieccy odbyli we Frankfurcie nad Menem nowy kongres w kwestyi mieszkań, którego rezultaty opublikowane zostały w r. 1887 (5).

Słowem, najpoważniejsze umysły i ciała zajmują się tą sprawą i postawiły ją na szczeblu téj ważności, na jakim ona znajdować się ma niewątpliwe prawo.

I. Warunki zewnętrzne.

Rozrost miasta w kierunku pionowym.—Brak placów i ogrodów. — Nowe projekty niszczenia wolnych przestrzeni.— Brak koniecznych porządków sanitarnych. — Jakiekolwiek pożytki przyniesie kanalizacya, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na stan wewnętrzny mieszkań.

Po powyższém objaśnieniu możemy teraz wrócić do postawionego na wstępie pytania i zastanowić się nad tém, w jaki sposób społeczeństwo warszawskie mieszka.

Zacznijmy od warunków zewnętrznych.

Musimy tu zaraz zaznaczyć, że rozrost budowlany Warszawy nie dokonywa się pomyślnie i normalnie. W ciągu lat 20, poczy-

---

(1) Aschroth. *Die Arbeiterwohnungsfrage in England* str. 93 w tymże zbiorze tom I.

(2) Rafalovich l. c. str. 43 i 44. Dodać trzeba, że jeszcze jako książę Ludwik Bonaparte, wydał on broszurę p. t. *Sur l'extinction du pauperisme* 1845 roku. Pomysły w téj pracy wyłożone, zostawszy cesarzem, zaczął wprowadzać w życie, jakkolwiek z mniéj pomyślnym skutkiem dla swego społeczeństwa.

(3) Hansen. *Die Wohnungsverhältnisse in den grösseren Stadten.* Heidelberg, str. 48.

(4) Marjolin. *Etudes sur les causes et les effets des logements insalubres*, str. 10. D'Avigdor. *Das Wohlsein der Menschen in Grosstädten*, str. 44.

(5) *Verhandlungen der am* 24 *und* 25 1886 *abgehaltenen General Versammlung des Vereins für Social Politik.* Leipzig. 1887. Kongres ten oprócz kwestyi mieszkań rozbiérał i związaną z nią kwestyą kolonizacyi.

nając od r. 1868, ludność miasta uległa nadzwyczajnemu powiększeniu, bo kiedy w r. 1868 wynosiła ona 254,561 osób (1), a w dniu 9 lutego 1882 r. w chwili spisu jednodniowego obejmowała 387,395 osób (Rezultaty, cz. I, str. 3), to już w dniu 1 stycznia 1887 r. doszła do 439,174 osób (2), a zapewne do téj chwili przekroczyć musiała cyfrę 450,000 ludzi, nie licząc oczywiście załogi wojskowéj. Ludność w tak krótkim czasie niemal, że się podwoiła, lecz ta podwojona ilość ludzi zamieszkuje na téj saméj przestrzeni, w tych samych co i dawniéj granicach. W istocie, coraz wyżéj piętrzą się domy, zapełniają się otwarte place, budują się oficyny, nikną wolne pomiędzy domami przestrzenie i dziedzińce, na dalszych od środka miasta ulicach w miejsce nizkich domów powstają wysokie kamienice, ale miasto nie powiększa się pod względem zajmowanéj przestrzeni, nie przybiéra nowych pod swe budowle gruntów, i nie przekracza zaczarowanego koła dawnych rogatek. W r. 1868 miasto liczyło domów 3,260 i oficyn 4,677, a już w r. 1882 było domów 4,599 (więcéj o 41%), i oficyn 7,516 (3) (więcéj o 60,7% od poprzedniéj cyfry). Dodajmy, że znaczna część dawnych domów powiększyła ilość piętr przez nadbudowanie lub otworzenie suteryn mieszkalnych w dole (4). Murów coraz więcéj, ludzi coraz gęściéj, ale powietrza coraz mniéj, coraz duszniéj. Rzecz godna uwagi, że pomimo tak znacznego przybytku budowli i ludzi, nie zaszła potrzeba w ciągu tych lat dwudziestu przeniesienia którychkolwiek rogatek miejskich do dalszego punktu po za miasto. Krótko mówiąc, miasto rozrasta się w kierunku pionowym, w górę i na dół, ale nic prawie w kierunku poziomym, wzdłuż i wszerz, jakby sobie tego życzyć należało (5). Temu zjawisku, do pewne-

---

(1) Załęski. „Rys statystyki porównawczéj m. Warszawy". Warszawa 1872 str. 23.

(2) Sprawozdanie o ruchu ludności m. Warszawy za r. 1887, str. 1. Sprawozdanie za rok 1888 dotąd nie wyszło, chociaż szykuje się do druku, lecz wedle prywatnie udzielonéj mi przez p. Załęskiego wiadomości, cyfra ludności z d. 1 stycznia 1888 doszła prawie do 445,000 osób. W tym stosunku przyrost naturalny ludności w ciągu tegoż roku powinien był przekroczyć 450,000.

(3) Rezultaty spisu jednodniowego. Cz. 2, str. 5.

(4) Liczba izb w suterynach w r. 1882 przedstawiała cyfrę 4422 izby (Rezultaty, cz. II, str. 81).

(5) Ogólna powierzchnia m. Warszawy w rozciągłości całéj jurydyki miejskiéj, wynosi 169 włók i 16 morgów, czyli 2847 hektarów i 4809 metrów kwadratowych. Odliczywszy przecież wolne krańce miasta, powierzchnia zamieszkanéj przestrzeni obejmuje 115 włók, 19 morgów, czyli 1941 hektarów i 8749 metrów kwadratowych. Przy zaludnieniu 450,000 mieszkańców, wypada 1 mieszkaniec, na 63 metry kwadratowe ogólnéj przestrzeni, a 1 na 43 metry kwadratowe w zabudowaném terytoryum. Jest to cyfra

go stopnia koniecznemu i nieuniknionemu (1), towarzyszy inne, które wprost za anormalne uważać należy. Chcę mówić o braku placów i ogrodów publicznych. W ciągu upłynionych dwudziestu lat nie przybyło miastu ani jednego nowego ogrodu, ani jednego nowego placu (2), chociaż dawniejsze dla potrzeb podwojonéj ludności nie mogą wystarczać. Co gorsza, widzimy nieopatrzne znoszenie tego rodzaju przestrzeni, które w większém mieście stanowią konieczne zbiorniki lepszego powietrza. Jeszcze dawniéj, nie umiano wyzyskać dla dobra miasta ani ogrodu świętokrzyskiego, ani ogrodu brylowskiego, z których potworzono gęsto zabudowane ulice, z niemałą szkodą dla warunków sanitarnych. Gdy kasowano ogród brylowski, obcięto ogród Saski, zamiast go rozszerzyć; gdy trzeba było pobudować letni teatr, zabrano miejsce w ogrodzie Saskim, jak gdyby on zawiele miał rozległości. Istnieje projekt budowy teatru na placu Zielonym, bo ten amatorom przeszkadza, istnieje drugi projekt budowy domu rządowego na placu Krasińskich, który raczéj domaga się rozszenia i zburzenia stojących na nim dawnych bud.

Niedawno, bo ubiegłéj wiosny, byliśmy świadkami wandalicznego zniesienia części skweru na Nalewkach, gdzie pobudowano skład dla akcesoryi teatralnych, który bez szkody dla społeczeństwa, gdzieś za rogatką mógł był znaleść pomieszczenie, wkrótce zniszczą nam znowu część skweru ewangielickiego pod budowę gmachu dla sztuk pięknych (3). Nie wiele téż brakowało, do po-

---

przeciętna, lecz rozumie się samo przez się, że w miarę zbliżania się ku środkowi miasta gęstość zaludnienia wzmaga się coraz bardziéj. Berlin obejmuje 6203,45 hektarów, co przy ludności 1,122,330 mieszkańców daje na głowę 55 metrów kwadratowych (Böckh. *Die Bevölkerungs und Wohnungs-Aufnahme vom* 1 *December* 1880 *in der Stadt Berlin*. Cz. 1. str. 69). Ten stan zaludnienia wedle Böckh'a uważać należy za stanowczo anormalny (str. 38). Hamburg na przestrzeni 6,344,5 hektarów posiada 410,127 mieszkańców, a zatém 1 mieszkańca na 154 metrach kwadratowych (Neefe. *Hauptergebnisse der Wohnungsstatistik deutscher Grosstädte*, str. 174. W zbiorze *Wohnungsnoth der ärmeren Klassen etc*. Lipsk. 1886).

(1) Wyjątek stanowi Londyn i miasta angielskie, które skutkiem systemu budowania domów na mieszkanie dla jednéj rodziny (*Cottagesystem*), a po części zapewne też skutkiem czujności społecznéj, rozrastają się współrzędnie w kierunku poziomym, tak dobrze, jak i w pionowym.

(2) Ulice i place zajmują $15\frac{2}{3}$ włóki, czyli nie wiele więcéj nad $\frac{1}{8}$ część terytoryum zabudowanego, ale zaledwie $\frac{1}{11}$ część ogólnéj powierzchni, ogrody zaś i skwery miejskie liczą tylko 3 włóki, czyli $\frac{1}{38}$ a właściwie $\frac{1}{56}$ część. Co znaczy taka przestrzeń wobec gęsto zacieśnionych zabudowań w całém mieście!

(3) Ten plac dopomina się chyba także rozszerzenia przez zakup i zniesienie domu od ulicy Królewskiéj, który klinem w plac wchodzi. Gdy przybytek sztuki stanie obok powyższego domu, zniknie nadzieja odsłonięcia kiedykolwiek głównego frontu ko-

ćwiertowania ogrodu saskiego, tego jedynego w środku miasta rezerwoaru powietrza, i to pod dziwnym pretekstem, potrzeby komunikacyi, za projektem p. Lindleya. Przed p. Lindleyem owéj potrzeby nikt nie dostrzegł, ale gdy p. Lindley wystąpił z tą myślą, wnet znaleźli się zwolennicy nowości i zaczęli walczyć za mizerną sprawę, zapominając zupełnie o zdrowiu publiczném i jego potrzebach. Rzecz dziwna, gdzieindziéj wykupują place i domy, dla tworzenia wśród miasta ogrodów w Nowym-Yorku nie wahano się wydać blisko 10 milionów dolarów, zajmując grunta pod park centralny, który założony został w samym środku wielkiéj stolicy (1), a w Warszawie nawet dziennikarze łamią pióra w obronie projektu zniszczenia jedynego ogrodu! Zdaje się, że tylko osobistéj roztropności prezydenta miasta zawdzięczamy uratowanie sprawy.

Wogóle, nadmienić należy, że brak ogrodów i placów stanowi bardzo ujemną stronę bytu w Warszawie.

W dalszym ciągu do kategoryi szkodliwych warunków życia w Warszawie należy brak dobréj wody, brak ścisłych i nieprzenikliwych bruków i wogóle brak należytego porządku na ulicach i wewnątrz domów (2). Pod tym względem niesłychaną cenę posiada dla miasta kanalizacya, któréj przeprowadzenie zawdzięczać możemy energii zwierzchności miasta. Razić też musi każdego rozsądnego człowieka mniéj lub więcéj widoczny opór ze strony właścicieli domów, piszących protesty przeciwko wielkiemu pomysłowi (3), bezwzględu na potrzeby i dobro ogółu mieszkańców. Cokolwiek jednak dobrego przyniesie skanalizowanie Warszawy, nie zdoła ono usunąć wszystkich ujemnych stron zbyt gęsto zaludnionego miasta, o jakich dopiéro co wspominałem. Jak w wielkich miastach wogóle, tak i w Warszawie témbardziéj, zewnętrzne

ścioła ewangelickiego i otworzenia szerszéj dla widoku i powietrza w tém miejscu przestrzeni.

(1) Sax. *Die Wohnungszustände der arbeitenden Klassen und ihre Reform.* Wien. 1869.

(2) „Opinie sanitarnego podkomitetu obywatelskiego“ 1880 str. 3 i nast. Co do porządku na ulicach i w domach, to mam tu na myśli złe rynsztoki, zbyt rzadkie polewanie wodą ulic, leniwą wywózkę śmieci i naleciałości ulicznych, brak pissoarów, źle urządzone miejsca ustępowe po domach, niedokładne usuwanie nieczystości domowych i t. p. wady ujawnionę w powołanych opiniach.

(3) Dość przypomnieć memoryał wniesiony przez grono właścicieli domów do Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy i uchwałę ogólnego zebrania tegoż Towarzystwa z m. grudnia 1888. W obronie tego memoryału, zamieszczonéj w Nr. 30 i 39 Kuryera Warszawskiego, redaktorowie jego bronią się tém, że oni kwestyonują jedynie obowiązek przymusowego spuszczania ekskrementów i założenia pól irygacyjnych. Mała rzecz! Dwa szczegóły, bez których pożytki kanalizacyi nikną w $^{3}/_{4}$ częściach!

warunki pozostaną zawsze ciężkie, i wymagać będą tém większéj czujności co do wewnętrznego urządzenia mieszkań.

II. Mieszkania uboższych.

Mieszkania jedno i dwuizbowe, mieszkania w suterynach i na poddaszach, mieszkania bez światła, bez ogniska, albo bez jednego i drugiego. — Nędza pod względem mieszkań. — Więcéj niż dwie trzecie ludności przebywa w biedzie, a jedna szósta w nędzy. — Zestawienie z zagranicą. — Stan rzeczy pogorsza się. — Skutki złego stanu: 1) pod względem fizycznym.— Śmiertelność. — 8100 ludzi rocznie umiéra po nad właściwą normę. — Nadmierne choroby. — Poprawa mieszkań wpływa na zmniejszenie śmiertelności i chorób. — Poprawa leży nietylko w interesie klas biedniejszych, ale i w interesie całego społeczeństwa. — Straty 3¹/₃ miliona rubli rocznie z powodu śmiertelności i chorób. — Złe uwarstwienie społeczne, polegające na zmniejszeniu sił produkcyjnych i obłożeniu ich ciężarami nieprodukcyjnemi nad miarę. — 2) Pod względem moralnym.—Moralność upada pod wpływem nędzy mieszkaniowéj. — Groźby na przyszłość.

Przejdźmy teraz do rozpoznania stanu mieszkań i zacznijmy od warstw mniéj zamożnych.

Podczas spisu jednodniowego z 1882 naliczono w Warszawie 207120 izb (1), a 79258 mieszkań. (Rezultaty spisu jednodniowego. Część II-ga, str. 81 i 82), co daje przecięciowo 2,6 izby na jedno mieszkanie.

Mieszkania podzielono na różne kategorye, jako to: jednoizbowe, dwuizbowe, trzyizbowe itd., wedle ilości izb, wchodzących w ich skład. Z pomiędzy tych kategoryi najwięcéj mieszkań znalazło się drobniejszych, mianowicie jednoizbowych, których było 46,01% ogólnéj cyfry. To znaczy, że blisko połowa mieszkań składała się tylko z jednéj izby. Po tego rodzaju mieszkaniach znowu najwybitniejszą cyfrę przedstawiały mieszkania o dwóch izbach, gdyż stanowiły 23,05% ogółu. Jeżeli dodamy te dwie kategorye, to wypadnie 69,06%, tj. blisko ⁷/₁₀ mieszkań zaliczyć należy do biedniejszych.

Nie od rzeczy będzie tu objaśnić, że mieszkania dwuizbowe składają także właściwie z jednego pokoju z dołączeniem kuchni, lub przedpokoju, jako drugiéj izby.

Te dwie kategorye obejmują: pierwsza 36,464, a druga 36,538 izb (Rez. cz. II str. 81), czyli razem 73,002 izby, co stanowi nieco więcéj nad trzecią część wszystkich izb w Warszawie. Przy takiém zestawieniu mogłoby się na pozór zdawać, że w tym samym stosunku mieszkająca w nich biédna ludność nie przechodzi również wiele więcéj po nad ¹/₃ część ogółu mieszkańców. Otóż wniosek

(1) Cyfra ustalona z pominięciem koszar wojskowych.

taki byłby błędny. Ilość mieszkańców nie chodzi w parze z ilością zajętych izb, przeciwnie doświadczenie poucza, że w mieszkaniach gdzie mniéj izb, więcéj stosunkowo mieszka ludzi (1). Dość tu przytoczyć, że kiedy wedle ogólnéj ilości izb porównanéj z ilością mieszkańców przypada przecięciowo 1,88 czyli niespełna dwie osoby na izbę, to w mieszkaniach znajdujących się w suterynach i na poddaszach, które prawie wyłącznie do jednoizbowych należą, przypada na jedną izbę $3^1/_3$ lub $3^1/_4$ osób (Rezultaty, cz. II, str. 75 i 82), a właściwie blisko 4 osoby na izbę, jeżeli wyłączymy z rachunku cyfrę mieszkań niezajętych, które przy ustanowieniu przeciętnéj wpłynęły na jéj zmniejszenie (2).

Tym sposobem nie bez słuszności możemy przypuścić, że w téj trzeciéj części izb warszawskich skupia się dwa razy tyle mieszkańców, aniżeliby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło, czyli, że mieszka tam dwie trzecie ludności miasta, a może nawet więcéj.

Mógłby kto zarzucić, że przecież w tych mieszkaniach jedno i dwuizbowych mogą się znajdować ludzie względnie dosyć uposażeni, którzy na los wyrzekać nie mają prawa. Że tak jest, o tém niepodobna wątpić, ale z drugiéj strony nie należy zapominać o tém, że nietylko w tych dwóch kategoryach mieszkań kryje się biéda i niedostatek. Znajduje się wiele mieszkań trzy i więcéj izbowych, zwłaszcza obejmujących warsztaty, pracownie, szwalnie itp., gdzie pomimo znaczniejszéj ilości izb, panuje często przepełnienie ludnościowe, połączone z warunkami prawdziwéj nędzy. Nie mamy danych dla wyłączenia i ustalenia téj kategoryi mieszkań, która gdyby mogła być wskazana, powiększyłaby znacznie cyfrę biédnych mieszkań i biédnych mieszkańców.

Należy przytém pamiętać, że dość znaczną ilość mieszkań trzy i więcéj izbowych ludzie wynajmują dla spekulacyi, podnajmując później pojedyńcze izby lub kąty osobom trzecim, które również w sferze najbiédniéj mieszkających figurować powinny.

---

(1) Rezultaty spisu jednodniowego nie wskazują ilości mieszkańców, zamieszkujących każdą kategoryą mieszkań podług liczby ich. Skutkiem tego nie można dokładnie oznaczyć, jaka część ludności zajmuje mieszkania biédniejsze i nie można téż określić ścisłéj cyfry mieszkań przeludnionych. Podobnież rezultaty spisu jednodniowego nie obejmują danych co do rozmiaru ich, a témbardziéj co do ich wartości wewnętrznéj. Wszystko to leżało po za zakresem czynności spisu jednodniowego, nie odejmując wysokiéj wartości saméj pracy, która zamknęła się w pewnych oznaczonych granicach. Gdy jednak zebranie tych dalszych wskazówek przedstawia wiele interesu ze stanowiska społecznego, stąd rodzi się potrzeba badań i w tym kierunku, jak o tém poniżéj będzie mowa.

(2) Do zrobienia téj uwagi skłania mnie ta okoliczność, że ilość mieszkań niezajętych w rubryce suteryn i poddaszy (str. 82), stosunkowo przewyższa o wiele odnośne cyfry w rubrykach innych piętr.

Dosyć będzie przytoczyć, iż sublokatorów naliczono w Warszawie 48,845 osób (Rezultaty, cz. I, str. 77). Nareszcie, gdyby chodziło o ścisłość, należałoby uwzględnić mieszkania służby i w ogóle ludzi, przeznaczonych do naszych usług osobistych.

Cyfra takiéj ludności wynosi w Warszawie wraz z jéj dziećmi 35,429 osób, czyli prawie $^1/_{10}$ część całkowitéj ludności podług spisu jednodniowego (Rezul. cz. I, str. 77). Z téj cyfry znakomitą większość ze względu na położenie zapisano podczas spisu jednodniowego do liczby mieszkańców większych lokali, co nawiasem mówiąc, przyczyniło się znacznie do podniesienia przeciętnéj ludności zajmującéj lepsze mieszkania. Jednakże słuszność nie pozwala nam zapomniéć, że ludzie ci nie wszędzie, nawet przy większych mieszkaniach, posiadają należyte i zdrowe pomieszczenia. Jakże to często budowniczym naszym, którzy umieją tworzyć ładne saloniki, zabraknie miejsca, gdy wypadnie zrobić coś dla służby? I zjawiają się koncepty w rodzaju pawlaczy i tym podobnych urządzeń.

Wobec tego wszystkiego, przypuszczenie moje, że $^2/_3$ części ludności warszawskiéj źle mieszka, nabiéra cechy zupełnego prawdopodobieństwa. Raczéj powstaje nawet wątpliwość czy stosunek nie jest gorszy, czy upośledzenie pod względem mieszkania nie towarzyszy daleko większéj części ludności? Gdyby przyszło do ścisłego obrachunku, to zapewneby się okazało, że tylko mała jéj cząstka znajduje się w warunkach dobrobytu mieszkaniowego. Że jednak biéda biédzie nie równa, przypatrzmy się bliżéj téj nędzy mieszkań i rozejrzyjmy się w szczegółach.

Za anormalne i niezdrowe mieszkania hygieniści i ekonomiści uznają lokale w suterynach i na poddaszach. Takich lokali było wedle spisu jednodniowego 5,56% i 11,14% razem 16,70% ogólnéj ilości. Dodawszy do tego lokale na 4-m i wyższych piętrach, których ilość statystyka wykazuje na 0,76%, wypada wogóle, że mamy bezwarunkowo anormalnych mieszkań w naszym mieście 17,46% (Rezultaty, cz. II, str. 69).

Te niezdrowe mieszkania liczyły izb zamieszkałych (1) 18,347, a w nich mieściło się ludzi 63,941. To znaczy, że w mieszkaniach bezwarunkowo anormalnych zamieszkiwała blisko $^1/_6$ część całkowitéj ludności (2). Ale ta $^1/_6$ część zajmowała jedynie 18,347 izb, czyli nie wiele więcéj nad $^1/_{12}$ część ogólnéj ilości izb w Warszawie.

---

(1) Wliczam do liczby izb zamieszkanych i zajęte wedle tegoż spisu pod przemysł, bo i w takich zwykle ludzie mieszkają.

(2) Całkowita ludność wedle spisu jednodniowego obejmuje 387,395 osób (Rezultaty, cz. I, str. 3).

Gdyby mieszkańców tych biédnych siedzib chciéć obdarzyć taką ilością izb, jaka podług przeciętnéj rachuby na nich przypada, to należałoby im dać dwa razy tyle, aniżeli posiadają. Nie dość więc, że ta masa ludzi przebywa w mieszkaniach niezdrowych, ale jeszcze gnieździć się musi gęściéj od innych. (Rezultaty, cz. II, str. 82). Nie zawadzi tutaj małe porównanie.

Lokale na pierwszém i drugiém piętrze obejmowały wogóle u nas izb zamieszkanych 86.133, a w nich mieszkańców było 136.610 osób, to jest nie wiele więcéj nad $1\frac{1}{2}$ osoby na jedną izbę, gdy poniżéj pod ziemią lub wyżéj pod dachem współcześnie spotykamy $3\frac{1}{2}$ osoby na izbę. Inaczéj mówiąc, zaludnienie schronisk podziemnych i poddasznych izdebek było $2\frac{1}{3}$ razy większe, aniżeli pierwszych i drugich pięter. (Rezultaty, cz. II, str. 82).

Gdyby tylko na tém zamykała się różnica, byłoby pół biedy. Ale niestety są inne okoliczności, akcentujące jeszcze dotkliwiéj upośledzenie uboższych.

Nieodzownym warunkiem zdrowia jest światło, bez którego niepodobna spodziewać się normalnego rozwoju organizmu, nie mówiąc już o koniecznéj jego potrzebie dla gospodarczego i porządnego życia. Podobnież doniosłe znaczenie, zwłaszcza u nas w strefie północnéj, mają piece i kuchnie, czyli ogniska, konieczne dla utrzymania naszego bytu na stopie, choć cokolwiek wyższéj od zupełnéj dzikości. Otóż spis jednodniowy notuje, że w suterynach i na poddaszach znajduje się stosunkowo najmniéj okien i ognisk (Rezultaty, cz. II, str. 77), a nawet znacznie mniéj niż na innych piętrach.

Nadto istnieją mieszkania całkiem bez okien. Takich mieszkań (jednoizbowych) bez światła, znaleziono w mieście 1515, co stanowi blisko 2% ogólnéj cyfry mieszkań. (Rez. cz. II, str. 81). Istnieją téż mieszkania bez żadnego ogniska i takich naliczono 2.985 (1), czyli blisko 4% ogólnéj cyfry mieszkań, z których tylko 582 było niezajętych, reszta 2.502 posiadała lokatorów. (Rezultaty, cz. II, str. 85). Wprawdzie autor rezultatów spisu jednodniowego łagodzi tę posępną cyfrę objaśnieniem, że większą część mieszkań bez ognisk stanowią sklepiki. Wiemy jednak z doświadczenia, jak często biédni właściciele sklepików mieszkają w nich po za szafami, lub w niszach, pomimo braku ogniska (Rezultaty, cz. II, str. 79).

---

(1) W Paryżu liczą izb bez światła 2.462, a bez pieca 3777. Cyfry nieco większe od naszych, ale co za porównanie wielkości miasta tego z Warszawą! (Marjolin. *Etude sur les causes et les effets des logements insalubres* str. 13). Zresztą i łagodniejszy klimat także coś znaczy.

Nie zawadzi tutaj nadmienić, że z liczby mieszkań bez światła 33 mieści się w suterynach, a 14 na poddaszu, z liczby zaś mieszkań bez ogniska 118 w suterynach, a 94 na poddaszu, przyczém z tych dwóch ostatnich cyfr tylko 36 mieszkań nie było zajętych w chwili spisu jednodniowego. A przecież spis ten dokonywał się wśród ciężkiéj zimy, mianowicie w d. 9 lutego! Co to musi być za życie pośród murów, gdzie nie można się ogrzać i wiecznie trzeba marznąć w kątach, do których światło dzienne nie przenika, a panującą ciemność rozprasza blask kopcącéj lampki! W takich schroniskach mieszkają jednak ludzie! Roi się tam ich gęściéj, aniżeli w wytwornych pokojach. Oddychają oni piwniczném powietrzem, obchodzą się bez światła lub bez ognia, albo bez jednego i drugiego razem, i żyją, jak Bóg dał, bez nadziei lepszego jutra, z trwogą w sercu i w pognębieniu. Bywa głodno i chłodno, bo jakby przez ironią losu, należy obchodzić się bez gorącéj strawy, ciepłego odzienia właśnie tam, gdzie tego najwięcéj potrzeba!

Znikły ciemne więzienia, znikły dawne lochy kryminalne, któremi straszono zbrodniarzy, ale nie znikły ciemne, zimne i podziemne mieszkania dla ludzi mozołu i trudu, którym los od kołyski odmówił wszelkiego uśmiechu. Mamy te siedziby, tu w tém mieście, dość gęsto naokoło siebie, bliżéj nieraz niżby przypuścić było można, niekiedy tuż w niedalekiém od nas sąsiedztwie, lub na najbliższéj ulicy. Nie wiele wiemy tylko, co się w nich dzieje, i nie chcemy wiedziéć, jakie przeznaczenia zapędzają ludzi w te posępne kąty!

I pomimo woli rodzi się pytanie, iluż to ludzi z pomiędzy nas wszystkich żyjących w tém mieście, znajduje się w takich warunkach pod względem mieszkania?

Odpowiedzi wprost na to zapytanie spis jednodniowy nie dostarczył, możemy jednak przybliżenie cyfrę tę określić przez porównanie poszczególnych danych.

Mieszkań bez światła znajdowało się około 2%, a bez ogniska około 4%, co dawałoby razem blisko 6%. Cyfra ta jednak nie byłaby dokładną. Nędza ma swoje szczeble, podobnie, jak i dostatek. W liczbie tych mieszkań są mieszkania bez światła, są bez ogniska, ale są także bez jednego i drugiego razem. Te ostatnie powtarzają się w obu rubrykach, co wpływa na zwiększenie wykazanéj cyfry. Uwzględnijmy jeszcze i to, że pewna część sklepików bez ognisk może być niezamieszkaną, i oznaczmy ilość tego rodzaju anormalnych siedzib tylko na 4%, w takim razie będziemy mogli łatwo dojść do przypuszczanéj cyfry ich mieszkańców. W mieszkaniach anormalnych, których było 17,46% znajdowało się ludzi blisko 64.000,

w tym stosunku na 4% mieszkań, wypadałoby blisko 1/4 téj ilości. Że stosunek taki przyjąć można, to nie ulega wątpliwości, bo jak to już raz wspomniałem, im gorsze mieszkanie, tém więcéj ma lokatorów.

Tym sposobem na mieszkania bez światła lub ogniska, albo bez jednego i drugiego razem, przypadałoby około 16.000 ludzi. A więc mamy taką potężną cyfrę biédaków, którzy doprawdy gorzéj od przestępców mieszkają. I dziwią się ludzie, gdy wyczytają w dziennikach, że nędzarz dopuścił się zbrodni, aby pójść na zimę do więzienia. Ale cóż na to powiedziéć, że jego mieszkanie istotnie nie może równać się z więzieniem!

Rozpatrywaliśmy dotąd mieszkania biédaków ze stanowiska ilości zajmowanych izb, ich położenia wedle pięter oraz pod względem okien i ognisk; ale to jeszcze nie wyczerpuje charakterystyki siedzib. Niemniéj ważne znaczenie dla zdrowia i życia przedstawiają wymiary izb i ich wartość wewnętrzna, jako budowli dobrze lub źle do potrzeb ludzkich zastosowanych. Nie mamy w téj mierze pod ręką materyału statystycznego, jednakże opiérając się na codzienném doświadczeniu, możemy bez wątpienia powiedziéć, że im biédniejsze mieszkania, tém gorzéj są urządzone. Rozmiary izb bywają także zwykle mniejsze; jeżeli te biédne izby nie zawsze są węższe i krótsze, to zazwyczaj są niższe, a przynajmniéj w suterynach i na poddaszach tak zawsze bywa. Wziąwszy z kolei i tę okoliczność pod uwagę, warunki życia w tych nędznych mieszkaniach okażą się tém smutniéjsze.

Śmiało powiedziéć możemy, że odmalowanie nagiéj rzeczywistéj prawdy, obudzić powinno w każdém sercu uczucie przerażenia. Obrazy to ponure, zaciągnięte ciemnemi barwami, po za któremi bledną ludzkie usterki i przekroczenia! A jednak na wydziedziczonych lokatorach tych schronisk podobnie jak i innych, w imię zasady równości, ciążą różne obowiązki społeczne. I od nich wymagamy pożytecznéj pracy i moralnego działania. I oni muszą na równi z innymi ponosić obowiązek utrzymania rodziny i wychowania dzieci. Jakże to jednak trudno być musi podołać zadaniu w podobném położeniu! Ci, co zajmują pięknie umeblowane pokoje, niechaj choć od czasu do czasu wspomną, że więcéj niż dwie trzecie współmieszkańców przebywa w biédzie, a jedna szósta pozostaje w nędzy ze wszystkiemi stopniami upośledzonego i wydziedziczonego bytu! Może się téż tym biédakom jakaś względność od nas należy!

Ale może mi kto zarzuci, że podobna biéda ma miejsce także gdzieindziéj, w ogniskach wyższéj jeszcze cywilizacyi, w stolicach wielkich państw zachodnich. Zapewne, wszędzie ubóstwo stanowi

większość, a i nędzy w różnych postaciach nie brakuje, ale kwestyą rostrzygają nie pojedyncze zdarzenia, tylko przeciętne cyfry i wypadki.

Trzeba przedewszystkiém zwracać uwagę na stosunek liczebny nędznych mieszkań do lepszych, na stosunek liczebny biédaków do innych warstw, na przeciętne ceny mieszkań, na przeciętne warunki bytu dostarczane klasom pracującym. Otóż z tego stanowiska łatwo wykazać, że stoimy niżéj od zagranicy. Dzięki wyższéj kulturze, a zapewne dzięki téż i środkom zaradczym, gdzieindziéj rozwiniętym, zło doznaje znacznego złagodzenia, ujemne formy bytu ulegają poprawie i polepszeniu. Niech mi tu wolno będzie zestawić kilka danych. Zacznijmy od ceny izby.

U nas za średnią cenę rocznego najmu izby, jak doświadczenie wskazuje, przyjąć można kwotę rs. 100. W Londynie średnio praktykowana cena pokoju, służącego za mieszkanie dla warstw pracujących, wynosiła tygodniowo (1) 3 szyl. 10¾ denarów, co daje miesięcznie na naszą monetę podług nominalnéj wartości około rs. 4, a wedle kursu obecnego rs. 6. Za dwie izby płaci się przeciętnie 6 szyl. na tydzień (2). W Paryżu notują cenę przeciętną izby na 300—350 fr. rocznie, co znaczy na nasze pieniądze nominalnie rs. 75 do 87 rs. 50 kop. czyli rs. 6¼ do 7⅓ miesięcznie, a wedle kursu 111 rs. do 129 kop. 50 rocznie, czyli rs. 9¼ do 10¾ około rs. 10 miesięcznie (3). Wobec tych cyfr nasza cena rs. 100 za pokój, okazuje się znacznie wygórowaną, zwłaszcza, że nie można obecnego naszego niskiego kursu brać za stałą miarę.

W Berlinie spotykamy przecięciowo cenę pokoju 252 mar. rocznie (4), co stanowi nominalnie rs. 75 kop. 60, czyli rs. 6⅓ miesięcznie, a wedle kursu obecnego około 120 rs., czyli rs. 10 miesięcznie.

W Hamburgu cena pokoju jest nieco niższa aniżeli w Berlinie, bo 239 marek rocznie, natomiast bardzo znaczne obniżenie widzi-

---

(1) Jest to ustalonym zwyczajem w Londynie, że ludzie pracujący płacą komorne tygodniowo, termina najmu, wyprowadzek etc. również z końcem tygodni się zamykają. Niezgodny u nas z systematem płacy zwyczaj wynajmowania i ustalania ceny komornego miesięcznie wymaga zmiany. Wprawdzie w życiu praktykuje się zbieranie komornego czasami co tydzień, ale zasada wynajmu miesięcznego stoi zawsze w swéj mocy.

(2) Aschrott str. 99. Pomijam cenę niższą, jaka się praktykuje np. domach imienia Peabody'ego, gdzie się płaci za pokój 2 szyl. 3 den. do 3 szyl. 6 den. tygodniowo. Tamże stron. 130,

(3) Rafalovich str. 30, 31 i 32.

(4) Neefe. Hauptergebnisse der Wohnungsstatistick deutscher Grosstädte. Drukowane w zbiorze *Verein*'u *für Socialpolitik*. Tom I, str. 195.

my w Lipsku, gdzie pokój kosztuje przecięciowo rocznie tylko 174 marki, a w Dreznie jeszcze taniéj, bo zaledwie 165 marek (1). Tym sposobem, trzymając się wartości nominalnéj, wszędzie widzimy cenę niższą od naszéj, a w Londynie, Dreznie i Lipsku, nawet przy cenie wedle kursu bieżącego (2).

Że zaś niższa cena czyni lepsze mieszkania dla biédniéjszych dostępniéjszemi, tego dowodzić chyba nie potrzeba.

Zróbmy jeszcze parę porównań z Berlinem i Lipskiem. Porównania te będą tém pożyteczniéjsze, że miasta te późniéj się rozwijały od innych wielkich miast europejskich, skutkiem czego stosunki tamtejsze więcéj mogą być do naszych zbliżone.

Kiedy w Warszawie liczba mieszkań bez ognisk wynosi blisko 4%, z których większość jest zamieszkana, to w Berlinie w r. 1880 ogólna ilość podobnych mieszkań stanowiła 1.3%, a w Lipsku w całém mieście znajdowały się tylko dwa takie mieszkania, co przedstawia procent tak mały, że nie daje się on ująć w postać jakiegokolwiek wydatniejszego ułamku procentowego (3).

Kiedy w Warszawie liczba mieszkań bez światła wynosi blisko 2%, to podobnych mieszkań w statystyce Berlina i Lipska wcale nie spotykamy.

Kiedy mieszkania na poddaszu stanowią u nas 11.14% ogólnéj ilości a na 4-m i wyższych piętrach jeszcze (0,76%) blisko $^3/_4$%, to w Berlinie wszystkie tego rodzaju mieszkania obejmują wprawdzie 16.3%, ale z nich trzy czwarte odchodzi na wyższe piętra z powodu budowy domów wyższych, a tylko $^1/_4$ pozostaje na poddasza (4), czyli 4% ogółu mieszkań. Podobne zjawisko zdaje się ma miejsce w Lipsku, gdzie ogólna cyfra mieszkań na wyższych piętrach i mieszkań poddasznych wynosi 13.5% (5).

Mniéj korzystny stosunek, mianowicie dla Berlina, przedstawia się tylko co do mieszkań w suterynach, które tam stanowiły już w 1871 r. 10.8%, (6) a późniéj nawet się podniosły w swéj liczbie (7), chociaż znowu taż statystyka odróżnia, że z liczby mieszkań w su-

(1) Tamże. Tom I, str. 195.

(2) Powszechnie wiadomo, że zarobki robotnika angielskiego, francuskiego, a nawet niemieckiego są wyższe aniżeli naszego.

(3) Neefe *l. c.* str. 188 i 189.

(4) Tamże str. 184. W statystyce za rok 1875 wprost odróżniono na wyższe piętra 9.5%, a na poddasza 2.8%. Podług tego stosunku ustaliłem liczby procentowe na rok 1880.

(5) Tamże str. 185.

(6) Michaelis Richard. Die Gliederung der Gesellschaft nach dem Wohlstände Lipsk. 1878. str. 126.

(7) Neefe *l. c.* str. 180.

terynach w Berlinie 6.1% było zajętych przemysłowo, i że tém samém tylko 4.70% miały przeznaczenie mieszkania (1). U nas liczba mieszkań w suterynach stanowi jedynie 5.56%, ale z nich prawie trzy czwarte zajęte są w charakterze mieszkań. (Rezultaty, cz. II, str. 82). Za to w Lipsku, podobnie jak i w Paryżu, niema takich mieszkań wcale (2).

Już z powyższych kilku przykładów, porównanie wypada na niekorzyść Warszawy. A cóżby dopiero się okazało, gdybyśmy mieli możność zestawienia mieszkań biédniejszéj ludności warszawskiéj z odnośnemi mieszkaniami innych miast Europy zachodniéj pod względem wewnętrznego urządzenia i udogodnienia. Naturalném następstwem rozwoju społecznego jest lepsze i dokładniéjsze zaspakajanie potrzeb ludzkich, i dla tego w tym kierunku niższość nasza ujawniłaby się zapewne tém dosadniéj i boleśniéj.

Dodawszy do tego wszystkiego niepomyślne warunki zewnętrzne, o jakich na wstępie wspominałem, nie będzie przesadą, gdy powiem, że obecne warunki bytu mniéj zamożnych warstw naszéj ludności, pod względem mieszkań, domagają się gwałtownego ratunku i pomocy.

Że stan ten nie poprawia się, ale raczéj pogorsza się, tego dowodem są cyfry. Wedle statystyki z r. 1868 mieszkania dwuizbowe stanowiły (3) blisko połowę ogólnéj ilości mieszkań (bo 43.42%), dziś zaś przeciwnie przeważają mieszkania jednoizbowe, one to bowiem na teraz liczebnie przedstawiają prawie połowę wszystkich mieszkań (bo 46.01%), i wyparły mieszkania dwuizbowe na drugi plan, a to tak dalece, że te ostatnie stanowią jedynie 23.05%, czyli że tych ostatnich mamy obecnie dwa razy mniéj aniżeli jednoizbowych. Widocznie więc ludność niezamożna skutkiem trudniéjszych warunków bytu przeszła od dwuizbowych do jednoizbowych lokali, które się téż więcéj w życiu miasta upowszechniły. Jeżeli sobie przypomnimy, że mieszkania dwuizbowe w znacznéj części są jednopokojowemi z dodaniem kuchni lub przedpokoju, to ograniczenie podobne uznać należy za znamię silnego upadku materyalnego. Owa jedna izba stanowi właściwie kuchnię, która służy zarazem za mieszkalnię, pracownię i sypialnię.

Współrzędnie notuje statystyka stosunkowe zmniejszenie ilości mieszkań trzy i czteroizbowych, bo kiedy w r. 1868 było ich

---

(1) Michaelis *l. c.* str. 56.

(2) Neefe *l. c.* str. 180. Hansen *l. c.* str. 43.

(3) Zalęski *l. c.* str. 9.

25.13%, to podczas spisu jednodniowego znaleziono ich tylko 19.17%, ogółu mieszkań (1). Bardziéj charakterystycznemi są jeszcze inne fakta. W suterynach liczono w r. 1868 jednoizbowych mieszkań 848, a w ciągu lat 13 wzrosła ta cyfra do 3,186, tak że nawet w stosunkowém zestawieniu tych cyfr z ilością lokali z dawniejszj i obecnéj epoki rezultat przemawia przeciwko teraźniejszości. Współcześnie rosło téż zaludnienie suteryn, dochodząc w r. 1882 do 21.664 ludzi czyli do 5% ogółu mieszkańców (2), ujawnia najlepiéj pogorszenie bytu!

Jeszcze jeden fakt. W r. 1868 notowano 9700 izb na poddaszu, z ludnością 30.600 mieszkańców, obecnie ilość siedzib poddasznych nie wiele się powiększyła, stanowi 8758 lokali a 12.171 izb, ale zaludnienie ich wzrosło w znaczniejszym stosunku, gdyż doszło do 39.918, osób (3).

Wobec powyższych faktów, nie pocieszy nas notowany przez statystykę przyrost ludności, któremu towarzyszy zwiększająca się biéda i nędza. Przyrost może następować z różnych powodów i przez napływ ludności z prowincyi, jak to w istocie ma miejsce w Warszawie (4), ale nie dowodzi to jeszcze pomyślności miasta, ani miejscowéj jego ludności.

O stanie materyalnym trzeba sądzić wedle istniejących warunków bytu i pracy, które bywają często niepomyślne, pomimo zwiększania się liczby mieszkańców.

Nie pocieszy nas również inny fakt, ze statystyki mieszkań wprost zaczerpnięty, a mianowicie, że przeciętna cyfra ludzi na jedną mieszkalną izbę zaledwie dochodzi do dwóch osób, właściwie 1.88, (Rezultaty, cz. II, str. 75), gdy w r. 1868 liczono 2.39 osób; bo najprzód, przeciętna ta nie dotyczy, biedniejszych mieszkań, w których przecięciowo wypada blisko 4 głowy na izbę, jak to już powyżéj wskazałem, a powtóre przeciętna ta stoi po za obrębem wewnętrznéj wartości mieszkań i jakości izb, co właśnie o warunkach bytu rozstrzygać musi.

Tak więc, pomimo najszczerszéj chęci, nie zdołamy wyjść z zaczarowanego koła faktów i zjawisk, uwydatniających oczywistą nędzę mieszkań, która rozwielmożnia się w ciągu ostatnich lat kilkunastu w naszém mieście, wciągając w swe tryby coraz szersze warstwy ludności.

---

(1) Załęski *l. c.* str. 9. Rezultaty, część II, str. 73.

(2) Załęski str. 9. Rezultaty, część II, str. 82.

(3) Załęski str. 9. Rezultaty, część II, str. 82.

(4) W r. 1882 ludność urodzona w Warszawie wynosiła 52%, a z innych miejsc 46.86%. Rezultaty, cz. I, str. 3.

Otóż powstaje teraz pytanie, czy ta nędza nie odbija się ujemnie na życiu biédniejszych mieszkańców, i w jaki mianowicie sposób?

Skutki ujemne istnieją, a mianowicie dwojakiéj natury, jedne w kierunku fizycznym, drugie w kierunku moralnym.

Zastanówmy się najprzód nad skutkami fizycznemi. Mam tu na myśli szkody dla organizmu wynikające ze złych mieszkań, których następstwem są: zwiększona ilość chorób i zwiększona śmiertelność. Za granicą tacy badacze sprawy, jak z angielskich wspomniany już Edwin Chadwick, daléj Roberts, z francuskich Blanqui i Villermé, z niemieckich Huber, i za nimi wielu innych, na podstawie najdokładniéjszych badań i cyfr statystycznych udowodnili, że choroby i śmiertelność pozostają w bezpośrednim związku ze stanem mieszkań. Dość tu będzie dla przykładu przytoczyć kilka cyfr.

Już sama gęstość zaludnienia, liczona podług ilości głów zamieszkujących dom miejski, wywiera wyraźny wpływ pod tym względem.

W Londynie przy zaludnieniu 8 głów na dom, śmiertelność wynosi rocznie „ „ 24 osób licząc na 1000 mieszkańców.

W Berlinie przy zaludnieniu 32 „ „ „ 25 osób na 1000 mieszkańców.

W Paryżu, przy zaludnieniu 35 „ „ „ 28 osób na 1000 mieszkańców.

W Petersburgu przy zalud. 52 „ „ „ 41 osób na 1000 mieszkańców (1).

Zapewne do ostatecznych tych wyników obok saméj gęstości zaludnienia domów przyczyniają się rozliczne inne okoliczności, niemniéj jednak gęste nagromadzenie ludzi w domach i lokalach wywierać musi wpływ dosadny. I tu już moglibyśmy postawić sobie zapytanie, jakie to rezultaty zbiérać może Warszawa, gdzie przeciętnie dzisiaj na 1 dom przypada 19 mieszkań i 93 mieszkańców? (Rezultaty, cz. II, str. 11). Czyby takie nagromadzenie ludzkich istot na małych przestrzeniach pozostawać miało, bez wpływu na byt

---

(1) Sax. *Die Wohnungszustände* etc. Sax podaje cyfrę śmiertelności w Wiedniu 47 na 1000 rocznie. Cyfrę tę jednak pominąłem w tekście, bo u późniejszego pisarza d'Avigdora (*Das Wohlsein der Menschen in Grosstädten.* Wien 1874, str. 46) na podstawie innych zapewne źródeł spotkałem inny stosunek choć nieprawdopodobny mianowicie 35 na 1000. Wiedeń skutkiem złego klimatu, kanałów Dunaju przerzynających miasto i zacieśnionego środka należy do najniezdrowszych miast, i zdaje się, że tylko to miasto może rywalizować z Warszawą o pierwszeństwo co do wielkiéj śmiertelności.

ich fizyczny? Oczywiście, że nie; wpływ być musi, i nie możemy wątpić, że bardzo silny.

Jakkolwiek nie posiadamy tak dokładnych statystycznych danych, jak inne kraje, to przecież wielka śmiertelność Warszawy została dawno skonstatowaną, i nie może ulegać zaprzeczeniu. Jeszcze Załęski na podstawie obliczeń dokonanych przed r. 1869 (1) zestawiwszy Warszawę z innemi miastami Europy, wykrył, że śmiertelność Warszawy jest większa aniżeli któregokolwiek innego miasta, bo wynosi 1 ofiarę na 23 mieszkańców, co stanowi 43½ osób na 1000 rocznie. W pracach przygotowawczych do kanalizacyi wykazano podobnież śmiertelności 43 na 1000 (2). Kiedy w r. 1879 wobec grożącéj zdala zarazy zawiązano komitet obywatelski sanitarny, wyłoniony z niego podkomitet również zajął się badaniem tego przedmiotu. Na podstawie zebranych wtedy danych i poczynionych obliczeń za lat pięć od r. 1874 do 1878, śmiertelność wypadła w stosunku 41½ na 1000 mieszkańców rocznie (3).

W Anglii, i zgodnie z zasadami nauki wszędzie przyjęto, że normalna śmiertelność nie powinna przenosić 24 osób na 1000, przewyżka po nad ten stosunek poczytuje się za objaw ujemnego stanu, co potwierdzają między innemi opinie podkomitetu (str. 21). Zestawiając śmiertelność Warszawy z powyższemi cyframi wynika, że w Warszawie umiéra rocznie przynajmniéj 18, jeżeli nie 19 osób, na 1000 więcéj, aniżeli potrzeba, co daje przy pierwszéj z tych

---

(1) Załęski *l. c.* str. 52.

(2) Projekt kanalizacyi i wodociągów w m. Warszawie, str. II i str. 3.

(3) W opiniach podkomitetu z r. 1880 na stronnicy 21 zamieszczono takie cyfry:

Rok	1874	ludności	285.823	ilość zgonów	11.638,	czyli	40.72	na	1000.
„	1875	„	297.451	„ „	11.465	„	38.54	„	„
„	1876	„	308.548	„ „	12.494	„	40.49	„	„
„	1877	„	315.199	„ „	12.375	„	40.11	„	„
„	1878	„	336.703	„ „	14.953	„	47.44	„	„

Z tych cyfr przeciętna za lat pięć stanowi 41½ na 1000, ale podkomitet uznał za właściwe odrzucić całą cyfrę umierających podrzutków, i na téj zasadzie, nie bez dowolności oznaczył śmiertelność Warszawy w stosunku 38 na 1000. Powyższe cyfry podkomitet zebrał na podstawie aktów stanu cywilnego, które stanowią u nas zapewne najlepsze źródło do określenia śmiertelności.

Z większą daleko niedokładnością oblicza śmiertelność w ostatnich latach sekcya statystyczna m. Warszawy, na podstawie świadectw lekarzy miejsk. o zaszłych śmierciach.

Lekarze ci mogą opierać się na danych dostarczonych im przez policyą, a już opinie podkomitetu (str. 23) jako też i sama sekcya (Sprawozdanie o ruchu ludności m. Warszawy z r. 1877 str. 2) stwierdza wielką niedokładność przychodzących z tego źródła wskazówek.

Podstawa cyfr zebranych przez podkomitet najwięcéj zasługuje na wiarę, a skutkiem tego wykryty stosunek 41½ na 1000 można przyjąć za pewny.

cyfr na ludność o 450.000 nadmiar śmierci pod postacią 8.100 osób. Gdybyśmy nawet z téj cyfry strącali dwie trzecie na śmiertelność dzieci (1), do czasu dojścia do wieku produkcyjnego, to jeszcze 2.700 wypadków śmierci dotykać będzie ludzi z epoki produkcyjnéj, ludzi pracy, ojców i matek, potrzebnych do wychowania swych dzieci i do pracy społecznéj. Ci ludzie mogli i powinni byli pracować dla społeczeństwa, trudem swoim przyczyniać się do postępów ogólnéj działalności; przedwczesna śmierć zmniéjszyła liczbę pracowników i odjęła społeczeństwu odpowiednią ilość rąk, które może nieraz bardzo były potrzebne, choćby dla najbliższego otoczenia!

Rozumié się samo przez się, że wypadki śmierci z ujemnych warunków bytu ludzkiego ciążą przedewszystkiém na tych sferach, których stan pozostawia najwięcéj do życzenia. Śmierć przyjdzie wszędzie, ale żniwo swoje zbiéra najczęściéj w tych nędznych izdebkach i biédnych mieszkaniach, gdzie nie ma za co się dobrze ochronić od ujemnych wpływów zewnętrznych, gdzie brak dobrego i zdrowego powietrza, a cząstki zgnilizny wypełniają duszną atmosferę. Że tak jest, tego dowodem badania uczonych, stwierdzone licznemi cyframi. W Anglii np. przy śmiertelności ogólnéj, która stanowi 22 osoby na 1000 mieszkańców rocznie, obliczono, że w mieszkaniach zajętych przez zamożniejszą ludność śmiertelność wynosi 17 na 1000, a w mieszkaniach biédniejszych warstw 36 na 1000 (2). Toż samo stwierdzono we Francyi i gdzieindziéj (3). I nie

---

(1) Wedle sprawozdania za rok 1887 liczba zmarłych w wieku do lat 20 w stosunku do ogółu zmarłych wynosiła 8.036 na 12.730, czyli blisko dwie trzecie, licząc w to już i noworodki martwe, i dla tego nie minę się z prawdą, zatrzymując z nadmiaru zmarłych jednę trzecią na rachunek ludzi z epoki życia produkcyjnego. Sprawozdanie str. 13.

(2) Przytoczone u Saxa l. c. str. 30.

(3) U Saxa spotykamy cyfry zebrane przez dr Villerme dla Paryża, a mianowicie na str. 36. W cyrkułach, gdzie złych mieszkań liczono tylko 7% ogółu, śmiertelność przedstawiała 1 osobę na 72, gdzie złe mieszkania stanowiły 27%, to 1 na 65, a gdzie one stanowiły 38%, to 1 na 45 mieszkańców.

Stwierdzono również powszechnie, że długość życia ludzkiego przedstawia się inaczéj dla każdéj warstwy społecznéj, w miarę jéj dobrobytu materyalnego. Dość tu przytoczyć cyfry, zebrane przez Chadwick'a dla Anglii. I tak, wedle stanów społecznych w różnych obwodach fabrycznéj Anglii Chadwick wykrył następujące pod tym względem przeciętne cyfry:

	u klass wyższych	w stanie średnim	u robotników
W Rutlandshire	52	41	38
W Truro	40	33	28
W Derby	49	38	21
W Manchester	38	20	17
W Bolton	34	23	18

możemy wątpić, że ta sama zasada sprawdzić się musi u nas, bo wynika ona z natury warunków bytu i stanowi logiczną niejako konieczność. Dopiéro poprawa mieszkań może przynieść zmianę ku lepszemu, jak to zresztą niejednokrotnie doświadczenie stwierdziło w Anglii.

Kiedy pobudowano w Londynie domy dla klas pracujących z uwzględnieniem potrzeb sanitarnych, to nie spostrzeżono w tych domach wcale owéj ciężkiéj śmiertelności, towarzyszącéj zwykle bytowi ludzi niezamożnych; przeciwnie, śmiertelność była bardzo niewielka, zamykała się w granicach normalnych, mniejszą znacznie się okazała nawet od współcześnie panującéj w Londynie przecięciowéj śmiertelności dla ogółu ludności. Przy porównaniu zaś śmiertelności w takich nowych domach z odnośnemi cyframi śmierci w jednym ze starych cyrkułów Londynu, gdzie warunki mieszkalne za najgorsze oddawna poczytywano, okazało się, że śmiertelność w tym cyrkule była 8 do 10 razy większa, aniżeli w dostarczonych świeżo niezamożnéj ludności lepszych mieszkaniach. Porównanie to zasługiwało tém więcéj na uwagę, że te nowe domy, nie były wzniesione gdzieś po za miastem; przeciwnie, w samém mieście, w punktach, gdzie ludność niezamożna zawsze przemieszkiwała (1). Samo zachowanie stosownéj przestrzeni w izbach prze-

---

	u klass wyższych —	w stanie średnim —	u robotników
W Bethnal Green	45	26	16
W Leeds	44	27	19
W Liverpool	35	22	15.

Sama długotrwałość życia mogła się poprawić pod wpływem polepszonych warunków sanitarnych w państwie Wielkiéj Brytanii, zwłaszcza, że cyfry te odnoszą się do epoki uprzedzającéj rok 1840; ale sprawdza się na nich najwyborniéj ta zasada, że długoletność stoi w bezpośrednim związku ze stanem materyalnym. Wedle późniejszych cyfr wskazanych przez James'a Hole'a, przeciętna długość życia w Anglii wynosi:

dla wyższych klass — 44 lata
dla stanu średniego — 25 lat
dla robotników — 22 lata.

Podobnież śmiertelność dzieci wzmaga się w miarę niższości stanów.

U robotników umiera 1 dziecko na 2 narodzonych
w stanie średnim 1 dziecko na $2\frac{1}{2}$ narodzonych
w klassach wyższych 1 dziecko na $4\frac{1}{2}$ narodzonych.

Cyfry te cytowane są u Saxa *l. c.* str. 30. Słusznie też na ich podstawie konkluduje Sax, że w klassie robotniczéj co drugie dziecko z liczby rodzących się, wskutek warunków, w jakich na świat przychodzi, pada ofiarą śmierci, a dla tych, które pozostają przy życiu i wyrosną na ludzi, widoki życia są o połowę mniejsze aniżeli dla ludzi z klas wyższych.

(1) Sax *l. c.* str. 43 i 44 przytacza cyfry śmiertelności w domach ze zdrowemi mieszkaniami, urządzonych w Londynie dla klas pracujących. Z tych cyfr pokazuje się

znaczonych dla biédnych ludzi, zapewnienie im odpowiedniéj ilości powietrza do oddychania, dostarczenie domowi na każdém piętrze zdrowéj wody, skanalizowanie w domach ścieków wszelkiego rodzaju itp. udogodnienia przyniosły tak zdumiewające rezultaty, jak tego nawet przypuszczać nie było można, przedłużając życie znakomitéj ilości ludzi. Gdyby także w Warszawie zapewnić biédniejszéj ludności lepsze warunki bytu pod względem mieszkań, to nie ulega wątpliwości, że podobneż rezultaty dałyby się osiągnąć, z niemałym pożytkiem dla bezpośrednio zainteresowanych i dla całéj społeczności.

Wszystko to, co powyżéj było wypowiedziane co do śmiertelności, odnosi się także do chorób i ich częstotliwości. Choroby i śmierć pozostają z sobą w najściślejszym związku, bo ta ostatnia jest następstwem pierwszéj, i powtarza się w miarę ilości wypadków choroby pod postacią pewnego matematycznego procentu, odmierzonego z dziwną ścisłością gęściéj lub rzadziéj, w miarę gorszych lub lepszych warunków sanitarnych w ogóle. Gdzie więcéj chorób, tam większa śmiertelność i naodwrót częstotliwość wypadków śmierci służyć może za dowód większéj ilości chorych i gorszego stanu pod względem zdrowotności.

To téż téj wielkiéj śmiertelności w Warszawie, o jakiéj dopiéro wspominałem, towarzyszą niewątpliwie liczne choroby. Nie mam w téj mierze cyfr odpowiednich pod ręką, ale twierdzenie to chyba nie ulegnie zaprzeczeniu (1). Wystarczy, gdy przytoczę jeden fakt, wyjęty z życia Warszawy za rok 1887. Otóż w roku tym, który wolny był zresztą od szczególnych epidemii, z liczby zmarłych w naszém mieście padło ofiarą chorób pomorkowych (epidemicznych) 15.20% ogółu zgonów (2), co stanowi stosunek, jak na rok zdrowy, nieodpowiedni, i co dowodzi, podobnie jak i wielka śmiertelność, złego stanu ogólnego. Jeżeli teraz zapytamy, kogo dotykają najwięcéj choroby, to znowu w logicznéj konsekwencyi okaże się, że przedewszystkiém i głównie lokatorów nędznych mie-

---

że śmiertelność w lepszych mieszkaniach stanowiła $1/5$ a co najmniéj $1/4$ śmiertelności ogólnéj, czyli była o 4 do 5 razy mniejszą. Toż samo z chorobami. W dwóch budowlanych towarzystwach, których domy mieściły przeszło $2\frac{1}{2}$ tysięcy ludności, nie było ani jednéj śmierci z tyfusu w roku, kiedy ta choroba zabrała 12% z ogółu zmarłych w Londynie. Podczas cholery z r. 1854, liczba ofiar w tychże domach stanowiła 1 osobę na 1000, a współcześnie w Londynie umarło od cholery przeciętnie 13 na 1000, zaś w zaniedbanych zaułkach 26 na 1000.

(1) Potwierdzają to i wywody zamieszczone w Opiniach podkomitetu sanitarnego, str. 14 i nast.

(2) Sprawozdanie o ruchu ludności za rok 1887, str. 3.

szkań. I żadna w téj mierze nie istnieje wątpliwość, gdyż badania dokonywane gdzieindziéj zjawisko to najdokładniéj sprawdziły. Badano ilość chorób w porównaniu z rodzajem mieszkańców, i wykryto, że biédniejsi ulegają po wielekroć częściéj, zwłaszcza chorobom charakteru epidemicznego, aniżeli ludzie zamożniejszego stanu (1), co oczywiście jest następstwem złych warunków zamieszkania. Badano także ilość chorób w porównaniu z gęstością zaludnienia, licząc na izbę, i znaleziono, że im więcéj osób mieszka w pokoju, témbardziéj podnosi się możność zapadnięcia w chorobę, a w dalszym ciągu wzmaga się téż ilość nieszczęśliwych zejść w chorobie. Jeden z lekarzy zajmujących się statystyką obliczył, że gdy przy zaludnieniu 2 osób na pokój zajdzie 100 wypadków zachorowania, to w tych samych warunkach przy ludności 10 osób na pokój będzie takich wypadków 150, czyli o 50% więcéj; ale co gorsza, że gdy z liczby podległych w pierwszym wypadku chorobie epidemicznéj umiera 20 na 100, to w ostatnim 79 na 100. A więc gęstsze zaludnienie izby sprowadza łatwiéj przypadłości, a gdy te wybuchną, wypadki śmierci trafiają się cztéry razy częściéj (2), aniżeli przy mniéjszém zaludnieniu. Dodać jednak potrzeba, że wszelka poprawa w stanie mieszkań prowadzi za sobą zmniejszenie ilości chorób wśród ludności mniéj zamożnéj. I ten fakt sprawdzono dokładnie w Anglii. Zaobserwowano to właśnie w lepiéj pobudowanych domach, o jakich już wspominałem, gdzie obok zmiejszonéj śmiertelności wypadki choroby stały się również o wiele rzadszemi (3).

Z powyższego widzimy, o ile powiększona śmiertelność i częstsze choroby utrudniają już i tak twarde warunki bytu lokatorów biédnych mieszkań. Nie wystarcza to, że trzeba ulegać prywacyom i obchodzić się bez wielu rzeczy potrzebnych do życia; przeciwnie, w następstwie tych braków przychodzą choroby, których w innych warunkach dałoby się uniknąć, i przedwczesny zgon. Dzieci umiera tam dwa razy więcéj, niż gdzieindziéj, a ci którzy dojrzeją, żyją krócéj od innych współobywateli. A przecież jeżeli gdzie, to wła-

---

(1) Tak naprzykład podczas cholery, która grasowała w Londynie w r. 1849 zmarło:
z klas wyższych 26 osób na 1000.
ze stanu średniego 157 osób na 1000.
z liczby robotników 817 osób na 1000.
Sax *l. c.* str. 37. Cyfry zaczerpnięte z Robertsa.

(2) Cyfry zebrane przez D-ra Körösi w Peszcie, a cytowane w dziełku Laurent'a—*Les logements insalubres.* 1882, str. 19—i u *Fodor*'a. *Das gesunde Haus und die gesunde Wohnung.* Braunschweig, 1878, str. 11.

(3) Patrz powyżéj dopisek z Sax'a Nr. 56.

śnie tutaj choroby i śmierć przynoszą dotkliwe klęski, zwłaszcza, gdy dotykają ojca lub matkę rodziny. Choroba przerywa zarobkowanie i rodzi wydatki, których zazwyczaj niéma z czego pokrywać, a śmierć wystawia na pastwę losu całą rodzinę, dla braku siły roboczéj, która byt materyalny zabezpieczała. I mnoży się liczba sierot, o których nie wiadomo, w jaki sposób żyją, gdzie rosną i kiedy ludźmi się stają!

Że poprawa tego stanu rzeczy leży w interesie klas biédniejszych, tego nie potrzebuję dowodzić, ale czy sprawa ta nie dotyka społeczeństwa całego? czy nie powinna zajmować ogółu?

Odpowiedź mogę dać tylko twierdzącą.

Już same wybuchy chorób, a zwłaszcza epidemicznych, szerzące się w izdebkach biédniejszéj ludności, nakazują czujność całéj ludności. Bakterye chorobonośne nie znają zapory, przeciskają się z miejsca na miejsce, bez przeszkody, przedostając się z suteryn w górę do wyższych pięter, a z poddasza na dół do mieszkań zamożniejszych. Jakkolwiek zwiększona ilość chorób i śmierci ściga głównie ubóstwo i nędzę, to przecież odbijać się ona musi choć trochę na klasach zasobniejszych, jakby dla przypomnienia łączności z upośledzonymi, którzy zrządzeniem losu do tegoż społeczeństwa należą.

Ale wielkie niebezpieczeństwo z téj łączności ujawniłoby się dopiéro groźnie w wypadkach wielkiéj klęski, jak cholery, oblężenia i towarzyszącéj mu często zarazy. W chwili rozhukania się żywiołu zniszczenia wszelkie zapory znikną, choroby i ich skutki rozszerzać się mogą nieubłaganie wszędzie, i zbierać mogą swe ofiary zewsząd. Niech ci, którym los bliźnich najmniéj leży na sercu, nie zapominają, że zarazki choleryczne i inne w takich wypadkach z siłą wielkiego impetu potrafią utorować sobie drogę do każdego, chociażby napozór najbardziéj od nich zabezpieczonego. Lecz kwestya ta dla społeczeństwa zasługuje na uwagę z innéj jeszcze strony, mianowicie ekonomicznéj. Już powyżéj zaznaczyłem, że w Warszawie rocznie ponad potrzebę umiera 8100 osób, z których 2.700 na ludzi produkcyjnéj pracy odliczyć należy. Otóż, biorąc rzeczy ekonomicznie, taka strata robić musi niemałą szczerbę w gospodarstwie ogólném. Gdybyśmy przeciętną wartość pracy człowieka w naszém społeczeństwie oznaczyli na rs. 1 dziennie czyli rs. 365 rocznie, to śmierć 2.700 ludzi stanowi w ciągu roku (985.500 rs.) blisko milion rubli straty. Ale jak wiemy, obok śmiertelnych wypadków przychodzą do rachunku straty w dniach choroby, również ponad normę się objawiającéj, a przyjmując wedle za-

sad nauki tylko 10 wypadków choroby (1) w stosunku do 1 wypadku zbytecznéj śmierci, i obliczając 18 dni na jeden wypadek choroby wypada, że społeczeństwo warszawskie traci nad potrzebę 486.000 dni pracy ludzkiéj z powodu choroby, czyli traci rs. 486.000, to jest prawie pół miliona rocznie. Suma strat w połączeniu ze śmiertelnością daje blisko półtora miliona rubli, nie licząc strat, jakie nadmierna śmiertelność ludzi nieprodukcyjnych do lat 20, stanowiąca 5.400 osób rocznie, swoją drogą przynosi.

Gdybyśmy wydatki, poniesione na wychowanie jednostki z szeregu umierającéj przedwcześnie i po nad normę młodzieży, przyjęli w cyfrze wartości jednoroczněj pracy dorosłego człowieka, to znowu wypadną blisko 2 milony rubli, co podniesie szkodę roczną do wysokości 3½ milionów.

Jeżeli te straty przechodzą w stan chroniczny i powtarzają się ciągle, z roku na rok, bez przerwy, towarzysząc stale anormalnym warunkom bytu w naszém mieście, to łatwo ocenić, że sprawa nabiéra szerszego znaczenia, jako objaw ciągłego zubożenia społecznego, którego lekceważyć nie można.

Że jednak, niestety! stan ten przybrał cechy chroniczne i położył swoje znamię na życiu ogólném, tego dowód widzimy w tém szczególném uwarstwieniu, jakie pod względem produkcyjności i wieku społeczność warszawska przedstawia. Niech mi wolno będzie bliżéj to zjawisko objaśnić.

Zwiększona śmiertelność i co zatém idzie, skrócona przeciętowo długość życia, przy jednoczesnym stałym nadmiernym ubytku ludzi produkcyjnych prowadzi za sobą w skutkach zmniejszenie liczby ludzi dojrzałych powołanych do podtrzymania swym trudem ekonomii społecznéj. Każde zaś społeczeństwo ma interes w tém, aby posiadać jak najwięcéj ludzi będących w wieku zupełnéj zdolności do działania, bo im więcéj jest takich ludzi, tém rączéj postępuje produkcya krajowa, i na odwrót im mniéj ich będzie, tém trudniéj podołać zadaniu ogólnemu. Z tego stanowiska biorąc rzeczy, należy uważać społeczeństwo za lepiéj urządzone, jeżeli przy porównaniu liczby żyjących w niém dzieci, czyli jednostek nieprodukcyjnych, z liczbą ludzi zdatnych do czynu, stosunek wypada, o ile można, na korzyść tych drugich. Otóż, wedle rezultatów spisu jednodniowego

(1) D'Avigdor w książce p. t. *Das Wohlsein der Menschen in Grossstädten.* Wien str. 47, przeprowadza podobnyż obrachunek dla Wiednia, ale opierając się na powadze dra Maxa von Pettenkofera oblicza 30 wypadków choroby na jeden wypadek nadmierny śmierci. Odstąpiłem od téj zasady i przyjąłem cyfrę 10, w miejsce 30, a to zgodnie z Opiniami podkomitetu obywatelskiego (*l. c.* str. 14). Gdybym przyjął stosunek taki, jak D'Avigdor, wypadłyby straty z powodu dni chorób trzy razy większe.

(cz. I, str. 16) dzieci i młodzież do lat 20 stanowią 42.78%, a ludzie w wieku od lat 20 do 60 wyobrażają 51.88%, ogółu ludności, czyli na 52 w wieku produkcyjnym przypadało 43 w wieku nieprodukcyjnym, nie licząc starców. Współcześnie, według odpowiednich cyfr dla Paryża i Berlina, tameczne społeczeństwa przedstawiały obraz o wiele odmienny.

W Paryżu liczono jednostek wieku nieprodukcyjnego 28.46%, a produkcyjnego 63.78%, w Berlinie zaś 36.16%, na 59.51% ogółu miejscowych mieszkańców. Inaczéj mówiąc, gdy w Paryżu na 64 ludzi dojrzałych przypada 28½ osób nieprodukcyjnych, a w Berlinie na 60 dojrzałych 36 nieprodukcyjnych, to w Warszawie okazało się daleko więcéj niedojrzałych, bo 43, a to przy najmniejszéj liczbie ludzi wieku produkcyjnegu, to jest przy cyfrze 52. W Warszawie na liczbę ludzi produkcyjnych znajduje się przeszło ¾ téj liczby osób niedojrzałych, podczas kiedy ci ostatni w Paryżu reprezentują znacznie mniéj niż połowę, a w Berlinie nieco więcéj niż połowę jednostek z wieku produkcyjnego.

Przy takiém uwarstwieniu ludność z natury rzeczy musi być słabszą, bo posiada mniéj stosunkowo sił zdolnych do pracy, przy jednoczesném obciążaniu tych sił większą ilością ludzi z epoki dziecinnéj i młodzieńczéj, na których trzeba pracować, aby byt i życie im zapewnić.

Gdybyśmy przytém rozważaniu cyfr pominęli młodzież od 15 do 20 lat, jako względnie nieraz już produkcyjną, to wypadnie nam takie zestawienie:

Paryż. Na 63.78% ludzi produkcyjnych przypada dzieci do 15 lat 19.98%, czyli mniéj jak trzecia część ilości dojrzałych.

Berlin. Na 59.51% przypada 26.49%, czyli znacznie mniéj jak połowa ilości dojrzałych.

Warszawa. Na 51.88% przypada 30.25%, czyli daleko więcéj niż połowa ilości dojrzałych (1).

Jeżeli teraz zwiążemy to porównanie z dowiedzionym faktem większéj śmiertelności w Warszawie, to dostrzeżemy łatwo, do jakich ujemnych skutków prowadzi krótsze życie i upośledzenie licznych biédnych warstw ludności. W konkluzyi możemy powiedzieć, że nadmierna śmiertelność prowadzi za sobą osłabienie, nie dające

(1) Rezultaty, cz. I, str. 16. Cyfry dla Paryża pochodzą z r. 1881, a dla Berlina z r. 1875. Co do cyfry dzieci do lat 15, jaką powyżéj dla Paryża wskazałem, możnaby zrobić tę uwagę, że skutkiem upowszechnionego tam obyczaju oddawania dzieci małych na mamki na wieś, cyfra ta sztucznie obniża się, ale gdyby nawet cośkolwiek dodać na rachunek tego zmniejszenia, to zawsze nie zmieni naszego porównania, które na niekorzyść Warszawy wypadło.

się pokryć wcale przypływem nowych jednostek przez nowe urodzenia. W bycie społecznym nie chodzi o przyrost saméj ludności, jak raczéj o to, aby ta istniejąca ludność jak najdłużéj żyła, dużo pracowała i wiele produkowała, bo od tego właśnie zależy siła wytwórcza społeczeństwa.

Jak się przekonywamy, uwarstwienie ludności warszawskiéj okazuje się nieodpowiedniém i nie wytrzymuje porównania z układaniem się sił społecznych w innych miastach.

Napróżno pociesza nas autor rezultatów spisu jednodniowego (Cz. I. str. 5) uwagą, że nadmierna ilość dzieci odnośnie do ludzi wieku produkcyjnego wynika z napływu dzieci do miasta dla nauki lub dla zajęcia.

Do Berlina i Paryża, jako wielkich ognisk i ruchu życia, zbiega się również młodzież po naukę lub zajęcie, a jednak okoliczność ta nie daje owéj okropnéj przewyżki, jaką widzimy w Warszawie. Zresztą, co tu mówić o napływie do szkół, jeżeli z cyfr podanych w tychże rezultatach spisu jednodniowego, liczba uczęszczających do jakichkolwiek zakładów, stanowi 6½% ogółu młodzieży i dzieci do lat 20, kolosalna zaś większość nigdzie zgoła się nie uczy (1). Nie ma co mówić również o szukających zajęcia, bo ta kategorya może dotyczyć młodzieży, poczynając od lat 15, gdy tymczasem nadmiar jednostek wieku dziecęcego ma miejsce i co do dzieci do lat 15, jak to powyżéj widzieliśmy. Zresztą spostrzeżenie autora Rezultatów spisu jednodniowego (Cz. I, str. 5), że przewaga dzieci daje się widziéć wśród ludności biédniejszéj, nie zaś wśród zamożniejszéj, usuwa wszelką dalszą wątpliwość. Widocznie, niefortunne warunki bytu klas pracujących, panująca tam śmiertelność i krótszy wiek życia ludzi dojrzałych, są przyczyną zjawiska, o któróm była mowa.

Uwagi powyższe zbliżyły nas do dalszego punktu naszych dociekań, mianowicie do kategoryi strat moralnych.

Nędzne mieszkania biédaków obok szkód fizycznych odbijać się muszą ujemnie na bycie moralnym. W Anglii nap., wykryto, że w miarę rosnącéj nędzy mieszkaniowéj wzmaga się nietylko śmiertelność, ale współrzędnie podnosi się pijaństwo i nieuctwo. Wzięto za podstawę czynsz dzierżawny 7 f. szter. rocznie, jako *minimum*, konieczne na pokrycie kosztów znośnego mieszkania robotniczego. Na téj podstawie obliczano, ilu znajduje się w każdym obwodzie fabrycznym lokatorów płacących mniéj od tego *minimum*, czyli niemogących posiadać odpowiedniego mieszkania, poczém cyfry,

(1) Rezultaty, cz. I, str. 16 i cz. III, str. 283.

te porównywano z ilością nieumiejących pisać i czytać, oraz z ilością karanych za pijaństwo.

W ten sposób okazało się, że przy dwa razy większéj ilości biédaków, żyjących w tych mieszkaniach, liczba karanych za pijaństwo w danéj miejscowości podnosi się blisko o 70%, a nieumiejących czytać i pisać znajduje się blisko o 50% więcéj, w porównaniu z tém, co ma miejsce w okręgach, gdzie mniéj ludzi źle mieszka (1).

W badaniach uczonego Laspeysesa nad ludnością Paryża zasada ta znalazła również stanowcze potwierdzenie. Laspeyses wykazał, że w cyrkułach paryskich współrzędnie z ilością złych lub dobrych mieszkań, podnosi się lub upada ogólna moralność klas pracujących.

W cyrkułach, gdzie dobre mieszkania stanowiły 35% ogółu mieszkań, notowano mężczyzn dobrego prowadzenia 46% z ogółu mężczyzn, a kobiet 20,4% z ogółu kobiét; w cyrkułach zaś gdzie było więcéj dobrych mieszkań, mianowicie 44,5%, znajdowało się więcéj ludzi dobrego prowadzenia, bo 50% i 21,7%, przyczém w pierwszéj kategoryi cyrkułów ludzie całkiem złego prowadzenia przedstawiali co do mężczyzn 10%, a co do kobiét 19%, gdy w cyrkułach drugiéj kategoryi cyfra źle prowadzących się obniżała się na 2,5% i 14%.

To samo doświadczenie powtórzono na odwrót, kontrolując moralność podług ilości złych mieszkań, i znowu przekonano się, jak wiele złego wpływu wywiérają złe mieszkania.

W cyrkułach, gdzie złe mieszkania stanowiły aż 13,6%, znaleziono mężczyzn złego prowadzenia 9%, a kobiét 20,2%; w cyrkułach zaś, gdzie tych złych mieszkań mniéj było, bo tylko 6%; to i liczba źle prowadzących się spadała na 2,2% i 11.7%; a współcześnie w pierwszéj kategoryi ludzi dobrego prowadzenia naliczono mężczyzn 45%, kobiét 21,3%, w drugiéj zaś przy zmniejszonéj ilości złych mieszkań więcéj ludzi dobrych, mianowicie 52% i 21% (2). Weźmy jeszcze inny przykład. W Mühlhausen w Alzacyi, wedle sprawozdania Villermé'go z r. 1835, miejscowa ludność robotnicza przedstawiała się jak najgorzéj, ze wszelkiemi wadami upadku i nierzą-

---

(1) Cyfry przedstawiają się w taki sposób:

Lokatorów płacących mniéj niż 7 funt szt.	Nieumiejących czytać i pisać	Karanych za pijaństwo
30	55	0,50 ogółu
58—67	79	0,87 „

Cyfry wzięte z Levyègo, a cytowane u Roschera. Ekonomia handlu i przemysłu str. 44.

(2) Laspeyres. Der Einfluss der Wohnung auf die Sittlichkeit. 1869, str. 10 i 12.

dności; gdy jednak na początku szóstego dziesiątka za panowania Napoleona III pobudowano dla téj ludności nowe domy i poprawiono byt pod względem mieszkań, stan rzeczy zmienił się do niepoznania, ogół zaniechał dawnego złego życia i prowadzenia się (1).

Podobneż doświadczenie zrobiono w Londynie. Gdy zaczęto urządzać lepsze mieszkania, wnet spostrzeżono, że w szeregach lokatorów przekroczenia i występki, dawniéj ciągle praktykowane, znikły prawie zupełnie. Godném zaś było uwagi, że ludność nowych domów przeważnie powstała z osławionych lokatorów dawnych siedzib, że więc tylko poprawie mieszkań zawdzięczać należało tak pomyślną zmianę (2).

Wszyscy publicyści, którzy się tą kwestyą zajmowali, zarówno angielscy (Chadwick, Roberts) francuscy (Villermé, Marjolin, Laurent) i niemieccy (Huber, Roscher, Hansen) podzielają ogólnie to zdanie, że poprawa w mieszkaniach daje jak najlepsze moralne skutki. Ze swéj strony statystyka kryminalna różnych krajów potwierdza analogiczny fakt, że najwięcéj stosunkowo przestępców rekrutuje się z nędznych legowisk ludzkich.

Wobec takich zjawisk, istniejąca u nas nędza mieszkań może budzić poważne obawy. Nie możemy przypuszczać, abyśmy byli wyłączeni z pod ogólnych reguł życia społecznego, które w tym razie grożą ujemnemi rezultatami.

Złe mieszkania zatruwają niewątpliwie życie biédniéjszych, jak słusznie zauważył Roscher. Silniejsi charakterem cierpią, słabsi uginają się, zatracając powoli dobre instynkta.

Z tych ostatnich wytwarzają się szeregi ludzi żyjących z dnia na dzień, ludzi bez przyszłości i celu, jakich pełno zalega place miasta od samego rana.

A jakie szkody płyną z téj nędzy mieszkań dla młodego pokolenia, które w tych okolicznościach rodzi się i żyje? Czy te zacieśnione izby, oprócz szwanku fizycznego nie odbiją się ujemnie na charakterze wzrastających? Czy to, co jest z natury czyste, nie ubruka się, a to co mocne, nie osłabi? Pomimo największéj wiary w naturę ludzką rodzi się obawa, aby elementa przyszłéj pracy i siły nie stały się ciężarem dla ogółu. Niebezpieczeństwo w téj mierze powszechnie jest znane, lokatorowie droższych piętr nie pozwalają swym dzieciom mieszać się z dziećmi biédaków, lokujących się gdzieś po suterynach i nędznych kątach domów. Z obawy zgorszenia zamykają progi swoich mieszkań dla drobnéj biédoty,

(1) Sax. *l. c.* str. 50.—(2) Tamże. str. 51.

co jéj nową szkodę przynosi, bo pozbawia możliwego moralnego wpływu.

Pochwalać ten separatyzm trudno: jest w nim wiele przesady, plączą się czynniki przesądów i uprzedzeń; ale nie można zaprzeczyć, że niekiedy tkwi tam na dnie źdźbło słuszności.

Nie mamy u nas tak dokładnych danych statystycznych, jakie gdzieindziéj zebrano, dla oznaczenia moralnego stanu sfer biédniéjszych; pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę na parę faktów na podstawie istniejących materyałów. W związku niewątpliwym z nędzą moralną naszych warstw biédniejszych, zostaje jéj stan intelektualny. Zajrzyjmy do rezultatów spisu jednodniowego i zobaczmy, jak się ten stan przedstawia.

Warszawa obejmuje bajeczną cyfrę ludzi nieumiejących czytać i pisać a mianowicie 77,639 mężczyzn i 111,590 kobiét, czyli razem 189,229, co stanowi prawie połowę ludności, wynoszącéj w chwili spisu jednodniowego 387,395 osób. Jeżeli dodamy do tego ludzi umiejących tylko czytać, których znalazło się wtedy 9,067 osób i tyleż bo 9,126 osób umiejących tylko po hebrajsku, to wypada, że ludzi umiejących czytać i pisać jest znacznie mniéj niż połowa, mianowicie co do mężczyzn jest ich 52,31%, z ogółu mężczyzn, a co do kobiét zaledwie 40,01% z ogółu kobiét. Jest to stan wcale nie pocieszający, jak na główne miasto w kraju.

A teraz zapytajmy, jak się rzeczy zapowiadają na przyszłość? Czy lepiéj? Chyba nie. W istocie przy ubóstwie klas niezamożnych, jakie stan mieszkań uwydatnia, czy można spodziéwać się po biédakach kształcenia swych dzieci i podnoszenia ich poziomu? Jakoż dość spojrzéć na cyfrę uczących się, aby wszelką stracić w téj mierze iluzyą. Na ogół ludności miasta—dzieci i młodzieży uczęszczającéj do jakichkolwiek zakładów naukowych, nie wyłączając szkółek elementarnych i chederów, okazało się 7,213 chłopców i 3,334 dziewcząt, czyli razem 10,547 — to jest zaledwie 6½% ogółu dzieci, który wynosił w chwili spisu jednodniowe go 163,788 jednostek (Rezultaty, cz. 3, str. 283 i cz. 1, str. 16.).

Odnośnie zaś do młodzieży od lat 5 do 20, znajdujemy z ich liczby uczących się chłópców 12,42%, a dziewcząt 4,94%, razem 17% (Cz. 3, str. 279). Że zaś liczba uczących się, rekrutuje się przedewszystkiém ze sfer zamożniejszéj ludności, a w części przybywa z prowincyi, przeto nie bez słuszności można powiedziéć, że liczne nasze warstwy mniéj zamożne, które stanowią pewno ¾ części ogólnéj ludności, wcale dzieci swych nie uczą i nie kształcą.

Nie chcę twierdzić, aby te złe rezultaty wynikały wyłącznie z nędznego stanu mieszkań, ale pewna łączność musi miéć miejsce, jak na to współrzędne istnienie zjawisk wskazuje.

I nic dziwnego. Jeżeli nędza znajduje odbicie na sposobie zamieszkania, to nawzajem ten wyciska swoje piętno na moralnéj stronie życia.

Złe mieszkania, jakby choroba jakaś chroniczna, ustawicznie podkopują nietylko fizyczne ale i moralne zdrowie ludności.

Z taką chorobą rachować się trzeba, bo ona więcéj szkody zrządzić może od przypadłości ostrych, dotkliwszych na razie, ale szybko mijających. Pod jéj wpływem słabną muskuły, drętwieją członki i niszczeje organizm, nie licząc tych ziarn goryczy, z których powstają niezadowolenia wewnętrzne, będące zarodem walki klas i niebezpiecznego dla przyszłości antagonizmu społecznego.

III. Mieszkania zamożniejszych.

Mieszkania czteroizbowe. — Mieszkania pięcio i więcéj izbowe. — Porównanie z zagranicą.—Pokój bawialny. — Ilość służby. — Dwa zjawiska: nędza mieszkań i życia u dołu, marnotrawstwo w mieszkaniu i życiu u góry.—Co robić?

Skierujmy teraz uwagę w inną stronę i zajrzyjmy do mieszkań lepszych i wykwintniéjszych.

Zaliczając do lepszych mieszkań, te które mają pięć lub więcéj izb, Warszawa posiada ich 9,330 czyli 11,77% (1) ogólnéj ilości. Gdyby dodać do tego jeszcze mieszkania czteroizbowe, złożone po największéj części z dwóch lub trzech pokoi, z dodaniem kuchni czy przedpokoju, czy jednego i drugiego razem, a które stanowią 7,02% wszystkich mieszkań, wypadłoby razem na mieszkania zamożniejszych 18,79% tj. mniéj, aniżeli piąta część lokali warszawskich. Cyfry te przy porównaniu z innemi miastami przedstawiają się bardzo pokaźnie.

W Berlinie mieszkań pięcio i więcéj izbowych znajduje się tylko 7,1%: co znaczy, że w Warszawie jest ich stosunkowo więcéj o 65%. Podobnyż stosunek zachodzi, gdy uwzględnimy w rachunku mieszkania czteroizbowe. W takim razie bowiem wypada ogółem w Berlinie 11,8% czyli mniéj jak ósma część ogółu mieszkań, gdy w Warszawie odnośna cyfra dochodzi blisko do piątéj części wszystkich mieszkań (2). W Hamburgu ilość takich mieszkań wynosi 15,8% z samych pięcio i więcéj izbowych 9,9%, a więc także znacznie mniéj aniżeli w Warszawie. Dopiéro w mieście więcéj, niż o połowę mniejszém od Warszawy, mianowicie w Lipsku, stosunek

(1) Rezultaty, cz. 2, str. 81.—(2) *Die Wohnungsnoth der ärmeren Klassen in deutschen Grossstädten und Vorschläge zu deren Abhülfe Gutachten und Berichte herausgegeben im Auftrage des Vereins für Socialpolitik.* Leipzig. 1886. Tom I, str. 188.

przedstawia się inaczéj. Rzeczone dwie kategorye mieszkań wyobrażają tutaj 13,8% i 24,2% ogólnéj cyfry, co jest dowodem wyjątkowo dobrego bytu mieszkaniowego, i zgodnie z tém współcześnie widzimy mały procent mieszkań jednoizbowych, a znaczniejszy niż w innych miastach procent dwuizbowych. Cyfry odnośne stanowią 28,5%, 27,2% i 20%, czyli, że wszystkie te kategorye zbliżają się do siebie pod względem ilości. Niemal tyle jest mieszkań trzy- i dwuizbowych, co jednoizbowych (1) i nie ma tego spadku gwałtownego w kierunku lepszych mieszkań, jak to spotyka się w Warszawie.

Wyrzuciwszy z porównania Lipsk, pozostaje niewątpliwém to zjawisko, że Warszawa posiada stosunkowo więcéj obszérniejszych mieszkań, aniżeli Berlin lub Hamburg. Z łatwością moglibyśmy skonstatować to samo, gdybyśmy chcieli prowadzić zestawienia z innemi jeszcze wielkiemi ogniskami życia miejskiego.

Czyby to zjawisko miało dowodzić naszéj wysokiéj zamożności? Czybyśmy istotnie stosunkowo byli bogatsi od mieszkańców stolicy potężnego państwa? Nie uwiodą nas te cyfry; zasoby nasze są skromne, przyrost bogactw powolny a panująca nędza wśród wielolicznych warstw niższych nie pozwoli nam łudzić się w téj mierze. Pokaźna stosunkowo cyfra mieszkań obszerniejszych może być dowodem większéj zamożności, ale może także wynikać z życia nad stan, ze szkodliwego zwyczaju trzymania za obszernych mieszkań, u tych klas społecznych, którym się trochę lepiéj wiedzie. I niewątpliwie zwodnicza cyfra, o jakiéj mowa, w takim panującym u nas zwyczaju znajduje swoje objaśnienie.

Na potwierdzenie tego, powrócę tutaj do porównania z Lipskiem. Tam większe mieszkania przedstawiają wielką stosunkową liczbę, ale obok licznych mieszkań większych spotykamy lokali trzyizbowych prawie dwa razy tyle, co u nas; spotykamy dwuizbowych także więcéj, niż u nas, a natomiast najgorszéj kategoryi jednoizbowéj spostrzegamy prawie o połowę mniéj? Oto prawdziwy dobrobyt pod względem mieszkań. Gdzie jednak panuje u dołu takie ubóstwo, jak w Warszawie, tam z nadmiernéj stosunkowo ilości większych mieszkań cieszyć się nie można.

Idźmy daléj—wniknijmy do wnętrza naszych mieszkań, może ono także cośkolwiek nas w téj mierze poinformuje. W każdém mieszkaniu, byleby ono się składało z trzech pokoi, nie licząc dodatków, a choćby nawet z dwóch z przedpokojem i kuchnią, spotykamy przedewszystkiém pokój bawialny, inaczéj mówiąc salon.

(1) Tamże.

Kto ma sześć lub więcéj pokoi, to nic dziwnego, że urządzi salon, obszerna przestrzeń mieszkania pozwala w takim razie na oddzielenie jednego pokoju na potrzeby gości, bez uszczerbku dla rzeczywistych potrzeb życia, a i środki materyalne zapewne są po temu, jak tego domniemywać się można. Ale salon w mieszkaniu o trzech pokojach, a tembardziéj o dwóch ze stanowiska logicznego niczém nie daje się usprawiedliwić. Rodzina, nieraz bardzo liczna ciśnie się w dwóch pokoikach, ale bawialnia skrzętnie się oszczędza, aby mieć z czém się pokazać, gdy przyjdą goście. Gdyby ów nieszczęśliwy salon stanowił utratę jednego z trzech mieszkalnych pokoi, byłoby pół biédy; ale gdzie tam, ten salon ma najwięcéj przestrzeni, najwięcéj światła i powietrza, on wyrównywa obu innym mieszkalnym pokojom i zajmuje często połowę mieszkania, która w życiu człowieka jest na wpół straconą. Za ten jednak salon trzeba przecież płacić, trzeba go opalać i w porządku utrzymywać. Pół wydatku na mieszkanie ginie z powodu salonu, bez należytego pożytku. Nie dość na tém, ów uprzywilejowany pokój wymaga lepszego umeblowania, zazwyczaj urządzenie jego kosztuje więcéj, niż całéj reszty mieszkania. Znaczny stosunkowo kapitał tonie w tym salonie, kapitał, któryby pod postacią papieru publicznego mógł stanowić pożyteczne zabezpieczenie jutra, przynosząc nadto stałe procenta nie bez dobrego wpływu na byt materyalny. Mniejsza jeszcze o tych, co fundusz, któryby raczéj charakter żelaznego funduszu zachować powinien, nieroztropnie obrócą na meble salonowe; ale iluż to jest takich, co się zapożyczą, byleby tylko salon miéć i utrzymywać. Gdy wejdziemy do mieszkania skromnego urzędnika lub oficyalisty, to nie wiemy czy podziwiać zbytek stosunkowy w pokoju bawialnym, czy wzruszać ramionami nad ciasnotą reszty mieszkania. Jeżeli kogo stać na dwa pokoje, niech nie bierze trzeciego, a kogo na trzy, niech nie goni za czwartym. Jeżeli zaś koniecznie pragnie większéj przestrzeni, to niechże z niéj korzysta, niech mu pokój największy służy za pracownię lub sypialnię, niech wyzyska powietrze i miejsce na zdrowie swoje i rodziny. Jeżeli gwałtownie pragnie upiększenia swojéj siedziby, niech ozdobi estetyczniéj miejsce swojéj pracy i swego życia, niech cieszy stale tém swoje oko niech się nasyca estetyką tam, gdzie największą ilość godzin przebywa. Zwyczaj jednak jest wszech potężny. Dość spojrzéć na plany domów, wybudowanych lub mających się budować. Budowniczowie nie umieją już projektować mieszkań bez salonów. Te salony w drobniejszych lokalach, pochłaniają tyle miejsca, zabiérają tyle światła i powietrza, że aż w końcu dla prawdziwego mieszkania wszystkiego brakuje. Porządki gospodar-

skie szwankują, dla służby miejsca nie ma, kieszeń cierpi, a zdrowie i życie także nie zyskują. Wszystko zdaje się przemawiać przeciwko niedorzeczności, a przecież niedorzeczność istnieje i panuje, wszyscy się jéj poddają, chociaż to, co rozumne, od niemądrego odróżniać umieją.

I zachodzi pytanie, czy to tylko chęć naśladowania innych, czy téż w tym zwyczaju tkwi coś więcéj, coś głębszego i donioślejszego?

Zanim na to odpowiem, niech mi wolno będzie zwrócić uwagę na zjawisko, które pozostaje z tym zwyczajem w związku. Kiedy obliczano ilość gospodarstw i służby w Warszawie, okazało się, że gospodarstw było 71.583 a służby wraz z jéj dziećmi 35.429 osób. (Rezultaty, cz. I, str. 77), co daje prawie jedną sługę na dwa gospodarstwa (str. 79). Autor rezultatów spisu jednodniowego przywodząc to obliczenie, zaopatrzył je uwagą, że na dwa gospodarstwa ledwie jedna sługa przypada. Jeżeli ten dodatek zrobiony był przez ironią, to zgoda, ale jeżeli przez współczucie, to doprawdy bez potrzeby. Nie zapominajmy, że gęste warstwy ludności warszawskiéj z powodu nędzy żadnéj służby trzymać nie mogą, cała więc ilość służących przypada na nieliczną cząstkę zamożniejszych mieszkańców. Cyfra zatém 35.429 osób nie jest małą, przeciwnie raczéj razić ona może swoją wielkością. W Berlinie na ludność 1.122.330 było służących 63.202, co daje nie wiele więcéj nad 5%, a u nas (1) na 387.395 mieszkańców znalazło się 35.429 czyli 9%. Zkąd wniosek, że względnie do ogółu ludności my mamy prawie dwa razy tyle służby, co niemcy berlińscy. Sprawdza się to także przy zestawieniu z ilością gospodarstw. W Berlinie było gospodarstw 240.584, (2) co porównawszy z cyfrą służby, wypada nie wiele więcéj nad 1 sługę na 4 gospodarstwa, a że my posiadamy jednę prawie na dwa gospodarstwa, zatém niewątpliwie co do służby jesteśmy blisko dwa razy zasobniejsi. Porównajmy siebie jeszcze z Hamburgiem i Lipskiem.

W Hamburgu znajduje się 26.623 sług na 86.300 gospodarstw, to jest mniéj służby na większą ilość gospodarstw, a w szczególności mniéj niż 1 sługa na trzy gospodarstwa, w Lipsku zaś 7.661 sług na 19.570 gospodarstw (3), co wynosi jedną sługę na półtrzecia prawia gospodarstwa. I znowu pokazuje się, że my jesteśmy daleko większymi panami od Niemców, którzy nie chcą ani tyle pokoi naj-

(1) Neefe *l. c.* str. 175 i 179.
(2) Tamże, str. 197.
(3) Tom 2, str. 197 i 199.

mować, ani tyle służących trzymać (1). I jakże my mamy być bogaci, kiedy my więcéj od innych wydajemy, a zapewne, jednocześnie mniéj od nich pracujemy.

Wracając do postawionego pytania, zdaje się, że zagadka rozwiąże się teraz sama przez się.

Co znaczy ten pokój bawialny, wszędzie spotykany i tyle nadużywany? To nie kwestya pokoju, nad potrzebę wziętego, to objaw naszego sposobu rządzenia się, naszego systemu życia. Trzymamy ten pokój dla zabawy, ponosimy na niego wydatki, bo potrzebę zabawy stawiamy na równi z potrzebą pracy, bo zadużo się bawimy. Trzymamy za wiele służby, bo kto za dużo się bawi, to i służby więcéj potrzebuje.

Ten system życia panuje nietylko u tych, którzy zbytecznym najmem jednego pokoju grzeszą, panuje on i tam, gdzie ten grzéch nie jest widoczny. Ztamtąd to, z góry, od zamożniejszych idzie ten system, tam on najwięcéj znajduje poparcia, i siłą pędu tam nabytego porywa i utrzymuje w swych kleszczach innych.

I stajemy teraz wobec dwóch zjawisk, które już nie stanowią dla nas tajemnicy. Z jednéj strony u dołu nędza mieszkań, z drugiéj u góry marnotrawstwo w mieszkaniu (2).

Oba zjawiska noszą cechę powszechnych z tytułu siły, z jaką się każde z nich objawia.

Szeroką strugą rozléwa się nędza pod względem mieszkań, a niemniéj gwałtownie choć wśród ciaśniejszéj warstwy, rozwija się system banalnego życia.

Zjawiska te jakby stały ze sobą w sprzeczności. Zdawałoby się, że jedno powinno wyłączać drugie, boć to nie pole do uciechy, gdzie tylu przygarbionych i płaczących. A jednak dzieje się inaczéj. Bielmo na oczach nie pozwala widziéć rzeczy jasno, zasłania rzeczywiste obrazy życia, a w rezultacie zagłusza dobre uczucia i kazi serce!

Dziwna to kwestya—ta kwestya mieszkań, która nam tyle różnych wyjaśnia rzeczy. Nie jest to przecież jéj wyłączną właściwością. Zdaje się, że każda strona życia, rozważana poważniéj, rzuca

---

(1) Z powyższéj cyfry 35.429 osób, przypada na dzieci, służby do lat 15 wieku 2447; gdyby nawet odliczyć tę cyfrę, to zawsze jeszcze pozostałoby 32,982 osób, co w każdym razie daje nie wiele mniéj niż jedną sługę na dwa gospodarstwa. (Rezultaty, cz. I, str. 80). Nie należy zaś zapominać, że z pomiędzy dzieci znaczna liczba młodszych od lat 15 już odbywa posługi prawie na równi ze starszymi.

(2) W konsekwencyi, jedni, zamożniejsi, za mało pracują, bo za wiele się bawią, drudzy, biedniejsi, za mało pracują, bo za mało sił mają, a w każdym razie za krótko pracują, bo zawcześnie umierają!

światło na inne, i odsłania szersze horyzonty, pozwalając zobaczyć wiele i odgadnąć jeszcze więcéj. Trzeba tylko chciéć badać i głębiéj wnikać w rzecz samą.

Każda kwestya się staje wtedy lustrem, w którem odbija się byt społeczny i jego warunki.

Słusznie wyrzekł pewien publicysta (1): powiedzcie mi, jak ludność mieszka, a ja wam powiem, czém jest ona. I cóżbyśmy odpowiedzieli, gdyby ktoś do nas skierował podobne zapytanie? Chyba jedno: masa mieszka w warunkach anormalnego ubóstwa, a wśród reszty panuje marnotrawne urządzanie się! I mamyż na to ciągle patrzéć? I mamyż wiecznie kręcić się w zaklętéj dziedzinie kontrastów: biédy i marnotrawstwa?

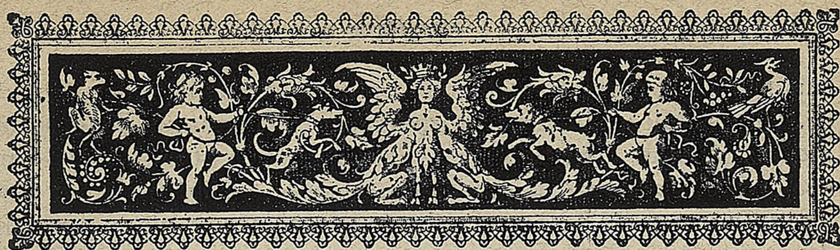
Czy niéma środków dla poprawy pierwszéj i złagodzenia drugiéj wady? Co robić?

---

(6) Hansen *l. c.* str.

(*D. n.*) *Adolf Suligowski.*





FILOZOF W WIĘZACH REAKCYI.

III.

Po sześcioletniéj przerwie w wydawnictwach peryodycznych, Wilno zdobyło się w r. 1857 na swój organ literacko-naukowy. A. H. Kirkor (Jan ze Śliwina) wsparty pomocą grona uczonych litewskich, zapewniwszy sobie spółpracownictwo we wszystkich stronach, zaczął krzątać się około wydania „Teki Wileńskiéj“. Zaprosił on do współudziału i Trentowskiego. Ten w odpowiedzi na propozycyę, dał pozwolenie na drukowanie swéj rozprawy o Kremerże, a tylko na wypadek, gdyby ta rozprawa albo już gdzie wydrukowana była, albo drukowała się, albo już komu przyobiecaną została, przyrzekał odpisać z obszernego dzieła, nad któróm przez parę lat już pracował, a które nazywał wówczas „Dydaktyką“, krótki „ale ciekawy“ wyjątek „o stosunku męża do żony w rodzinie *comme il faut*“. Kirkor obiecywał płacić mu, ile tylko zażąda. Trentowski pisze w téj mierze do Zdanowicza, całą swą zacną naturę wyjawiając: „Płacono mi dawniéj i p ł a c ą d z i ś (1) po 100 złp. za arkusz druku, posłany do czasopisu. Podobno to u was cena najwyższa. To reguła względem prac moich na teraz i na przyszłość. Ale czynię rad wyjątki, gdzie tego potrzeba. Cieszę się niezmiernie, iż po tak długim czasie także Wilno będzie miało swoje pismo peryodyczne... Dlatego dopomogę mu tém radniéj, że sama redakcya robi mi tyle zaszczytu, iż mnie do tego wzywa. To powód, że porzu-

(1) Wyrażenie to rozumiéć zapewne wypada w ten sposób, że redakcya „Czasu“ zobowiązała się płacić Trentowskiemu za artykuły, a on w nadziei, że jakaś jego rozprawa będzie wydrukowana, uważał obietnicę za fakt. Ja przynajmniéj nie znam żadnéj rozprawy Trentowskiego drukowanéj pomiędzy r. 1849 a 1857.

całą znów mą pracę natychmiast i prześlę Wam naprędce, co mogę. Otóż jeżeli pan Kirkor rozporządza znakomitym funduszem, niech zapłaci mi dobrze, bo ja z tego żyć muszę i to w krajach bardzo drogich; jeżeli zaś nie, niech da, co może. Choćby i n i c; wtedy i to mi nagroda za pracę miła, że powstającemu pismu nowemu dam pomoc".

Rozprawę o Kremerze Kirkor otrzymał, ale jéj do „Teki" nie wziął, prawdopodobnie uważając ją za zbyt mało zrozumiałą dla spodziewanych czytelników; zatrzymał ją jednak u siebie i dopiero po wielu latach, już po śmierci Trentowskiego, wydrukował w I-szym tomie (str. 126—170) pisma zbiorowego „Na dziś", które w Krakowie wydawał w r. 1872. Jak się z niepomieszczenia jéj w „Tece" przed autorem tłomaczył, nie wiadomo. Dość, że Trentowski jeszcze 2 marca i 4 czerwca 1858 prosił Zdanowicza o odesłanie jéj sobie, dodając: „zapewne i na krytykę moję filozofii Kremera nie znajdzie się wydawca"... a 7 sierpnia 1859 r. nie otrzymawszy jéj jeszcze, ofiarowuje ją do pisma zbiorowego, które Kirkor miał wydać w Wilnie na dochód dla ociemniałego Waleryana Tomaszewicza.

Wyjątek z „Dydaktyki", traktujący o rodzinie, jako popularniejszy, przyjął Kirkor i w I-szym numerze „Teki", wyszłym w połowie roku 1857 pomieścił (str. 77—133). Wyjątek ten podznaczony jest datą 15 marca 1857 r. Redakcya „Teki", nie podzielając wszystkich poglądów autora, zastrzegła się kilkoma szczegółowemi przypiskami, a w końcu ogólnie zauważyła, że „Teka" jako t e k a mieści w sobie artykuły sprzecznych nawet ze sobą poglądów, byleby nacechowane dobrą wiarą i oparte na głębokiéj wiedzy"—czego „szanownemu autorowi odmówić niepodobna".

Wszystkie te ostrożności i zastrzeżenia nie zdołały jednak zabezpieczyć redakcyi „Teki" od zarzutów za pomieszczenie artykułu Trentowskiego. Imię jego było głośne i dobrze znane, ale na Litwie i Rusi od czasu mianowicie ostréj filipiki księdza Ignacego Hołowińskiego, ogłoszonéj naprzód w „Tygodniku Petersburskim", a potém w „Pismach Żegoty Kostrowca", p. n. „O stosunku bezpośredniéj filozofii do religii i cywilizacyi naszéj", nazwisko to stało się dla bardzo wielu równoznacznikiem bezbożności i pychy szatańskiéj. Powaga Hołowińskiego jako arcybiskupa oddziałała przedewszystkiem na duchowieństwo, a to, zyskawszy w dobie reakcyjnéj potężne znaczenie, wpływało na opinię ukształconego ogółu. Chociaż więc byli zwolennicy Trentowskiego jako dzielnego myśliciela, nie śmieli oni zbyt wyraźnie sympatyi swéj okazywać i łatwo dawali się zakrzyczéć przeciwnikom, gdy ci zwłaszcza z punktu religijnego na Trentowskiego napadli.

Były w artykule naszego filozofa twierdzenia, które nie mogły podobać się i młodzieży postępowéj, mianowicie, gdy czytała napomnienie, że „gminowiec, mający sumienie i rozum, nie wyszydzać i ohydzać, lecz uwielbiać powinien wysokie rody, już z powodu, iż te dowiodły więcéj znajomości rzeczy, cnoty i dzielności od rodu jego“ (1), lub gdy nauki „o równości i braterstwie“ głoszone przez „płytkich ludowców i głupich młokosów“, nazywał „bezbożnemi“ (2), lub gdy za karą śmierci w społeczeństwie i za karą kija w wychowaniu gardłował (3). Ale młodzież protestowała tylko po cichu, nie mając wówczas głosu w dyskusyi publicznéj; a tymczasem zachowawcy, lubo z przyjemnością odczytywali w rozprawie Trentowskiego wyrazy pogardy dla mieszczaństwa i czerni, lubo cieszyli się z pocisków rzucanych przez filozofa na „czerwieńców“ i „przespołeczniaczów“ (tj. reformatorów socyalnych), którzy podejmowali przekształcenia „na korzyść próżniaków“, lubo z zadowoleniem przysłuchiwali się hymnom na cześć szlachty;—nie mogli przecież darować filozofowi, że mówił lekceważąco o „ślepéj wierze“ i że się w wyrażeniach swoich posługiwał frazeologią nieprzyjętą w katechizmie. Nie zdołali oni w artykule jego dopatrzyć jakichś twierdzeń wyraźnie przeciwnych religii, lecz podejrzewali mocno ducha jego nauki o zbrodnię największą—o dążenie do niezależności od teologii.

Wyrazem téj opinii zachowawczo-kościelnéj stał się Lucyan Siemieński, feljetonista krytyczny organu, którego Trentowski był nominalnym spółpracownikiem. W grudniowym „Dodatku do Czasu“ r. 1857 (str. 758—775), rozbierając pierwszy zeszyt „Teki Wileńskiéj“, sporo miejsca poświęcił on rozprawie naszego filozofa. Przyznał on jéj, że „tryszczy nauką i rozumem“, że jest w niéj pewna dzielność, która wstrząsa i ocuca“, przytoczył z uznaniem ustępy o czerni, nazwał wybornemi pomysły o „przespołeczniaczach“;—ale idee religijne Trentowskiego poddał surowéj i namiętnéj ocenie. Ponieważ filozof zachęcał wszystkich, mających rozum, by wydobywali się z „błotowisk czerni“, a zaopatrzywszy się w „bogobojność, cnotę i dzielność“, podrzucili się „na archanielskich skrzydłach silnie ku górze“ i wpadli „do warstw społeczeństwa wyższych“, wskazując „bożo-obrazowość“, „bożość“ jako ostateczny cel doskonalenia się ludzi, a bogactwo, oświatę i władzę jako środki ziemskie do osiągnięcia tego celu:—Siemieński powstał na zachęcanie do zdobywania bogactwa i władzy oraz na samo oznaczenie celu w wyrażeniu „bożo-obrazowość“, „bożość“. Gdy człowiek

---

(1) „Teka Wileńska“, I, 84. — (2) Tamże I, 90, — (3) Tamże I, 118, 119.

„już z natury ma usposobienie piąć się coraz wyżéj po stopniach hierarchii społecznéj, bogacić się i przewodzić nad drugimi“, nie potrzeba więc, zdaniem krytyka, podsycać téj namiętności, „bo w cóżby się obróciła daleko wznioślejsza idea ewangieliczna przyrzekająca ubóstwu, przestającemu na skromnym dóbr ziemskich udziale, łatwiejszy przystęp do nieba, niż bogaczom i potentatom świata“. Nad tym punktem nie rozszerza się jednak Siemieński, o „bożoobrazowości“ natomiast rozpisuje się szczegółowiéj, bo brzmi ona podejrzanie „dla przywykłych słyszéć katechizmowe wykłady“. Religijne wyobrażenia Trentowskiego są dla krytyka „niezmiernie wątpliwéj wartości; widzi w nich „jakąś mieszaninę panteizmu, protestantyzmu, pociągniętą pokostem wyrażeń się używanych w katolickim kościele”; żal go zbiera, że „jenialny talent nie poznał się dotąd na prostocie, jasności, wielkości i głębokości najpopularniejszéj książki na świecie, wyjąwszy między filozofami — to jest na katechizmie“. Wspomniawszy następnie, że Schleiermacher, wykładający na podstawie filozofii Hegla, słynął „jako zę wszech miar prawowierny teolog ewangielickiego wyznania, wyjąwszy téj maleńkiéj różnicy, że w Boga nie wierzy“, że Strauss, także heglista, uznał Jezusa za mit Boga-człowieka „jak go sobie panteistyczna filozofia wyobraża“, i że wogóle stało się w Niemczech modą „filozofować niby-to po chrześcijańsku,—z pojęcia panteïstycznego, a zatém ateistycznego“: takie właśnie pojęcie panteistyczne Boga-człowieka narzuca Trentowskiemu i w takim duchu rozumié jego nawoływanie do zdobycia bożoobrazowości. Że to pojęcie Trentowski od siebie odrzuca zdaje się nie wiedziéć a może i nie rozumiéć; dosyć mu, że ma powód do namiętnych wykrzyków, w tym np. rodzaju: „Taki Bóg-człowiek, choćby nim był sam nieboszczyk Hegel, lub p. T., zastąpić nam ma Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu czy tam istniał, czy nie istniał, wolno być wyobraźni ludów ideałem panteistycznego Boga-człowieka, przynajmniéj na tak długo, póki go jakiś najdoskonalszy nowszych czasów zbawiciel zastąpić nie zdoła... Tak więc, budując na bogactwie, oświacie i władzy odzyskanie raju i królestwo boże,—niech sobie raczy przypomniéć, że dawno przed nim szatan, kusząc Chrystusa na puszczy, wykładał mu kubek w kubek tę samę teoryę, ale jak zmyty poszedł z odprawą“. Nie zawahał się też wprost nazwać Trentowskiego panteistą, dla którego niéma nieba gdzieindziéj jak tylko na ziemi, i wołał z oburzeniem: „Czy się p. T. zdaje, że my tak chciwi jesteśmy tych tam z Wittemberga nowostek, że niemi zaprawiać musi każdy zdrowy, rozumny pomysł, jaki w jego jasno pojmującéj głowie się zrodzi? Czy sądzi, że go bardziéj admirować będziemy, kiedy postawi się w sprze-

czności z tém, co kościół naucza, a my wierzymy. Jeżeli tak jest, to mogę go (!) zaręczyć, że się mocno myli. Są u nas, jak zwykle między ludźmi, obojętni w materyach religijnych, są racyonaliści, rządzący się tak zwanym zdrowym rozsądkiem, który im wystarcza do potrzeb materyalnych, są duchowce, co uznają niby katolicyzm, ale nie chcą formy kościoła; są może jakie inne jeszcze odcienia, nie wiem; to jednak pewna, że ta doktryna pychy, którą pragnie wdmuchać w głowy nasze, nie znajdzie adeptów, choćby nawet prześcignął samego Adama i zagrzmiał hymnem zaczynającym się apostrofą: Bożo-obrazowości! podaj mi skrzydła!"

Poglądy, których rzecznikiem był Siemieński, miały popularność wśród inteligencyi owoczesnéj. Dawniejszy, z przed r. 1850, postępowiec Antoni Marcinkowski, pisujący wtedy pod pseudonimem Nowosielskiego, napadł również ostro na urywki z Dydaktyki (w „Gazecie Warszawskiéj" 1858, Nr. 27), zaznaczając w naszym filozofie „widoczny upadek sił umysłu", Wójcicki zaś w „Bibliotece Warszawskiéj" (1858, t. I, str. 673—677), powtórzywszy sądy Siemieńskiego i Marcinkowskiego, dodał od siebie potępienie gwałtowne materyalnego tylko w wychowaniu celu, ku któremu jakoby miał Trentowski radami swemi zmierzać, oraz zawisłości od nauki niemieckiéj. „Przed dziewięciu laty—pisał tu między innemi Wójcicki, robiąc alluzyę do broszury Trentowskiego: Przedburza polityczna—w uniesieniu szlachetném wystąpił z wymowną filipiką przeciw Niemcom, zdawało się, że pójdzie inną i właściwszą sobie drogą, ale niedługo ukorzył się w duchu, przeprosił się z Niemcami i śladami ich idąc, osiadłszy napowrót we Freiburgu... opracował Dydaktykę".

Tym oto sposobem duchowieństwo w Wilnie krzyczące przeciwko „Tece" znalazło poparcie w najpoważniejszych lub najpopularniejszych organach prasy, zyskało za sobą opinię literacką. O dalszém spółpracownictwie Trentowskiego w „Tece" nie mogło już być mowy. Dał to listownie poznać mu Kirkor i Zdanowicz. Filozof nasz, który przez ciąg roku 1857 miał dużo otuchy i roił o szerokiéj działalności, po odczytaniu krytyki Siemieńskiego i doniesień z Wilna, popadł w odrętwienie. Wymownie też malują ten stan przygnębienia listy z marca (2 i 15) r. 1858. Należą one pod względem poznania nastroju filozofa w więzach reakcyi do najważniejszych; trzeba je przytoczyć szczegółowiéj.

„Co w duszy méj rozpoczął list od Kirkora—pisze Trentowski 2 marca do Zdanowicza—tego dokonał list od ciebie. Od kilku dni siedzę odurzony i osłupiały, jak gdyby mię piorun raził. I pytam się siebie: Jestli to grzech rzeczywisty, żem, jako Polak, od-

dał się umiejętności? Czy Polakowi, dla tego że katolik, przystoi nie europejska światłość, lecz muzułmański ciemny fanatyzm? Co bądź to bądź, pomyliłeś się w zawodzie. Czemuś pisał po polsku? Tu tylko powieści Kraszewskiego i Korzeniowskiego, ten odblask wschodnich Tysiąc Nocy i jedna, lub zachodnich gadek Petroniuszowych, nie zaś poszukiwania filozoficzne, wpływać mogą na duszę i czytane będą. Co dalej robić? Skruszyć pióro umiejętne, a pisać romanse lub sztuki teatralne! Jaka szkoda, żeś pisząc po polsku żywot zmarnował. Jaka szkoda, że przestałeś pisać po niemiecku!—Kochałem i kocham naród mój serdecznie, pracowałem dlań, chcąc go uświetnić tak filozofią, jak np. Plato, Arystoteles uświetnili Grecyą. Uczyniłem dlań, co tylko mogłem, jako śmiertelny. I za to wszystko w końcu naród mię potępia! Byłaż grzechem lub błędem miłość moja do narodu?..... A któż mię prześladuje? Duchowieństwo własne i naród własny. Za co? Za oświatę. Któż tedy u nas największy wróg oświaty? O biada, biada nam! Bóg nas nie kocha, zsyłając na nas takie ciemności..... Ale nie, nie! Ja bluźnię z boleści. Dziś owiała nas ciemność, ale może już jutro będzie u nas jaśniéj. Jeżeli Rzym zsyła nam noc, to Bóg zrobi cud i sprawi, iż z Petersburga przypłynie nam światło.—Katolicyzm to rzecz prześliczna, boska. Nie rozumie go, kto go potępia. Ale katolicyzm jest dwojaki. Jeden nie da się wodzić za nos od teologii i jednoczy się z oświatą, jako np. we Francyi, drugi zaś oddał się duchowieństwu i ciemności, jako np. w Hiszpanii. Ten drugi zabił Polskę, Irlandyą i Włochy, a dobija Hiszpanii. Czemuż on zrósł się z duszą naszego narodu? Czy naród nasz nie pozna nigdy najstraszliwszego wroga, którego nosi we wnętrznościach własnych? — Piszesz, iż tak mówią o Libelcie i o mnie: Dobrze, iż tak cierpią. Bóg karze ich za ateizm, za szerzenie zepsucia pomiędzy młodzieżą etc. Niech odpokutują na ziemi. Może się nawrócą, a Bóg przynajmniéj zlituje się nad ich duszą!— Czy jest w słowach tych miłość chrześcijańska, światłość chrześcijańska, lub téż muzułmański fanatyzm ciemny? I ludzie ci sądzą się być lepszymi chrześcijanami ode mnie I im się zdaje, że bronią chrześcijaństwa, gdy stają się najsprośniejszym jego zakałem! Powiedz im, żem gotów raczéj umrzéć z głodu na bruku, niż być takim jak oni chrześcijaninem, iż gotów jestem iść na samo dno piekła, byle nie dostać się z tak dobrymi chrześcijanami, jak oni, do nieba! Lecz dosyć. I ja potrafię być Arystydesem, a choć dokończę żywota, służyć będę narodowi memu gorliwie, jak dotąd. Choć dziś naród własny, któryby mi pluł w oczy, idąc za rozkazem lada klechy lub bernardyna, widzącego w filozofii kacerstwo, wstrzymuje we mnie myśl i ochotę powrotu do kraju i wskazuje mię na boleści dozgonnego tułactwa; ja z méj strony nie wyrzeknę się nigdy narodu mego i kochać go nie przestanę. A on będzie ostatnią myślą moją i ostatniém tchnieniem. Co daléj uczynię? Może osiądę gdzie w Niemczech na wsi i poświęcę się roli. Może zabiorę się do walki najzaciętszéj przeciw teologicznemu barbarzyństwu, gorszemu od Tatarów, zalewającemu dziś Polskę. Będzie to zawisło od okoliczności... O, ja nie upadłem, bom nie zgrzeszył i nic złego nie zrobił! Szturmowi naprzeciw postawię śmiałe czoło. Znam Boga prawdziwszego, niż jest Bóg mych wrogów. On mnie dotąd nie opuścił; ufam więc, iż daléj nie opuści mię także. Zresztą, całe życie moje było moralném męczeństwem, czemuż więc nie mam i skończyć jako męczennik. — Proszę cię..., nie broń mię przed nikim i nie narażaj się z powodu tego na żadne niebezpieczeństwo. Niech potępiają i wyklinają mnie swobodnie! Kamienowali tych, co nieśli im tchnienie żywotne, jak żydzi Chrystusa. Cóż więc dziwnego, iż umarli"...

Do tego „rozbicia moralnego", jakie w powyższym liście widnieje, przyłączyła się niebawem „cielesna choroba"; Trentowski przez dni kilkanaście nie brał nawet pióra do ręki. W połowie marca zaczął się uspokajać (tak mu się przynajmniéj zdawało), a to

głównie wskutek myśli, że cierpi za unikanie krańcowych przeciwieństw i że z chwilą zwycięstwa poglądów umiarkowanych i on również wśród zwycięsców się znajdzie. W téj myśli pisze 15 marca do Zdanowicza:

„Całe życie wojowałem przeciwko Czarnym i Czerwonym. Cóż więc naturalniejszego, iż Czarni i Czerwoni połączyli się przeciwko mnie i pragną mnie zatracić. Lecz próżne ich usiłowania i wściekłości. Biali zwyciężą i ja z nimi, albowiem po stronie ich jest Bóg i oświata istna. Więc pracować będę zgoła i wtedy, gdyby nie nalazł się ani jeden drukarz na dzieła moje. Przejdzie i przejść musi doba dzisiejszéj średniowiecznéj reakcyi. Wtedy szukać i drukować będą me dzieła, choćby to stało się aż dopiero po mojéj śmierci. A tymczasem stoję w ręku Boga, który mi dał powołanie, a więc mnie i nie opuści.—Czy myślisz, że obrócę się przeciw katolicyzmowi? O nie! Filozofia moja była i jest w wypadkach swoich arcykatolicka, tak katolicka, jak żadna inna z najnowszych czasów. Ale ona nie jest Scholastyką, a więc nie chodzi na pasku kościelnym, lecz o własnéj sile i występuje jako niepodległa. To grzech jéj w oczach teologii, która sama jedna żąda nauczać i panować. Gdybym obrócił się przeciw katolicyzmowi, to obróciłbym się przeciw samemu sobie, Nie przeciw katolicyzmowi, ale przeciw ciemnemu duchowi średniowiecznéj teologii walczyć mi potrzeba. I walczyć będę daléj w imię Boga i katolicyzmu.—Ksiądz Zygmunt Golian z Krakowa tak wykrzykuje w Czasie“: „Sokrates, Arystoteles, Plato mogli być filozofami i odwoływać się do ludzkiego rozumu niepodległego i do prawd wielkich, które się przez nich wypowiedziały, albowiem żyli na łasce grubego, obrzydliwego pogaństwa śród strasznych ciemności religijnego ducha. Ale od czasu jak Chrystus przybył na ziemię i odsłonił nam prawdę wiekuistą, zbrodnia, grzech chcieć być filozofem! Dziś filozof stawia się na równi ze Zbawicielem, chce go nawet poprawiać! To gorsza niż kacerstwo. Tylko szatan sam był niegdyś takim filozofem. Zaczém, precz z filozofią: Teologia sama, z którą jest Duch święty, ma prawo do nauczania ludzkości a Dogmatyka jest jedyną dziś filozofią“.—Otóż duch ciemny, duch średniowiecznéj teologii, który dziś podnosi się jak upiór ze smętarza przeszłości już umarłéj i, jak się zdaje, ogłupił Polaków! Teologia taka, potępiając filozofią tj. niepodległe badanie, potępia wszech-oświatę i utwierdza barbarzyństwo zabijające ludy. Przeciw niéj walczyć potrzeba, bo ona — tchnienie piekielne. Teologia panuje nad Azyą i dlatego Azya tak niedołężna, tak ciemna. Teologia panuje nad muzułmańskim światem i dlatego świat ten blizki skonu... Francya jest potężna, ale li dlatego, że hołdując katolicyzmowi, nie daje się rządzić Duchowieństwu, a ma Uniwersytet i Akademią, w których ręku narodowa oświata niepodległa. Narody protestanckie są dziś potężne, bo teologia ich umiała pogodzić się z oświatą. Rosya godzi się dziś także z oświatą i pójdzie w górę. Za Zygmuntów Jagiellończyków Polska dawała przytułek Husytom i różnowiercom, miała niepodległą oświatę narodową, złotą literaturę i była potężna. Sprowadzono jezuitów. Zagasło światło całkowicie. I od czasów Sobieskiego aż do Stanisława Augusta masz tak zwany makaronizm i pijaństwo. Za Stanisława Augusta odradza się literatura narodowa, ale było to już zapóźno. Dziś Czas krakowski potępia przez usta hrabiego jednego (1) literaturę Stanisława Augusta i nasze, Krasickiego i Naruszewicza, jako bezbożność. Zaczém, on makaronizm—

---

(1) Mówi tu Trentowski o artykule Maurycego hr. Dzieduszyckiego p. n. „Rzut oka na stan religijno-obyczajowy Polski w ośmnastym wieku“, wydrukowanym w Dodatku miesięcznym do Czasu r. 1857, w zeszycie październikowym, str. 291—370.

o piękne, bogobojne czasy! I te czasy wrócą, jeżeli tacy ludzie, jak Golian, kierować będą duchem narodowym".

Rzeczywiste uspokojenie wszelako nie przychodziło Trentowskiemu tak łatwo. Przez kilka miesięcy był „jakby umarły". Ani przyroda, choć tak piękna w Badeńskiém, ani teatr, ani towarzystwo, ani rodzina własna, w której szczęśliwie dorastała utalentowana córka, nie mogły go rozerwać; nudziło go wszystko; zobojętniał na życie; było mu tak, jakgdyby „uronił cel bytu, a więc i byt sam". Tęsknił za krajem coraz bardziéj, a nie mógł nawet pomyśléć o powrocie, widząc, że „grzechów kościelnych", które popełnić musiał jako niepodległy filozof, nie przebaczy mu własne duchowieństwo. Targany temi sprzecznemi uczuciami i myślami pisał do Zdanowicza 4 czerwca 1858 r.; mając na myśli duchownych:

„O, to wróg mój zawzięty, twardy! Tylko upokorzeniem, hańbą, wyzuciem się z samego z siebie, mógłbym się z nim pogodzić. Gdybym co ukradł lub kogo zabił, poddałbym się z pokorą pokucie. Ale za to żem badał prawdę, którą ukochałem, żem używał rozumu, daru bożego, danego mi nie bez zamiaru, żem w końcu wyrobił się do głębszego rozumienia rzeczy, żem szukał z odwagą światłości i cierpiał za nią, za to mam pokutować? Nie, to niepodobna! Wolę zginąć na stosie płomiennym, jak Hus, lub wypić truciznę, jak Sokrates, niż dopuścić się podłości takiéj. Otóż z jednéj strony tęsknota za krajem, a z drugiéj lękanie się powrotu, *amor et horror patriae*, to moja bieda moralna. Ciężki, bardzo ciężki jest los...... Dotąd słodziłem go tą myślą, iż, choć zdaleka, służyć będę krajowi piórem i należéć do tych, co utrzymują piśmiennictwo niepodległe. Ale dziś postradałem tę osłodę losu mojego. Kraj mię potępia, pism moich czytać nie chce, oddał się Ciemnocie... Zamiast zachęty, otrzymuję szyderstwo, urąganie. I czuję, żem od kraju nie tylko przestrzenią, ale i Czasem oddalony. Jam w dzisiejszości, gdzie uświęcona wolność myślenia i sumienia, a kraj nie wyszedł jeszcze ze średnich wieków i wymaga, żeby umiejętność wszelaka rozwiązywała się zawsze w katechizm"...

Czuł jednakże w sobie dość jeszcze siły i wiedział, że podnieść się z tego zobojętnienia zdoła, jeśli tylko inne warunki dla nauki nastaną. Więc dodał:

„O gdyby było u was choć jedno pismo czasowe, broniące Oświaty najnowszéj i umiejętności, nie chcące walczyć z wiarą, ale odpychające tyranią duchowieństwa! Wtedy porwałbym za pióro i byłbym najpilniejszym spółpracownikiem Ale wasze pisma, to albo romanse, albo homilie klasztorne. Dotąd, od wielu lat, trzymałem Czas krakowski, ażeby mieć wiadomości z kraju. Lecz od ś-go Jana daję mu odprawę. Tak mię znużył i oburzył bonzowskim swym duchem.—Wiem, jaką rolę polityczną gra i grać powinna u nas wiara. Lecz wiara—to nie ciemny fanatyzm, wykluczający wszech niepodległe badanie, nie turecki duch! Wiara zbawia narody, jeżeli nie brzydzi się postępem, lecz zabija je, gdy sama chce być wszystkiém. Widzi się to dziś na Turcyi i Azyi. Pisałbym komedye lub romanse, miasto filozofii. Lecz to byłaby słabość. Brzydko cofać się przed wrogiem i ustąpić miejsca pieklu. Będę więc pisał i daléj filozofią. Teologiczna choroba Polski, którą wywołał francuski *l'Univers* od cesarza Napoleona w politycznych celach protegowany, przeminie. Oświata zwycięży i u nas. Rosya sama do tego dopomoże".

Ta wiara w zwycięstwo oświaty podtrzymała naszego filozofa istotnie i pobudziła go do nieustawania w pracy. Po kilku miesiącach przerwy wrócił znowu do obrabiania dzieła, na które liczył bardzo wiele, a któremu początkowo nadawał tytuł „Dydaktyki“. Historya tego dzieła, tj. przejść, jakim ono ulegało, zmusza nas do cofnięcia się o rok jeden, kiedy Trentowski był jeszcze pełen otuchy, kiedy i z Krakowa od redakcyi „Czasu“ i z Wilna od Kirkora i księgarza Assa odbierał naglące listy o artykuły i książki do druku.

IV.

Domyślać się należy, iż „Dydaktyka“ miała być początkowo szerszém tylko roztoczeniem jednéj z części „Chowanny“ czyli Pedagogiki Trentowskiego. Od jak dawna nad nią pracował, napewno powiedziéć nie podobna. Z listów do Zdanowicza widać, że zajmował się nią pilnie w r. 1856. Rzecz nie rychło postępowała, bo filozof nasz, przebywszy chorobę, mógł tylko trzy godziny na dzień „być przy pracy“; w przeciwnym razie zabijały go nerwy. Gdy tedy pisał listy, lub gotował jaki artykuł do pisma, zaniedbywał dzieło, a gdy zajął się dziełem, zaniedbywał „listy, artykuły, nawet pieniężne sprawy“. Na wiosnę jednak i w lecie lepiéj już był usposobiony do pióra; pracował nawet przez kanikularny czas, co od wielu lat nie było mu podobna. To téż 15 sierpnia 1857 r. obiecywał sobie skończyć tom pierwszy „Dydaktyki“ za parę tygodni i projektował wykończyć tom drugi, zanim pierwszy, który do Wilna na ręce Zdanowicza przesłać zamierzał, przez cenzurę przejrzany a przez zecera złożony zostanie. Tłómacząc się zaś z pośpiechu, iż nie chciał czekać z drukiem aż do całkowitego ukończenia dzieła, otwiérał przed swym przyjaznym korespondentem swoje widoki moralne i materyalne w tych słowach:

„Naprzód, już blisko lat dziesięć, jak wskutek choroby, nic a nic nie wydałem. Publiczności przypominać się często potrzeba, inaczéj policzon się będzie pomiędzy umarłych. Otóż codzień mi nieznośniejszy ten stan nieboszczyka. Pragnę więc jak najrychléj zmartwychpowstać, żyć i działać.

„Powtóre. Cesarz Aleksander II słynie tu z tego, że pragnie wzmocnić Rosyą zewnątrz i zamyśla o zbawiennych reformach. Dzieła mojego tom pierwszy, od pierwszéj do ostatniéj kartki tchnie reformą. Chcę zreformować ducha ogólnego dzisiejszych czasów i wskazuję mu lepszy kierunek. Stąd wynika reforma Oświaty przez wszystkie jéj gałęzie, przez szkoły, umiejętnie, piśmiennictwo narodowe, towarzystwa naukowe itp. Wszędzie podaję myśli nowe, praktyczne, na znajomości stanów Zachodu ugruntowane, a daléj idące. Piszę zgoła o uwłaszczeniu i oświacie chłopstwa, podając rzeczy bardzo wam nowe i ciekawe. Chcąc, ażeby to przeszło przez cenzurę, stawiam się na stanowisko, nie czysto polskie, boby mi zarzucił już cenzor, że dla Polski dzisiejszéj o tém ani myśléć, a więc ani

pisać, lecz słowiańskie, a podaję środki, za pomocą których szczep nasz pozyskać może przodowanie nad germańskim i romańskim szczepem. Ze stanowiska tego praca ma staje się ważna także dla Rosyi. I może, za pomocą bożą, działać ona będzie i przyda się na co. Otóż nie chcę zwlekać, ażeby nie okazała się za późno. Niech wychodzi na świat i działa! Z chwili powszechnéj dążności do reform trzeba korzystać, bo ona przejść może.

„Potrzecie. Na gwałt muszę coś zarobić, bo bez winy mojéj popadłem w dość przykre położenie (1). Bankructwo Karola Thurneissena w Paryżu, który uciekł do Ameryki, a na którym Rosyanie i Polacy sami utracili przeszło 16 milionów franków, także mnie dotknęło bardzo boleśnie. Wskutek jego (!) zostaję w téj chwili bez funduszu do życia i dopiero za dwa lata będę mógł złemu temu zaradzić. Ale jak dwa lata przeżyć za granicą z rodziną i śród drożyzny? Nie mam na to innego środka, jak dwa tomy Dydaktyki, z których pierwszy już dokończam, a drugi musi być za rok ukończony. Ale czy one dopomódz mi mogą? Ja potrzebuję 2000 reńskich rocznie, lub tysiąc rubli. Na lat dwa tedy chodzi o dwa tysiące rubli. Trzebaby więc tom jeden dzieła mojego sprzedać za tysiąc rubli. Wtedy możnaby mi dopomódz istnie. Choć tomy będą dość spore, przecież, zdaje się, że żaden księgarz tak wiele, może ani połowy mi nie zapłaci. Gdybym był pisarzem francuskim tego imienia, jakie mam u Polaków, to mógłbym liczyć przynajmniéj sto tysięcy franków za jeden tom. Lecz nasza polska biéda i nędza wymaga ofiar od pisarza, ale o zysku, a nawet o zarobku na utrzymanie życia ani mu myśléć. Chyba jaki Mecenas! Chowanna znalazła takiego Mecenasa. Był nim Edward Raczyński z Poznania, który już nie żyje. Wydrukował ją własnym kosztem na korzyść moję. I dzieło przyniosło mi w ciągu jednego roku od wyjścia 4 tysiące talarów pruskich. I to postawiło takiego biédaka, jak ja, na nogi. Czyby teraz nie dało się uczynić coś podobnego z dwutomową Dydaktyką? Pomyśl, łaskawy Panie, o tém, poradź się szwagra swego, a życzliwego mi Piaseckiego; obejrzyjcie się około siebie, a może potraficie dla mnie coś zrobić".

Ażeby zaś zalecić swą książkę ze strony społecznéj, Trentowski starał się wskazać w tym liście do Zdanowicza, iż dążnością jéj jest pokonanie wszelkiego radykalizmu — filozoficznego i socyalnego:

„Spodziewam się—pisał—że dzieło moje zrobi wrażenie, a nawet stanie się silną zaporą przeciw czerwonemu, bezbożnemu, wszechbożeńskiemu, pieniężnemu, cielesnemu, demokratycznemu, słowem rewolucyjnemu duchowi czasów naszych, który jest klęską Zachodu, a przedziera się także do nas i zagraża nam burzą wewnętrzną. Z téj strony będzie ono, jeżeli nie zbawiające, jakbym pragnął, to przynajmniéj bardzo pożyteczne. Szlachetniejszy młodzian, przeczytawszy je, ocalon być może od złych wpływów zagranicznéj umiejętności i oświaty. Wskazuję oświatę narodową, słowiańską i wytykam jéj gościniec. Zdaje się mi, że usiłowania takie zasługują na troszkę pomocy. Sam rząd, gdyby.... pragnął

---

(1) To „dość przykre położenie" wymownie przedstawia inny ustęp tegoż listu: „Że też ja w całym żywocie moim wypracować się nie mogę tak dalece, żebym nie troszczył się o przyszłość! Parękroć już byłem celu tego blizki, lecz zawsze coś przekreśliło wszystkie nadzieje. A choć miałem pewne dochody, to tak szczupłe, że kul się i kul! Zatkanie się funduszu mego na dwa lata staje się mi tém dotkliwsze, iż edukacya córki jest na ukończeniu i nie będę mógł jéj dokonać, jeżeli nie dopomoże Bóg. Krom tego mam tego roku mnóstwo odwiedzin z kraju. Choć dam gościom tylko herbaty pod noc, to i ona w położeniu mojém ciąży mi bardzo. A nie przyjąć gości, których Bóg przyprowadził, ach to duszy méj niepodobna!"

szczerze światła, postępu, potęgi i wielkości własnéj, patrzećby powinien na dążności moje z wewnętrzną uciechą".

Nie mamy najmniejszego powodu do podejrzewania Zdanowicza, iżby nie miał chęci dopomożenia znakomitemu filozofowi, iżby nie zakrzątnął się gorliwie około rozszerzenia wiadomości o nowém jego dziele wśród znajomych nakładców; ale przypomnieć potrzeba, iż list powyższy przyszedł do niego w dwa miesiące po wydrukowaniu urywku z „Dydaktyki" o rodzinie w „Tece Wileńskiéj", a więc wówczas gdy miejscowe duchowieństwo ostro przeciw niemu wystąpiło, lubo tylko w rozmowach prywatnych. Ponieważ zaś w Wilnie opinia duchowieństwa była wtedy wszechwładna, trudno tu było liczyć na ochoczego nakładcę. Nadto, Zdanowicz zasłyszał co może i o trudnościach cenzuralnych, jakie mógł mieć Kirkor przy druku urywku z „Dydaktyki", a wreszcie owo przez Trentowskiego zapowiedziane wystąpienie przeciw czerwieńcom jemu samemu może nie przypadało bardzo do smaku, gdyż wiedział, iż natenczas na Litwie nie było wcale jakichś wyraźnych i śmiałych zwolenników radykalizmu i co najwyżéj obudzone duchem liberalnym początków panowania Aleksandra II, dążności demokratyczne przejawiać się znów zaczynały. Tych demokratycznych dążności niepodobna było potępiać; owszem o ożywienie ich chodziło wszystkim ludziom pragnącym dobra ogólnego. Już redakcya „Teki" zastrzegła się w przypisku do urywku z „Dydaktyki" przeciwko uwielbieniu wielkich rodów; a myśli podobne niewątpliwie w otoczeniu Zdanowicza prywatnie odzywały się głośniéj i bardziéj stanowczo.

Te okoliczności zdaje się, sprawiły, że Zdanowicz, jeszcze przed odebraniem rękopismu „Dydaktyki", wysłał 3 września do filozofa list znacznie ochładzający różowe tegoż nadzieje, przez wskazanie przeszkód domyślnych, jakie druk dzieła napotkać musi. List ten „zelektryzował" Trentowskiego „nieprzyjemnie" i wpłynął na dokończenie 1-go tomu „bez natchnienia". Dziwiło go to, że nagana Czerwonych bywa nie przepuszczana przez cenzurę. Sądził, że robiono to dla niedopuszczenia wogóle do kraju wiadomości o nich; poczytywał to za rzecz niebezpieczną, boć trudno utrzymywać naród w jakimś „raju niemowlęctwa". Ponieważ Zdanowicz sam także podzielał zdanie, iż lepiéj nie wiedzieć nam o mętach społecznych, widział się Trentowski zmuszonym wyjaśnić charakter swéj dążności w liście z 2 października, kiedy ukończony zupełnie tom pierwszy „Dydaktyki" do Wilna odsyłał. Pisał więc:

„W Dydaktyce nie przedstawiam wcale nauki Czerwonych, bo to w nié miejsca mieć nie mogło. Ale chcąc doskonalić rodziców i nauczycieli, ażeby umieli wychowywać dobrze młodzież, zwracam przy okoliczności uwagę ich na czerwony kierunek, od

Roussa i innych zaprowadzony, a i w kraju naszym dość panujący. Zwracam uwagę pisarzy na kierunek romantyczny, że on kacerski, niecny, czerwony itp. Słowem, dotykam Czerwonych mimochodem, o ile zastępują mi drogę, a czynię to, ażeby, albo wskazać złe, które zakorzenia się u nas bez chęci i wiedzy naszéj, albo naprawić i ku zacności skierować stany nasze ogólne. Odwołuję się często do Zachodu, chcąc wskazać, jakie skutki będą, gdy pójdzie się błędną drogą. Odsłaniam strony ciemne oświaty ogólnéj z trzech wieków ostatnich, chcąc ludzi zawrócić do Boga i Cnoty. Wszędy dążę do Dobrego i mam najlepsze chęci, a przestrzegam przed Złem. Rządu rosyjskiego nie obrażam ani zdaleka, a rzeczy iście polskich nie tykam. Wiele podaję, co podnieśćby mogło Słowiańszczyzuę, a tém samém i Rossyą. Cenzor, gdy to pomiarkuje, nie powinienby mi wykreślić ani jednego wyrazu, chyba że przepisy jego są takie, o których my tutaj ani wyobrażenia mieć nie możemy. Nie wykreślam przeto z rękopismu wspomnień o Czerwonych. Gdybym to miał czynić, to, przerażony listem twoim, wykreśliłbym niezawodnie więcéj, niż cenzor sam. Niech więc idzie dzieło tak, jako jest napisane. Kreślcie i poprawiajcie, byleście nie zrobili ze mnie czego innego, niż jestem! Przy poprawkach miejsc wykreślonych proszę tylko baczyć na czystą polszczyznę i unikać wyrazów obcych!— Rzecz moja o panach i szlachcie może kogo razić w urywkach. Razić przestanie, gdy czytać się ją będzie w dziele, w związku z całością. Ja nie pochiebiam panom. Wskazuję im raczéj wzór z niebios, lub świętą istotę ich stanu, jakimi być powinni. Biada im, gdy takimi nie są! Wogóle żądam podnieść do obrazu i podobieństwa bożego wszystkich. Stąd wszędy chwalę istotę, która zawsze jest wiekuista, tameczna, boża, a sam nie tykam ropy ziemskiéj, i owszem, proszę i zaklinam, ażeby także inni jéj nie tykali, bo to złość i zły smak... Jest to dzieło napozór bardzo skromne. Ale obala ono całą oświatę nowszą, a wskazuje pierwiastek i kierunek inny, Słowiańszczyznę podnieść mogący. Gdyby cenzor nie pomiarkował, co się święci, gdyby nie widział w tém dobra Słowiańszczyzny, a więc i Rosyi; gdyby ulękniony nie pozwolił drukować dzieła; to odeślijcie mi je napowrót. Wyszłoby w Lipsku lub Wrocławiu. Ale wolałbym, gdybyście je wydrukowali, bom ja miał was mianowicie, pisząc dzieło, na oku. Nie sądź, kochany Panie, iż my tutaj nie znamy już kraju! Są wychodźcy, co zapomnieli i nie myślą o nim, a sądzą o nim, jak Francuzi i Niemcy. Ale ja żyję duszą pomiędzy wami i żyję tak ciągle. Ja nie wiem o wielu waszych nieszczęściach i przygodach szczegółowo, ale znam je ogólnie. Jam urósł między wami. O, znam ja wąs, lecz znając także Zachód i mając do czego kraj własny przymierzać, znam może was lepiéj, niż wy sami się znacie. Że piszę niezrozumiale, że tykam rzeczy, jakie u was jeszcze nie istnieją, to pochodzi z prawa pedagogicznego: praw do dzieci, jak gdyby były młodzieżą, inaczéj ich nie nauczysz, nie podniesiesz! Jam niezrozumiały wam nieraz, nie dlatego, iżbym już rzeczy krajowych nie rozumiał, ale dlatego iż rozumiem także rzeczy europejskie, których wy nie rozumiecie należycie. Unikać zaś rzeczy takich, to tyle, co samemu chcieć zrywać węzeł pomiędzy krajem i Europą, co oczywisty grzech... Mam wiarę i otuchę, że dzieło moje przejdzie szczęśliwiéj cenzurę, niż się tego spodziewasz. Zresztą pomagaj, łataj mnie, kochany Panie, w téj biédzie, jak możesz! Ja oddaję dzieło w twe ręce i pod odpowiedzialność twoję. Wiem, że dobrze napisane i że uczynisz w jego obronie, co podołasz... Przeklęte to stany materyalne! Były zawsze wrzodem ducha, a dziś są dlań największém piekłem. Boć w materyalnych czasach, takich, jak nasze, materyalna nagroda góruje nad wszelaką inną, a bez niéj wszystko widzi się być elizejski cień. Dopomagaj, kochany Panie, również ze strony téj, jak podołasz! Że ksiądz biskup Hołowiński zostawił około 80 tysięcy rubli, a ja nie mam nic, to naturalna. On przyłączył się do kościoła, który już ma władzę i panowanie, a ja z filozofią należę do apostolstwa i równam się chrześciańskim męczennikom pierwszego wieku ery naszéj. Więcéj mi więc krzyża, niż szczęścia. Ale, cóż robić! Każdy wziął od Boga posłannictwo swoje i powinien go dopełnić".

Zanim Trentowski list ten odesłał na pocztę, wpadł w nerwowe cierpienia, które go przez cały dzień w łóżku zatrzymały. Tymczasem przyszły mu jeszcze inne projekty co do druku „Dydaktyki“. Dowiedziawszy się, że księgarz petersburski Maurycy Wolff stara się o nabycie rękopismów polskich, że jego nakładem wyszła Estetyka Libelta, i że płaci podobno najlepiéj, prosił Zdanowicza, ażeby i w tę stronę się zwrócił, zwłaszcza, że wedle posłuchów cenzura petersburska miała być łagodniejsza. Ostrzegał tylko, że trzeba się mieć na baczności tak samo jak z księgarzami w Lipsku, „bo księgarz przyrzecze wiele, zrobi nawet kontrakt, ale tak rzecz ułoży i takich sztuczek użyje, cudzoziemcowi nieznanych, iż późniéj nic nie da i sprawę wygra przed... sądem“. Prócz tego, wiedząc od Zdanowicza, iż Kirkor pisze lepiéj po rusku niż po polsku i licząc na życzliwość jego, zapytywał, czy nie zechciałby przełożyć Dydaktyki na język ruski, albo kazać ją komu przełożyć, tak iżby dzieło wyszło równocześnie w obu językach. Uważał je do przekładu za bardzo stosowne; przytém roił sobie, że stąd i jakaś korzyść dla niego się okroi i że cenzura polska nie byłaby może tak surowa, bo miałaby usprawiedliwienie w cenzurze ruskiéj tj. zostawiłaby to, czegoby ruska nie wykreśliła.

Naturalnie troszczył się wielce o losy swego rękopismu, zaklinał, żeby mu albo sam Zdanowicz, albo syn, córka, czy szwagier donieśli o otrzymaniu go, uprzedzał, że termin żądania zapłaty wartości w razie zaginienia na poczcie rozciąga się tylko do sześciu tygodni; prosił, by mu Zdanowicz był w Wilnie „opiekunem, ojcem, przyjacielem, bratem“.

Niebawem, bo 2 listopada otrzymał wprawdzie wiadomość o dojściu rękopismu do Wilna, lecz zarazem nowe ostrzeżenia o trudnościach, jakie dzieło jego napotka. Z listu Zdanowicza wyciągnął Trentowski smutny dla siebie wniosek, iż nic a nic więcéj nie będzie mógł drukować w kraju, bo „niewinniéj“ jak w przesłanéj „Dydaktyce“ pisać nie umiał, a tymczasem wszystko, co pisał, wydawało się za ostrém, za rażącém, zanadto tykającém rzeczy zakazanych.

„Odczytując twe listy — pisze do Zdanowicza 1 grudnia — pytam się ciebie, co też u was niezakazanego..... (1)? Publiczność wasza, podług listu twojego, nie może

(1) W innym liście (z 2 paźdz.) pisze Trentowski o powieściopisarzach ówczesnych: „Kraszewski i Korzeniowski, którego dzieła przesłać mi raczyliście, zgniewali mię bardzo. Wiele w nich talentu i szkoda, że ślepi. I oni prowadzić chcą naród. Jam wspomniał o nich, nie przez niechęć ku nim, ale i owszem, ażeby ich także ku lepszemu nawrócić“.

być mi życzliwa. Czemu? Bo odróżniam kościół od religii, rozum kościelny od rozumu bożego! Raj u Was istny, nie ten jednakże, który wskazuje nam Zbawiciel, a zjawić się ma przy końcu świata, który zowie się królestwem bożém, — ale ten, co był na początku świata, t. j. niewiadomość niemowlęca. I chcielibyście miéć filozofią. Ale, jako świat stary, tak nie było filozofii dla niemowląt. Nawet siedmiu mędrców starożytnych nie nauczają niemowlęctwa, ale i owszem, wydobywają Greków ze stanu tego. — Byłże-to rozum boży lub kościelny, który np. zaprowadził autodafé, a miasto oświecać palił i dręczył torturami tych, co poczynając myśléć, wątpili, który po turecku wycinał w pień Albigensów, Prusaków, Lutyków i t. d. i t. d. który wywołał w końcu Kalwina i Lutra jako historyczną konieczność; który dziś także dopuszcza się tylu niedorzeczności i barbarzyństw? Już dla czci Boga, rozróżniać trzeba na świecie rozum boży od kościelnego!... Zaiste, miałem słuszność, począwszy niegdyś pisać po niemiecku i rzekłszy do siebie, że dzisiejszy naród jeszcze do filozofii niedojrzały! Ubiegło temu już lat 20. Ukazało się aż podobno sześciu znakomitych filozofów naszych, jako: Wroński, Gołuchowski, Cieszkowski, Bochwic, Libelt, Kremer, nie licząc Józefa Chwaliboga, Bukatego i mnie, a naród wciąż do filozofii niedojrzały!... O publiczność dzisiejszą nie dbam wiele. Co dzisiejsza potępi, może już jutrzejsza oceni sprawiedliwie.—Piszesz, że dzieło moje wywoła koniecznie i przyjaciół i zaciętych wrogów. A to wyśmienicie! Kto wrogów się boi, nie wart przyjaciół. Czy lękając się wrogów, wyjawić można stanowczo jakie takie wyższe przekonanie? Moje wszystkie dzieła sprawiły mi przyjaciół i wrogów, bom nic nie pisał, com nie uważał za konieczne danego czasu, a publiczność, która jest dzieckiem, nie umizgów, ale nauki spodziewać się powinna od pisarza.—Piszesz, że co do wrogów na pierwszém miejscu będzie duchowieństwo bez wyjątku. Ach, ono, niestety, jak mi donosiłeś sam, mówiąc np. o Hołowińskim, jest mi wrogiem oddawna! Ono wrogiem każdemu, kto nie śpiewa jego piosenki. Niegdyś stać się można było ojcem kościoła, jak np. ś. Augustyn, albo scholastykiem, jak np. ś. Tomasz z Akwinu. Ale kościół potępiłby dziś nawet takich ludzi, gdyby wystąpili. Nie twierdzę tego z wiatru i na wiatr. Czy słyszałeś co o Güntherze (1), sławnym filozofie katolickim w Wiedniu? Człowiek ten pisał filozofią katolicką, godną dzisiejszych czasów, a broni żarliwie nauki kościelnéj, pokazując umiejętne jéj znaczenie. Cóż się stało? Może został nowoczesnym ojcem kościoła za swoję dla katolicyzmu gorliwość i za położone w obronie jego prace? Gdzie tam! Index romanus dzieł zakazanych wyklina pisma Günterowe, dlatego iż w nich rozum ludzki poważa się wyrokować o rozumie bożym! Powiedz-że mi, czy tedy podobna pisać dziś filozofią katolicką? To jeszcze niebezpieczniejsza, niż pisac filozofią niepodległą. Gdyby nie żądało się obrazić księży; to trzebaby rzucić pióro i dozwolić duchowi narodowemu, ażeby błąkał się, jako dziś, wiecznie w ciemnościach. Trybunał, który ma sądzić o mnie, nie jest ani w Rzymie, ani na żadnéj stolnicy (!) biskupiéj".

Drugim nieprzyjacielem, który według Zdanowicza Trentowskiemu groził, byli demokraci, co z urywku „Dydaktyki" drukowanego w „Tece wileńskiéj" wnieśli, iż filozof nasz jest zwolennikiem arystokracyi. Ich zbywa krótko w liście, pisząc „Bogu dzięki, że gniewać się będą pańskie demokraty. Dziś tyle głupstwa świę-

---

(1) Antoni Günther (1785—1865) oprócz wielu dzieł poświęconych teologii spekulatywnéj, wydawał w Wiedniu wraz z Veithem czasopismo „Lydia" od r. 1849 do 1854, gdzie teorye swoje, przeciwstawiające „panteizmowi" dualizm, przeprowadzał.

ci się w Europie i wszędy, że trzeba mieć odwagę przyłożyć doń rękę i siekierę... Wszakże uważano mnie dotąd, jak mi pisałeś, u was za rewolucyonistę i demagoga. Niechże mię teraz uważają za arystokratę najstraszliwszego! Dwa te sądy tak odwrotne skłonią może kogo do poznania się bliższego z pismami mojemi.“

Dalsze wieści z Wilna, w połączeniu z krytyką urywków „Dydaktyki“, sprowadziły owo zaznaczone już przygnębienie kilkomiesięczne Trentowskiego w r. 1858. Zdanowicz donosił mu, że, chociaż treść „Dydaktyki“ jest niewinna, duchowieństwo, prześladujące filozofią zawzięcie, groziło cenzorowi, iż go oskarży w Petersburgu, a cenzor lęka się utraty posady. Trentowski radził przesłać rękopism do Petersburga, do ministeryum; „tam—pisał—prędzéj znajdzie się sprawiedliwość, bo tam niéma katolickiego fanatyzmu“ (list z 15 marca 1858). Gdy jednakże przytém Zdanowicz dodawał, iż chociażby dzieło wyszło z druku, to nie byłoby czytaném z obawy „grzechu śmiertelnego“, Trentowski dał pokój projektom i prosił o odesłanie sobie „Dydaktyki“. Gdy w ciągu kilku miesięcy nie odebrał jéj, zaczął się trwożyć; robił różne domysły; to przypuszczał, że Zdanowicz nie utracił jeszcze nadziei i czynił kroki do wydrukowania jego dzieła, czy to w Wilnie, czy w Petersburgu, czy gdzieindziéj; to znowu przychodziła mu „myśl ta straszliwa“, iż rękopism może już oddawna wysłany, ale go zagrabiono na granicy lub zatracono w drodze (list z 4 czerwca). Musiał go Zdanowicz pod tym ostatnim względem uspokoić, ale co mu donosił o swoich nadziejach i staraniach względem wydania „Dydaktyki“, nie wiemy Faktem jest tylko, że wydawcy nie znalazł, chociaż wyprawiał rękopism i do Wolfa w Petersburgu.

Trentowski po przejściu owych bolesnych miesięcy, zabrał się na nowo do pracy około drugiego tomu swego dzieła; naturalnie w terminie, który oznaczał przy wysyłaniu pierwszego tomu, nie ukończył go, bo rok 1858 był dla niego najprzykrzejszym moralnie i wielce dotkliwym materyalnie. Szczegół jeden oświetli jaskrawo położenie jego finansowe. Proszony przez Zdanowicza o przysłanie swych fotografii, wyprawił 2 października 1857, 4 fotogramy i 2 dagerotypy. Ponieważ Zdanowicz chciał „na gwałt zwracać wydatek“, Trentowski chociaż z przykrością, bo jak pisał, powinienby dziękować, że ten, co mu uczynił tyle dobrego, chce jego i rodzinę widzieć chociaż na obrazku,—dołączył rachunek do przesyłki, wynoszący razem 21 reńskich tj. 12 talarów pruskich. Ale gdy odczytał w liście Zdanowicza, iż mu przysyłają oszczędności zrobione przez Zdanowiczową na kuchni, prosił, ażeby je przyjęli w podarunku, gdyż ofiara taka byłaby mu zbyt bolesną. Tym listem nie zdołał

jednak uprzedzić wysyłki. Otrzymał tedy dziesięć półimperyałów. Nakreślił wówczas (15 marca 1858 r.) te słowa: „Ty sam nie bogaty i musisz dawać w mieście lekcye prywatne, zaczém zarabiać ciężko. Gdybyś pieniądze te przesłał od Tyzenhauza, Jana Tyszkiewicza itp., to mogłyby mię radować, gdyż nie byłyby ciężką ofiarą, a miałyby znaczenie, iż panowie nasi wspierać chcą oświatę narodową. Chciałem oddalić pieniądze te od siebie. Ale że przyszły, to i cóż robić? Mamże je odsyłać i obrażać przez to serca wasze tak zacne i życzliwe? Nie! Widzę, że litując się nad losem moim, z powodu że rękopism mój nie będzie drukowany, a więc i sprzedany w Wilnie, a chcąc mi stratę tę, o ile możności, nagrodzić, przesyłacie mi, co w waszych jest siłach. Niechaj Tobie i pani Twojéj za kuchenną jéj oszczędność Bóg potysiąckrotnie nagrodzi! Przyjmuję tedy ów dar i dziękuję zań serdecznie, ale pod jednym warunkiem. Jakim? że pani Twoja pospołu z Tobą przybędziecie tu, podług danéj mi obietnicy, do Freiburga i zabawicie się u mnie przez czas pewien. Pieniądze te uważać będę jako fundusz na wasze przyjęcie".

Jeżeli to zdarzenie zestawimy z poprzednio zaznaczoną trudnością dania herbaty dla gości, to się nam przedstawi biéda filozofa, zawiedzionego w nadziejach polepszenia doli, bardzo dobitnie i wzbudzi szacunek dla człowieka, który mimo to wszystko pisać dzieła nie przestał, rozmyślając wciąż o nowych środkach zapewnienia bytu rodzinie. Czasami przychodziła mu ochota osiąść gdzie na wsi pomiędzy chłopstwem niemieckiém i kupiwszy może jaką chałupkę z ogrodem „żyć ziemniakami i nędzą"; ale długoletnie przyzwyczajenia do innego, „przynajmniéj na pozór" pańskiego życia, nie pozwalały mu długo się zatrzymywać nad takim projektem (Listy z 9 czerwca 1859 i 6 czerwca 1860 r.).

Choroba trapiła go i teraz od czasu do czasu tak, że kilka miesięcy znowuż pióra do ręki wziąć nie mógł.

Do wykładów niemieckich w uniwersytecie freiburskim wrócić nie chciał, bo naprzód musiałby był i dzieła pisać po niemiecku a polskie zarzucić, powtóre wstyd mu jakoś było przed sobą samym, iż jak wahadło nakłaniałby się od Niemców do Polaków i znów od tych do tamtych: wreszcie i niewielka liczba studentów we Freiburgu zapewnić-by mu dochodu dostatecznego nie mogła.

Pomiędzy pomysłami, jakie mu w kwestyi utrzymaniu się przyszły do głowy, za najszczęśliwszy uznał ten, żeby pojechać do Paryża i tu obejrzéć się za jakiém zajęciem. Zostawiwszy tedy żonę i córkę we Freiburgu i oddawszy w ich ręce wszystko, co jeszcze miał, puścił się do Francyi, stanął w Paryżu 15 kwietnia 1859 roku i przesiedział tam około 13 miesięcy.

V.

Pobyt w Paryżu podziałał na Trentowskiego nadzwyczaj ożywiająco. Samo zetknięcie się z rodakami, których w takiéj liczbie od r. 1848, kiedy był w Krakowie, nie widział, prowadzone z niemi rozmowy i namiętne dyskusye, gdyż znalazł tu przedstawicieli wszelkich stronnictw, przypomniały mu szczęśliwsze lata, rozpaliły w nim na nowo ogień niemal młodzieńczy, usposobiły go do pióra gorączkowo. Na co niegdyś lat potrzebował, teraz dokonywał tego w przeciągu miesięcy. I w poglądach jego, wskutek osobistego doświadczenia, zaszły lekkie zmiany, mianowicie w zapatrywaniach na znakomite rody, które pod wpływem przyjaźni z Zygmuntem Krasińskim idealizował. Teraz, po jego śmierci, poznawszy z bliska owę w nich, jak się wyrażał, „ropę ziemską“, któréj odsłaniać nie chciał poprzednio, inaczéj już sobie kwestyą stosunku arystokracyi do demokracyi wystawiał.

Projekta miał różne, ale nierychło mógł niektóre przynajmniéj urzeczywistnić. I tak zamierzał np. „czytać co zima dla możnych rodaków tu mieszkających coś dla rozrywki, jakie 20 godzin, nie więcéj, bo toby ich już znudziło“; mogłoby to przynieść około 3,000 franków rocznie; lecz za tę sumę niepodobna wyżyć z rodziną, gdy samo trzypokojowe mieszkanie, choćby i na czwartém piętrze, kosztowało około 1,800 fr. Trudność téż była z wyborem przedmiotu. Filozofia nie była w modzie, a nadto „od księży wyklęta“, a możni rodacy „grają rolę Nabożnickich i trzymają z jezuitami“. Coś z etyki lub estetyki zwabiłoby może kogo. Ale i to nie! bo wojna włoska zajmowała wszystkich wyłącznie, każdy pytał o gazetę, nie o prelekcye. Dwie szkoły polskie, istniejące wtedy w Paryżu, przeznaczone dla dzieci wychodźców, którym trzeba było przedewszystkiém dać sposób do życia i „otworzyć drogę do chleba“, uczyły matematyki, fizyki, chemii, inżynieryi. Gdyby Trentowskiego zrobiono „przez litość“ nauczycielem języka polskiego, to przyniosłoby najwyżéj 1000 fr. Lekcye prywatne mogłyby opłacić się najlepiéj, bo „paniczów“ polskich było tam dosyć. Trentowski, mając imię, mógłby był wymagać „po 20 franków za godzinę“, ale straszliwe przeciwko niemu panowało uprzedzenie: uchodził za bezbożnika, ku wielkiemu zdziwieniu swemu dowiedział się, że miano go za „kalwina“, chociaż on był katolikiem i nigdy nie zmieniał wiary, a jeden z braci jego był gorliwym księdzem, dziekanem katolickim (List z 9 czerwca 1859). Trzeba było te uprzedzenia usunąć, zanimby mu powierzono wychowańców. Przyjaciele,

których tu filozof znalazł także, chcieli mu dopomódz do założenia polskiego pensyonatu dla chłopców chodzących tu do szkół i do uniwersytetu. Rodzice byli nieraz w kłopocie, komu zostawić syna w opiekę: u Francuza sfrancuzieje, a „u wychodźcy zaprowadzon będzie albo do demokratycznego, albo do ciemno-czarno-nocno-jezuicko-katolicko-arystokratycznego kółka". Trentowski chwycił się téj myśli, prosił nawet Zdanowicza, żeby wiadomość o zakładaniu przezeń pensyonatu rozszerzał. Kwalifikacye swoje a zarazem sposób postępowania w rzeczach religii w liście do niego z 7 sierpnia 1859 r. rozwijał.

„Ja—pisał—mam imię pedagoga. Byłem już i nauczycielem domowym i nauczycielem szkół publicznych i nauczycielem akademickim. Miałem nawet u siebie we Frejburgu pod opieką młodych akademików Polaków i pensyonat dla nich. Oto oprócz Chowanny, piszę i w téj chwili rzecz o Nauczycielstwie [tj. Dydaktykę]. Znam się więc dobrze na têm rzemiośle. Możnaby mi więc zaufać. A chłopcom oddałbym się całkowicie, bom sumienny. Dałbym stół, stancyą, dozór, opiekę i stosowne lekcye polskie. Zasadą wychowania: moralność, religijność, narodowość i nauka, charakteru rozwój; strzeżenie duszy od każdego u l t r a. Nie na podobnych do siebie duchów, nie na filozofów samych-bym kształcił, jak to wydawać się może komu, bo różnię się przecież od bakalarzy zwyczajnych i mam trochę rozumu. Rozwijałbym w chłopcu to, co mu Bóg dał, tj. zdolności i usposobienie mu wrodzone. Dopomogę mu nawet na księdza, jeżeli odezwie się w nim do stanu tego powołanie. Mogę mieć francuskiego *l'abbé* do lekcyi religii, a więc dać nawet k o ś c i e l n e w y o b r a ż e n i a. A każę dać w piątek obiad postny i poślę do spowiedzi; ażeby i matula pobożna, inaczéj religii pojmować niezdolna, była zadowolona... Pensyonat zrobić mię może krajowi użytecznym bardzo i upewni mi niepodległość... Zaledwie zgłosi się do mnie choć jeden pensyonarz, wyprzedam się we Frejburgu, sprowadzę tu żonę z córką, najmę stosowne mieszkanie i osiedlę się tu na zawsze... Wiem, że imię filozofa i imię me własne, od księży wyklinane, stać mi będzie na przeszkodzie. Alem poznał tu tyle rodaków z kraju. Upewniają mię, że nawet na Litwie nie jest tak ciemno, że i tam są ludzie, co wiedzą, po któréj stronie prawda i zacność, że właśnie imię moje prześladowane do czytania dzieł moich zachęca, a i do poruczenia mi chłopców kogo zachęcić może"...

Nie przyszedł jednak do skutku ten zamiar, jak i jeszcze jeden założenia przeglądu miesięcznego, poświęconego nie polityce, ale umiejętności. Miało to być widocznie pismo, któreby przeciwważyło wpływy arystokratyczno-kościelnego organu „Wiadomości Polskie", redagowanego przez Waleryana Kalinkę i Juliana Klaczkę. Nie wychodźcy, lecz krajowcy bawiący w Paryżu obiecali Trentowskiemu zebrać potrzebne na to fundusze. „Jeżeli do tego przyjdzie—pisał nasz rozpromieniony filozof do Zdanowicza—to będę pisał, o będę pisał, tak że z pod pióra iskry i łyskawice i pioruny lecieć będą. Pismo przeznaczone będzie nie dla wychodztwa, bo to już po części *corpus mortuum*, ale dla kraju. Będą więc w niém i stosowne oględy, względy. Ale umiejętność i obrona światła wystąpią w całéj sile".

Na razie tedy Trentowski przez pół roku nie mógł żadnego projektu praktycznego przeprowadzić; zapoznawał się tylko z ludźmi, otrzymywał honorowe godności i pisał.

O ludziach niezbyt pochlebne wyniósł przekonanie. Krajowcy, bawiący w Paryżu, zwykle wielcy panowie, co mieszkali zimą a odjeżdżali na lato, otworzyli mu salony swoje, przyjmowali „ze czcią, jako sławnego człowieka“, choć może robili „w kącie“ krzyż przed nim, bo byli „straszliwymi bigotami“, a przynajmniéj takich udawali. Przyjmowanie to w salonach było tylko przykrym wydatkiem dla kieszeni, bo filozof musiał się „przebrać po parysku“ O dopomożeniu mu z ich strony mowy nie było. „Są-to ludzie—pisał o nich — u których najwięcéj da się zjeść dobry obiad, nic więcéj. Grają niby rolę patryoty, ale uciekają i umywają ręce przed wszelką ofiarą, szczególniéj pieniężną. A ofiara dla filozofii? To byłby nawet grzech w ich oczach“.

Co do wychodźców, to ci z początku, w pierwszym miesiącu pobytu, przedstawili mu się „wszyscy niemal“ jako „nadzwyczaj zacni i poświęcenia pełni, a godni szacunku i miłości, ale biedni, biedni, że aż strach: pracują, mozolą się nad siły, a przecież nic nie mają“. Wyjąwszy księcia Czartoryskiego i Zamojskiego „a może i kilku innych jeszcze, a krom tego tych, co zostali kupcami, rzemieślnikami, inżynierami, urzędnikami, co więc należą do Francuzów, a nie do wychodźców, to wszyscy dzwonią zębami od chłodu i głodu, a przecież nie rozpaczają, są weseli, nawet lekcy“. Pod względem umysłowym, znalazł najsławniejsze nawet głowy zajęte empiryą, oceniające umiejętność podług pożytku; nikogo zaś, z kimby mógł pomówić o filozofii. Pełno tu — pisał do Zdanowicza — „tak bardzo rozumnych i szczwanych lisów, iż wobec nich czuję się głupiuteńkim, ale ani jeden nie jest d u c h e m. O duchu nie mają innego wyobrażenia i innéj wiedzy, tylko tyle, co w powiastkach o nieboszczykach i strachach nocnych. A przecież Paryż ich ukształcił! Patrząc na takie stany umysłów, to czuję się samotnym, nieszczęśliwym i rozpaczam. Czemu dał mi Bóg to, co niepotrzebne mym rodakom wcale i co nic u nich nie znaczy, tj. ducha? Lub czemu ci rodacy znają się na koniu, wole, roli, na każdej rzeczy tak wybornie, lecz nie pojmują, na co przydaćby się miał duch? O, czemuż poświęciłem się filozofii. To znowu dziękuję Bogu za to, co mi dał, bo czuję się żywym, żywym śród samych umarłych... I Paryż sam nie potrafi mię odmłodnić i ożywić. Gdy zapytam się sam siebie: Jakie masz najgorętsze życzenie? odpowiadam mimowolnie i naprzekór wstrętu: *Złożyć* skołataną głowę do trumny!“ — Ale przygnębienie to było objawem przejściowym tylko. Po kilku mie-

siącach dalszego pobytu w Paryżu przekonał się wprawdzie, że zacność jak wszędzie tak i na emigracyi sąsiadowała czasem z przewrotnością, ale równocześnie nabrał energii i oddziaływać pragnął przeciw krzywym pojęciom i dążnościom. Ciągnęli go i kusili „jezuici utajeni", zanim ich jeszcze poznał. Zwabili go sztucznie do siebie, ofiarowali mu znaczne dochody i widoki nadal. „Już miałbym dochody— donosił Zdanowiczowi— gdybym chciał zostać łajdakiem. Lecz Bóg obronił mnie od upadku. Zostałem, czém byłem, tj. sługą światłości i prawdy. Za to, że spodlić mnie żądali zdradą, obróciłem się przeciwko nim tém gwałtowniéj. Zostałem bez chleba, lecz nie przyjąłem hańby. I poczęto uwielbiać mój charakter" (Listy z 7 sierpnia 1859 i 6 czerwca 1860). Zbliżył się wówczas bardziéj do demokracyi, chcąc wpłynąć na młodzież. Było wtedy przeszło stu chłopców, uczęszczających na kursa akademickie, a należących do demokratów. „Na nich—pisał—można coś liczyć, bo ci, co dostali się w ręce Kalinki, tj. jezuickiego kierunku, już o g ł u p i e n i, chyba że Bóg sam wróci im umysłowe światło. Chciałbym tę demokratyczną młodzież przyciągnąć nieco do siebie, a wykładając jéj coś filozoficznego, zapalić ją do głębszéj nauki i wiedzy. Nie wiem, czyli się to uda, czy i ona już duchowo nie zdenerwowana zupełnie" (List z 7 sierpnia 1859).

Miewał Trentowski „mnóstwo mów publicznych" przy różnych okolicznościach, do których go wzywano. Przed 7 sierpnia 1859 został członkiem rady szkolnéj w Mont-Parnasse. „Jestto urzędowanie wysokie — objaśniał Zdanowiczowi — coś nakształt radcy stanu w ministerstwie oświecenia. Przywiązuje się doń tytuł J a ś n i e W i e l m o ż n y. Tak przynajmniéj tytułują się członkowie téj rady wzajem i tytułowani są od nauczycieli szkolnych i uczniów. Przytaczam ci to, bo mnie rzeczy takie b a r d z o ś m i e s z ą. Wolałbym jednak fundusze jakiego Jaśnie Wielmożnego, niż urząd i tytuł bez żadnego dochodu, bo to mi potrzebne i tego nie mam". W tym charakterze członka rady szkolnéj przemawiał on do uczniów przy końcu egzaminów dnia 30 sierpnia, zachęcając ich do przejęcia się swemi obowiązkami i do posłuszeństwa prawu. Po skończeniu mowy uczniowie ucałowali swych nauczycieli i siebie samych nawzajem; mówca pocałował także pokolei każdego z uczniów w twarz „istnie po ojcowsku". I uroczystość zakończyła się staropolską serdecznością. Przy innéj okoliczności, zapewne w gronie przełożonych i nauczycieli szkoły wyższéj na bulwarze Mont Parnasse, wypowiedział swe myśli o naukach klasycznych i potrzebie wprowadzenia ich do téj szkoły, utrzymując, że „humanistyka jako najwdzięczniejszy i najwyborniejszy wyraz euro-

pejskiego ducha zdrowego i swobodnego, a moc światła przełamującego ciemności, — jako przeciwstaw i równoważnik owych dwu zmor, ocalający nas od zazyatyczenia,—jako probierz najdoskonalszy naszego rozumu i serca, obywatelstwa i dobrego smaku, patryotyzmu i moralnego obowiązku, — sama jedna godna jest tego najprawdziwiéj, ażeby zrobiono ją wszech nauki szkolnéj gruntem i piastą". W listopadzie tegoż roku miał znowu mowę w Towarzystwie historyczno literackiém: z radością zaznaczał odradzanie się duchowe i moralne, zanikanie stronnictw na emigracyi, złożył hołd szlachetnemu Adamowi Czartoryskiemu, przemawiał w obronie poezyi i filozofii, gromił ultramontanizm i fanatyczny nastrój ciemnego duchowieństwa. „Szkodzą kościołowi—wołał—nie filozofowie, ale ci raczéj, co są wrogami filozofii, albowiem robią go nagwałt ciemności opiekunem i sługą. Oni woląc żywe mięso, niż walkę z martwemi ideami, a lubiąc drogi piekielne, podziemne potwarzają przed niewiastami lub trzodą ślepowierczą filozofa". Wzywał do walki z „duchem średniowiecznym, na Zachodzie utrzymać się niezdolnym, a pomiędzy nami, jako jeszcze, w mniemaniu jego, półgłupimi, szukającym przytułku i władzy". Wytykał panom naszym, „wyjąwszy tych, co zasługują na wyjątek", duchową mierność i niemoc. „Braknie im — mówił — wyższego, niepodległego a jedynie nas zbawić mogącego światła... Pan patryota otacza się samemi duszkami o jędyczych skrzydłach i podlotach. Stąd usiłowania jego, acz zacne i szczere, tudzież pieniądze, nieraz spore, wydają tak mało owocu, a wiele śmieszności". Zachęcał do założenia Dziennika i Przeglądu naukowego, któryby bronił „światła, postępu i ducha europejskiego przeciw barbarzyńskiéj napaści muzułmanów zachodnich, do wiarowéj bandy piekielnéj należących", a podnosił „katolicyzm wewnętrzny i naukę Zbawiciela, jako prawdę objawioną, zgadzającą się z umiejętnością najprzedniejszą i z prawdą w naturze, oraz sercu człowieka wyrytą" (1).

Stronnictwa na wychodźtwie, które Trentowski porównywał do ruin Palmiry, chciały go, jak sądził, wydalić z Paryża. On przemawiał śmiało, starając się, jak powiadał, „zastąpić wpływy Mickiewicza", tylko naturalnie w swoim rodzaju. Czuł w sobie wielki zapas odwagi i werwy. A że go przytém doszły propozycye aż trzech księgarzy z Poznania i jednego z Wrocławia co do nabycia

(1) Wszystkie wspomniane mowy, zaopatrzone przypiskami, znajdują się w broszurze: „Trzy skazówki dążeń i usiłowań moich w Paryżu przez Bronisława Trentowskiego", Paryż, 1860, str. 64.

rękopismu „Dydaktyki“, to chociaż ofiarowane przez nich honoraryum za 2 tomy 300 talarów, było bardzo szczupłe, postanowił raźnie dokończyć dzieła, na niém znowu pokładając główną nadzieję dźwignienia się ze smutnego stanu finansowego. Jeszcze w pierwszych miesiącach pobytu w Paryżu sądził, że skończy na 2 tomach, ale gdy mu dzieło rosło pod piórem, zdecydował się napisać trzeci. Pierwszy chciał całkiem przerobić i dlatego nalegał na Zdanowicza, żeby mu rękopism odesłał. Zrazu sądził, że tylko niektóre w nim punkta ulegną zmianie, mianowicie rzecz o szlachcie, któréj urywek wyszedł w „Tece Wileńskiéj“, bo ujrzał, że nie wyraził należycie swéj myśli i że go mylnie rozumieją (List z 9 czerwca 1859). Wkrótce jednak doszedł do przeświadczenia, że będzie musiał „wiele rzeczy“ przerobić. „Pisząc dzieło — tłómaczył się — zrobiłem sam duchowe postępy, wymagające przemian zaraz na początku. Paryż, gdzie mam rodaków ze wszystkich stron kraju, oświecił mi także wiele rzeczy. Dość! poprawić muszę tom pierwszy“ (List z 7 sierpnia t. r.). Poprawki a raczéj przeróbki były znaczne; nie weszło do niego nic z tego, co w „Tece“ było drukowane. Część druga „Dydaktyki“ zawierała system nauk czyli encyklopedyą. „Jak po drabinie do niebios — objaśniał Trentowski — każda nauka dalsza wznosi się coraz wyżéj nad wszystkie inne, tak, że nieraz lękam się, czy potrafię ją na takiéj wysokości godnie utrzymać. Jestto f i l o z o f i a p r a k t y c z n a, na wszystkich naukach wykazana, ze wszystkich nauk wydobyta, zaczém taka, jak rozumieli ją wasi Śniadeccy, a więc dla kraju może najstosowniejsza. Ale dość! Bo znowu wpadłem na me dzieło i pieję pochwały własne, co cię zgorszy!“ W przeciągu kilku miesięcy, ze środka tomu drugiego przeniósł się w środek tomu trzeciego. Bo téż pracował ochoczo i raźnie, jak się to już dawno mu nie zdarzało. Myśl podbudzona nowemi wrażeniami płynęła mu nieprzerwaną falą, łatwość pisania miał wielką, zdrowie służyło. Z przyjemnością więc kreślił te słowa do Zdanowicza 7 sierpnia 1859 r.:

„Nie uwierzysz, jak dobrze mi idzie praca piórem. Zdaje się, że podwoiła lub potroiła się moja moc duchowa, a nawet wzrosły fizyczne siły. Co napiszę tylko, wszystko dzielniejsze niż dawniéj. Nie wiem, czy to skutek obcowania mego codziennego z rodakami a nieraz i żywych z nimi rozpraw, zaczém silnych podniet duchowych; czy wreszcie poprostu dla tego, że po dziesięcioletniéj chorobie odzyskałem wreszcie zdrowie i pełność sił: ale to prawda, żem tu jakoś zolbrzymiał. Upały były i są tu jeszcze ogromne. Nie mogąc więc wychodzić na słoneczny żar, a od żony i córki daleki, gdy ukończę już robotę, siedzę w méj izdebce samotnie, tęsknie. Nie mogąc wreszcie wytrzymać, rzucam się po południu do pracy nanowo, byle się zapomnieć. A jak się zaciekne, to piszę do godziny 6 lub 7-méj, tj. aż do obiadu, na który wyjść trzeba do miasta. Tak tedy, pomimo algierskiéj spieki, pracuję po 8—9 godzin na dzień umysłowo, a praca rośnie jak na drożdżach“.

A zabiegając naprzód, przed ukończeniem dzieła, już się pieścił w myśli ostatniém słowém, jakie miał w niém wypowiedziéć, i dzielił się rezultatem ze Zdanowiczem. Pisał więc:

„Filozofia — to chrześciaństwo XIX wieku i tryumf katolicyzmu nad niemieckim protestantyzmem, a francuskim socyalizmem i realizmem wiarowym. Najżarliwszy robi się ze mnie katolik, ale na filozofii niepodległéj, na światłości stojący, a wróg katolicyzmu z XIV wieku, ktory w średniowiecznym duchu rodaków naszych i tutaj i w Polsce wciąż jeszcze żyje, który wywołał w Niemczech wojnę trzydziestoletnią, a we Francyi rewolucyą wielką, który i u nas zapalił wojny kozacze a rzucił naród do grobu. Prawda, iż katolicyzm ten, acz prawdziwy i jeden zbawiający, oburzać będzie klechów, zwłaszcza waszych na Litwie, ale i cóż robić. Ja muszę się trzymać poslannictwa mego i iść za głosem z niebios, a wiem, że przy silném przekonaniu i wytrwałości zgoła jeden człowiek w końcu zwycięży i cały naród przerobi!“

W rzeczywistości atoli nie prędko miał dojść Trentowski do wypowiedzenia owego „ostatniego“ słowa; bo mu na przeszkodzie stanęły nowe widoki oddziaływania na społeczeństwo. W zimie 1859/60 wystąpił jako prelegent, wykładając estetykę na bulwarze Mont Parnasse w szkole wyższéj polskiéj, dokąd, choć to niby miało być dla uczniów, schodziła się liczna publiczność płci obojéj, — oraz „o przeznaczeniu wyższych warstw społeczeńskich“ na *quai Malaquais* w t. z. „*Cercle des Sociétés savantes*“, gdzie bywało huk osób. Wykład był ustny, na improwizacyi oparty. „Obróciłem się—pisał Trentowski do Zdanowicza—przeciwko partyom. Dałem wyobrażenie o filozofii wogóle i o filozofii narodowéj, a zyskałem sobie mnóstwo gorliwych zwolenników. Roztworzyły się dla mnie polskie salony, choć często tylko ze strachu, bo panów naszych, których poznałem bliżéj i oblicznie, chłostać musiałem. Działałem po salonach i kawiarniach, gdzie schodzili się rodacy, tak tulacze, jak krajowcy... Już w jednym roku nadkręciłem tam karku demagogom i jezuitom polskim, że pamiętać mnie będą długo... Dla przybywających do Paryża Polaków największe niebezpieczeństwo grozi ze strony naszych demokratów i jezuitów. Czatują na nich zwłaszcza na młodych i łowią ich do siebie. Tak ułowieni zostali i dwaj znajomi pańscy... wpadli w ręce demagogów i szaleją. Drugi zerwał nawet ze mną całkowicie dlatego, że należéć nie chcę z nim razem do jednéj chorągwi. Nieszczęście, że jeszcze są w Paryżu między nami partye, lubo już niewiele znaczące, gdy się je porówna z dawniejszemi“. (List z 6 czerwca 1860).

Pod koniec rocznego przeszło pobytu w Paryżu, Trentowski zachorował; było to koniecznym wynikiem téj natężonéj pracy i tych wzruszeń, jakie wśród gorączki ówczesnéj przechodził człowiek nerwowy i długoletnią słabością skołatany. Na wiosnę 1860 odjechał do Freiburga. Z rezultatów bytności był ostatecznie zadowo-

lony moralnie a poczęści i materyalnie, obiecywał sobie, że na zimę następną znowu Paryż odwiedzi i znowu odczyty mieć będzie, zamierzał nawet wziąć z sobą córkę, częścią dla dopełnienia jéj wykształcenia, a częścią dla wygody, bo często zapadał na zdrowiu i potrzebował pomocy, szczególniéj po nocach. Położenie jego materyalne było ciągle „niepewne", ale ponieważ pozyskał w Paryżu zwolenników i przyjaciół, co się oń troszczyli, miał trochę więcéj, niż poprzednio, nadziei na przyszłość. Duchowo także czuł się pokrzepionym, sądząc, że świat cywilizowany rychło porzuci dotychczasowe wstrętne mu kierunki krańcowe. Dnia 6 czerwca 1860 r. pisał do Zdanowicza: „I demagodzy i jezuici stoją teraz bardzo źle. Inne zasady i przekonania święcą się dziś we Francyi. Mazzini nie śmie się ani ruszyć, a Veuillot (1) i *consortes* stulili buzie. Zerwanie rządu z krnąbrném duchowieństwem ultramontalném, sprowadzi dobre skutki. Nie mogąc oprzéć się na teologii, oprze się przyszły czas na filozofii. Ustąpi noc, która od 1849 roku nas trapi, a umiejętność rozjaśni się dniem nowym. Tą nadzieją żyją dziś wszyscy przyjaciele ludzkości".

Projekty Trentowskiego co do Paryża nie przyszły do skutku, z przyczyn mi nieznanych. Nad „Dydaktyką" pracował wciąż, ale powoli. W tym czasie przezwał ją „Panteonem wiedzy ludzkiéj", i mając zapewne jakieś widoki wydania, napisał 15 maja 1861 roku piękną przedmowę, lubo dzieło nie było jeszcze zupełnie skończone. Wypowiedział w niéj niezapomniane słowa, streszczające dążność pism i nauki całego jego życia — gorącą zachętę do samodzielnego badania: „Ja żądam, nie duchowych jeńców naszéj szkoły, lecz zdolnych uczniów z szerokiego świata, którzyby przyjęli rzecz, a zamieniwszy ją w krew i soki własne, nadali jéj ulepszenia, lub wyższego przeobrażenia piętno,—którzyby, stanąwszy na ramionach mistrza, widzieli i szli nierównie daléj od niego" (str. IV). Ale z drukiem i wtedy doznał zawodu. — A i nadzieje pokładane w zwycięstwie filozofii rozwiewały się. We wrześniu 1861 roku otrzymał był list od Zdanowicza, co mu wsypał żar do duszy i przejął go oburzeniem. Niewiadomo z jakiego powodu donosił mu życzliwy profesor, że na Litwie nie cierpiąc Niemców, nie lubią filozofii wogóle a w szczególności jego, jako niemieckiéj, a nadto poczytują go za Woltera polskiego (2). Trentowski był schorowany; list taki sprawił mu ostrą

---

(1) Redaktor znanego ultramontańskiego pisma *L'Univers*.

(2) List ten, niewątpliwie stylistycznie zmieniony, podaje Trentowski w swoim „Panteonie wiedzy ludzkiéj" w tomie III, str. 311—314 i kreśli nań odpowiedź (str. 314—319). Warto zestawić i porównać ją z temi urywkami, jakie z odpowiedzi listowéj przytaczam.

boleść; odpisał nań dopiéro 18 kwietnia 1862 roku, wstawszy po zapaleniu płuc, w słowach pełnych rozżalenia i goryczy nie tyle ze względów osobistych, ile z powodu upadku ducha narodowego pod względem oświaty, któréj stan trącił mu już „kirgizczyzną“. Ten wylew z głębi serca wybornie charakteryzuje usposobienie umysłu silnego, nękanego reakcyjnemi prądami i krzywemi zdaniami współrodaków. Oto najważniejsze ustępy.

„Co mi do Niemców! Łajać ich nam wolno, bo na to zasługują. Żaden z narodów europejskich nie jest tak nikczemny i podły, tak pieniędzy chciwy, jak oni. Zgoda! Ja sam powiedziałem im to wszystko, co mi o nich piszesz, w Przedburzy z roku 1848, a nawet i więcéj (1). Przełożył to ktoś na niemieckie i ogłosił w piśmie jedném peryodyczném. Przyniosło mi to wiele nieprzyjemności tutaj, a przecież nic a nic nie odwołałem. Jako wy na Litwie, tak i ja tutaj hydzę się Niemcami. Ale proszę, jaki to ma związek z filozofią i ze mną? Chyba taki, jak wojna z kometą! I w tém właśnie nieloika głosu waszego publicznego... Wszędy widzi się po narodach kontrasty. Paryżanki np. są najrozwiąźlejsze na ziemi i najwyszukańsze w uciechach dla mężczyzn, ale za to najdoskonalsze z nich siostry miłosierne. W ubiorze zakonnic idą na wojnę. Pod ogniem dział zawiązują rany poległym, lub przygotowują ich do śmierci religijnie. Poświęcenie ich jest bohaterskie i bez miary. W Anglii największa wolność, a obok niéj najstraszliwsza arystokracya ze średniowiecznemi przywilejami, jakich już nigdzie niéma w Europie. Polak wogóle słynie zacnością, lecz słynie także jako najzręczniejszy oszust, umiejący za granicą grać wielkiego pana i odzierać tych, którzy słowom i tonowi jego uwierzyli. Toż samo i z Niemcami. Najbrudniejsze z nich realisty i materyalisty, a filozofia i literatura, cały wykwit ich ducha—czysty idealizm, spirytualizm. Każda rzecz na ziemi ma dwie strony, dobrą i złą. Czy sądzi ten sprawiedliwie i czyli sam jest szlachetny, co trzyma li za stronę złą?... Szwaby mieszkające w Polsce i w Rossyi, złożone z samych kosmopolitów i awanturników, szukających pieniędzy, są nic nie warte; sejm frankfurcki w roku 1848 okazał się względem nas tak haniebnie etc. etc.; zaczém nauka Kanta, Fichtego, Hegla, cała niemiecka filozofia, poezya Goethego, Schillera, Wielanda, cała niemiecka literatura temu winna! Jakże tu nazwać tych, co wydają sądy tak hotentockie! Pismo podaje: najlepiéj poznasz drzewo z jego owoców. Jestto prawda, ale odnosząca się do tych, co szczegółowo odznaczają się lub grzeszą, prawda mianowicie praktyczna i moralna. Owoce Goethego, Schillera są słodkie i godne chwały, a owoce chłopów i mieszczuchów, ludu niemieckiego—gorzkie i godne potępienia. Potrzeba więc nie brać *qui pro quo* i myśléć loicznie.

„Ale najśmieszniejsze jest u was potępienie filozofii wogóle, dlatego, że filozofia niemiecka nie przypada nam ani do duszy, ani do smaku. Czyli filozofia jest jedynie w Niemczech? Czy potępić trzeba filozofią Greków starożytnych, Ojców kościelnych, Scholastyków, Kartezyusza i Bakona, dlatego, że filozofia niemiecka czczą bywa łamigłówką. Któż tak wyrokuje, na miłość Boga! Słysząc to, bolą patryocie polskiemu wnętrzności! Niemiecka filozofia jest wogóle jednostronnym idealizmem, odpychającym od siebie z pogardą realizm, jest panteizmem, nie uznającym Boga osobistego, zaczém antichrześciańskim. Wszystko to prawda. Ja też dlatego odmawiam jéj nawet imienia filo-

(1) Istotnie w „Przedburzy politycznéj“ (str. 214), wydanéj we Freiburgu, jest w rozdziale: „Rzut oka po Europie“ taka przeciw Niemcom filipika, jak drugiéj u nas nie znam.

zofii i nazywam li Skekulacyą, której przedmiotem duch tego świata ogólny, lub bezwzględny, jako Empiryi; przeciwnicy jéj przedmiotem — materya tego świata ogólna. Obie nie wychodzą za ten świat. Filozofia też moja i istna wyprowadza na widnią świat trzeci, transcendentalny, achrematyczny, świat tamten, stanowiący istotę wiekuistą tego świata, lub Boga i Osobistość. Gruntem nawet natury i ogólnego ducha jest Osobistość, lubo odpadła od saméj siebie i rozwiązana w nieosobistość. Potępiajcież przeto panteizm i spekulacyą niemiecką, ale nie przypisujcie niedostatków jéj filozofii!

„Ja mam być rozkrzewiaczem filozofii niemieckiéj! A, to już Sodoma i Gomora! Ja najzaciętszy jéj wróg i burzyciel! Gołuchowski wasz jest rozkrzewiacz filozofii niemieckiéj, skoro, jak mi piszesz, wyznaje sam, że trzyma się Chalybaeusa (1). Kremer także taki rozkrzewiacz, bo daje wam Loikę, Naturę Ducha, nawet Fenomenologię Hegla, wprowadzając tylko w system tén przy końcu osobistego Boga. Zgoła Libelt jest taki rozkrzewiacz, bo, jako wyznaje sam, bierze treść od Hegla, a tylko formę z mojéj Myślini. Ale ja, com rozstał się całkowicie z Heglem i całą Spekulacyą niemiecką od samego początku, nawet w pismach mych niemieckich, a usiłuję utworzyć filozofią narodową, polską i słowiańską, mającą charakter całkowicie inny, na Bogu osobistym i na moralności ugruntowaną, a z chrześciaństwem zgodną, ja mówię, mam być filozofii niemieckiéj rozszerzaczem? Kto tak sądzi, ten okazuje tylko, że do dzieł moich ani zajrzał i trzyma się li czczego, od nieprzyjaciół mych rozwiewanego wiatru. Chyba dla tego jam rozkrzewiacz filozofii niemieckiéj, wyobrażeń augsburskich, lub protestantyzmu, że mieszkam w Niemczech. Tak się zdaje, skoro mi zarzucają przywiązanie do Niemców. Ale, czyli sąd, tak jawnie głupi, może mieć jakikolwiek wpływ na moje postanowienie?

„Piszesz, iż widzą we mnie polskiego Woltera. Jakżebym wtedy mógł być filozofii niemieckiéj rozkrzewiaczem? Wolter jest szyderca z religii, jak Lucyan grecki, ale nie można przymierzać go ani do Kanta i Hegla, ani do Arystotelesa i Tomasza z Akwinu, ani do mnie. Ja z religii i chrześciaństwa nie szydzę. I owszem, okazuję prawdę jego, którą oczyszczam od średniowiecznéj ciemnoty, na wysokościach dzisiejszéj umiejętności i naszego czasu. I mam nadzieję, że na Panteonie moim oprze się katolicyzm odnowiony i chrześciaństwo przyszłości. U mnie Chrystus doznaje tryumfu, jak nigdzie i nigdy przedemną. Tak wielką zajęty rzeczą, nie troszczę się o sądy litewskich półmędrków, którzy mnie nawet nie czytali i czytać nie chcą, a przecież po pogańsku potępiają.

„Listy Twoje dawniejsze, mianowicie zaś ostatni, sprawiły przecież wielką w duszy méj odmianę. Ja kochałem i kocham tak niewypowiedzianie naród mój, a tęskniłem za nim, jak dziecko. Dziś nawet wynoszę co chwila w Panteonie moim wysoki jeniusz narodowy tak z dawnych jak i z naszych czasów, dając mu pierwszeństwo nad jeniuszem wszystkich narodów Zachodu. A wszelakoż, po odczytaniu listów Twoich, uznałem łaskę i mądrość bożą, iż mi los taki dała, że żyć muszę za granicą. Wasi Litwini, gdyby mieli moc i gdybym między nimi chciał osiąść, takby mnie spalili na stosie, jak koroniarze Łyszczyńskiego za barbarzyńskich jezuickich czasów pod Janem Sobieskim. I uczułem w sercu pociechę, że chociaż tęsknię za krajem, żyję przecież na łonie wysoko ukształconego narodu, gdzie każdy ksiądz katolicki,

---

(1) W dziele: „Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka“ (Wilno, 1861, 2 tomy) pierwszy tom poświęcił Gołuchowski rysowi głównych systematów filozoficznych od Kanta do czasów najnowszych, biorąc sobie „za przewodnika, a bardzo często dosłownie tłómacząc (str. XX i XXI przedmowy) książkę H. M. Chalybaeusa (mylnie wydrukowano: Chalybacus): „*Historische Entwickelung der speculativen Philosophie von Kant bis Hegel*“. Chalybaeus żył od r. 1792 do 1862.

zgoła fanatyk, jest jeszcze tak oświecony, jak francuski Lacordaire. Patrzyć na ciemnotę ogólną własnych rodaków, których tak kocham, ochrzczoną imieniem gorliwéj wiary; słyszéć takie nauki, jakie w Tece arcybiskupa Hołowińskiego o filozofii (1), gdzie najgłupszy ze scholastyków przed tysiącem lat jest jeszcze mędrszy od naszego mędrca, tj. od Hołowińskiego; widzieć tak wielki honor oddawany ogólnie niemieckiemu protestantyzmowi, że wszelkie głębsze myślenie zowie się już kacerstwem, niemczyzną; być rzuconym między ludzi średniowiecznych przekonań i przesądów, jakby między nieboszczyków, wywolanych z grobu od kuglarza z Dziadów Mickiewicza: — ach, już ja bym tego nie wytrzymał! Popatrzywszy na was, musiałbym rychło uciekać za granicę, bo tam duchowi memu zabrakłoby moralnego powietrza (2). Dzięki, dzięki więc Bogu za losy moje! Tu nie spotka mnie żadne *autodafé*. Tu mogę być wolny, jak Sokrates lub Plato".

Rozgoryczenie, widniejące w tym liście, nie ochłodziło bynajmniéj stosunków ze Zdanowiczem; — Trentowski cieszył się niewypowiedzianie z projektowanéj wycieczki swego korespodenta wraz z synem do Krakowa, do Niemiec i do siebie, obiecywał go przyjąć „z otwartemi rękami jak rodzonego brata" i przytulić do kochającéj piersi", a synowi jego wyłożyć ogólne rysy swojéj filozofii. O „Panteonie wiedzy ludzkiéj" donosił, że jeszcze nieskończony. Był wtedy nasz filozof, jak jeszcze w Paryżu, w środku tomu trzeciego. Reszta atoli tego tomu była już ułożona, potrzebowała tylko poprawy i przepisania na czysto, czego musiał sam dokonać własną ręką, bo we Freiburgu nie było polskich kopistów. „Dzieło to — dodawał — natrapiło mnie długo i okropnie, ale, da Bóg, będzie narodu naszego chwałą. Nic podobnego niéma ani w Niemczech, ani we Francyi. Ale, czy dzisiejsi ludzie na niém się poznają u nas? Mniejsza o to! Filozofia jest wszędy dla maluczkiéj liczby wybranych, a chociaż nie tryumfuje rączo i idzie na męki krzyżowe, zbawia świat".

Nadzieja wydrukowania „Panteonu" zjawiła mu się wtedy raz jeszcze — ale tylko na chwilę. Jakiś księgarz z Berlina zrobił propozycyę, ale niebawem cofnął się, z obawy, że dzieło nie znajdzie odbytu, ponieważ umysły Polaków były zajęte w 1862 reformami, wprowadzanemi przez Wielopolskiego, i na filozofię nie zważano.

---

(1) „Teka rozmaitości" wyszła w Wilnie r. 1844 (str. 411). Oprócz innych artykułów mieści się tu gawęda filozoficzna „Wieczór na wsi" i przekład rozprawy Ventury: „o metodzie filozofii".

(2) Już dawniéj, 2 października 1857 r., Trentowski podobne myśli w liście do Zdanowicza wyraził: „Blisko już 30 lat żyję za granicą. Oczy, uszy i myśli me nawykły do czego innego. Lękam się, że nie wytrzymałbym pomiędzy wami, a raczéj w stosunkach waszych, że już po kilku miesiącach chciałbym wracać do mego Freiburga, a gdyby mnie nie wypuszczono, skończyłbym może w domu obłąkanych. Trzeba mi dać sposób służenia krajowi i swobodę pewną ku temu, a polecę do was, bym miał skrzydła. Jeżeli się to nigdy nie stanie, toć lepsza, iż tutaj umrę".

Donosząc o tém Zdanowiczowi dnia 18 września 1862 r., dodał smutnie: „To mnie bardzo, tak dalece zraziło, żem położył dzieło na bok, choć tom trzeci bliski już bardzo końca, i zabrał się do pracy niemieckiéj, która zatrzyma mnie może przez rok jeden. Ale i cóż mam robić? Skoro Polacy nie dbają o wyższe światło, choć mają go tak mało; to trzeba pisać dla tych, co, pomimo morza światłości już u nich istniejącéj, pragną wciąż więcéj światła i umieją je cenić". Pracę niemiecką rzeczywiście wykończył, ale nakładcy na nią również nie znalazł; wydała ją dopiéro wdowa w r. 1873 p. n. „*Die Freimauerei in ihrem Wesen und Unwesen*" (Lipsk, str. XVIII i 393). Z piśmiennictwem polskiém zaś nie zerwał wcale. Za życia jeszcze ogłosił dwie broszurki, znane mi tylko z bibliografii, tj. 1) „Program do pozyskania godnéj nas i czasu naszego historyi polskiéj", Paryż, 1863 w 4-ce, str. 7; oraz 2) „Księgi zasadnicze rodu ludzkiego. Poradnik kieszonkowy, poświęcony obywatelom i obywatelkom polskim, a zawiérający zasady wychowania rodu ludzkiego, zastosowane do Chowanny polskiéj, Lipsk, 1865, str. 47". Dokończył też „Panteonu wiedzy ludzkiéj", ale ogłoszenia jego się nie doczekał. Wyszedł on w 3 dużych tomach w Poznaniu dopiéro r. 1873, 1874 i 1881.

Przyjazdu Zdanowicza nie doczekał się również. Miał tylko u siebie jego ucznia Emila Butkiewicza, który przybył do Freiburga na półrocze zimowe 1862/3 i słuchał filozofii Trentowskiego a miał kiedyś poślubić jego córkę, Olimpię. Filozof nasz pokochał go bardzo i spodziéwał się, że wykształcenie go „będzie może jedną z najpiękniejszych części" jego życia za granicą. List ostatni w zbiorze, który przejrzeliśmy, jest dopiskiem do listu Butkiewicza. Trentowski mówi w nim, że był często chory w r. 1862 i teraz nie jest zdrów; dlatego życzył przedewszystkiém zdrowia Zdanowiczowi, a polecając ukłony żonie, dziatkom i szwagrowi Piaseckiemu, zakończył poważnie i boleśnie: „Niechaj Bóg będzie z wami! Ja was zapewne nigdy nie zobaczę".

Istotnie, wśród ciągłéj niemal choroby, przeżył jeszcze skołatany filozof lat 7, ale ani sam w kraju nie był, ani Zdanowicza nie ujrzał. Zmarł 16 czerwca 1869 roku.

Piotr Chmielowski.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Odczyty wielkopostne. — Poruszone w tych odczytach kwestye społeczne. — Udział prawników w opracowywaniu kwestyi społecznych. — Dotychczasowa apatya korporacyi prawniczéj względnie do spraw społecznych i ukazujące się oznaki lepszéj przyszłości.— Zbawienne rady powtórzone z pisma „*Reforme sociale*“ przez „Słowo“ pod adresem naszéj szlachty.—Nieszczęśliwe wypadki eksplozyi kotłów parowych.—Warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń.—Dwie wystawy: wielka paryska i mała warszawska.

Ubiegły sezon wielkopostny obfitował podobnie jak w latach zeszłych w odczyty, publiczności jednak na tegorocznych odczytach bywało znacznie mniéj, niż ongi, gdyśmy to w sali miejscowéj spotkali „*tout Varsovie*“. A zaniedbanie to było niesłuszne, gdyż jeśli w liście obecnych prelegentów nie wszystkie imiona miały wyrobiony wśród szerszéj publiczności rozgłos literacko-odczytowy, to właśnie nowość sił, obok żywotności tematów powinnaby liczniejszych zebrać słuchaczy.

Co do tematów, to do liczby ich weszły w obecnéj seryi odczytowéj i t. zw. kwestye społeczne, a mianowicie kwestya mieszkań naszéj ludności, zwłaszcza uboższéj i kwestya stosunków fabrycznych w naszym kraju. Podanie szczegółowego rozbioru obu odczytów w kronice, byłoby nie w miejscu, zwłaszcza, że jedna z prelekcyj, znajdzie się *in extenso* na kartkach naszego pisma. Chcemy tylko zaznaczyć fakt, że obaj prelegenci, poruszający kwestye społeczne—p. Suligowski i p. Plebiński—są prawnikami z wykształcenia i z zawodu. Notujemy tę okoliczność z uwagi, że dotychczas nasi prawnicy, o ile się z publicznością drogą słowa żywego, lub pisanego komunikowali, wybierali tematy wyłącznie prawne w ścisłém tego słowa znaczeniu i w kołach prawników wszelkie dążenia do opracowywania przedmiotów, leżących po za obrębem zajęć profesyonalnych, było uważane ze pewnego rodzaju lekkomyślność i niedojrzałość—psuło prawnikowi jego reputacyę pod względem fachowym. Tymczasem rodzaj wykształcenia przygotowuje

prawników, bardziéj niż wychowańców innych wydziałów, do pracy na polu spraw społecznych. Wydział prawa, oprócz nauk prawnych, ma w programie wykładów — jedyny wśród wydziałów uniwersyteckich — (mówimy tu o wydziałach urządzonych podług obowiązującéj u nas ustawy uniwersyteckiéj) nauki polityczne i ekonomiczne. Z tego względu bywała niejednokrotnie podnoszona myśl, by wydziałom prawnym nadać miano wydziałów „nauk społecznych“. U nas podnosił ją były profesor i dziekan wydziału prawnego Szkoły głównéj, a potém uniwersytetu Kasznica. W każdym razie prawnik w programie swych studyów obowiązkowych, więcéj znajduje przedmiotów uzdolniających go do pracy nad kwestyami społecznemi, niż medyk, matematyk lub filolog. Powinniby przeto i w życiu prawnicy na tém polu przed swymi kolegami z innych wydziałów pracować. W krajach zachodniéj Europy tak téż jest w rzeczywistości; udział prawników w życiu publiczném jest tam bardzo przeważny. Jakkolwiek u nas inne są formy życia społecznego, w każdym razie nie powinniby nasi prawnicy zamykać się wyłącznie w działalności profesyonalnéj, dążącéj wyłącznie do zdobycia chleba i... mniéj lub więcéj tłustéj okrasy, ale coś z siebie dawać i społeczeństwu. Brak poczucia obowiązków względem spospołeczeństwa i zastąpienie wszelkich podnioślejszych pożądań chęcią zbierania, lub chęcią użycia, wpływa w fatalnie demoralizujący sposób na stan cały. To téż w ostatnich kilku latach spotykamy szereg bardzo smutnych upadków w sferze jurystów. Nie każdy zapewne sobek, lub sybaryta zostanie przeniewiercą cudzego grosza, a pojedyńczy przykład nie może uwłaczać całéj korporacyi. Skoro jednak pewne zjawiska patologiczne zbyt często w danéj sferze się powtarzają, jestto oznaką, że źle się dzieje w królestwie duńskiém. I żadne zamykanie oczu i uszu sobie, a kneblowanie ust innym nie pomoże, lecz przeciwnie sprzyjać rozwojowi złego będzie. Z tego téż względu fałszywym się nam wydaje głos pewnego utalentowanego obrońcy, który się domaga w „Gazecie sądowéj“ usunięcia wszelkiéj krytyki działalności członków naszéj adwokatury i za fałszywe uważamy zachowywane przez prawników wstydliwe milczenie o wypadkach notorycznych nadużyć popełnionych przez kolegów, choćby ci koledzy, wybitne przedtém zajmowali stanowisko. Przeciwnie więcéj surowości w opinii, więcéj starania o wymiecenie brudów, a mniéj fałszywego wstydu z pewnością wyjdzie całéj korporacyi na dobre. Z dwojga złego, lepiéj gdy obcy zobaczą, że brudy były, ale się wymiatają, niż gdy z obawy niedyskrecyi sąsiadów nie zamiata się wcale i pozostaje w brudach. Zresztą szydło w worku nigdy się długo nie utai...

Obok czujniejszéj opinii przeciwko nadużyciom, uzdrowienie korporacyi prawniczéj może być dokonywaném przez zwrócenie pożądań ku podnioślejszym niż zdobycie i użycie grosza celom. Nie wymaga się tu wcale by prawnicy rozdali swe mienia ubogim i wynieśli się na pustynię. Chodzi tylko o to, żeby część swego czasu i część grosza, bodajby drobną, chcieli poświęcać na cele użyteczności publicznéj. Komu z nich wydawnictwa fachowe prawne leżą bardziéj niż inne na sercu, temu można wskazać, że gdy np. przyrodnicy, filolodzy itd. ciągle podtrzymują w znacznéj części naukowy ruch książkowy, to wydawnictwa prawne zbyt rzadkiemi są u nas ptakami.

Biblioteka umiejętności prawnych, skoro jéj cofnięto subsydyum prywatne, zamarła; „Gazeta sądowa“ wegetuje raczéj, niż żyje. Oprócz jednak wydawnictw prawnych, są i inne. Oprócz ruchu książkowego potrzebny jest ruch społeczny na polach życiowych. Przez branie udziału w tym wszechstronnym ruchu społecznym, nie zaś przez ukrywanie téj lub owéj zarażonéj owcy, podniesie się znaczenie i poważanie ciała prawniczego w społeczeństwie.

Dla tego też z prawdziwą radością notujemy, że obok objawów rozkładowych dają się widziéć w ostatnich czasach w sferze prawniczéj symptomata ozdrowienia i budzenia się życia. Za szczęśliwym początkiem, zrobionym przez pp. Suligowskiego i Plebińskiego, organizuje się téj jesieni przez kółko prawników szereg odczytów. Wśród tematów mamy podobno spotkać nie tylko profesyonalne prawnicze, ale i społeczne donioślejszego znaczenia. Wydawnictwo Biblioteki umiejętności prawnych ma być wskrzeszone, staraniem i w znacznéj części środkami pieniężnemi samych prawników. Zamierzoném jest ożywienie Gazety Sądowéj. Jedném słowem panowie prawnicy zdają się budzić z apatyi. Jeżeli się zapowiedzi ziszczą, a społeczeństwo z działalności prawników większą niż dotąd korzyść odnosić będzie, to i poważanie ciała prawniczego z pewnością się podniesie.

* *
*

Nie tylko w sferze prawniczéj spotykamy zjawiska dodatnie i ujemne jednocześnie. Dzieje się tak i w innych sferach,—nie może się nawet dziać inaczéj w żadnéj sferze, boć doskonałości bezwzględnéj nie ma. Chodzi tylko o to, jak wypada bilans ogólny,—czy w bilansie tym przeważają passywa szkodliwości, czy aktywa użyteczności publicznéj. Weźmy np. sferę szlachecko-obywatelską. I w niéj spotykamy niedość silnie rozwiniętą ofiarność na cele publiczne, podtrzymywane o wiele silniéj przez sfery mieszczańskie

(szkoły rzemieślnicze, kasy pożyczkowe, Kasa Mianowskiego, Pamiętnik fizyograficzny, bank poznański, kupno Zakopanego itd. itd.), spotykamy również i upadek moralności społecznéj (dewastacye, nieterminowość i niesłowność w stosunkach pieniężnych i handlowych) brak poczucia spójni i solidarności z innemi sferami społecznemi (głosy prasy konserwatywno-szlacheckiéj w rodzaju artykułu „Wiara w chłopa“, albo téż artykuły antysemickie itd. itd.) Ale obok tych objawów ujemnych, spotykamy téż nieraz — a w ostatnich czasach coraz częściéj — i objawy dodatnie.

Do nich należy zaliczyć przedewszystkiém większą niż dawniéj pracowitość i skalę życia bardziéj odpowiadającą posiadanym środkom pieniężnym i dochodom. W prasie konserwatywno-szlacheckiéj również dają się spotkać coraz częściéj głosy, ogólne dobro społeczne bardziéj niż wywyższenie pojedyńczego stanu mające na celu. Do takich możemy zaliczyć pomieszczone w „Słowie“ rady, dotyczące wychowania młodzieży szlacheckiéj. Rady te, wprawdzie powtórzone są z czasopisma francuskiego „*Reforme Sociale*“, nie mniéj przeto umieszczenie ich w naszym dzienniku szlacheckim dowodzi, że i ten dziennik słuszność rad uznaje i do spełnienia je zaleca.

Oto kilka wyjątków z tych rad.

„Nie należy robić sobie iluzyi. Doczekaliśmy czasów, gdzie stanowisko, zajmowane przez przodków, albo usługi przez nich oddane nie uwalniają od wyrabiania sobie samemu stanowiska i oddawania osobistych usług. Żyjemy w epoce, gdzie fortuny nikną równie prędko, jak się gromadzą, i gdzie staje się coraz lekkomyślniejszém rachować tylko na spadki. Przed rozpoczęciem edukacyi syna każdy ojciec rodziny, bez względu na wysokość zajmowanego stanowiska i wielkość swych bogactw, powinien przedewszystkiém powiedziéć sobie: chcę uczynić z mojego syna człowieka pracy i człowieka użytecznego.

„Otóż człowiek potrafi sobie zawsze znaleść odpowiednie zajęcie i uczynić się użytecznym, jeżeli jego strona duchowa, zarówno jak fizyczna, zostały rozwinięte za pomocą gruntownego wychowania.

. . . .

„Co robimy dla synów, róbmy zarówno dla córek....

„Wytłómaczmy to sobie przedewszystkiém, że najpierwsza z nauk jest n a u k a p r z y k ł a d u i że bez téj wszystkie inne zostaną martwą literą... Rodzice mogą być zupełnie przeświadczeni, że nauki ich wtedy tylko posłuch znaleźć mogą, jeżeli będą pierwszymi w zachowaniu ich w życiu.... Każdy pod grozą utraty wszelkiego znaczenia w społeczeństwie coś robić powinien“...

I dalej „Słowo“, powtarzając radę „*Réforme Sociale*“, zachęca znów szlachtę, by zbliżała się do włościan i klasy robotniczéj, by zajmowali stanowiska lekarzy, nauczycieli, literatów, przemysłowców, kupców itd. itd.

Rady te, stanowiące rozbrat z wiarą w przywilej urodzenia i w mniejszą szlachetność jednych rodzajów zajęć niż inne, jeżeli są umieszczone w dzienniku czysto szlacheckim, jakim jest „Słowo“, stanowią objaw dość znamienny rozpoczynającego się przełomu w pojęciach naszéj szlachty.

Przełom ten u nas bardziéj niż w innych społeczeństwach jest potrzebny. Nasza szlachta nie może, podobnie do angielskiéj, brać przeważnego udziału w życiu publicznem kraju; jeżeli więc do innych zajęć wziąć się nie chce, pozostaje jéj tylko próżnowanie, a co zatém idzie upadek i wymieranie.

A szkoda byłoby warstwy społecznéj, która aczkolwiek zarażona nieco próżniactwem, biorącém źródło z przyczyn historycznych, i newrozą pochodzącą między innemi z przyczyny ciągłych łączeń w bliskiéj sferze, nieraz w pokrewieństwie (patrz Rollego studya nad dziedzicznością obłąkania w rodach małopolskich), ma jednak wiele zdolności.

Słyszymy wprawdzie głosy, które wymieranie szlachty za pożądany, za konieczny niemal warunek postępu w naszém społeczeństwie uważają. Głosy te jednak, podobnie jak negowanie mieszczaństwa lub włościaństwa, dowodzą tylko braku szerszego poglądu społecznego. Przedewszystkiém za słabi jesteśmy, w porównaniu zwłaszcza z naciskającym nas germanizmem, byśmy mieli dobrowolnie pozbawiać się choćby najdrobniejszéj jakiejś siły, użytecznéj w stosunkach zewnętrznych. W stosunkach znów społecznych wewnętrznych nie mamy dostatecznego powodu do wojowania z przywilejami szlachty, gdy te są dziś niemal zupełnie illuzoryjne w naszém życiu publiczném. Co się tyczy nareszcie życia prywatnego tradycye i przywiązania rodowe mogą mieć w pewnym stopniu uzasadnienie, tak jak je mają wspomnienia i sympatye rodzinne. Przyjemnie jest każdemu, gdy o jego ojcu lub matce, o członku rodziny mówią, iż jest, lub był użytecznym, zasłużonym członkiem społeczeństwa. Jest to atoli tylko przyjemność, ale nie tytuł do przywileju. Otóż, o ile potomkowie rodzin szlacheckich mają pewne przywiązanie do tradycyi o zasługach swoich przodków, ale nie uważają się na mocy tych tradycyi za zwolnionych od osobistéj pracy dla społeczeństwa, albo za wyższych od jednostek, które się podobnemi tradycyami nie cieszą—o tyle wspomnienia ich rodowe wcale szkodliwemi nie są. Nawet upodobania heraldy-

czno-archeologiczne, o ile nie przekraczają pewnéj miary, i nie służą za podstawę do pustéj chełpliwości i wywyższania się, mogą mieć charakter zupełnie niewinny. Może się ktoś zresztą pieczętować pieczątką herbową, nie przywiązując do tego herbu szczególnéj wagi, i uważając go tylko za znaczek odróżniający, podobnie jak kupiec używa na pieczątkach jakiejś marki fabrycznéj, monogramu itp. Ma herb—nie potrzebuje więc wysilać się na koncypowanie innego znaku i używa tego, jaki ma. Otóż taki szlachcic, chociaż herbowy, chociażby mający i kochający swe wspomnienia rodzinne, nie jest jednak *eo ipso* szkodliwym i nie powinien być nienawistny klasom nieszlacheckim, a nawet może być poważany przez nie i dla całego społeczeństwa użyteczny, byleby... byleby chciał się zastosować do rad, które „Słowo“ za „*Reforme Sociale*“ powtarza.

* * *

W ostatnich czasach mieliśmy kilka nieszczęśliwych wypadków eksplozyi kotłów parowych na fabrykach. Eksplozye te, oprócz znacznych strat pieniężnych, powodowały jeszcze straty o wiele ważniejsze i przykrzejsze, — utratę życia, lub zdrowia robotników. Powtarzanie się wypadków zaniepokoiło opinią publiczną. Objaw to dodatni, dowodzący, że los klasy robotniczéj żywo obchodzi naszą inteligencyą.

Jeżeli jednak usiłowanie, zwrócone ku usunięciu i zapobieżeniu na przyszłość smutnym wypadkom, jest wszelkiego uznania godne, jeżeli nawet zupełnie zrozumiałe jest życzenie, by winni wypadków (jeśli winni są) byli wyszukani i ukarani; to przypisywanie téj winy jednostkom, pierwéj niż słuszność oskarżenia została udowodniona, jest lekkomyślnością naganną. Im cięższe jest oskarżenie — a z pewnością oskarżenie, że ktoś poświęca cudze życie dla swoich zysków, należy do najcięższych—tém ostrożniejszym w potępianiu być należy.

Mniemany aksyomat, że jeżeli tylko na fabryce zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, to muszą być winni tego wypadku, jest w gruncie rzeczy paradoksem. Bywają wypadki do przewidzenia i zapobieżenia niemożliwe. Mechanizm wszechświata jest z pewnością arcymądry, a jednak zdarzają się i w nim zjawiska takie, jak orkany, powodzie, uderzenie piorunu, wybuchy wulkanów, trzęsienie ziemi i tym podobne zjawiska, powodujące utratę życia tysiąca ludzi. Zresztą jeżeli są winni danego wypadku, to nie należy przed czasem oskarżać **A**, skoro może być winien **B**, lub naodwrót. Nareszcie stopień winy może być różnym. Z tych powodów niesprawiedliwością jest

i okrucieństwem piętnować tych, którzy się nam z pozoru podejrzanymi o winę wydają, zanim kompetentne do orzeczenia rzeczywistości winy i jéj stopnia organy, tj. władze sądowe, zdanie swoje wyrzeką.

* * *

Towarzystwo Warszawskie ubezpieczeń ogłosiło sprawozdanie swych czynności za rok ubiegły. Że sprawozdania tego widzimy że pomienione towarzystwo prowadzi w dalszym ciągu jak i dawniéj swoje interesa poważnie i z dbałością nie tylko o swoje, lecz i o publiczne dobro. Uznania godném jest usiłowanie towarzystwa by się kółka rolnicze gubernialne zlały w jedno szersze stowarzyszenie.

* * *

Jesteśmy w przededniu otwarcia wielkiéj wystawy paryskiéj. Z pomiędzy naszych wystawców może ona miéć znaczenie prawie wyłącznie dla wytwórców surowych produktów i to tylko niektórych. Nic przeto dziwnego, że liczba wysyłających swe produkta od nas na wystawę jest bardzo nieznaczna. Większy interes może przedstawiać wystawa paryska dla chcących się uczyć, chcących poznać jakie są nowe środki fabrykacyi w niektórych gałęziach przemysłu. To też jeśli wystawców z naszego kraju będzie miał Paryż niewielu, za to zwiedzających znajdzie się prawdopodobnie ilość spora. Obok téj wielkiéj wystawy wszechświatowéj, lecz od nas dalekiéj, będziemy mieli skromną, ale miejscową i dla tego dla nas interesującą. Mówimy o przygotowującéj się wystawie pracy kobiecéj w Muzeum przemysłowem.

(— X —)

KORESPONDENCYA.

Szanowny Redaktorze!

Mając cały czas, wolny od pracy obowiązkowéj, pochłonięty opracowaniem wydawnictwa przekładu III-ciéj części dzieła Roschera, tak dalece w ostatnich czasach zaniedbać musiałem literaturę bieżących publikacyj, że dziś dopiero dostał mi się do rąk lutowy zeszyt „Ateneum“ i w nim pomieszczona dziwnie dotkliwa recenzya I-go zaraz zeszytu mego wydawnictwa. Z uwagi na wysoki szacunek, jaki żywię dla pisma Waszego, a więc dla wszystkiego, co ono pomieszcza, poczuwam się do obowiązku proszenia Was o zamieszczenie tych kilka wierszy objaśnienia z méj strony,

Pracując od lat wielu nad statystyką przemysłu i handlu krajowego, doszedłem do przekonania, że rozwój tych dwu gałęzi produkcyi, przed laty czterdziestu mało jeszcze znaczących, dosięgnął już tak wysokiego stopnia, iż godziłoby się zaopatrzyć je w specyalny podręcznik naukowy, wskazujący im racyonalną politykę. Najwłaściwszém, w tym celu, wydało mi się spolszczenie III-ciéj części klasycznego dzieła Roschera, traktującéj specyalnie „politykę ekonomiczną handlu i przemysłu“.

Wybadawszy, że nikt kompetentniejszy, ani nad dziełem specyalném téj treści, ani nad przekładem podobnegoż dotąd nie pracuje, uzyskałem sobie upoważnienie autora i rok cały pracy poświęciłem na dokonanie tego przekładu.

Komu znany jest niedostatek choćby terminologii polskiéj w wielu działach tych nowych dla społeczeństwa naszego gałęzi bogactwa narodowego, a nadto ogrom zadania, jakim jest opracowanie, choćby w przekładzie tylko, dzieła o 50-ciu kilku arkuszach druku i to z języka—o tak różnéj składni od naszego, ten pojmie ile trudności przytém zwalczyć musiałem.

Będąc przekonania, że przekładając na swój język dzieło jakiegokolwiek cudzoziemskiego autora, zwłaszcza naukowe, pierwszym obowiązkiem tłómacza jest przedewszystkiém nie zmieniać zdań i wyrażeń autora piękną stylistyką i frazeologią—główne staranie zwróciłem, o ile to było możliwém, o dosłowny przekład pracy Roschera. I ztąd wynikło, że styl polski miejscami wyszedł chropawo, jak mi to słusznie zarzuca recenzent „Ateneum“.

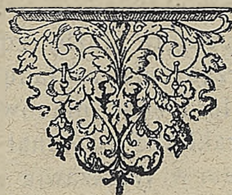
Przechodzę do usprawiedliwienia się z drugiego zarzutu recenzenta, do tak zwanych przez niego „noworodków“ językowych. Nie przeczę, że niektóre z nich dopiéro potworzyć musiałem, pomimo prawdziwéj awersyi, jaką żywię dla wszelkiego nowatorstwa językowego; ale czyż inaczéj mogłem zrobić? Nasza terminologia ekonomiczna jest dotąd tak nieustaloną, a w niektórych działach, zwłaszcza techniczno-ekonomicznych, wcale jeszcze nie istniejącą, iż czując konieczność tworzenia nowych wyrazów albo zastosowania w tym przekładzie jeszcze nie utartych, a mając przekład cały zgruba obrobiony już na I Zjazd prawników i ekonomistów w Krakowie, wraz z podaniem do tegoż Zjazdu o upoważnienie do wydania przekładu tego na jego pamiątkę—stawiałem wniosek o wyznaczenie z łona Zjazdu delegacyi, którаby raz ustaliła terminologią polską w nauce ekonomii. Wniosek ten, mimo chętnego poparcia ze strony prof. Kasparka i prof. Milewskiego, dla braku czasu nie mógł wejść na porządek dzienny Zjazdu. W tém położeniu nic mi nie pozostawało, jak wprowadzić niektóre „no-

worodki“ językowe do przekładu, w nadziei, że przez polemikę w przyszłości zostaną one usankcyonowane albo zastąpione lepszemi wyrażeniami, na co z największą chęcią się zgodzę. W tych wypadkach bowiem nie godzi się powiedzieć poprostu: to niedobre, lecz dodać trzeba: to lepsze... i podać co jest owém lepszém.

W przytoczonych wreszcie trzech cytatach z dopisków Roschera, w których jakoby tłómacz mylnie oddał po polsku treściwy język Roschera, a których znaczenie rzeczywiście z całą jasnością, dla mniéj świadomego ogółu, wystąpiło przy uczonych komentarzach recenzenta, zgadzam się z nim zupełnie, że treściwy język Roschera w dopiskach, dla nieznających starożytnych dziejów zwłaszcza, w pełni jest zrozumiałym tylko przy komentarzach podobnych; ale czy je wolno tłómaczowi dodawać? jakieżby rozmiary przybrało i tak już obszerne dzieło i czyż wykształcony czytelnik sam ich sobie nie dorobi? W cytowanych, a inkryminowanych przez recenzenta ustępach wreszcie, uderzyły mnie dwie tylko rzeczy: jakim sposoben recenzent wątpić nawet może, że tak tłómacz jak i autor—pod nazwą „wieczystéj prawdy“ mógł coś innego rozumiéć niżeli naukę Chrystusa! Jakim więc tytułem tłómacza spotkał zarzut—że: „nie wiemy (słowa recenzenta) o jakiéj wieczystéj prawdzie myślał tłómacz“. A o jakiejże innéj mógł myśléć, jeżeli nie o jedynéj, jaka istnieje w pojęciu świata chrześciańskiego?

Celu wreszcie rozpisania się w kilkunastu wierszach nad prostą nieuwagą korekty, która literki *y*, niewiadomo zkąd tu wsadzonéj, wykreślić zapomniała — zupełnie pojąć nie mogę; boć chyba uczony recenzent ani tłómacza, ani korektora, ani czytelników dzieła Roschera nie ma za tak ograniczonych, aby mogli przypuszczać istnienie kilku mytycznych Syzyfów i nie spostrzegli odrazu, że liczba mnoga (owo *y* po wyrazie Syzyf) przez nieuwagę korekty tylko tu się dostała.

Dn. 1 Kwietnia 1889 r. *Dr. fil. Jan Banzemer.*



NEKROLOGJA.

† **Alfred Biesiadecki** urodził się 12 marca 1839 roku w Dukli; ukończywszy gimnazyum we Lwowie, studya medyczne odbywał w uniwersytecie wiedeńskim, gdzie też w r. 1862 otrzymał stopień doktora medycyny i chirurgii. Jeszcze w ciągu studyów uniwersyteckich ogłosił po niemiecku wynik badań swoich dokonywanych wspólnie z Augustem Heringem nad mięśniami prążkowanemi („*Die verschiedenen Formen der quergestreiften Muskelfasern*", Wiedeń, 1858) oraz nad nerwami wzrokowemi (1860). W 1865 mianowany asystentem przy katedrze anatomii patologicznéj prof. Rokitanskiego, odznaczył się całym szeregiem poszukiwań, których rezultaty ogłaszał w Sprawozdaniach akademii wiedeńskiéj w r. 1867 1868. W 1868 objął katedrę anatomii patologicznéj w uniwersytecie krakowskim i wówczas zaczął ogłaszać rozprawy swe w języku polskim już-to w „Rocznikach Towarzystwa Naukowego", już-to w „Sprawozdaniach wydziału przyrodniczo-matematycznego Akademii Umiejętności". Osobno ogłosił 2 zeszyty z Poszukiwań dokonanych w Zakładzie patologiczno-anatomicznym uniwersytetu Jagiellońskiego" (r. 1871—1875) i „Anatomią patologiczną gruczołów skórnych" (r. 1873). W 1876 opuścił katedrę, powołany na stanowisko protomedyka Galicyi, gorliwie spełniał swe obowiązki, i należał do komisyi, która w 1879 wyprawiona została do Wetlanki dla zbadania wybuchłéj tam zarazy. Wówczas wydrukował: „Sprawozdanie o przebiegu dżumy w gubernii astrachańskiéj w zimie 1878/79" (Kraków, w 8-ce większéj str. 24). Wyczerpujący spis rozpraw naukowych Biesiadeckiego podaje „Słownik lekarzów polskich". Umarł we Lwowie 31 marca r. b. mając zaledwie lat 50.

† **Roman Ignatowski** urodził się r. 1805; szkoły początkowe i średnie przebył w Lublinie, a wydział lekarski ukończył w uniwersytecie. Napisawszy rozprawę „o cholerze azyatyckiéj", i przełożywszy dzieło Wendta: „Wykład systematyczny choroby wenerycznéj" (Warsz. 1833), oddał się praktyce lekarskiéj. W 1837 osiedlił się w Ciechocinku, którego zdrojowisko zawdzięczało głównie jego staraniom swój rozwój. Już w r. 1839 razem z drem Reinhardem, pomocnikiem głównego inspektora służby zdrowia w Królestwie Polskiém ułożył projekt urządzenia zakładu wód mineralnych. Gdy projekt ten został zatwierdzony, mianowano go w 1841 lekarzem zdrojowym. W tym charakterze rozwinął on gorliwą działalność. W r. 1854 ogłosił drukiem w Warszawie obszerną rozprawę p. n. „O wodach mineralnych słonych w Ciechocinku, ich działaniu i za-

stosowaniu lekarskiém" (str. 273). W r. 1870 zaprowadził w Ciechocinku kąpiele błotne. W r. 1873 mianowany został prezydującym w radzie lekarskiéj przy zarządzie wód mineralnych ciechocińskich; prócz tego pełnił obowiązki naczelnego lekarza w szpitalu św. Tadeusza. Był członkiem honorowym Towarzystwa lekarskiego w Warszawie i Płocku. Zmarł 2 kwietnia r. b. w Warszawie.

† **Michał Szymanowski**, urodzony w Warszawie r. 1831, ukształcenie gimnazyalne pobierał w szkołach Piotrkowskich, poczém wszedł jako urzędnik do składu okręgu naukowego warszawskiego. Na niwie literackiéj zaczął pracować, za zachętą Wacława Szymanowskiego, w „Przyjacielu Dzieci" założonym r. 1861. Na pole naukowe przeszedł wraz z założeniem Szkoły Głównéj r. 1862, w któréj ukończył wydział prawny; poczém udał się do Niemiec, ażeby studya swoje uzupełnić. Zostawszy docentem Szkoły Głównéj, po zamianie jéj na uniwersytet, doktoryzował się w jednym z uniwersytetów ruskich i następnie wykładał w Warszawie do roku 1885. W zawiązywaniu spółek spożywczych, mianowicie „Merkurego" brał udział i z téj okoliczności ogłosił rozprawkę popularną: „O spółkach i stowarzyszeniach ekonomicznych" (1869, Warsz.). Wiele artykułów umieszczał w pismach peryodycznych. Tłómaczył Historyą Rzymską Duruy'a i „Rynek pieniężny" Bagehota. Zmarł nagle 30 kwietnia r. b. w Warszawie.

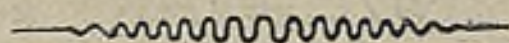
† **Włodzimierz książę Drucki-Lubecki** urodzony na początku naszego stulecia, jako młodzieniec pracował na niwie literackiéj; był mianowicie przez 3 lata (1828 do 1830) redaktorem czasopisma „Motyl", mieszczącego drobne artykuły literackie i ryciny mód. Zmarł w Warszawie w końcu kwietnia r. b.

† **Marya Julia z Perłowskich Zaleska** urodzona w 1831 we wsi Medwedówce (gub. Kijowskiéj) wychowywała się na wsi; wyszedłszy za mąż za dra Zaleskiego z Niemirowa, pod jego kierunkiem oddała się studyom nad naukami przyrodniczemi i zaznajomiła się z niemi gruntownie. Pierwsza jéj książka dla dzieci „Wieczory Czwartkowe" wydana w Warszawie r. 1871, a zawierająca opowiadania o cudach przyrody i znakomitych odkryciach naukowych, przyjęta została nader przychylnie przez krytykę i znalazła wśród dzieci wielkie rozpowszechnienie, tak że w dwa lata potém już doczekała się drugiego wydania. Nastąpiły późniéj, „Wędrówka po niebie i ziemi" (Warsz. 1873), „Listki i ziarnka" (1874), „Obraz świata roślinnego" (1875), Pogadanki naukowe" (1876), „Świat zwierzęcy w obrazkach" (1877) „Swiatek Zosi" (1881), „Przygody młodego podróżnika w Tatrach" (1882), „Dwie siostry" (1887), „Niezgodni królewicze" (1889) i wiele przekładów z Maine-Reida i Co-

opera. Od r. 1880 była współredaktorką czasopisma dla dzieci „Wieczory rodzinne“. Umarła w Warszawie 9 kwietnia r. b.

† **Wawrzyniec Żmurko** urodzony w r. 1824 w Jaworowie w Galicyi, uczęszczał do gimnazyum w Przemyślu; wydział matematyczny skończył w Wiedniu, gdzie téż następnie został docentem. W rocznikach akademii umiejętności w Wiedniu ukazała się téż najdawniejsza jego praca matematyczna, odnosząca się do zagadnień rachunku całkowego („*Beitrag zum Integral-Calcul und über die Bestimmung des Rauminhalts von Körperschichten*” 1848. W r. 1851 otrzymał katedrę matematyki w akademii technicznéj we Lwowie. W 1871 został mianowany profesorem matematyki wyższéj w uniwersytecie lwowskim i obowiązki te pełnił aż do zgonu. Od r. 1870 był członkiem Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu, a od 1872 członkiem Akademii umiejętności w Krakowie. Na wystawie powszechnéj w Wiedniu 1873 pozyskały medal zasługi jego nowe narzędzia matematyczno-fizyczne i cykloidograf, elipsograf i parabolograf. Pomijając prace w języku niemieckim ogłaszane, zaznaczyć tu wypada najważniejsze polskie: „Wykład matematyki na podstawie ilości o dowolnych kierunkach“, (2 tomy, Lwów 1864, str. 371 i 697), „O styczności kół i kul“ (Kraków, 1869), „Teorya największości i najmniejszości funkcyj wielu zmiennych“ (Paryż 1873), „O styczności stożków obrotowych“ (Kraków 1874), „Przyczynek do rachunku przemienności“ (Kraków 1875). Ostatnia jego praca wyszła w Wiedniu 1881 po niemiecku: „*Beitrag zur Theorie der Auflösung von Gleichungen mit Bezug auf die Hilfsmittel der algebraischen Operationslehre*”. Od dwu lat ciężko chorował. Zmarł we Lwowie d. 3 kwietnia r. b.

† **Walerya** z **Soleckich Błotnicka** urodzona około r. 1860 r., wcześnie osierocona, skończywszy seminaryum nauczycielskie we Lwowie, zamierzała z początku oddać się zawodowi pedagogicznemu, ale żywy artystyczny temperament nie dozwolił jéj w nim wytrwać; przeszła do szeregu artystek dramatycznych pod nazwiskiem Rafalskiéj. Wyszedłszy za znanego rzeźbiarza Tadeusza Błotnickiego, w ostatnich trzech latach skreśliła kilka szkiców powieściowych („Jéj dziecko“, „Sara“, „Pod jednym sztandarem“, „Franek Bania“, „Bronowscy“, „On i ona“, „Romans panny Hani“, „Moje pierwsze zamówienie“, „Ksiądz Nykoła“), umieszczonych w pismach lwowskich, krakowskich i warszawskich. Zmarła w końcu marca r. b. w Krakowie.



Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**